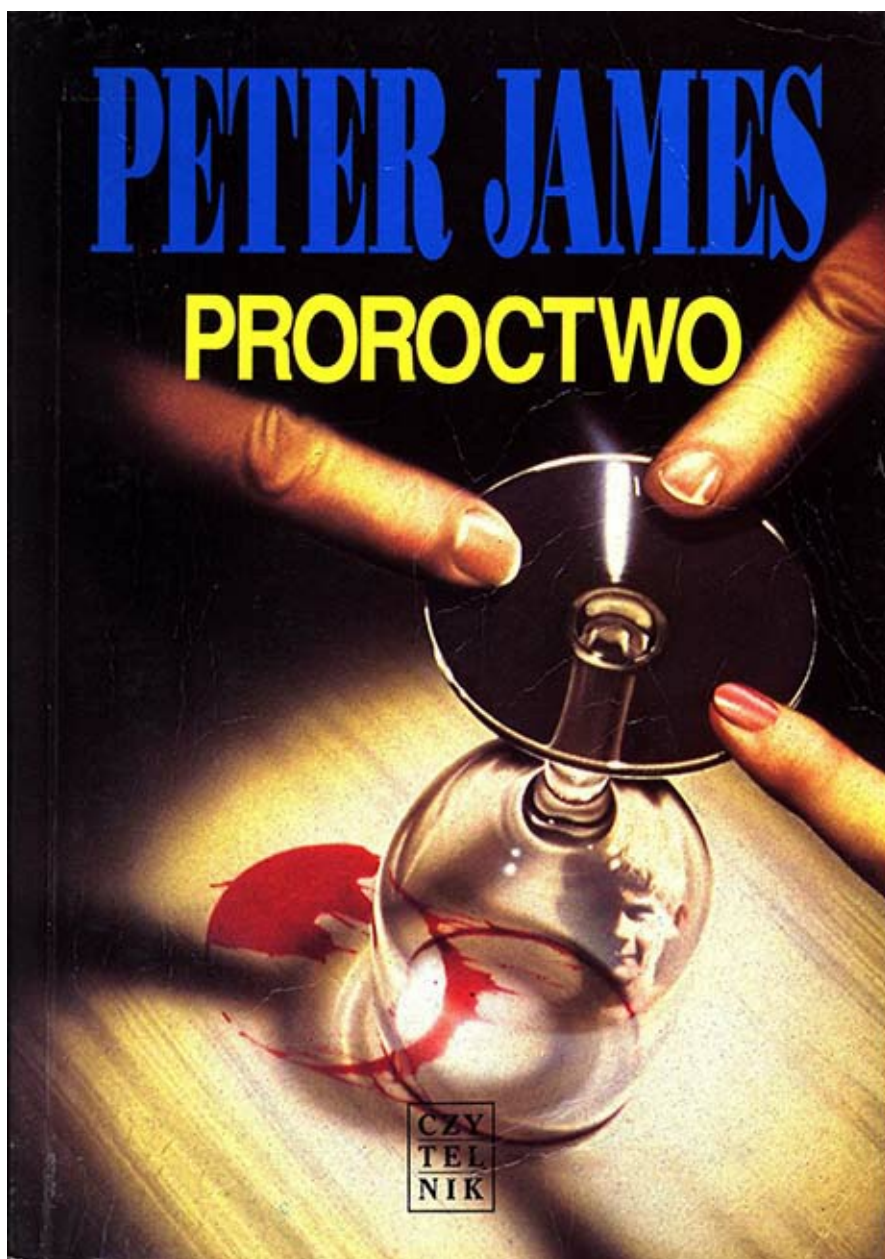


PETER JAMES

PROROCTWO



CZY
TEL
NIK

PETER JAMES

PROROCTWO

Przełożyła Zuzanna Naczyńska

Tytuł oryginału angielskiego: Prophecy

Dla Jesse

PETER JAMES - PROROCTWO

Peter James (ur. 1948), autor serii popularnych thrillerów, których akcja koncentruje się wokół rozmaitych zjawisk nadprzyrodzonych, robi błyskotliwą karierę literacką zarówno w Anglii, jak i poza jej granicami.

Urodził się w Brighton w Sussex i z tym hrabstwem związał swoje losy. Po kilkuletnim pobycie w Kanadzie, gdzie pracował w branży filmowej, James osiadł wraz z żoną w rodzinnych stronach i jako Rękawicznik Jej Królewskiej Mości przejął prowadzenie znakomitej firmy galanteryjnej. Jednocześnie poświęcił się pisarstwu i co roku wydaje kolejny bestseller z dreszczykiem.

Podziękowania

Jak zawsze, jestem wdzięczny wielu ludziom i organizacjom, których pomoc i wiedza stanowiły bezcenny wkład w tę książkę. Chciałbym serdecznie podziękować zwłaszcza następującym osobom:

Wicehrabiemu Hampden za wyrażenie zgody na posłużenie się przeze mnie Glynde Place jako modelem dla Meston Hall (choć powinienem dodać, że Glynde Place jest w znacznie lepszym stanie niż Meston, i że dokonałem zmian zarówno, jeśli chodzi o dom, jak i o grunty). Powinienem także dodać, że rodzina Halkin-Sherfield jest całkowicie fikcyjna i między nią a rodziną wicehrabiego Hampden czy też poprzednimi mieszkańcami Glynde Place nie zachodzi żadne podobieństwo.

Brianowi Inglisowi. Roderickowi Mainowi ze Scarab Research za nieocenioną pomoc także w kwestii zbiegów okoliczności (i za zbiegi okoliczności!). Robertowi Knoxowi, zastępcy kustosa działu starożytności wschodnich Muzeum Brytyjskiego. Frances Wollen. Kanonikowi Dominikowi Walkerowi. Doktorowi Robertowi Morrisowi z Uniwersytetu w Edynburgu. Pannie Eleanor O'Keefe z Society for Psychical Research. Jane Henry. Ruth West. Brianowi Dickinsonowi. Timowi Mairowi. Pippie Holley, konsultantce firmy Bovine. Radnej Pam Stiles. Kathryn Bailey. Sophie Allen, konsultantce firmy Game Boy. Doktorowi Nigelowi Kirkhamowi. Doktorowi Timowi Carterowi. Doktorowi Duncanowi Stewartowi. Doktorowi Brianowi Kirklandowi. Mickowi Harrisowi. Davidowi Garbutto-wi. Ninie Mackay (za błyskawiczne obliczenia na odwrocie kopert!). Rayowi Hazanowi i Peterowi Marshallowi z St.Dunstan's College. Adrianowi Elliotowi. Markowi Towse. Peterowi Orpenowi z AVT. Doktorowi Robertowi Wilkinsowi. Royowi Gambierowi z Shuttleworth Collection.

Jestem również wdzięczny Sue Allen za jej ciężką pracę, mojemu agentowi Jonowi Thurleyowi; wydawcom Joannie Goldsworthy i Richardowi Evansowi oraz redaktor Elizabeth Reeves. A także Bertiemu, za to, że nie zjadł całego rękopisu. I mojej żonie Georginie, dzięki której nie padłem pod ciosami losu...

Prolog

26 marca 1652

Mężczyzna i chłopiec szli londyńską ulicą, starając się nie zbliżyć do rynsztoka; mężczyzna się spieszył, mocno ścisnął dłoń chłopca kościstymi palcami i skręcał to w jeden, to w drugi ciemny zaułek niczym szczur, który nauczył się drogi w labiryncie.

Chłopiec był oszołomiony i zbity z tropu; nie wiedział, kim jest mężczyzna i wcale mu się on nie podobał. Jego matka rozmawiała z nim przyciszonym głosem i nie pocałowała chłopca ani nie patrzyła mu prosto w oczy, gdy mężczyzna go zabierał. Szli już bardzo długo w deszczu i gasnącym świetle. Chłopiec był zmęczony i głodny. I zaczynał się bać.

Po pewnym czasie zatrzymali się na tylnym dziedzińcu jakiegoś dużego domu i mężczyzna głośno zapukał. Drzwi uchyliły się na kilka cali i wyjrzało zza nich ciemne, podejrzliwe oko.

- Wejdźcie - powiedziała jakaś kobieta, otwierając drzwi szerzej, i mężczyzna wepchnął chłopca do kuchni.

Chłopiec przestraszył się kobiety. Była wysoka, ubrana w czarną suknię i miała wychudzoną twarz o oczach, które zdawały się go karcić.

- Ile ma lat?

- Osiem - odparł mężczyzna.

- Cuchnie.

- Wystarczy go umyć.

Kobieta uważnie przyjrzała się chłopcu. Miał jasne, potargane loki, duże niebieskie oczy, zadarty nos i wykrzywione w podkówkę usta; jego ubranie niewiele różniło się od łachmanów, a stopy były bose.

- Zaczekaj tutaj - powiedziała kobieta.

Chłopiec stał ze wzrokiem utkwionym w kamiennej podłodze, czując ciepło ognia i cierpki, nieprzyjemny zapach, który wydobywał się z perkoczącego na palenisku garnka.

Po kilku chwilach otworzyły się drzwi i do kuchni weszła kobieta, a za nią wysoki, utykający mężczyzna. Był ubrany w długą do kostek togę złotego koloru i miał okrutną, pełną pychy twarz obramowaną starannie przystrzyżoną brodą. Stał w progu i spojrzawszy na chłopca uśmiechnął się z aprobatą.

- Tak - powiedział do pierwszego mężczyzny. - Dobrze się spisałeś.

Szurając chromą nogą po posadzce zbliżył się do chłopca i znów zastygł w podziwie.

- Bardzo dobrze.

Jego strój i arystokratyczny wygląd zrobiły na chłopcu wrażenie. Mężczyzna podszedł jeszcze bliżej i gwałtownym ruchem zerwał z niego ubranie, pozwalając, by opadło na podłogę.

Chłopiec popatrzył na niego oszołomiony. Arystokrata postąpił jeszcze krok i położył mu rękę na ramieniu. Chłopiec przekręcił głowę, ugryzł go mocno w nadgarstek i rzucił się do drzwi na drugim końcu kuchni.

Mężczyzna, który go przyprowadził, złapał go za włosy i z całej siły przytrzymał. Arystokrata ryknął śmiechem.

- Jest ładny i pełen animuszu. Tym razem spisałeś się bardzo dobrze.
- Dziękuję, milordzie.
- Tak - ciągnął arystokrata, przyglądając się ciału chłopca z rosnącym zadowoleniem. - W nagrodę...

Urwał, zaniepokojony jakimś poruszeniem na zewnątrz. Zmarszczył brwi; przyszli za wcześnie. O wiele za wcześnie. Z całą pewnością mieli być dopiero za dwie godziny. Odwrócił się i spojrzał przez otwarte drzwi na korytarz.

Do kuchni wszedł dużymi krokami mężczyzna w czarnym kapeluszu, spiczastym białym kołnierzu i czarnym kaftanie, opadającym na obcisłe spodnie z lampasami. Za nim wpadła grupka żołnierzy w czerwonych kaftanach, szarych spodniach i szarfach Armii Parlamentu.

Spojrzenie jego szarych oczu obiegło kuchnię i spoczęło na arystokracie. Odezwał się z ponurym uśmiechem na twarzy.

- Dobry wieczór, Francisie - powiedział. - Przerwałem ci jakąś zabawę?
- Co ma oznaczać to wtargnięcie, Thomasie?

Arystokrata popatrzył z rozdrażnieniem na zbitych w gromadkę żołnierzy; na ich osłoniętych rondami skórzanych kapeluszy obliczach malowała się determinacja, która go niepokoiła.

Mężczyzna w czarnym kapeluszu spojrzał na kobietę i stojącego obok niej człowieka o szczurzej twarzy.

- Kto przyprowadził tego chłopca?

Kiedy żadne z nich nie odpowiedziało, jego głos przybrał twardy, surowy ton.

- Kto go przyprowadził?
- Ja - odparł człowiek o szczurzej twarzy.
- Ubierz go i odprowadź z powrotem - polecił mężczyzna, a potem zwrócił się do kobiety: - Ile służby jest teraz w domu?

Kobieta zerknęła na swego pana, jakby pytając o pozwolenie na odpowiedź.

Rozdrażnienie arystokraty osłabiło nieco pod wpływem niepewności.

- Thomasie, nie pozwolę się tak traktować. Zabierz swoich ludzi i w tej chwili opuście mój dom.

Mężczyzna w czarnym kapeluszu zignorował go i nadal patrzył na kobietę.

- Chcę, żeby cała służba natychmiast wyszła i nie wracała do godziny policyjnej. Zrozumiałaś?

Odwróciwszy się, skinął na żołnierzy. Postąpili do przodu i chwycili arystokratę pod rękę. Ten wpadł we wściekłość.

- Thomasie, bracie mój, człowieku! Na miłość boską! Co ty wyrabiasz?

- Na miłość *boską*? - powtórzył kpiąco jego brat. - A cóż ty wiesz o Bogu, ty, który od Niego odszedłeś dwadzieścia pięć lat temu?

Wyszedł z kuchni i poprowadził swój oddział do pięknej sali z wyłożoną czarnymi i białymi płytkami podłogą, ozdobnymi świecznikami na ścianach i połączanymi meblami. Żołnierze pod wodzą sierżanta wlekli arystokratę nie zważając, podobnie jak brat, na jego protesty.

Zeszli na dół do mrocznej, cuchnącej piwnicy i zatrzymali się pod drzwiami, obok których paliła się świeca. Thomas urągliwie zadzwonił bratu kluczem przed nosem, otworzył drzwi i weszli do ogromnej komory.

Na palenisku pod ceglany kominem w głębi pomieszczenia płonął wielki ogień, jego trzask i skwierczenie odbijały się echem od ceglanych ścian i kamiennej podłogi, rozbrzmiewając jak wystrzały z pistoletu. Do ścian przymocowane były kamienne tabliczki, na niektórych widniały pięcioramienne gwiazdy, na pozostałych kwadraty magiczne. Na półkach, pomiędzy zapalonymi czarnymi świecami, leżały czaszki i kości, zarówno zwierzęce, jak i ludzkie.

Na wysokim, przypominającym ołtarz podeście na drugim końcu komory stało łóżko, przykryte ozdobioną chwostami tkaniną. W rogach podestu paliły się wielkie czarne świece, a na pulpicie obok leżała oprawna w skórę księga.

Podczas gdy żołnierze z lękiem i odrazą rozglądali się wokół, mężczyzna w czarnym kapeluszu odwrócił się do brata.

- Ognie piekielne już płoną, milordzie?

- Dość tej zabawy, Thomasie. Czego chcesz?

- To nie zabawa, Francisie, zapewniam cię. Nic ponad to, co sam wymyśliłeś. Muszę już iść, bo czeka mnie jeszcze dzisiaj długa droga. Pożegnaj cię, jeśli pozwolisz. Sierżant Proudlove zajmie się tobą; to ze wszech miar zacny człowiek i ojciec trzech małych chłopców.

Skinął głową sierżantowi, który miał tępą twarz, szeroki, płaski nos i pozbawione wyrazu oczy, po czym wyszedł z komory i ignorując krzyki brata zamknął za sobą drzwi.

- Wasza lordowska mość lubi się zabawiać z małymi chłopcami?

- zapytał sierżant.

Kiedy arystokrata popatrzył na niego i na kamienne oblicza pozostałych sześciu żołnierzy, jego płomienny gniew zaczął ustępować miejsca lodowatemu strachowi.

- Wasze wtargnięcie jest rzeczą niedopuszczalną - powiedział oschłym tonem.

- Jeszcze tylko jedno małe wtargnięcie i pójdziemy sobie, milordzie.

Sierżant wyszczerzył zęby, a kilku żołnierzy zachichotało ochryple. Potem skinął głową i chwycili swą ofiarę mocniej.

- Natychmiast mnie puśćcie, słyszycie! Co to wszystko ma znaczyć?

Sierżant pokazał na łóżko. Żołnierze powlekli arystokratę i rzucili go na nie twarzą do dołu. Sierżant odpasął szarfę i obwiązał nią Francisowi usta, zaciskając ją tak silnie, że ten stęknął z bólu. Potem starannie podciągnął do góry złotą togę, odsłaniając nagie, kościste pośladki. Arystokrata zaczął się mocniej szarpać i głośniej stękać. Żołnierze wzięli się do dzieła tak, jakby już kiedyś coś podobnego robili. Czterech całym ciężarem ciała przygwoździło mu ręce i nogi, a dwóch pozostałych usiadło na plecach na wysokości pasa.

- Uważajcie, żeby go nie posiniaczyć - powiedział sierżant.

Podszedł powoli do ognia, przyklęknął i wziął pogrzebacz, a potem równie powoli wrócił do wezłowia łóżka i podniósł pogrzebacz tak, by Francis mógł go widzieć.

- Podobała wam się zabawa z tyłkami, zobaczymy, jak się wam spodoba to, milordzie.

Oczy arystokraty rozszerzyły się; zniknęło z nich okrucieństwo, zastąpił je błagalny wyraz. Począł rozpaczliwie i beładnie mamrotać przez knebel.

Sierżant wyjął spod kaftana smukły, wydrążony w środku woli róg i sprawdził, czy pogrzebacz swobodnie przezeń przechodzi. Następnie położył dłonie na śliskich od wywołanego strachem potu pośladkach jeńca i rozwarł je, szukając wzrokiem otworu odbytu. Zwilżywszy koniec wolego rogu własną śliną ponownie odszukał odbyt, powolnym, ale zdecydowanym ruchem włożył weń róg i zaczął wpychać go głębiej.

- Robię to delikatnie, milordzie - powiedział. - Nie chciałbym wam wyrządzić krzywdy.

Żołnierze parsknęli rubasznym śmiechem. Arystokrata szamotał się, jego pośladki gwałtownie drgały, ale sierżant cał po calu wpychał róg do środka, aż widoczny był tylko sam jego koniuszek

Spod knebla wyrwał się cichy jęk przerażenia. Po krzyżu ofiary spływały strumyczki potu. Sierżant Proudlove podszedł do ognia i wetknął pogrzebacz głęboko w rozpalone węgle. Arystokrata jęknął, usiłując coś powiedzieć, zawołać go, ale sierżant uporczywie milczał, obserwując pogrzebacz i pieczołowicie wciągając na dłoń grubą rękawicę.

Po kilku minutach wyjął pogrzebacz z paleniska; był rozżarzony do czerwoności na dwanaście cali. Podszedł do arystokraty i podniósł pogrzebacz na wysokość jego twarzy.

- Gotów, milordzie?

Oczy arystokraty rozbiegły się tak, jakby wyrwały się z oczodołów. Spod knebla wydobył się kolejny, tym razem dłuższy jęk przerażenia, potem jeszcze jeden. Francis spróbował się odezwać, zakrztusił się własną śliną, zakaszał i rozpaczliwie ponowił próbę. Wijąc się i miotając zrzucił jednego żołnierza na podłogę i uwolnił jedną rękę. Pierwszy żołnierz z powrotem wspiął mu się na plecy, przygniatając go bezlitośnie do łóżka, a drugi znów przygwoździł mu rękę. Sierżant ponownie wetknął pogrzebacz w węgle i przytrzymał go w nich kilka sekund urękawiczoną dłonią. Arystokrata jęknął jeszcze raz, i jeszcze raz.

Sierżant wyjął pogrzebacz z ognia, podszedł do łóżka, chwycił wydrażony róg, który tymczasem wysunął się na kilka cali, ostrożnie włożył rozgrzany do czerwoności pogrzebacz w jego koniec tak jakby wsuwał miecz do pochwy, a potem stanowczym, nieubłaganym ruchem wepchnął go głębiej.

Kiedy żar przepalał miękki miąższ odbytu, rozległ się ostry syk i odgłos musowania, a wokół rozszedł się słodki zapach przypiekanego ciała.

Paroksyzm bólu wstrząsnął każdym mięśniem arystokraty, jego krzyk wydarł się spod knebla i zaczął skakać po komorze jak uwolniony z więzów demon; odbijał się od sufitu, od ścian, od podłogi; niczym zawadzający upiór z każdą sekundą stawał się głośniejszy, podczas gdy sierżant bezlitośnie wpychał do środka trzymany w obydwu rękach pogrzebacz, kręcąc nim, wprowadzając go coraz głębiej, wtłaczając go w odbytnicę i okrężnicę, przebijając otrzewną, wytapiając i wypalając przejście przez wątrobę, woreczek żółciowy i trzustkę; przez mięśnie, ścięgna i chrząstki; przewiercając ścianę żołądka, mieszając wnętrzości i organy arystokraty jakby były gigantycznym puddingiem, dopóki pogrzebacz nie zagłębił się po rękajeść.

Arystokrata wygiął się w łuk, zrzucając z siebie wszystkich sześciu żołnierzy. Jego szyja skrzyła się niczym wąż, a głowa odwróciła niemal całkowicie do tyłu, jak gdyby kark był złamany. Popatrzył sierżantowi prosto w oczy i ten przez chwilę myślał, że ofiara zaraz wstanie z łóżka. Potem wykrzywił usta i wydał z siebie cichy, ledwie słyszalny jęk agonii; powoli jęk stawał się coraz głośniejszy, aż osiągnąwszy crescendo jak gdyby oderwał się od skreconej, niemal nie człowieczej postaci leżącej na łóżku i eksplodował niczym niezależny ładunek energii.

Żołnierze cofnęli się, zatykając sobie uszy, nie mogąc znieść tego dźwięku, bojąc się, że roztrzaska im czaszki. Nawet sierżant puścił pogrzebacz i zasłonił uszy.

Długo potem, gdy pogrzebacz już ostygł, a arystokrata leżał nieruchomo w swym własnym śluzie i wymiotach, z paznokciami wbitymi w dłonie, krzyk pozostał w komorze i odbijał się echem, jakby nigdy nie miał ucichnąć.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

26 marca 1988

Ojciec i syn szli londyńską ulicą w ciepłe wiosenne słońca późnego poranka. Ojciec był wysokim, dobiegającym czterdziestki mężczyzną, ubranym w rozpięty tweedowy płaszcz. Szedł spokojnym, niespiesznym krokiem i zdawał się przebywać myślami gdzie indziej, jakby dumał o dalekim wszechświecie, zamiast koncentrować się na najbliższym otoczeniu.

Miał silną, szczerą twarz o przystojnych rysach i miłym, choć odrobinę nieobecny wyrazie. Jego brązowe, uczesane z przedziałką włosy były dość długie: zakrywały mu koniuszki uszu i opadały na kołnierz. Postawę miał wyraźnie arystokratyczną, lecz mimo charakterystycznego dla City garnituru wyglądał raczej na naukowca niż na człowieka należącego do świata interesów.

Pięcioletni chłopiec był podobny do matki: krótkie rude loki, poważna, piegowata buzia, duże, niewinne zielone oczy. Miał na sobie obcisłą sztruksową marynarkę, szare flanelowe spodnie, szare podkolanówki i czarne, wyglansowane buciki. Chciałby, żeby ojciec szedł szybciej; ta część Londynu go nie interesowała - z wyjątkiem Dungeonu, Tower i kolejki w Docklands, ale te rzeczy już kiedyś widzieli. Myśl o pewnym sklepie na Regent Street napełniała go podnieceniem, nad którym ledwo mógł zapanować. Cieszył się również na perspektywę jazdy metrem, ale gdy wreszcie wyszli z nudnego biura, gdzie musiał czekać godzinę nie mając wiele do czytania, ojciec najwyraźniej wcale się nie spieszył i chłopiec momentalnie wpadł w panikę.

- Tatusiu, idziemy do Hamleya*, (***Słynny londyński sklep z zabawkami**) prawda? Obiecałeś.
- Do Hamleya?

Ojciec popatrzył na syna ze zdumieniem, jakby na chwilę zapomniał o jego istnieniu.

- Obiecałeś!
- Racja. Więc chyba lepiej tam pójdźmy.

Chłopiec spojrzał na ojca; nigdy nie wiedział, kiedy ten żartuje, a kiedy mówi poważnie.

- Czy dobrze idziemy?
- Musimy poczekać na mamusię.

Chłopcu wyciągnęła się buzia.

- A gdzie ona jest?
- U fryzjera. Ma przyjść do mojego biura o wpół do pierwszej. Czyli za dwadzieścia minut.
- To całe wieki! Dokąd idziemy teraz?
- Muszę odebrać z naprawy ślubną bransoletkę mamusi.

Buzia wyciągnęła się chłopcu jeszcze bardziej.

- Powiedziałeś, że idziemy do Hamleya.
- Zjemy z mamusią lunch, a potem pójdziemy do Hamleya.
- Chcę iść teraz! Obiecałeś! - zaszlochał chłopiec.

Tarasowali chodnik, potracali ich przechodnie. Nieopodal odchodziła boczna uliczka z widoczną w niewielkiej odległości po prawej stronie kafeterią. Ojciec pociągnął swego krnąbrnego syna obok biura zatrudnienia, agencji turystycznej, usług szewskich oraz kilku sklepów i zatrzymał się przed obskurnym, niezbyt pociągającym sandwich-barem mającym szyld wykonany dwunastocalo-wymi odblaskowymi literami, z których dwóch brakowało: „KAN P I LUIGI CAFE”. Do wewnętrznej strony szyby przymocowany był gumowymi przyssawkami biały, plastikowy jadłospis. „NA MIEJSCU LUB NA WYNOS” - brzmiał napis u dołu.

- Patrz, mają koktajle mleczne - powiedział ojciec. - Napijmy się.

Przy ladzie stała niewielka kolejka i tylko jeden z maleńkich stolików był wolny. Wnętrze wypełniał mocny zapach kawy i smażeniny; zdychająca mucha tłuła się z bzykiem w sieci ultrafioletowej pułapki. Na tylnej ścianie wisiały dwa wyblakłe ze starości plakaty, jeden z Amalii, drugi z Neapolem.

Ojciec popchnął swego podopiecznego w stronę wolnego stolika i posadził go na krześle. Chłopiec położył piąstki na blacie.

- Obiecałeś! Obiecałeś! Obieca...

Nagle urwał i w jego utkwionych gdzieś za ladą oczach pojawił się dziwny wyraz będący mieszaniną strachu i poznania.

Ojciec, zdumiony, odwrócił głowę, ale nie udało mu się zorientować, na co chłopiec patrzy. Stojący za ladą chudy, nie ogolony mężczyzna po pięćdziesiątce witał klienta wesołym „Jak się mamy? Co sobie dziś życzymy?” Obok niska, pulchna kobieta o matowych czarnych włosach i wymizierowanej, zmęczonej twarzy smarowała chleb masłem. Rozległ się ostry dzwonek i dziewczyna w białym fartuchu wyjęła jakieś danie z kuchenki mikrofalowej.

- Koktajl czekoladowy? - zaproponował ojciec, wyciągając chusteczkę do nosa i ocierając łzy z buzi syna. Podszedł do lady i kupił koktajl oraz kawę.

Chłopiec zajął się piciem, jego napad złego humoru minął. Niebawem wygrzebywał łyżeczką osad z dna szklanki, a potem pochłonęło go wysysanie resztek piany przez słomkę.

Kiedy opuściwszy kafeterię wracali zaułkiem do głównej ulicy, zapytał:

- Teraz spotkamy się z mamusią?
- Tak, pójdziemy na lunch, potem do Hamleya, a potem do Planetarium. Chyba chcesz zobaczyć gwiazdy?

Chłopiec niepewnie skinął głową.

Z daleka dobiegło ich wycie syreny, brzmiące tak, jakby ktoś zakręcił w powietrzu workiem z kamieniami.

- Tatusiu, dlaczego mamusia chodzi do fryzjera za każdym razem, kiedy przyjeżdżamy do Londynu?
- Bo lubi ładnie wyglądać - usłyszał w odpowiedzi.

Przez chwilę szli w milczeniu. Wystawy sklepów, które mijali, nie zawierały niczego, co mogłoby rozerwać chłopca. Artykuły papiernicze. Odzież męska. Insygnia masońskie. Bank. Złotnik.

Wycie syreny zbliżało się i chłopiec usłyszał ryk silnika. Przystanęli, czekając na zmianę świateł. Przepedałował obok nich rowerzysta w kasku ochronnym i masce przeciwspalinowej, która zdaniem chłopca nadawała mu przerażający wygląd. Nagle zobaczył po drugiej stronie ulicy kobietę z krótkimi rudymi włosami i myśląc, że to jego matka, podniecony szarpnął ojca za rękę, żeby pociągnąć go przez jezdnię na jej powitanie. Po chwili jednak zdał sobie sprawę, że to jakaś obca kobieta. Matka miała długie włosy.

Syrena wciąż się zbliżała. Chłopiec spojrział na ojca i pociągnął go za rękaw.

- Tatusiu, myślisz, że ja też powinienem chodzić do fryzjera w Londynie?

Ojciec czule zmierzwił loki syna.

- Chciałbyś następnym razem pójść ze mną do Trumpera?

Chłopiec skinął głową, zczekał, aż ojciec odwróci wzrok, wysunął rączkę z jego dłoni i przygładził sobie włosy. Potem popatrzył przez ulicę na kobietę z rudymi włosami. Teraz znów wyglądała jak jego matka. To jest jego matka! To ona. Serce podskoczyło mu w piersi, ale nagle wiatr rozwiał jej włosy i to nie była ona; był to ktoś zupełnie do niej niepodobny.

Światło zmieniło się na zielone i chłopiec wybiegł na jezdnię. Coś chwyciło go za kołnierz i bardzo mocno szarpnęło do tyłu. Rozległ się ryk silnika, nagle pojawił się jakiś cień, syrena wyła ogłuszająco. Rudowłosa kobieta była już w połowie jezdni. Matka? Nie matka? Patrzyła na niego z otwartymi ustami. Usiłowała się cofnąć.

Zapisały opony. Cień przesunął się, zasłaniając chłopcu na chwilę widok. Furgonetka z dwoma młodymi mężczyznami gwałtownie hamowała, zarzuciło ją w poprzek jezdni. Prosto na kobietę.

- Mamusiu! - krzyknął chłopiec.

Kobieta leżała rozkrzyżowana na masce furgonetki, która całym rozpędem wjeżdżała na chodnik. Jakiś mężczyzna w urzędniczym garniturze uskoczył jej z drogi. Słup ze światłami trzasnął i po jezdni rozprysnęły się kolorowe szkiełka. Potem rozległ się huk jak przy wybuchu bomby: furgonetka, nadal z kobietą na masce, przebiła szklaną witrynę księgami.

Kobieta jakby się wyciągnęła, a potem znikła. Na chwilę wszystko wokół znieruchomiało niczym na fotografii. W ciszy słychać było tylko brzęk tłuczonego szkła. Chłopiec zobaczył, jak spada kawał

szyby. Usłyszał krzyk, po nim następny. Trzaskają drzwiczki. Syrena milknie. Z samochodu wyskakują policjanci. Otwierają się drzwi furgonetki: jedno łatwo, drugie z trudnością, pasażer popycha je od wewnątrz. Silnik furgonetki nadal pracuje.

- Mamusiu!

Chłopiec wyrwał się z uścisku ojca i przerażony przebiegł na drugą stronę ulicy. Przecisnął się przez gęstniejący tłum, uskoczył przed otwierającymi się drzwiami furgonetki. Posypała się następna tafla szyby. Krew. Wszędzie rozsypane książki. Na ziemi poniewierał się zalany krwią plakat. Stojąca w sklepie ekspedientka krzyczała, zasłaniając usta dłonią. Chłopiec podążył za jej wzrokiem. Otworzył buzię, ale nie wydał żadnego dźwięku. Na podłodze leżało ciało kobiety, z jej szyi nieprzerwanym strumieniem tryskała krew. Szary dywan zbryzgany był czerwonymi banieczkami. Jakaś gumowa maska z przyprawionymi włosami leżała obok zalewając krwią stertę zwalonych paperbacków.

Nagle uświadomił sobie, że to nie jest gumowa maska. Była to głowa jego matki.

ROZDZIAŁ DRUGI

Sierpień 1991

Lato nastąpiło w Londynie zaledwie przed tygodniem, po dwóch miesiącach niemal bezustannego deszczu, a trawa w parkach już była uschnięta. Siedem dni upału do ostatniej kropli wyciągnęło wilgoć z gleby - z chodników, z cementu na wiecznych budowach -i lotny, pozbawiony ciężaru kurz wisiał stale w powietrzu jak mgła. Frannie Monsanto wdychała go, wymywała go co wieczór z włosów. Teraz też go czuła, przywierał jak kwiatowy pyłek do jej lepkiej od potu skóry.

Zazwyczaj śródziemnomorskie geny Frannie reagowały na słońce głębokim zadowoleniem. Ale dziś w pracy błogosławiła chłód podziemi Muzeum, a teraz cieszyła się, że za chwilę wsiądzie w pociąg i ucieknie z klaustrofobicznego pieca miasta na yorkshirską wieś.

Jak zwykle podczas godzin szczytu w metrze był tłok i Frannie czuła się trochę śmiesznie stojąc z kontrabasem w objęciach i walizką z rzeczami na weekend, zaklinowaną między nogami. Wpadające przez otwarte okna powietrze smagało ją po twarzy- gorące, nieświeże podmuchy, które pachniały sadzą i czymś nieprzyjemnym, przywodzącym na myśl nie umyte nogi - podczas gdy wagon kołysał się i piszczął, jadąc przez długi odcinek ciemności.

Frannie miała dwadzieścia pięć lat, pociągającą południową urodę i szczupłą figurę, którą zachowywała dzięki ćwiczeniu aerobiku dwa razy w tygodniu i przepływaniu w każdy niedzielny rano pięćdziesięciu długości basenu na lokalnej pływalni. Jak u wielu południowców, w jej rodzinie występowała tendencja do otyłości w średnim wieku, i Frannie postanowiła sobie, że jej się to nie przytrafi, podobnie jak postanawiała sobie w życiu mnóstwo innych rzeczy.

Przez jej barierę rezerwy przebijała czasem kapryśność i, znacznie rzadziej, ognisty temperament; na ogół jednak Frannie przejawiała wewnętrzny spokój i oddanie swej pracy. Nie uważała się za erudytkę czy intelektualistkę i musiała nadrabiać zwyczajnym kuciem. Właśnie w taki sposób dostała się na uniwersytet i w taki sposób uzyskała stopień naukowy w dziedzinie archeologii i antropologii. Zadowoliliby się w zupełności dyplomem trzeciej klasy i była zaskoczona zdobyciem klasy drugiej. Ledwie mogła uwierzyć w swoje szczęście, kiedy kilka tygodni po ukończeniu studiów zaproponowano jej stanowisko asystentki w Muzeum Brytyjskim, gdzie od tamtej pory pracowała.

Miała jedwabiste, kasztanowate, opadające na ramiona włosy, które spinała z obu stron spinkami, prosty nos, inteligentne oliwkowe oczy i wymowne, zmysłowe, skore do śmiechu usta, chociaż w głębi duszy była dziewczyną poważną. Przy pięciu stopach i czterech calach wzrostu żałowała, że nie jest trochę wyższa, ale ogólnie rzecz biorąc była zadowolona ze swego wyglądu.

Ubrana była w sportowe buty Nike, dzinsy, pomarańczową koszulkę i czarny bawełniany żakiet. Przez ramię przewiesiła dużą torbę z surowej skóry, kupioną przed czterema laty w Neapolu podczas odwiedzin u rodziny i wyrobioną już przyjemnie od codziennego używania. Niezbyt interesowała się modą i nienawidziła chodzenia po sklepach. Zresztą archeologia nie była zawodem popłatnym, a Frannie oszczędzała, jak tylko mogła, żeby kupić sobie małe mieszkanie i wynieść się z nory, którą wynajmowała. Dzinsy nadawały się do pracy i prawie z nich nie wychodziła, chyba że szła na elegancką randkę.

Nie miała takiej randki od dawna. Minęło ponad sześć miesięcy, odkąd rozstała się ze swoim ostatnim chłopakiem i, ku swemu zaskoczeniu, naprawdę cieszyła się wolnością. Dużo czytała, nadrabiała zaległości w chodzeniu do kina, zwiedzała wystawy.

Wiedziała, że nie potrwa to długo. Mężczyźni bardzo ją pociągali i ogromnie lubiła seks.

„Marzysz o czymś nieokreślonym?”, pytała umieszczona przed nią reklama.

Naprzeciwko Frannie stał chudy chłopak z wystającymi zębami. Popatrzył na jej twarz, potem na kontrabas, i znów na nią. Pochwyciła jego wzrok i odwzajemniła spojrzenie. Pospiesznie odwrócił oczy. Pociąg się zakołysał, straciła równowagę i wpadła na potężnego mężczyznę w podkoszulku, z wytatuowanymi ramionami. Kontrabas zakolebał się niebezpiecznie. Zaczynała żałować, że tak ochoczo zgodziła się go przewieźć.

Należał do Meredith Minns, jej koleżanki z wydziału archeologii Uniwersytetu Londyńskiego, z którą przez ostatni rok studiów dzieliła pokój. Przez cały ten rok Meredith wahała się między archeologią i muzyką, po czym zakochała się w farmerze, wyszła za mąż, zamieszkała w North Yorkshire, urodziła dwoje dzieci - Frannie została matką chrzestną jednego z nich - i wydawała się być zadowolona ze swojego życia.

Zapraszając Frannie do siebie poprosiła, żeby odebrała instrument z naprawy od lutnika na Covent Garden. Kazała jej wziąć taksówkę i powiedziała, że za nią zapłaci, ale Frannie nie lubiła trwonić pieniędzy, ani swoich, ani cudzych. Odebrawszy kontrabas stwierdziła, że chociaż nieporęczny, nie jest ciężki i da radę przewieźć go metrem. Teraz zaczynała sobie uświadamiać, że wykazała zbytni optymizm.

Pociąg zwalniał. Ścisnęła mocniej uchwyt, przechylając się w stronę zębatego chłopaka. Za oknem przesunęły się jasne światła stacji. Zobaczyła napis „KING’S CROSS” i pociąg stanął. Wytaszczywszy walizkę i kontrabas z wagonu, poszła peronem do schodów ruchomych.

W hali dworcowej stały długie kolejki do kas biletowych i wejść na perony. Podróżni się spieszyli, niektórzy próbowali, bez większego powodzenia, biec przez tłum.

Ludzie przeciskali się między cudzymi walizkami; jakaś bezzębna staruszka zatrzymała swój wózek bagażowy i mlaskając niecierpliwie wargami czekała, by Frannie zeszła jej z drogi. Ta nie zwróciła na nią jednak uwagi; stała, usiłując się rozeznac w tablicy odjazdów. „YORK”, zobaczyła. „17.34. Peron 3”. Rozejrzała się za wózkiem, ale żadnego nie zauważyła, więc przedźwigała kontrabas i walizkę do kolejki pod kasą. Rozległa się jakaś zapowiedź. Krople potu spływały Frannie po szyi. Kupiła bilet i stanęła w kolejce do wejścia na peron. Właśnie wjeżdżał pociąg i głośniki oznajmiły: „PRZYJECHAŁ POCIĄG Z YORKU Z GODZINY 14.52. KOLEJE BRYTYJSKIE PRZEPRASZAJĄ PODRÓŻNYCH ZA OPÓŹNIENIE”.

Drzwi wagonów pootwierały się jedne po drugich, zanim jeszcze pociąg na dobre się zatrzymał, i w ciągu paru sekund pusty peron zalała fala ludzi. Frannie usłyszała krzyk. Jakiś mały chłopiec przebiegł obok kontrolera biletów i wpadł w bezładny tłum, a mężczyzna o stroskanym wyglądzie rzucił się za nim. Frannie wzięła bilet w zęby, podniosła walizkę, przesunęła kontrabas do przodu i przystanęła. Powtarzała tę procedurę, dopóki nie dotarła do bramki, przy której podała bilet kontrolerowi.

Pochłonięty rozmową z kolegą, przeciął go bez patrzenia i oddał Frannie. Zaczęła się przepychać peronem. Kontrabas z każdą chwilą stawał się cięższy i po kilku jardach zatrzymała się, aby odpocząć. Skądś z przodu dobiegł ją krzyk dziecka.

- Nie! Nie chcę! Nie chcę!

Krzyk wzniósł się ponad stukot kroków i kilka osób rozejrzało się dookoła.

- Nienawidzę cię!

Tłum rzedniał i po chwili Frannie dostrzegła mniej więcej ośmioletniego chłopca - tego samego, który parę minut wcześniej przebiegł przez bramkę - wyrywającego się z uścisku mężczyzny, który wtedy go gonił, a teraz ciągnął w stronę wyjścia z peronu.

- Puść mnie! Puść mnie!

Gdy znaleźli się na wysokości Frannie, chłopiec nagle przestał krzyczeć i utkwiał w niej wzrok. Frannie ogarnęło dziwne wrażenie, że już go gdzieś widziała. Również mężczyzna wyglądał znajomo. Po trzydziestce, oceniła. Wysoki, przystojna, wyrazista twarz; brązowe włosy z przedziałkiem; przypominał jej trochę aktora filmowego Harrisona Forda i przez krótką chwilę zastanawiała się, skąd go zna; może był aktorem, a może politykiem.

Wyczuwszy zainteresowanie i zmianę nastroju chłopca mężczyzna przystanął i uśmiechnął się do Frannie przepraszająco; robił wrażenie trochę zakłopotanego zachowaniem dziecka. Chłopiec patrzył z ciekawością na kontrabas.

- Może... hmm... pani pomóc? - zapytał mężczyzna spokojnym, stanowczym tonem, w którym dźwięczały zarówno iskierki humoru, jak i niezachwiana pewność siebie angielskich wyższych klas. Był ubrany w staroświecki, ale bardzo stylowy płócienny garnitur, spłowiełą dżinsową koszulę oraz różowo-zielony krawat. Miał w sobie coś ujmującego, co sprawiło, że natychmiast się Frannie spodobał.

- Nie trzeba - odparła. - Dziękuję. Dam sobie...

- To żaden kłopot. Który wagon? Ma pani miejscówkę?

- Którykolwiek. Nie mam miejscówki.

- Dokąd pani jedzie?

- Do Yorku.

- W takim razie... hmm... posadzimy panią z przodu. Będzie pani miała bliżej do wyjścia.

Mężczyzna wziął kontrabas i walizkę.

- Naprawdę, to...

- Co jest w środku? - zapytał chłopiec, dotykając futerału.

Wyglądał poważnie, miał szczerą, piegowatą buzię i rude kręcone włosy.

- Kontrabas - odrzekła, ruszając za mężczyzną.

Chłopiec szedł obok niej.

- Dlaczego jest w pudełku?

- Bo tak łatwiej go nieść.

Uśmiechnęła się, czując do niego dziwną sympatię.

- Właśnie byliśmy w muzeum lotnictwa i w zoo - powiedział chłopiec.

- Naprawdę? - spytała Frannie przez grzeczność.

- W Whipsnade Zoo w Bedfordshire. Jeździłem na słoniu i na wielbłądzie. Wielbłąd usiadł, żebym mógł na niego wsiąść. Zawsze tak robią. Wiedziałaś o tym?

- Nie zdawałam sobie sprawy, że są takie uprzejme. Który ci się bardziej podobał - wielbłąd czy słoń?

Chłopiec zastanawiał się przez chwilę.

- Chyba wielbłąd. Bo jak się go ma, nie trzeba pamiętać, żeby mu codziennie dawać wodę. Ale może człowieka zabić.

- Naprawdę? - zapytała, rozbawiona jego sposobem rozumowania.

- O tak - odparł z powagą.

- Może tutaj? - zaproponował mężczyzna.

- Doskonale. To bardzo miło... Proszę to tutaj zostawić.

Mężczyzna wniósł kontrabas do wagonu i wcisnął go do schowka na bagaż w głębi przedziału. Frannie chwyciła walizkę, ale odebrał ją jej stanowczo, również wniósł do środka i postawił obok kontrabasu.

- Piękne miasto, York - stwierdził.

- Eboracum - odrzekła Frannie i natychmiast zaczęła się zastanawiać, dlaczego to powiedziała.

Popatrzył na nią uważnie, jakby przyglądał się eksponatowi w muzealnej gablotce. Miał błyszczące, chabrowe oczy osadzone pod gęstymi, szeroko rozstawionymi brwiami.

- Aha - powiedział, uśmiechając się ciepło. - Uczona łacinni-czka.

Frannie odwzajemniła uśmiech.

- Nie, niestety nie jestem uczoną.

- Biorę lekcje gry na pianinie - odezwał się chłopiec.

- Naprawdę?

- Tak. Ale moja nauczycielka nie jest zbyt miła. Kiedy będę starszy, chciałbym się nauczyć grać na gitarze.

Frannie pochwyciła wzrok jego ojca. Pochwyciła błysk zainteresowania, który w tym wzroku zamigotał. Mężczyzna zawahał się, jakby miał coś powiedzieć, a potem zarumienił się i zerknął na chłopca.

- Cóż... hmm...

Poklepał się po kieszeniach. Marynarkę miał wymiętą, a jego brązowe skórzane półbuty, choć wyglansowane do połysku, były stare i znoszone. Z nich dwóch chłopiec prezentował się zdecydowanie schludniej: w białej koszuli z kołnierzykiem z guziczkami na rogach, szarych krótkich spodenkach z mankietami, białych skarpetkach i sznurowanych bucikach na gumowej podszewie.

- Proszę na siebie uważać w podróży.

Mężczyzna uśmiechnął się do Frannie, znów się wahając, jakby zbierał odwagę, żeby powiedzieć coś jeszcze.

- Dziękuję - odparła Frannie. - Bardzo panu dziękuję.

Chciałaby podtrzymać jakoś tę rozmowę, ale widziała już, jak mężczyzna idzie z chłopcem do wyjścia.

Weszła do przedziału, który zaczynał się zapełniać, i wywalczyła miejsce przy oknie. Obraz twarzy nieznanego mężczyzny pozostał w jej myślach. Płonęła podnieceniem. Ten błysk poznania w jego oczach; błysk fascynacji. Nagle zapragnęła wstać i pobiec za nimi peronem, cofnąć rozstanie, do którego przed chwilą doszło.

Ale równie dobrze mogło jej się tylko wydawać, że wzbudziła jego zainteresowanie. Przynajmniej nie zrobiła z siebie idiotki. Uśmiechnęła się, nieoczekiwanie zadowolona. Zadowolona z faktu, że po tylu miesiącach znów spodobał jej się jakiś mężczyzna. Oparła się o fotel, otworzyła torbę i wyciągnęła z niej dwa pisma, „Antiquity” i „Antiquaries Journal”. Wyjęła też książkę, którą właśnie czytała, „Take No Farewell” Roberta Goddarda, i pomyślała, że tytuł dziwnie pasuje do sytuacji.

Kiedy pociąg szarpnął raz i drugi, a potem zaczął się bezgłośnie toczyć po szynach, otworzyła jedno z pism na ostatniej stronie, od której zawsze rozpoczynała lekturę. Ale minęła godzina, zanim udało jej się odzyskać równowagę i skupić na czytaniu.

ROZDZIAŁ TRZECI

Na jezdni był korek. Silniki terkotały i warczały, trąbiły klaksony. Powietrze nad maskami samochodów falowało od gorąca, złote kolce ogrodzenia po drugiej stronie ulicy załamywały się i migotały jak odbite w zmaconej wodzie. Za nimi wznosił się dostojny gmach Muzeum Brytyjskiego, zamknięty w kwadracie ulic dzielnicy Bloomsbury niczym wyspa zakotwiczona w Czasie.

W znajdujących się za monumentalnym portalem salach i korytarzach porozkładano starannie opatrzone etykietkami fragmenty przeszłości, dziesiątkom tysięcy lat chaosu nadano pozory ładu: *Starożytny Iran; Sztuka koptyjska; Italia przed powstaniem Cesarstwa Rzymskiego*. Przez wypolerowane szyby gablot zwiedzający oglądać mogli zakonserwowane w torfowisku zwłoki mężczyzny, wysadzone drogimi kamieniami korony, zdobiące niegdyś cesarskie głowy, gliniane tabliczki i rzeźbione posągi bóstw, wazy z epoki Ming i skorupy neolitycznych mis, a także karty rękopisów, które pozostawiono otwarte, jakby czekały, aż ich dawno zmarli autorzy powrócą, by dokonać ostatecznych poprawek.

Mało kto opuszczał ten budynek obojętnie, nie poruszony jakimś wspomnieniem lub myślą, nie uświadomiwszy sobie jednoczesnej małości i wielkości człowieka, nie poczuwszy respektu dla miejsca, które nie było na ludzką miarę.

Za cichym porządkiem sal wystawowych krył się labirynt korytarzy, pokojów o ścianach zastawionych regałami pełnymi książek, i podziemi, w których pracowała spora część liczącego tysięcy osób personelu i gdzie podczas wojny przechowywano wiele bezcennych eksponatów. Pokój Frannie był ciasny i, jako jeden z nielicznych, pozbawiony okna, ale to jej nie przeszkadzało. Kochała Muzeum i nadal, mimo upływu prawie trzech lat, w niektóre ranki elektryzowało ją samo przejście pod jego majestatycznym frontonem i nie mogła uwierzyć, że naprawdę tu pracuje. A gdy czasem przygnębiała ją monotonia codziennych zajęć, mówiła sobie, że dopiero rozpoczyna karierę i bardziej pasjonujące zadania są jeszcze przed nią.

Od dwunastu miesięcy zajmowała się badaniem i katalogowaniem niezliczonych skarbów podziemi, nie udostępnionych zwiedzającym z powodu braku miejsca. Była to nudna i żmudna praca, ale wykonując ją Frannie cały czas uczyła się czegoś nowego, pogłębiała znajomość zarówno własnej dziedziny, starożytności wschodnich, jak i dziedzin pokrewnych. Po Bożym Narodzeniu miała po raz pierwszy w życiu pojechać w Himalaje, na sześciotygodniowe wykopaliska. Cieszyła się na ten wyjazd, a jej energiczny szef, Declan O'Hare, kierownik sekcji, napomykał już o następnym, jeszcze bardziej podniecającym projekcie.

Prawdę powiedziawszy, nadzieję i podniecenie, jakie czuła opuszczając uniwersytet, przytłumił nieco drażniący ogrom rzeczywistości. Świadomość, że jeden człowiek z łopatką jest w stanie przekopać najwyżej kilka stóp kwadratowych dziennie. Może kilkanaście jardów w ciągu dwóch tygodni. Że można przez całe życie prowadzić wykopaliska na tym samym, niewielkim terenie, a mimo to zbadać tylko maleńką jego część i znaleźć tylko nie pasujące do siebie fragmenty. Nadal zakopane było znacznie więcej niż zostało odkryte. Ziemia niechętnie wydawała swe tajemnice. Czasami miało się wrażenie, że działa tu jakaś siła wyższa, która bawi się archeologami, pozwala im budować teorie po to tylko, by je zaraz zburzyć. Jakby reguły tej zabawy zabraniały złożenia fragmentów w całość.

Frannie podniecało w archeologii przede wszystkim to, że mogła oglądać zabytkowe przedmioty, dotykać ich i próbować w wyobraźni przywrócić przeszłość do życia. Podświadomie robiła tak, odkąd, jeszcze w szkole, po raz pierwszy przeczytała książkę o historii Rzymu. Świat Cezara ożył na jej kartach i na kartach setek innych książek historycznych, jakie pochłonięła od tamtej pory. Ożywał również poprzez maleńkie fragmenty - trzonki łyżek, zapinki, paciorki, brzegi garnków, kamyczki mozaik - które znajdowała na wykopaliskach.

W pogodne dni Frannie wychodziła podczas przerwy na lunch na dwór i zwykle zjadała kanapkę na ławce na pobliskim skwerze. Czasami komuś z jej przyjaciół pracujących na West Endzie udawało się

podjechać i dołączyć do niej lub też towarzyszył jej ktoś z grupy młodszych pracowników Muzeum, ale dzisiejszy dzień był wyjątkowy. Kiedy precyzyjnie się przez tłum zwiedzających opuściła ogromny frontowy hall i przez bramę w czarno-złotym ogrodzeniu wyszła na zakorkowaną i zakopconą Great Russell Street, ogarnął ją lęk.

Całe życie bała się dentysty. Idąc Charing Cross Road miała wrażenie, że jej żołądek jest pustą w środku metalową kulą. Skręciła w wąski zaułek i zatrzymała się pod małą, plastikową, proszącą się o odkurzenie tabliczką z napisem „GABINET DENTYSTYCZNY”. Wszedłszy do środka i na górę, zgłosiła się do jasnowłosej rejestratorce.

- Francesca Monsanto. Jestem zapisana do doktora Gebbiego -powiedziała.

Dziewczyna zaznaczyła jej nazwisko na liście.

- Proszę bardzo. Pierwsze drzwi na prawo.

Frannie weszła do maleńkiej poczekalni, w której stało kilka plastikowych krzeseł. Jakaś kobieta o niechlujnym wyglądzie, z torbą wysypujących się na podłogę zakupów, popatrzyła na nią tak, jakby miała nadzieję, że będzie chciała wejść do gabinetu pierwsza.

Frannie usiadła i pragnąc oderwać się myślami od tego, co ją czeka, wyjęła z torebki kalendarzyk. Zignorowawszy rozrzucone na małym, niskim stoliku broszurki medyczne, otworzyła go w miejscu zaznaczonym zakładką i sprawdziła weekend oraz następny tydzień. W sobotę wieczorem przyjęcie u Clive'a Bracewella. W jego maleńkim mieszkaniu na tyłach Portobello Road będzie straszliwy ścisk, ale Clive znał dużo ludzi i zawsze była szansa, że znajdzie się tam jakiś przyzwoity wolny mężczyzna.

Clive był tak jak i ona asystentem naukowym w Muzeum. Stwierdziła, że życie w Muzeum nie różni się aż tak bardzo od życia studenckiego. Podobne imprezy towarzyskie, podobne układy. Ta sama pracowita atmosfera. Tyle że tutaj praca była poważniejsza, dawała poczucie celu i wspólnoty dążeń. Frannie miała w Muzeum spory krąg znajomych, ale starała się w nim nie zamykać i szczególnie ceniła sobie kontakty z ludźmi całkowicie spoza środowiska, stwarzające możliwość takiej ucieczki od codzienności jak ostatni weekend w Yorku u Meredith Minns.

Wesoły głos przerwał jej rozmyślenia.

- Pani Lowe?

Torba z zakupami zaszeleściła i jej właścicielka weszła ciężkim krokiem do gabinetu. Frannie schowała kalendarzyk do torebki i zauważyła, że oprócz broszurek na stoliku leżą jakieś pisma. Pod egzemplarzem „Private Eye” dostrzegła „New Woman” i wyciągnęła ją, zrzucając przy tym „Private Eye” na podłogę. Wylądowało grzbietem do góry, z rozpostartą okładką. Schyliła się i podniosła je. Było otwarte na drobnych ogłoszeniach. Jedna z kolumn nosiła tytuł „Towarzyskie”. Z ciekawości rzuciła na nią okiem.

„ŁYSIEJĄCY PIĘĆDZIESIĘCIOLATEK, niegruby, jeśli wciągnie brzuch, z domem w Londynie i niedostatecznymi dochodami, w separacji, nałogowy palacz nie interesujący się astrologią, oczekuje propozycji.”

„ZGRABNY TYŁEK, myje się dość regularnie, inteligentny, dwudziestoosmioletni, idealny partner dla pięknej, młodej i pracującej zawodowo mieszkanki Londynu. Ostatni egzemplarz w tym gatunku, do kupienia za jedyne 24 pensy...”

„PANI SZUKA ekscentrycznego pana w celu obopólnej przyjemności. Midlands. Oferty...”

Frannie była ciekawa, jakiego rodzaju ludzie zamieścili te ogłoszenia. Czy byli do niej podobni? Czy zrobili to z desperacji? A może wszystko było jakimś szyfrem? Przeniosła wzrok na kolumnę „Potrzebuję”.

„ZROZPACZONY, ALE UCZCIWY student pilnie potrzebuje funduszy na kontynuowanie nauki. Dzięki. Oferty...”

Nagle jej uwagę przyciągnął nagłówek w innej kolumnie: „DZIEWCZYNO Z KONTRABASEM! Czy jesteś dziewczyną, która przepychała się peronem dworca King’s Cross niosąc kontrabas w piątek, 10 sierpnia, i wsiadła do pociągu do Eboracum? Jestem mężczyzną, który ci pomógł. Chciałbym się z tobą zobaczyć.” Frannie spojrzała na ogłoszenie z niedowierzaniem, myśląc przez chwilę, że jej się przywidziało. *Eboracum*. Rzymska nazwa Yorku. Wymieniła ją w rozmowie z tym mężczyzną, a on zrozumiał, o co chodzi.

Przeczytała ogłoszenie ponownie, ogarnięta dziwnym niepokojem, pod którym czuła jednak delikatne pulsowanie podniecenia. Mogły się przepychać tym peronem inne dziewczyny z innymi kontrabasami. Ale żadna nie mogła jechać do *Eboracum*.

- Chryste! - wybuchnęła i natychmiast zrobiło jej się trochę głupio. W jej umyśle zabłysło ostrzegawcze światełko. Zaczęła się zastanawiać, czy nie jest celem jakiegoś wymyślnego żartu. Przygryzła wargę, popatrzyła na sufit i rozejrzała się dookoła.

Potem przeczytała ogłoszenie jeszcze raz. To musi chodzić o nią! Musi. Szeroki uśmiech rozjaśnił jej twarz, jakby zażartowała sobie razem z nieznanym mężczyzną. Spośród dziesiątek tysięcy czytających je osób to ogłoszenie skierowane było do niej. Do niej jednej. I zobaczyła je.

Spróbowała przypomnieć sobie twarz tego mężczyzny, ale obraz był zamglony. Przenikliwe spojrzenie niebieskich oczu, podobieństwo do Harrisona Forda. Ciepło jego uśmiechu, jego głosu. Dziwny sposób, w jaki popatrzył na nią chłopiec. Rude loki, piegi, poważna buzia ze śladami łez.

Pamiętała nutę humoru w głosie mężczyzny, gdy się do niej odezwał. Znów poczuła podniecenie, tym razem silniejsze. Szaleństwo. Pamiętała ten nagły dreszcz fascynacji, czuła go teraz. Czasem się to zdarza; spotykają się dwie całkiem obce osoby i od pierwszej chwili przypadają sobie do gustu, jakby były pokrewnymi duszami.

Wygrzebała z torebki długopis, ponownie wyjęła kalendarzyk i zanotowała numer ogłoszenia oraz adres pisma.

Ale gdy tylko zamknęła kalendarzyk, ogarnęły ją wątpliwości. Jakby coś było niezupełnie w porządku, coś, czego dotąd nie spostrzegła. Jakby był w tym wszystkim jakiś kruczek. Zignorowała swe obawy, znów przeczytała ogłoszenie i znów się uśmiechnęła. Kiedy dziesięć minut później wchodziła do gabinetu dentysty, wciąż jeszcze się uśmiechała.

Gdy wróciła do Muzeum z dwiema nowymi plombami, Penrose Spode siedział za biurkiem milczący i nieruchomy jak posąg Buddy, roztaczając wokół siebie tę samą aurę dobrotliwego panowania. Był jej kolegą z sekcji i mieli wspólny pokój.

Jak znaczna część pokoi w budynku miał on większą wysokość niż szerokość, a na wszystkich czterech ścianach piętrzyły się do sufitu regały, wypełnione książkami i katalogami. Stożące na obydwu zabytkowych drewnianych biurkach komputery i telefony cyfrowe raziły w tym otoczeniu jak rekwizyty teatralne umieszczone w niewłaściwej scenografii.

Biurka stały naprzeciw siebie: biurko Spode'a było nieskazitelne jak jego właściciel, staranne asymetryczne rozłożenie stert papierów kontrastowało z wyglądem biurka Frannie, przywodzącym na myśl krajobraz po wybuchu bomby atomowej. Spode siedział sztywno wyprostowany, z wciągniętą klatką piersiową, węzeł liszajowatego krawata sterczał mu równo z grdyką; miał czarne, przylizane jak focze futro włosy, małe oczy krótkowidza, ukryte za okularami wielkości gogli i o soczewkach grubości szkła powiększających, a jego zamknięte usta, nieduże i ściągnięte, były idealnie okrągłe niczym gumowy korek.

Był mężczyzną dwudziestoosmioletnim, mającym sarkastyczne, przewrotne usposobienie i obsesję na punkcie porządku, punktualności oraz konsekwencji w postępowaniu, cech, które jego zdaniem stanowiły warunek harmonijnej egzystencji. Wszystko robił w tym samym, powolnym tempie, jakby uważał, że energia jest darem, którego nie wolno marnować, i odnosiło się wrażenie, że żyje i pracuje wyłącznie siłą bezwładu. Archeologia była całym jego światem; nie interesowało go nic innego. Utrzymywał się w formie, jeżdżąc do pracy staroświeckim bicyklem. Jego spinki do spodni wisiały na przybitym od wewnątrz do drzwi haku, razem z kaskiem ochronnym, maską przeciwspalinową i odblaskową szarfą.

Pospieszny i późny powrót Frannie z lunchu w widoczny sposób wytrącił go ze skupienia. Zauważyła, że od jej wejścia do pokoju do momentu, gdy usiadła przy biurku, trzy razy wystukał i skasował na komputerze tę samą linijkę.

W końcu przestał pisać, wyraźnie zirytowany.

- Nie wiedziałem, że będziesz tu po południu - stwierdził. - Myślałem, że pracujesz w podziemiach.
- Dentysta - wymamrotała zdrętwiałymi od znieczulenia ustami.

Westchnął, kiedy z hałasem otworzyła i zamknęła szufladę, szukając czystego papieru.

- Aha, był do ciebie telefon. Jakiś pan Jupp z Bodleiany*. (***Bodleian Library, biblioteka Uniwersytetu w Oxfordzie**) Powiedział, że znalazł informację, której potrzebowałeś.

- Dzięki - odparła z roztargnieniem.

- Mówił, że powinnaś się bardzo ucieszyć - ciągnął Spode nieco zbolałym tonem, ponieważ Frannie dalej przewracała wszystko do góry nogami. Wreszcie uprzątnęła kawałek biurka, położyła na blacie kartkę papieru i zaczęła pisać.

- Prosił, żebyś zadzwoniła do niego przed trzecią - dodał Spode, patrząc znacząco na zegarek.

Frannie nie zwróciła na to uwagi. Koncentrowała się na swoim charakterze pisma, starając się, żeby chociaż raz był czytelny. Zastanawiała się, czy rozsądnie będzie podać adres i telefon domowy, aż nagle uświadomiła sobie, jak bardzo czułaby się skrępowana, gdyby zadzwonił do pracy. Penrose Spode zawsze jednym uchem słuchał jej rozmów telefonicznych. Zdecydowała się podać numer domowy, ale bez adresu. Wprawdzie jej nazwisko nie należało do pospolitych i znając numer telefonu mógł się bez trudu dowiedzieć, gdzie mieszka, pomyślała jednak, że gdyby miał się okazać jakimś pomyłką, da jej to przynajmniej pewną ochronę.

Podarła pięć wersji, zanim uznała, że utrafiła we właściwy ton: „Jestem dziewczyną, która szła peronem dworca King’s Cross niosąc kontrabas, w piątek, 10 sierpnia. Czy jesteś tym miłym mężczyzną, który był właśnie w zoo z małym chłopcem? Z przyjemnością się z tobą zobaczę. Francesca Monsanto.”

Wracając do domu wstąpiła na pocztę, starannie nakleiła znaczek na kopertę, a potem długą chwilę trzymała list w dłoni, zanim pozwoliła, z dziwnym uczuciem nieodwołalności, by wpadł przez otwór skrzynki pocztowej w ciemność.

Kiedy ruszyła w stronę stacji metra, jej krok był lekki i sprężysty.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Kilka godzin po wysłaniu listu Frannie opadły złe przeczucia. Nie dotyczyły niczego konkretnego, po prostu uświadomiła sobie, że postąpiła w sposób nieprzemysłany i teraz powinna być ostrożniejsza. Nie dawała jej spokoju zwłaszcza przypadkowość odkrycia ogłoszenia.

Zastanawiała się, gdzie jeszcze je zamieścił, i czy zrobił to z własnej inicjatywy, czy też za namową przyjaciół, na przykład dla zakładu. Zastanawiała się również, czy jest to jego stała metoda podrywania kobiet.

Wysłała list w piątek. Do redakcji „Private Eye” powinien dotrzeć w poniedziałek. Wiedziała, że jeśli nawet zostanie natychmiast przesłany do adresata, dostanie go on najwcześniej we wtorek. Mimo to za każdym razem, gdy podczas weekendu dzwonił telefon, martwiała i podnosiła słuchawkę z mieszaniną lęku i podniecenia.

Na sobotnim przyjęciu zwierzyła się Carol Bolton, swojej najbliższej przyjaciółce w Muzeum. Carol zaskoczyła ją i zaniepokoiła panikarską reakcją. Powiedziała, że jeśli ten mężczyzna zadzwoni, powinna się z nim umówić w miejscu publicznym oraz zaproponowała, że odprowadzi ją na spotkanie i będzie nad nią czuwała z ukrycia. Frannie obiecała, że umówi się w miejscu publicznym, ale nie chciała, żeby Carol ukrywała się gdzieś i obserwowała ją, bo nie będzie w stanie się rozluźnić.

W poniedziałek jadła lunch w kafeterii nie opodal Muzeum z Debbie Johnson, starą przyjaciółką, z którą od trzynastego roku życia chodziła razem do szkoły, dziewczyną trochę postrzeloną. Debbie była niska, ale gdyby odrobinę o siebie zadbała, byłaby ładna. Miała wielkie samie oczy i jasne włosy, które sterczały wokół źle zawiązanej apaszki jak dzika trawa.

- Hmm - mruknęła Debbie. - Na pewno jest bardzo seksowny. Mnie się nigdy nic takiego nie zdarza.

Debbie pracowała w dziale reklamy sieci sklepów z konfekcją i zawsze podchodziła do wszystkiego

entuzjastycznie, co było jedną z wielu rzeczy, które się Frannie w niej podobały. Powiedziała, że jej zdaniem brzmi to niesamowicie romantycznie, ale podobnie jak

Carol Bolton przestrzegła ją, żeby umówiła się w miejscu publicznym. Jeśli nawet jest jakimś wariatem, stwierdziła, nie zamorduje jej chyba w barze pełnym ludzi.

Zastanawiały się wspólnie, czy fakt, że był sam z synem oznacza, że jest rozwodnikiem lub wdowcem, czy też jest żonaty i szuka przygody. Debbie wykluczała tę ostatnią możliwość; nie sądziła, że odważyłby się zamieścić ogłoszenie, gdyby był żonaty. Frannie przyznała jej rację.

We wtorek telefonu nie było. Na wszelki wypadek Frannie nie poszła w środę na aerobik, ale telefon uparcie milczał.

Zadzwoił następnego wieczora, gdy się kąpała. Było wpół do dziesiątej. Na chwilę zapomniała o ogłoszeniu i liście. Myślała o kłótni, która wybuchła między nią a jej rodzicami, kiedy jak zwykle pojechała do ich mieszkania w Bethnal Green na niedzielny lunch. Matka przypuściła do niej kolejny atak o to, że niedługo skończy dwadzieścia sześć lat, nie ma męża, nawet się z nikim nie spotyka i nie zabrała się jeszcze do rodzenia dzieci.

Ojciec był w jednym ze swoich posępnych nastrojów, kiedy to kiwał nad Frannie głową i kwestionował jej rozsądek w związku z wyborem kierunku studiów. Nie potrafił zrozumieć, jak jego córka mogła się dostać na uniwersytet i nie zająć się przemysłem czy prawem, jak mogła się zadowalać mamą pensją i spędzać czas patrząc na to, co nazywał starymi skorupami. Wygłaszał ten wywód z nużącą regularnością dwa lub trzy razy do roku, odkąd tylko Frannie postanowiła iść na archeologię. Podczas jej studiów nie był tak zapalczywy, myśląc może skrycie, że kierowała się jakimś sprytnym ekonomicznym motywem, którego nie dostrzegł. Teraz kiedy wpadał w zły humor, wyładowywał złość z powodu własnej życiowej porażki na Frannie, która według niego zdradziła wszystko, dla czego pracował. Nie miała ambicji, żeby być bogata. Nie potrafił jej zrozumieć. On i jej matka poświęcili wszystko, aby przyjechać do Anglii i spróbować się dorobić.

Frannie odparła gniewnie, że nie rozumie, jak mogli się nie dorobić, prowadząc przez trzydzieści lat kafenię w obrębie Square Mile*. (* **Najstarsza część Londynu, obecnie centrum międzynarodowego handlu, bankowości i ubezpieczeń, gdzie pracuje blisko pół miliona osób.**)

Lunch zakończył się ogólną awanturą, bo młodsza siostra Frannie, Maria-Angela, wzięła jej stronę, a brat Paolo stronę rodziców. Kłótnia w końcu ucichła, ale gorycz pozostała, i Frannie wróciła w niedzielę wieczorem do Clapham zła na siebie za swój wybuch, zła na rodziców i z poczuciem osamotnienia.

Jej rodzice ciężko pracowali, starali się, umożliwili jej studia. Może mieli rację, może rzeczywiście ich zawiodła. Pomyślała, że zwierzętom jest łatwiej, bo opuszczają swoje rodziny, gdy tylko są w stanie same się wyżywić. Potem jednak przypomniała sobie, ile razy uciekała do rodziców, kiedy rozstała się z jakimś chłopakiem albo po prostu była w dołku psychicznym, a oni tulili ją, mądrze z nią rozmawiali, żartowali, sprawiali, że znów czuła się silna, i zrobiło jej się wstyd, że na nich krzyczała.

Leżała z podciągniętymi kolanami w kąpieli w swym wynajętym mieszkaniu. Łazienka była paskudna: maleńkie, zatłoczone, pozbawione okna pomieszczenie z nędzną, wąską, zbyt krótką, żeby

się w niej wyciągnąć wanną i kranami, które ciekły, odkąd się tu przed trzema laty wprowadziła. Mimo częstych telefonów do administratora umywalka nadal odpadała od ściany i była tak mała, że włożenie do niej obu rąk na raz przedstawiało poważną trudność.

W przeciwieństwie do łazienki korytarz był przestronny, większy zarówno od sypialni, jak i od małego pokoju pełniącego jednocześnie funkcję jadalni i bawialni. Ciemny i obskurny, z grubymi rurami, które w zimie, gdy działało centralne ogrzewanie, niepokojąco bulgotały i drżały, służył jako kamera pogłosowa dla termy, włączającej się i wyłączającej hałaśliwie w nieregularnych odstępach czasu. Frannie była przekonana, że pewnego dnia terma eksploduje i cały dom wyleci w powietrze.

Usiadła i zaczęła namydlać sobie piersi. Pierwszy dzwonek telefonu ją przestraszył. Kiedy wstawała, woda przelała się przez brzeg wanny, a mydło zanurkowało między nogami.

Instynktownie czuła, że to on, i gramoląc się z wanny usiłowała przypomnieć sobie jego twarz, przywołać obraz jego osoby, widziała jednak tylko małego chłopca z rudymi włosami i piegami, pokazującego na kontrabas. Zdołała odgrzebać w pamięci wymięty płócienny garnitur, ale twarz nad nim jej się wymykała.

Woda spływała jej po twarzy i szyi. Palce ześliznęły jej się z klamki i żeby otworzyć drzwi, musiała ją owinąć końcem ręcznika. Wypadła z łazienki - kosmyki mokrych włosów spadały jej na policzki i kark - przecięła korytarz i po groszkowozielonym dywanie pobiegła do brązowego telefonu, który stał na osobnym, tanim i tandetnym stolczku.

- Słucham? - powiedziała, starając się, by jej ton brzmiał obojętnie, ale wyszedł z tego zduszony skrzek.

- Czy to... hmm... Francesca Monsanto?

Rozpoznała głos natychmiast. Wahanie, a potem spokojna pewność siebie.

- Tak, przy telefonie - odparła.

Głos rozjaśnił jego wizerunek w pamięci Frannie i przez jej myśli przemknął wyraźny obraz jego twarzy.

- Mówi twój bagażowy.

Ta uwaga zbiła ją z tropu. Roześmiała się dopiero po chwili.

- Ach, prawda... cześć... dostałeś mój list? - zapytała, zbyt późno uświadomiwszy sobie głupotę swojej odpowiedzi.

- Dziś rano.

Woda spływała jej po policzku. Zapadła niezręczna cisza.

- Wysłałam go w piątek.

- Jak... jak się udał koncert?

- Koncert? - powtórzyła bezmyślnie.
- W Yorku?
- Koncert? Och... - Parsknęła nerwowym śmiechem, który zabrzmiał tak, jakby udławiła się ością. - To nie był mój kontrabas. Odwoziłam go do Yorku przyjaciółce; był w Londynie w naprawie.
- Aha... Rozumiem... Myślałem, że jesteś muzykiem.
- Nie... Nawet nie jestem specjalnie muzykalna.

Kolejna chwila niezręcznej ciszy.

- Przepraszam... Nie przedstawiłem się... Nazywam się Oliver Halkin.
- Miło mi - odparła i oficjalność własnego tonu wydała jej się absurdalna.
- Masz jakichś krewnych w tej firmie?
- Jakiej firmie?
- Monsanto. Są dość znani w branży tekstylnej.
- Nie... Nie sędzę.

Przyłapała się na tym, że zwraca uwagę na ludzi, którzy przechodzą ulicą. Dostrzegła nad parapetem spodnie, a potem kobiece nogi. Woda ściekała jej po krzyżu i wsiąkała w ręcznik.

- Naprawdę się cieszę, że zobaczyłaś ogłoszenie - powiedział.
- To zdumiewające, że je zobaczyłam! - Odprężyła się trochę. - Nigdy nie przypuszczałam... Nie czytuję „Private Eye.” Zobaczyłam je przez przypadek.
- Strasznie pocziwie z twojej strony, że na nie odpowiedziałaś.
- Nie mogłam uwierzyć, że naprawdę chodzi o mnie. Myślałam, że musi chodzić o kogoś innego. Gdyby nie ta wzmianka o Eboracum... To było sprytne.
- Czy moglibyśmy... hmm... się spotkać? Może... może mógłbym zaprosić cię na lunch?

Lunch. Spodobał jej się pomysł lunchu. Biały dzień. Była w tym zaproszeniu niemal rozczarowująca niewinność. Umówienie się na „lunch przedstawiało jednak pewien problem, gdyż miała tylko godzinę przerwy; nie żeby ktoś pilnował jej z zegarkiem w ręku, ale czuła się winna, gdy tego nadużywała. Nagle przypomniała sobie przestrogi Carol Bolton i Debbie. Lunch będzie bezpieczniejszy, chociaż nie wierzyła, żeby on mógł jej w jakikolwiek sposób zagrozić. I odpracuje ten czas zostając po godzinach.

- Świetnie! Dziękuję.

- Pracujesz w Londynie?
- Tak.
- Może gdzieś w pobliżu City?
- W Bloomsbury.
- W porządku. Pasuje ci przyszły wtorek?
- Przyszły wtorek? Zaraz sprawdzę.

Zaklinowała słuchawkę na owiniętym ręcznikiem udzie, jej umysł pracował pospiesznie. Wtorek Nic. Kalendarzyk leżał w sypialni, ale wiedziała, że jest wolna.

- Wtorek mi odpowiada.
- Próbuję wymyślić jakieś miejsce, do którego miałabyś blisko. Wiesz, gdzie jest Greville Street?
- Boczna od Gray's Inn Road?
- Tak Jest tam restauracja w zaułku, który nazywa się Bleeding Heart Yard. Jeśli pogoda dopisze, będziemy mogli usiąść na zewnątrz.
- Świetnie. Znajdę.
- Pasuje ci pierwsza?
- Tak, dobrze - odparła. - Więc do zobaczenia.

Frannie znalazła restaurację Bleeding Heart szybciej niż się spodziewała i była tam dziesięć minut za wcześnie. Ubrała się w swój jedyne naprawdę elegancki letni strój: granatową garsonkę z białą bluzką oraz jedyne przyzwoite granatowe buty; kiedy przed dwudziestoma minutami wychodziła z Muzeum, miała dobre samopoczucie. Teraz była kłębkiem nerwów.

Minęła podwórze i uciekła z dokuczliwego południowego upału w chłód zacienionej strony ulicy, zastanawiając się, czy w wyborze miejsca spotkania nie kryje się jakiś subtelny humor, który jej umyka.* (**Bleeding Heart - krwawiące serce**)

Przejrzała się w witrynie sklepowej, żeby sprawdzić, czy policzki i nos nie zaczęły jej się świecić, a potem ruszyła wolnym krokiem dalej, ze zdenerwowania nie mogąc ustać w miejscu. Spoglądała na wystawy, ale ledwo zauważała, co na nich jest. Zamiast tego rozmyślała o nim. Oliver Halkin. Całe to rozgorączkowanie, stwierdziła, z powodu kogoś, kogo spotkałam na dworcu kolejowym i prawdopodobnie po dzisiejszym dniu więcej nie zobaczę. Kogoś, kogo twarzy nie potrafię sobie wyraźnie przypomnieć, jeśli głos nie podsuwa mi jej obrazu. Zastanawiała się nawet, czy go od razu pozna, czy nie.

Za pięć pierwsza zawróciła w górę ulicy i weszła na ładne, wybrukowane kamieniami podwórze, gdzie stały nakryte do lunchu stoliki, z których kilka było zajętych. Kelnerka zapytała ją, czy ma rezerwację,

i Frannie odparła, że może być rezerwacja na nazwisko Olivera Halkina.

Dziewczyna zniknęła we wnętrzu lokalu i po chwili wyszła.

- Jeszcze go nie ma. - Zaprowadziła Frannie do stolika na słońcu i spytała: - Napije się pani czegoś?
- Zaczekam parę minut - odpowiedziała Frannie.

Usiadła, rozglądając się dookoła. Przy stoliku obok siedziały trzy kobiety, elegancko ubrane i roztrajkotane. Przy stoliku przed nią - dwóch mężczyzn. Jeden jadł zupę, a drugi rozrywał karczocho. Jakiś blondyn w marynarce w jaskrawą kratę, z szykowną kobietą pod rękę, przeszedł przez podwórze i wszedł do środka. Frannie słyszała wokół cichy brzęk sztućców i dzwonienie kieliszków, czuła zapach smażonej ryby.

Na podwórze wpadł z ulicy jakiś wysoki szatyn odpowiedniego wzrostu i budowy. Przez małą chwilę zastanawiała się, czy to przypadkiem nie Oliver Halkin. Mężczyzna pochwycił jej spojrzenie i zawahał się, patrząc na nią wyczekująco, ale jej nie poznając, a potem minął ją i wszedł do środka.

Jakaś kobieta po trzydziestce, o zwracającym uwagę wyglądzie, w białym spodniem i z brzęczącymi złotymi łańcuchami, przedfilowała obok stukając obcasami o kamienie. Frannie owionął ciągnący się za nią zapach perfum. Kilka ulic dalej zawyła syrena. A potem nadszedł Oliver Halkin.

Gdy ruszył powoli w jej stronę z nieśmiałym uśmiechem na twarzy, wstała i całe podwórze rozmyło się w tle. Zatrzymał się przed nią, przez chwilę jakby zbierał odwagę, po czym sztywno wyciągnął do niej rękę. Uścisnął jej dłoń mocno, dziwnie oficjalnie.

- Francesca. Wybacz, że się spóźniłem. Te korki... - Przepraszającym gestem podniósł ręce, a potem pozwolił, by opadły. - Mam nadzieję, że nie czekasz długo.
- Tylko parę minut. Przyszłam trochę za wcześnie.

Był wyższy i bardziej potężnie zbudowany niż pamiętała; w jasnym słońcu zobaczyła, że ma bliżej do czterdziestu niż trzydziestu pięciu lat. Ubrał się podobnie jak wtedy, ale wyglądał bardziej elegancko i świeżo w dobrze wyprasowanym płóciennym garniturze, koszuli w biało-niebieskie paski i krawacie z czymś, co przypominało hipopotamy. Był tak przystojny, jak pamiętała. Nawet jeszcze bardziej.

Przez chwilę przyglądali się sobie badawczo, jakby obydwójce nie dowierzali pamięci i chcieli się co do czegoś upewnić, a potem on pochylił się do przodu i konspiracyjnie zniżył głos.

- Wiesz, bez kontrabasu wyglądasz dużo lepiej.
- Ale bez kontrabasu nie spotykam takich miłych nieznajomych.

Uśmiechnęła się, zaskoczona kokieterijnością swej odpowiedzi.

Teraz gdy już tu był, jej zdenerwowanie zniknęło niemal całkowicie i jak poprzednio natychmiast poczuła do niego pociąg.

Usiadł naprzeciwko Frannie i kelnerka podeszła do nich z dwoma kartami.

- Czy podać państwu coś do picia? - zapytała.

Frannie zdecydowała się na szprycer, a Oliver poszedł za jej przykładem. Spuścił wzrok na swoje kolana, potem go podniósł, dotknął blatu, jakby zamierzał poprawić stolik, i najwyraźniej nie wiedział, co ma dalej zrobić z rękami. Splótł je, rozplótł, a następnie oparł dłonie na brzegu stolika. Były to duże, robiące wrażenie silnych dłonie o szczupłych, eleganckich palcach i dość niedbale przyciętych paznokciach, którym przyglądał się przez chwilę, zanim znów spojrzął na Frannie. Zauważyła, że na serdecznym palcu ma sygnet.

- No więc opowiedz mi o Francesce Monsanto.

Splotła dłonie na kolanach, zdumiona tym, jak swobodnie wciąż się czuje.

- Najpierw ty mi opowiedz o Oliverze Halkinie.

- Nie mam nic specjalnie interesującego do opowiedzenia. - Stukną! kartą dań w stolik gdy Frannie uśmiechnęła się z niedowierzaniem. - Jestem wdowcem, mam ośmioletniego syna, Edwarda, którego już poznałaś. Mam farmę, którą prowadzi mój brat. Pomagam mu w weekendy. W tygodniu pracuję w banku jako matematyk.

- Naprawdę?

Frannie pytająco przechyliła głowę.

- Tak; matematyka i latanie zawsze były moimi wielkimi pasjami. Ale teraz rzadko mogę sobie na latanie pozwolić.

- Masz samolot?

- Mam staroświecki Tiger Moth, który remontuję. Jeszcze się nie nadaje do latania. - Kiedy jej oczy się rozszerzyły, powiedział: - Teraz kolej na ciebie! Opowiedz mi o Francesce.

- Dobrze, cóż... - Ściągnęła wargi i uśmiechnęła się, widząc malujące się na jego twarzy oczekiwanie. - Jest archeologiem. - Zamilkła, aby wy badać jego reakcję, i dostrzegła wyraz aprobaty. - Skończyła archeologię i antropologię na Uniwersytecie Londyńskim. Jest spod znaku Wagi. - Namysłała się przez chwilę, obracając językiem w ustach. - Jej szczęśliwa liczba to czwórka, a ulubiony kolor to niebieski. Jest odrobinę przesądna. Ma dwóch braci i jedną siostrę.

Kelnerka przyniosła im drinki i gdy Oliver pochylił się trochę do tyłu, Frannie zauważyła, jakie ma szerokie ramiona. Przypomniało jej się powiedzenie, że mężczyźni to dorośli chłopcy. W Oliverze Halkinie widziała i mężczyznę, i chłopca. Coś chłopięcego kryło się w jego rysach, włosach, lekkim smutku spojrzenia, a jednak jego budowa ciała, linie twarzy, zmarszczki wokół oczu, pewność siebie, z jaką się poruszał, z jaką siedział tutaj niczym lew na własnym terytorium, były zdecydowanie męskie.

- Co oni robią? - zapytał. - Twój bracia i siostra?

- Moja siostrzyczka Maria-Angela chodzi do szkoły gastronomicznej. Mój starszy brat, Vittorio, jest lekarzem - pracuje w szpitalu w Durham, a młodszy, Paolo - kierowcą ciężarówki.

- Prawdziwa mieszanka w tej twojej rodzinie. - Podniósł swój kieliszek. - Na zdrowie.

- Na zdrowie - odparła Frannie.

Stuknęli się kieliszkami, szkło zadzwoniło głębokim tonem. Ich oczy się spotkały i pijąc Frannie poczuła pulsowanie podniecenia. Oliver wziął swoją kartę.

- Może zamówimy? Pozbędziemy się tych płacht.

Przez kilka chwil w milczeniu studiowali jadłospis. Frannie zamówiła melona na przystawkę i turbota, a Oliver pasztet i turbota.

Frannie była ciekawa, w jaki sposób umarła jego żona, ale nie chciała pytać.

- W jakim banku pracujesz? - zapytała.

- To mały bank handlowy, nazywa się Halkin-Northrop. - Podniósł brwi. - Nie sądzę, żebyś o nim słyszała.

- Halkin? Czy to interes rodzinny?

- W tej chwili właściwie tylko z nazwy. Nie posiadamy wielu udziałów. Dają mi coś do roboty przez uprzejmość.

- Nie wierzę! Co tam właściwie robisz? Jesteś prezesem?

- Nie, do licha, jestem po prostu kimś w rodzaju konsultanta. Zabawiam się moją matematyką i od czasu do czasu, gdy coś mi wyjdzie, głaszczą mnie po głowie i dają cukierka.

- Zajmujesz się księgowością?

- Nie. Analizą statystyczną. Badam kierunki, prawidłowości, oceniam stopień ryzyka. Zawieramy sporo umów reasekuracyjnych, muszę więc starać się obliczyć na przykład to, ilu ludzi zginie w ciągu następnej dekady w wypadkach drogowych, ilu w katastrofach lotniczych, a ilu zostanie pogryzionych przez psy. - Uśmiechnął się kwaśno. - Albo ilu oficerów kawalerii umrze w wyniku kopnięcia przez konia.

- Dużo ich ginie w ten sposób?

- Co roku niemal stała liczba.

- Nigdy nie byłam zbyt dobra z matematyki.

- A interesowałaś się nią kiedykolwiek?

- Nie, nigdy dużo o matematyce nie myślałam - pewnie dlatego, że jestem z niej taka beznadziejna.

Popatrzył na nią z dezaprobatą.

- To wstyd.

- Dlaczego?

Uderzył dłonią w stolik, lekko, ale z nagłym przejściem na twarzy, i pochylił się do przodu.

- Ponieważ zbyt wielu inteligentnych ludzi ją lekceważy. Mało nauczycieli potrafi uczynić matematykę pasjonującą, uczą jej jak kolejnej nudnej rzeczy, której się musisz nauczyć. - Jego oczy rozbłysły, ożywając niczym rozdmuchany miechem ogień. - Archeologia - piękno - symetria. Pomyśl o proporcjach budynków, waz, mebli. Matematyka i konstrukcja są nierozdzielne. Konstrukcja przedmiotów... - Podniósł swój talerzyk, a potem go postawił - ...i konstrukcja świata.

- Świata? - zdziwiła się.

Wziął do ręki kieliszek i zakręcił jego zawartością. Oczy mu płonęły i jego entuzjazm porwał Frannie.

- Matematyka to najbardziej fascynująca ze wszystkich nauk Jest kluczem do wszechświata - stwierdził.

Popatrzyła na niego i zapytała niepewnie:

- W jakim sensie?

- Powiedziałaś, że jesteś Wagą. Czytujesz swój horoskop?

- Czasami.

- Wierzysz w przepowiadanie przyszłości?

- Nie jestem pewna. Chyba tak, trochę.

- Ja przepowiadam przyszłość.

Jej oczy rozszerzyły się.

- Masz kryształową kulę?

- Nie. Tylko kalkulator. - Uśmiechnął się. - Dzięki matematyce można w prosty sposób przewidzieć najbardziej niezwykłe rzeczy.

- Na przykład co?

Pochyliła się ku niemu.

- Mogę ci powiedzieć, ilu ludzi umrze w przyszłym roku w każdym państwie na świecie wskutek dowolnego rodzaju wypadku, jaki wymienisz. I na dowolną chorobę. Co więcej, będę dokładniejszy niż jakikolwiek jasnowidz z letniego kurortu.

Frannie pociągnęła łyk szprycera i objęła kieliszek dłońmi.

- Ale nie możesz przewidzieć, kim będą ofiary, prawda?

Uśmiechnął się.

- Tak, to prawda. Jeszcze nie.

- *Jeszcze nie? Myślisz, że kiedyś będziesz mógł?*

- We wszystkim są prawidłowości. Rozumiejąc prawidłowości, możesz dostrzec porządek w chaosie. - Podniósł kieliszek. - Robię się zbyt poważny.

- Nie, to ciekawe.

Napił się i z przesadną ostrożnością odstawił kieliszek.

- Opowiedz mi o swoich rodzicach. Czym się zajmują?

Gdy tak gawędzili, czas płynął swobodnie, niemal niezauważenie. Ich stolik stał się prywatną wyspą, na której byli tylko we dwoje, zajęci sobą i nie niepokojeni przez nic ani nikogo, z wyjątkiem momentów podawania jedzenia i następnych drinków oraz sprzątania talerzy. W pewnej chwili, kiedy Frannie myślała, że jest już zbyt pijana, pojawiła się i została rozlana do kieliszków butelka Sancerre. Coraz bardziej zdumiewało ją to, ile mają ze sobą wspólnego. Poglądy i fascynacje. Opowiedziała mu, jak będąc dzieckiem zainteresowała się archeologią, przeczytawszy książkę o Rzymianach i jak namawiała rodziców, żeby w weekendy zabierali ją do zabytkowych pałaców i muzeów.

Oliver rozprawiał o swojej miłości do matematyki i o tym, że według niego jest ona jednocześnie sztuką i nauką, i że może ostatecznie rozwiązać wszystkie zagadki wszechświata. Frannie mówiła o swojej miłości do archeologii i o tym, że według niej zagadki wszechświata zostaną rozwiązane właśnie poprzez odkrycie tajemnic przeszłości.

W końcu Frannie zauważyła, że na podwórzu nie ma już nikogo oprócz nich. Spojrzała na zegarek i z przerażeniem stwierdziła, że jest czwarta.

Oliver odwiózł ją do Muzeum taksówką i zapytał, czy zje z nim w piątek kolację. Odparła, że z przyjemnością.

Nie posiadając się z radości wbiegła spieszenie po schodach w cień kolumnowego portalu. Jej poczucie winy z powodu tak późnego powrotu tłumiała alkoholowa mgła.

Jakąś godzinę później, gdy zaczęła trzeźwieć, ogarnął ją lekki niepokój i nie bardzo wiedziała dlaczego. To wszystko wydawało się niemal zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Miała uczucie, że jest w Oliverze coś, co niezupełnie się zgadza; brakująca niewiadoma równania. Może coś, czego jej o sobie nie powiedział; co albo ukrywa, albo tai. Nadal nie dawało jej też spokoju wrażenie, że już go gdzieś widziała.

Zazwyczaj Frannie była ufna i patrzyła na świat optymistycznie, więc te odczucia ją niepokoiły. Tym bardziej, że uświadamiała sobie, jak ogromnie Oliver jej się podoba.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Debbie Johnson zadzwoniła do Frannie w środę, późnym wieczorem, ciekawa, jak się jej udała randka. Frannie, która właśnie wróciła z aerobiku, starała się nie powiedzieć zbyt wiele, w obawie, że mówienie o tym tak wcześnie może przynieść pecha. Obiecała, że zadzwoni do przyjaciółki w sobotę i zda jej relację z piątkowego spotkania.

Gdy tylko odłożyła słuchawkę, telefon znowu zadzwonił. Tym razem był to Oliver. Przeprosił Frannie za to, że tak bardzo spóźniła się przez niego do pracy we wtorek po południu. Odparła, że nie miało to znaczenia, chociaż w rzeczywistości nieobliczalny Decían O'Hare wezwał ją na dywanik. Gawędzili sobie swobodnie. Oliver zapytał, co robiła w pracy, i odpowiedziała mu, że spędziła dzień na katalogowaniu indiańskich noży, a potem była na aerobiku; on odrzekł, że właśnie wrócił z tenisa. Na chwilę zapadła cisza i Frannie kusiło, żeby powiedzieć: „Może byś do mnie wpadł?”, ale nie chciała się wydać natarczywa czy zbyt chętna. Wystarczy, że zadzwonił. I skrycie się cieszyła, że o godzinie dziewiątej jest w domu, a nie na jakiejś randce.

W czwartek wieczorem umyła głowę, ale nie potrafiła usiedzieć na miejscu. Nie była w stanie się skupić na czytaniu ani na oglądaniu telewizji, więc gruntownie wysprzątała mieszkanie. Wiedziała, że zachowuje się jak zadurzona nastolatka, ale nic na to nie mogła poradzić.

W piątek wyszła z pracy punktualnie o wpół do szóstej i popędziła do domu ogarnięta nagłą, niezwykłą dla niej paniką, co ma włożyć. Zdjęła z wieszaka czarną sukienkę - popularną wersję Chanel - na którą się wcześniej zdecydowała. Lubiła ją, ponieważ była krótka i prosta, ale niepokoiła się, że nie będzie w niej dostatecznie atrakcyjna dla Olivera Halkina. Wyciągnęła z szafy kilka innych sukienek, żadna jednak nie wyglądała na odpowiednią, więc musiała się zadowolić tą czarną.

Na podłodze sypialni leżał wąski prostokąt światła, dotykający brzegu białego futrzaka, który kupiła przed kilkoma miesiącami na Petticoat Lane, chcąc ożywić to wnętrze. Czasami wydawało się ciemne i przytłaczające, chociaż ściany były białe, a sufit wysoki, i niekiedy jego atmosfera sprawiała, że Frannie czuła się nieswojo. Okno znajdowało się poniżej poziomu ulicy, co jeszcze potęgowało wrażenie bycia pod ziemią.

Na ścianach Frannie zawiesiła parę reprodukcji sztuki egipskiej, a na kominku stały rodzinne fotografie i dwa małe fragmenty mozaiki, które przywłaszczyła sobie podczas jednych z pierwszych swoich wykopalisk, i które nadal przyprawiały ją o dreszcz emocji. Chociaż w Muzeum miała do czynienia z zabytkowymi przedmiotami na co dzień, nic nie mogło się równać z uczuciami, jakie wzbudzały w niej te nieliczne własne skarby.

Skończyła się szykować dwadzieścia po siódmej i zostało jej jeszcze czterdzieści minut. Rozejrzała się po pokoju. Wysiłki z poprzedniego wieczoru odrobinę poprawiły jego wygląd. Było to jej pierwsze samodzielne mieszkanie i nie przejmowała się taniością mebli ani ponurą atmosferą, ponieważ dawało jej swobodę i niezależność. Zawsze lubiła grać rolę gospodyni, gdy odwiedzali ją znajomi. Ale większość z nich była równie przyzwyczajona do niezbyt imponującego wystroju wnętrza jak ona sama. Dopiero teraz, kiedy miał tu przyjść Oliver, Frannie nagle przyłapała się na tym, że z niepokojem patrzy na brzydką winylową kanapę z fotelami, stół wyklejony łuszczącym się mahoniowym fornirem i postrzępione firanki.

Jedynymi osobistymi akcentami w tym pokoju były oprawione plakaty dawnych wystaw Muzeum, książki Frannie oraz jej duma i radość - mały, prosty, gliniany rzymski dzban stojący na stoliku do kawy. Miał kształt gruszki i był dość pękaty, a ucho i kawałek obrzeża zostały starannie doklejone

przez archeologa - amatora, który wykopał skorupy w 1925 roku.

Frannie często rozmyślała o życiu rzymskiego garncarza, który dzban ulepił, wyobrażała sobie, jak on lub ona wyglądali. Rodzaj gliny wskazywał, że jest to wyrób z terenu Italii, być może przewieziony do Brytanii przez jakiegoś emigranta jak jej rodzice. Kupiła go za pięćset funtów na Portobello Road, przed trzema laty, w dniu, gdy dostała z Muzeum list z zawiadomieniem o przyjęciu do pracy. Było to popełnione pod wpływem nastroju chwili szaleństwo, które zdmuchnęło jej oszczędności, ale nigdy go nie żałowała.

Wyłączyła górne oświetlenie, zostawiając tylko lampkę na stole i chwiejną lampę stojącą, przez co pokój zyskał trochę na wyglądzie

- wydawał się teraz niemal przytulny. Jeszcze rok i kupi sobie własne mieszkanie. Będzie maleńkie, ale gustownie urządzone, postanowiła.

Podniosła z kanapy właśnie zaczęta powieść Jilly Cooper, zanotowała w pamięci numer strony, po czym zamknęła ją i wetknęła na półkę, a w zamian wyciągnęła kieszonkowe wydanie nowel Guy de Maupassanta, które otworzyła i położyła niedbale, grzbietem do góry, w tym samym miejscu.

W miarę jak zbliżała się ósma, Frannie zaczęła odczuwać zdenerwowanie. Poszła do sypialni i na widok dziewczyny, która popatrzyła na nią z lustra, uspokoiła się trochę. Krótka sukienka odsłaniała jej nogi i korzystnie podkreślała figurę. Miała zmarszczone z niepokoju czoło, więc specjalnie rozluźniła się i uśmiechnęła. Pociągająca dziewczyna z ciemnymi, lśniąco-czarnymi włosami, które okalały jej twarz i opadały na ramiona, odwzajemniła uśmiech. Ta dziewczyna wyglądała dobrze.

Wyglądała wspaniale.

Frannie wróciła do pokoju, usiadła, wzięła do ręki Maupassanta i zaczęła go kartkować, nie mogąc się skupić. Dobiegały ją stłumione odgłosy wystrzałów, gwizdzących w telewizorze u sąsiadów piętro wyżej. Jej zegarek pokazał ósmą piętnaście. Potem ósmą trzydzieści. Nie przyjdzie. Spietrał się. Wystawił ją do wiatru. Przez niego skończy się na tym, że spędzi wieczór przed telewizorem.

Nagle usłyszała kroki. Po firankach przesunął się cień. Zadzwoił dzwonek.

Zerwała się na równe nogi, pobiegła do przedpokoju i otworzyła drzwi. Oliver Halkin wyglądał zza olbrzymiego bukietu kwiatów, promieniejąc ulgą, że trafił we właściwe miejsce.

- Przepraszam, że się spóźniłem - powiedział. Wysunął kwiaty do przodu, jakby był trochę nimi speszony. - Mam nadzieję, że ci się podobają.

- Och! - zawołała.

Ich woń stłumiła na krótką chwilę ostre, wilgotne zapachy nocnego Londynu, zapachy nie opróżnionych pojemników na śmieci, spalin i kurzu, przypominając Frannie o istnieniu innego świata, świata podmiejskich parków i ogrodów.

- Są cudowne! - Wzięła bukiet, przysunęła główki kwiatów do nosa i zaciągnęła się głęboko ich zapachem. - Dziękuję.

Pocałowała go odruchowo w policzek, ale Oliver w żaden sposób nie zareagował i na moment zapadła niezręczna cisza.

Był ubrany w dwurzędowy granatowy garnitur, który dobrze się na nim prezentował, niebieską koszulę z miękkim kołnierzykiem i żółty krawat. Jego włosy wyglądały na uczesane staranniej niż poprzednio, a na nogach miał czarne półbuty, robiące wrażenie zupełnie nowych. Schludność jego powierzchowności kłóciła się z pierwotnym wyobrażeniem Frannie o nim. Kiedy zaproponowała mu drinka, spojrział na zegarek, a potem, bez wyrazu, na nią.

- Chyba powinniśmy już lecieć. Zamówiłem stolik na ósmą trzydzieści.
- Tylko je włożę do wody.

Nagle mieszkanie wydało się Frannie bardziej obskurne niż kiedykolwiek. Wprowadziła Olivera do pokoju, z ciężkim sercem poszła do kuchni i napuściła do zlewu zimnej wody; ogarniało ją zaniepokojenie. Sprawiał wrażenie trochę obojętnego.

Gdy wróciła do pokoju, ucieszyła się widząc, że z zainteresowaniem patrzy na rzymski dzban.

- Czy to jedno z twoich znalezisk? - zapytał.
- Tak... Coś w tym rodzaju... Znalazłam go w sklepie.

Jej pewność siebie zniknęła. Uświadomiła sobie, że może się wydawać sztywna i zdenerwowana.

- Ile ma lat?
- Pochodzi mniej więcej z 50 roku przed naszą erą.
- Dobry Boże. - Ukucnął i zaczął przyglądać się dzbanowi uważniej. - Mam w domu bardzo podobny. Nie przypuszczałem, że jest aż tak stary. Do czego mógł służyć?
- Prawdopodobnie do przechowywania wody lub wina. Mogę to sprawdzić, jeśli chcesz.
- Tak, proszę.
- Czasem czuję się winna, że go mam.
- Dlaczego?

Podniósł się. Frannie wzruszyła ramionami.

- Przypuszczam, że chodzi mi o to samo, co w wypadku eksponatów zamkniętych w podziemiach Muzeum. Że takie przedmioty z przeszłości powinny być dostępne dla wszystkich - że może nie powinnam chomikować go tutaj jak w małym prywatnym skarbcu.
- Zawsze możesz otworzyć swoje mieszkanie dla publiczności.
- Świetny pomysł. Pierwsza w Anglii suterena-muzeum!

Roześmiał się i chociaż śmiech ten był nieco wymuszony, atmosfera między nimi jakby się poprawiła.

Na dworze zapadł już zmrok. Frannie poszła za Oliverem do małego renault, który pod londyńską patyną brudu i kurzu był albo szary, albo niebieski; miał solidne wgniecenie po stronie pasażera, a w miejscu, skąd oderwano chromową lub plastikową listwę, widniał rząd dziurek.

Oliver przytrzymał dla niej drzwiczki, zgarnął z fotela garść papierów i Frannie wsiadła do środka. We wnętrzu samochodu panował rozgardiasz. Ostrożnie ulokowała stopy między leżącymi na podłodze książkami z biblioteki. Do szyby obok okrągłej plakietki rejestracyjnej przyklejona była nalepka parkingowa mieszkańca dzielnicy Chelsea i jeszcze jakieś zezwolenie, którego nie mogła odczytać. We wgłębieniu nad skrytką leżało kilka biletów parkingowych w celofanowych torebkach, paczka cukierków od kaszlu, dwa długopisy, parę pojedynczych kartek papieru i piłka tenisowa.

Frannie przełożyła sobie przez piersi pas bezpieczeństwa i znalazła zapięcie. Oliver usiadł za kierownicą, lekko zgarbiony, dotykając głową podsufitki, jakby samochód był za małym o jeden rozmiar garniturem. Przekręcił kluczyk w stacyjce i gdy silnik ożył ze stukotem, odwrócił się do Frannie.

- Przepraszam, jeśli wydaję ci się w tej chwili trochę nieobecny duchem. Tuż przed wyjściem z domu dostałem nieprzyjemną wiadomość.

- Przykro mi - powiedziała.

- Nie, to... - Wzruszył ramionami. - Mój syn jest na wakacjach na południu Francji, u znajomych, którzy mają chłopca w jego wieku. Mają tam willę. - Urwał i ostro przyspieszając wyprowadził samochód na jezdnię. - Właśnie do mnie dzwoniли... Mieli wczoraj okropny wypadek na motorówce.

Zahamował przed skrzyżowaniem i popatrzył srogo na główną drogę, jakby oczekiwał, że pod jego miażdżącym spojrzeniem ruch się zatrzyma.

- Podobno popłynęli wszyscy łodzią, żeby znaleźć zatokę na piknik i jazdę na nartach wodnych. W drodze powrotnej przejechali kąpiącą się dziewczynę.

- Boże! - zawołała Frannie. - Okropne. Czy ona... - zawahała się.

- Jest ciężko ranna?

- Została zabita.

- To straszne.

Oliver zdecydowanie dodał gazu i wskoczył w przerwę w kolumnie, tuż przed nadjeżdżającym samochodem.

- Jak się czuje twój syn?

Przez chwilę jechał dalej nie odpowiadając.

- Dobrze. Edward czuje się dobrze.

Pomyślała, że powiedział to dość dziwnie, jakby się bronił.

- Czasami szok przychodzi później - odparła, przypomniawszy sobie, jak przed czterema laty uczestniczyła jako pasażer w dużej kraksie na autostradzie i jeden z samochodów za nią stanął w ogniu. Najpierw spod maski wydobyło się tylko kilka płomieni. Wszyscy próbowali wyciągnąć uwięzionego kierowcę, ale wkrótce ogień ogarnął cały samochód i odepchnął ich. Patrzyła, jak kierowca wali w szybę i krzyczy, aż nie mogła tego dłużej wytrzymać i musiała się odwrócić. Pierwszy koszmar senny o tym wypadku miała dopiero po tygodniu. I nadal od czasu do czasu jej się to śniło.

- Tak - przyznał Oliver.

- Kto prowadził łódź?

- Nie wiem. Nie Edward.

Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale zamilkł.

- Co za straszny widok dla dziecka - stwierdziła Frannie.

- Zamieniłem z nim parę słów przez telefon. Nie robił wrażenia wstrząśniętego. O wiele bardziej niepokoiło go to, czy naprawiłem jego tor samochodowy - był jakiś problem z transformatorem.

Uśmiechnęła się, ale Oliver spojrział na nią wzrokiem pozbawionym humoru i zapadł w milczenie. Przyglądała mu się. Blask każdej mijanej latami migotał na jego twarzy, a potem gasł. Coś w jego napiętym profilu przypominało jej królika schwytanego w światło reflektorów i nie wiedzącego, w którą stronę uciekać. Tylko przez chwilę. Potem to wrażenie znikło.

Restauracja okazała się tanią i wesołą *trattorią* z obrusami w biało-czerwoną kratę oraz sieciami rybackimi i oplatany butelkami Chianti na ścianach. Powietrze było ciężkie od dymu papierosowego i mocniejszych, wspaniałych zapachów czosnku i gorącej oliwy, smażonego mięsa i pieczonej na ruszcie ryby. Wszystkie stoliki były zajęte i w lokalu panowała gwarna, żywa atmosfera, która natychmiast sprawiła, że Frannie poczuła się swobodnie.

Kelner mówiący z akcentem, który rozpoznała jako neapolitański, sprowadził ich po schodach do równie zatłoczonej piwnicy. W dużej grupie młodych, dwudziestokilkuletnich ludzi siedzących na końcu sali wybuchł ochrypły śmiech. Kelner wskazał im jeden z dwóch wolnych stolików, wciśnięty w narożną wnękę obok grupy.

- Chcecie może państwo jakiś aperitif? - zapytał, dosuwając krzesło Frannie.

- Tak... hmm...

Oliver podniósł na nią pytający wzrok.

- Z przyjemnością.

Czuła, że musi się napić.

- Dwa wasze koktajle.

- *Due Vito Fizzo* - obwieścił kelner, wręczył obydwójgu po dużym, wypisanym odręcznie jadłospisie i odwrócił się na pięcie.

Przy obu nakryciach leżały paczuszki *pannini*. Oliver wziął swoją i rozdarł ją u góry.

W siedzącej za nimi grupie zagrzmiała ogłuszająca salwa śmiechu i Frannie automatycznie odwróciła głowę. Jedna z zanoszących się chichotem twarzy wydała jej się znajoma. Bujne włosy były krótsze, niż kiedy je ostatni raz widziała, ale nie można się było pomylić: grube wargi, krępa sylwetka, gromki głos. Przyglądała się, jak Seb Holland wali w stół i woła: „Hej, Luigi, przynieś mi kanapkę z aligatora i to biegiem!” Potem odwrócił się do towarzystwa, zaśmiewając się z własnego dowcipu.

Nie widziała go ponad trzy lata, od czasu ukończenia studiów. Pamiętała, że miał się zająć interesem rodzinnym. Siedzieli w ubezpieczeniach, jakaś duża firma w City, i Seb, w prążkowanym garniturze i krzykliwym krawacie, wyglądał teraz jak dobrze prosperujący biznesmen. Ich oczy się spotkały. Seb poznał Frannie i wyraźnie się rozpromienił. Wstał, nieco chwiejnym krokiem wytoczył się ze swego miejsca, podszedł do niej i pochylił się nad stolikiem.

- Frannie! Cześć! Jak się masz? Wspaniale wyglądasz. - Obrzucił spojrzeniem Olivera. - Przepraszam, stary - powiedział. - Zawsze się kochałem w tej dziewczynie. Mogę spróbować ci ją później porwać, jeśli się wystarczająco zaleję.

Seb mówił bełkotliwie i o wiele za głośno. Frannie zaczerwieniła się i przedstawiła sobie obydwu mężczyzn.

- Cześć - powiedział Oliver.

Zapadła krótka cisza, podczas której mierzyli się wzrokiem, jakby się mgliście poznając.

- Już się kiedyś spotkaliśmy - stwierdził Seb.

Miał trudności ze staniem prosto i przytrzymał się oparcia krzesła Frannie.

- Tak - odparł Oliver dobrodusznym tonem. - Mnie też się tak wydaje.

Zmarszczył brwi, przez co zdaniem Frannie nabrał dość groźnego wyglądu.

- Halkin? Bank Halkin-Northrop?

- Tak - potwierdził Oliver. - Seb Holland? Masz coś wspólnego z Holland Delarue?

- Tak.

- Och! - Twarz Olivera się rozjaśniła. - Znam Victora Hollanda.

- To mój brat.

- Dobry Boże! Twój brat! Grywam z nim od czasu do czasu w tenisa w Queens.

- Czy nie byłeś w zeszłym roku na naszym przyjęciu gwiazdkowym? Chyba właśnie wtedy się poznaliśmy.
- W tym waszym wspaniałym gmachu? - Oliver zmrużył oczy, jakby usiłował przypomnieć sobie jego nazwę. - Zgadza się. Rozmawialiśmy o krykiecie! Jak tam Vic? Nie widziałem go od jakiegoś czasu.
- Ma się świetnie.
- To dobrze... cóż... - Na twarzy Olivera pojawiło się zakłopotanie, najwyraźniej nie wiedział, jak zakończyć tę rozmowę. - Pozdrów go ode mnie.
- Dziękuję, pozdrowię. - Seb odwrócił się do Frannie. - No więc jak się masz? Co porabiasz?
- Świetnie. Pracuję w Muzeum Brytyjskim. A co u ciebie?
- Wspaniale. - Pociągnął nosem. - W przyszłym miesiącu się żenię. To moja narzeczona. - Wskazał stół, ale Frannie nie udało się zorientować, którą dziewczynę ma na myśli. - Lucy... Poznałaś ją kiedyś? - Przymrużył oczy, jakby nie widział dostatecznie ostro. - Nie, to było już po studiach. W przyszłym miesiącu się żenię -powtórzył. - Hej, musisz koniecznie przyjść! Przyślę ci zaproszenie. Mam jeszcze adres twoich rodziców. Zresztą musimy się jeszcze przedtem spotkać na jakiegoś drinka.
- Z przyjemnością. Gratuluję.
- Dzięki.

Frannie była skrycie zadowolona ze spotkania kogoś znajomego; poczuła się dzięki temu niezależna od Olivera. Seb nie zdradzał jednak najmniejszych chęci do odejścia i przedłużająca się rozmowa trochę ją krępowała.

- Nadal siedzisz w rodzinnym interesie?
- Tak, jest w porządku. Połowę czasu spędzam w Stanach. -Pociągnął nosem. - Widujesz jeszcze jakichś ludzi, których bym pamiętał?
- Meredith. Parę tygodni temu pojechałam do niej do Yorku na weekend.
- Meredith! Świetna dziewczyna. Naprawdę ją lubiłem. Co u niej słyhać?
- Wszystko dobrze. Małżeństwo jej służy.

Seb wyszczerzył zęby, ale zaraz spoważniał.

- Pamiętasz Jonathana Mountjoya?
- Tak.

Pamiętała go doskonale. Wysoki, cichy chłopak zawsze ogromnie poważny, nigdy nie mówiący zbyt wiele.

- Biedny sukinsyn został zastrzelony w Waszyngtonie kilka tygodni temu.

Frannie zamurowało. Wytrzeszczyła na Seba oczy. Miała wrażenie, że wlano jej do żołądka beczkę zimnej wody.

- Jak... jak to się stało?

- Napad bandycki. Podobno Jonathan oddał draniowi portfel, ale ten i tak go zastrzelił.

- Boże, biedny Jonathan! - zawołała Frannie. - To straszne. Okropne.

Zadrzała, poczuwszy się nagle dziwnie zagubiona.

Seb wsunął palce do kieszonki na piersiach i wyciągnął wizytówkę.

- Przekręć do mnie kiedyś. Zjemy razem lunch czy coś. - Uśmiechnął się do Olivera. - Powiem Vicowi, że cię spotkałem.

Odchodząc od ich stolika przystanął na chwilę i odwrócił się do Frannie.

- Fajnie było cię zobaczyć.

- Ciebie też.

Jonathan Mountjoy. Zastrzelony. Martwy. Nie ma go.

- Byliście razem w szkole?

Głos Olivera przestraszył Frannie. Zebrała myśli i uśmiechnęła się przepaszająco.

- Na studiach.

Kelner podał im koktajle. Oliver podniósł swoją szklanę.

- Na zdrowie - powiedział cicho. - Miło cię znów widzieć.

- Ciebie też - odparła Frannie i upiła łyk różowawej, musującej mieszanki, ledwo czując jej przyjemny, morelowy smak.

- Przykro mi z powodu tej wiadomości - że twój znajomy został zabity.

- Dziękuję - odrzekła ciężko. - Prawdę mówiąc wcale go tak dobrze nie znałam. Nie widziałam go od czasu studiów. Ale był miły. - Skuliła ramiona i uśmiechnęła się pogodniej. - Wygląda na to, że żadne z nas nie dostało dziś wieczór specjalnie dobrych wiadomości.

- Nie - przyznał. - Oprócz tego, że tu jesteś. To bardzo dobra wiadomość.

Ich oczy się spotkały.

- Dziękuję - powiedziała.

Przy stole Seba ktoś opowiadał jakąś historię i jedna z dziewczyn protestowała głośnym piskiem. Frannie poczuła na szyi chłodny podmuch klimatyzacji i nagle wzdłuż kręgosłupa wystąpiła jej gęsia skórka. Wypiła kolejny łyk koktajlu, ale alkohol jeszcze nie zaczął działać. Oliver Halkin i nieżyjący Jonathan Mountjoy spleli się w jej umyśle, jakby istniał między nimi jakiś związek. Usiłowała zapanować nad obłąkanym wrażeniem, że ta wiadomość jest złą wróżbą dla jej znajomości z Oliverem. Że powinna się wycofać, teraz, póki jeszcze może.

Stanął nad nimi kelner; spojrzeli w karty, złożyli zamówienie i zapadła niezręczna cisza. Oliver wytrząsnął jedną pałeczkę ze swojej paczuszki *pannini*, po czym położył i pałeczkę, i paczuszkę na stole, wyrównując je starannie, aby leżały równolegle do sztucców.

- Pens za twoje myśli - powiedział.

- Myślałam o tym, jaki to zbieg okoliczności, że wpadliśmy na Seba - i w dodatku obydwójce go znamy.

Oliver ułamał kawałek pałeczki *pannini* i zjadł go w milczeniu.

- Zbiegi okoliczności mnie niepokoją-stwierdził.

- Dlaczego?

Wzruszył ramionami, a potem spuścił oczy na obrus, jakby był zakłopotany tym, co chce powiedzieć.

- W ciągu ostatnich kilku lat zbyt wiele mi się ich zdarzyło - i nie były specjalnie szczęśliwe. Uważam je za zły znak Budzą we mnie niepokój. Pewnie brzmi to idiotycznie.

Frannie uśmiechnęła się do niego, zdumiona, że jest przesądny.

- Zbiegi okoliczności zdarzają się chyba każdemu. Nigdy nie spotykają cię te niewinne - na przykład myślisz o kimś i ten ktoś dzwoni?

- Nie sądzę, żeby istniało coś takiego jak nic nie znaczący zbieg okoliczności.

Obserwując jego poważną twarz, poczuła się odepchnięta i jej sceptyczny uśmiech zgasł.

- Co sprawiło, że tak myślisz?

Przez dłuższą chwilę bawił się paczuszką *pannini*, a potem odpowiedział w sposób, który bynajmniej nie poprawił Frannie samopoczucia.

- Przypuszczam, że najgorszym zbiegiem okoliczności była śmierć mojej żony.

Rozłożył ręce w bezradnym geście.

- Przykro mi - odrzekła Frannie. - Jak to się stało?

Poczuła, że musi to wiedzieć.

Oliver pochylił się do przodu, mocno przycisnął paznokcie do obrusu i z wyrazem głębokiego skupienia na twarzy zaczął rysować prostą poprzeczną linię.

- Niemal każdy zbieg okoliczności - powiedział bez związku, jakby nie usłyszał jej pytania. - Wpadnięcie na kogoś, jak teraz na Seba Hollanda. Wyjście tego samego numeru kilka razy pod rząd. Cokolwiek.

Skupienie ustąpiło nagle miejsca słabemu uśmiechowi, który wydawał się być skierowany raczej do całego wszechświata niż do Frannie.

- Francuski matematyk Laplace powiedział, że przypadek jest wyrazem ignorancji człowieka.

- I ty w to wierzysz?

Podniósł kieliszek za nóżkę, ujął jego czarkę w dłoń i powoli zakręcił nim dookoła, przyglądając się zawartości z podejrzliwą miną.

- Chaos. Wszystkie te bąbelki strzelają na ślepo. Ale efekt jest udany; ma to dobry smak i oszałamia. Porządek z chaosu! Widzisz?

Nadal trzymał kieliszek w powietrzu, jakby wpadł w nastrój dziecinnego zadowolenia.

- Może następny zbieg okoliczności przyniesie ci szczęście - powiedziała Frannie i napiła się koktajlu.

- Może - odparł bez przekonania.

Przez głowę przemknął jej pewien obraz. Jonathan Mountjoy ubrany w stary, podniszczony płaszcz stoi z rękami w kieszeniach i patrzy w przestrzeń. Takim właśnie go pamiętała, zawsze trochę na uboczu, w swoim własnym świecie. Powolny, cichy Jonathan oddaje portfel, nagle pojawia się pistolet, pada strzał.

Koniec.

Przełknęła ślinę, położyła dłonie na obrusie, sięgnęła niezdarnie po kieliszek i znieruchomiała, uświadomiwszy sobie, że jest pusty.

Nie sądzę, żeby istniało coś takiego jak nic nie znaczący zbieg okoliczności

- Mozzarella dla signoriny!

Kelner postawił przed nimi talerze i potrząsając młynkiem do pieprzu nad minestrone Olivera, kilka razy mocno, z chrzęstem zakręcił korbką.

Inny kelner przyniósł butelkę wina i ceremonialnie ją otworzył. Frannie popatrzyła na swój talerz, ale nie miała już apetytu. Chciała, żeby ktoś jej powiedział, że zakochanie się w Oliverze Halkinie niczym jej nie grozi. Spojrzała na niego przez stół. Próbował wina, trzymając kieliszek w jednej dłoni. Druga leżała na stole, duża i silna, pokrętko od zegarka chowało się we włosach na przegubie. Do jego oczu powrócił smutek i Frannie ogarnęła nieprzeparła chęć, żeby wyciągnąć rękę i dotknąć tej dłoni,

uspokoić Olivera, uspokoić samą siebie.

Jej pociąg do Olivera rósł, ale razem z nim rósł niepokój. Niemal jakby czytał w jej myślach, Oliver uśmiechnął się do niej.

Rozmawiali z ożywieniem przez całą kolację, z której Frannie udało się co nieco skubnąć. Głównie roztrząsali zagadnienie sensu życia, podejmując swe wywody w miejscu, w którym przerwali je na wtorkowym lunchu. Uznała Olivera za wymagającego rozmówcę, a on otworzył jej umysł na świat matematyki i fizyki. Odprężywszy się trochę, powiedziała mu, że próbowała czytać „Krótką historię czasu”, ale zrezygnowała w połowie. Roześmiał się i odparł, że on zrezygnował w jednej czwartej, a potem przedstawił jej teorie Hawkinga w taki sposób, że zrozumiała je lepiej, jeśli nie całkowicie.

Do kawy Frannie wypić dwa kieliszki Sambuki i gdy tuż po pierwszej opuścili restaurację, była przyjemnie wstawiona; czuła się teraz z Oliverem pewniej.

Mozoląc się z zapięciem pasa bezpieczeństwa, uświadomiła sobie mgliście, że tego wieczoru piła głównie ona. Nie zauważyła nawet, czy Seb Holland był jeszcze w restauracji, czy już wyszedł.

Oliver odwiózł ją do domu i odprowadził po schodkach pod same drzwi. Miała nadzieję, że nie posunie się do niczego, bo nie potrafiłaby mu się oprzeć, a chciała, żeby kiedy będą się kochać, było wspaniale, tymczasem czuła się zbyt pijana, aby mogło tak być.

- Wejdiesz na kawę? - zapytała.

- Powinienem... powinienem już wracać. Jest dość późno. -

Nagle jakby ogarnęło go zakłopotanie. - Zastanawiałem się... Jutro wraca Edward... To jego ostatni weekend w domu, zanim wyjedzie do szkoły.

Frannie zobaczyła w mglistym świetle latarni, że Oliver się rumieni, i nie była pewna, co za chwilę usłyszy.

- Jeśli nie jesteś zajęta, czy chciałabyś... pojechać na weekend na wieś? Na King's Cross wpadłaś Edwardowi w oko.

Spróbowała rozważyć ewentualne przeszkody, ale jej serce z góry wszystkie odrzuciło. Następnego dnia było jakieś przyjęcie, na które nie miała specjalnej ochoty, i powinna wpaść do rodziców na niedzielny lunch, ale już wcześniej myślała, żeby się od tego wykręcić. Po ostatniej awanturze mogła się obyć bez widoku rodziców przez kilka tygodni.

- Z przyjemnością - powiedziała.

Oliver wyglądał na szczerze zadowolonego.

- Co ty na to, żebym wstąpił po ciebie o dziesiątej?

- Co mam ze sobą zabrać?

- Kalosze. Nie wiem, jaka jest prognoza. Ubieramy się po domowemu. I kostium kąpielowy.

- Będę gotowa na dziesiątą.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, a potem Oliver musnął wargami jej policzek, wspiął się po schodkach i przystanął czekając, aż znajdzie się bezpiecznie w środku.

Kiedy zamykała drzwi i zasuwawała zasuwkę, czuła się tak, jakby ktoś podniósł ją z ziemi i ustawił na piedestale. Przyjemny żar oczekiwania pogrzebał jej wcześniejsze obawy. Słowo „wieś” wywołało w jej myślach obraz starego domu z kamienną podłogą i prawdziwym kominkiem, akrów pól i lasów. Widziała, jak robią długie spacery, może jedzą lunch w ogródku pubu. Leniuchują nad basenem, przyglądając się owcom po drugiej stronie płotu. „Wpadła chłopcu w oko.” Edwardowi. Cieszyło ją to, a nawet dość jej pochlebiało.

Przeszła do kuchni, włączyła światło i zobaczywszy w zlewie kwiaty Olivera, zaczęła nerwowo szukać czegoś, w co mogłaby je wstawić. Przypomniała sobie o prostej, białej wazie z zielonym ceramicznym pałakiem, prezencie od Meredith Minns na któreś urodziny, i wydobyła ją z za sterty głębokich talerzy.

Starannie ułożyła kwiaty w wazie, nie czując się ani trochę senna i szalejąc ze szczęścia, po czym zaniósła ją do sypialni i postawiła na środku kominka. Wąchając je kolejno, rozpostarła białe i brzoskwiniowe goździki oraz żółte i pomarańczowe lilie, a na koniec cofnęła się, by je popodziwiać.

Było po drugiej, gdy poszła do łóżka, nastawiwszy budzik na ósmą. Po wyłączeniu światła długi czas leżała nie śpiąc i huczało jej w głowie.

Kiedy w końcu usnęła, przyśnił jej się złowieszczy sen, w którym biegła ciemnymi, pustymi ulicami jakiegoś miasta. Przed sobą, na tle wielopiętrowego budynku, widziała sylwetkę Jonathana Mountjoya. Ale chociaż on stał w miejscu, a ona biegła, w ogóle się do niego nie zbliżała. W jakimś zaułku zastukały kroki. Ktoś pędził w stronę Jonathana z pistoletem w ręku. Frannie usiłowała krzyknąć, żeby go ostrzec, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Widziała wymierzony w Jonathana pistolet i trzymającą go dziką, drżącą dłoń.

- Jonathannnnnnnn!

Obudził ją strzał. Podskoczyła na łóżku.

Ludzie krzyczeli. Wyły syreny samochodu policyjnego i karetki pogotowia. Nagle uświadomiła sobie, że syrena jest prawdziwa, wyje gdzieś w oddali. Ale strzał rozległ się tutaj, w tym pokoju. Jakiś trzask albo uderzenie.

Ktoś tu jest.

Zmroził ją strach. Przez chwilę była zbyt przerażona, by się poruszyć. Potem powoli wyciągnęła rękę, szukając po omacku kontaktu. Włączyła światło.

Ciemność na powrót wskoczyła w ściany. Frannie powiodła wokół przestraszonym wzrokiem. Sypialnię wypełniała tylko dziwna cisza. Nic się nie poruszało, nic nie oddychało, ale coś było nie w porządku. Na suficie leżały cienie od lampy; dokładnie nad jej głową siedziała mucha. Popatrzyła na wiszące na ścianach reprodukcje, na szafę. Piekło ją w gardle, w ustach czuła suchość. Popatrzyła na kominek. Na kominek, na którym tak starannie ustawiła wazę z kwiatami.

Waza stała tam nadal, ale nie było w niej kwiatów.

Usiadła sztywno na łóżku. Kwiaty leżały rozrzucone po całej podłodze, jakby zostały tam ciśnięte przez kogoś lub coś w gniewie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Oliver zjawił się tuż po dziesiątej, ubrany w sportową bluzę, luźne czerwone spodnie i staromodne sznurowane żeglarskie buty; zaniósł torbę Frannie do starawego, oblepionego zaschniętym błotem range rovera.

- Co się stało? Twój renault urósł od wczoraj? - zapytała.

Roześmiał się.

- Używam renault tylko w Londynie; jest tak rozklekotany, że chyba by nie przeżył długiej jazdy.

Wnętrze range rovera było równie zaśmiecone i nieporządne jak wnętrze renault, a na wyłożonym zmiętymi dywanikami tylnym siedzeniu wały się dodatkowo pogryzione kółka i gumowe kości.

- Zabawki Kapitana Kirka - wyjaśnił Oliver.

- Kapitana Kirka?

- To pies Edwarda; traktuje ten wóz jak swoją budę.

Wyruszyli z Londynu na południe. Początkowo ruch był duży i jechali powoli, ale na autostradzie zrobiło się luźniej. Słońce prażyło z bezchmurnego nieba. Frannie miała na sobie kraciastą koszulę, białe bawełniane spodnie i sportowe buty, a na ramiona zarzuciła cienki sweter. Był to strój lekki i wygodny, lecz jej myślom daleko było do lekkości. Czowała się zmęczona, z niewyspania piekły ją oczy.

Łamała sobie głowę sprawą kwiatów. Obeszła całe mieszkanie, ale okna i drzwi wejściowe były zamknięte. Nikt nie mógłby się dostać do środka. Włożyła kwiaty z powrotem do wazy i gdy zobaczyła je w niej rano, zaczęła się poważnie zastanawiać, czy nie był to po prostu sen. Albo zwykły wypadek, na który zareagowała przesadnie.

Chcąc zbudować sobie obraz farmy, poprosiła Olivera, żeby opowiedział o niej coś więcej. Odparł, że jego zarządca i młodszy brat, Charles, jest zagorzałym zielonym i farma ma teraz charakter niemal całkowicie ekologiczny. Rozwijają na dużą skalę naturalną hodowlę bydła i owiec, co niesie ze sobą wiele problemów. Niektóre z nich jej objasnił. Dowiedziała się też, że Charles jest rozwiedziony i w weekendy sprawuje opiekę nad swoim synem Tristra-mem, rówieśnikiem Edwarda.

Pomyślała, że Oliver nie jest kierowcą, za którym chciałaby jechać. Przez większość czasu prowadził dobrze, choć może trochę za szybko, ale niekiedy, gdy mówił o czymś, co go szczególnie pasjonowało, przejeżdżał całe mile z włączonym kierunkowskazem albo zapominając wrzucić wyższy bieg, tak że silnik rzeził irytująco. Kilkakrotnie Frannie była zupełnie pewna, że Oliver nie zatrzyma się na czerwonym świetle i odruchowo wbijała stopę w podłogę.

Na autostradzie jazda stała się spokojniejsza. Okna były otwarte i fale powietrza przepływały przez

samochód, bijąc Frannie po twarzy kosmykami jej włosów. Rozparła się w fotelu i zaczęła się odprężyć, obserwując krajobraz przez ciemne okulary.

W miarę jak oddalali się od Londynu, oddalało się też niepokojące wspomnienie bezsennej nocy. Weekend zapowiadał się obiecująco i Frannie postanowiła dobrze się bawić. Podróż powrotna wydawała jej się odległa o setki lat i była ciekawa, czy do tego czasu zostaną z Oliverem kochankami.

Znajomi, z którymi Edward był we Francji, mieli tego ranka złapać prom do Dover i podrzucić chłopca do domu koło południa. Wypadek na motorówce wyraźnie przygnębił Olivera; chociaż nie mówił dużo o synu, czuła, że Edward bardzo wiele dla niego znaczy. Uświadomiła sobie, jak mało właściwie wie o Oliverze. Ich rozmowy dotyczyły głównie ich specjalności zawodowych, ich poglądów na życie, a o swoich rodzinach wspomnieli tylko pobieżnie. Poprzedniego wieczoru nie udało jej się naprowadzić go z powrotem na temat śmierci jego żony. Pragnęła się dowiedzieć, w jaki sposób umarła i jakie zbiegi okoliczności tak bardzo go udręczyły, ale nie chciała okazywać niezdrowej ciekawości.

Sylwetka South Downs zablokowała horyzont jak ogromna zapora i zaczęła się przybliżać. Po kilku milach skręcili z autostrady na wschód, w ruchliwą drogę lokalną. Otoczył ich silny fetor nawozu, ale nawet to Frannie uznała za ożywcze po zatykającym, tłustym powietrzu Londynu.

- Gdzie Edward chodzi do szkoły? - zapytała.
- Do Stowell Park. To szkoła przygotowawcza, jakieś dziesięć mil od nas. Łatwo mi go zabierać na weekendy.
- Mieszka w internacie?
- Tak.
- Nie ma nic przeciwko temu?
- Nie. Sam tak chciałem.

Przez przerwę w żywopłocie Frannie dostrzegła przelotnie gorączkowy zamęt wyprzedzającej samochodowej.

- A ty mieszkałeś w internacie?
- Tak, odkąd skończyłem siedem lat.
- Jak ci się to podobało?
- Nie znosiłem internatu. W ogóle nienawidziłem szkoły.
- Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

- Pewnie dlatego, że nie mogłem robić tego, co chciałem. I nie lubiłem gier zespołowych. -

Uśmiechnął się i podrapał w ucho. -Jako dziecko interesowałem się wyłącznie matematyką i samolotami. Tymczasem wolno nam było latać szybowcem tylko w jedno popołudnie w tygodniu, i to tylko latem, a nauczycieli matematyki uważałem za bandę idiotów. - Uśmiechnął się ponownie. - Chyba nie byłem zbyt dobrze przystosowany do szkoły. A ty ją lubiłaś?

- Tak, przeważnie. Zwłaszcza historię i łacinę. Podczas wakacji nie mogłam się doczekać początku roku szkolnego. Pewnie uważano mnie za okropnego kujona.

- A mnie wszyscy uważali za leniwego łobuza, który nie lubi, jak się go popędza. Prawdopodobnie mieli rację.

- Edward naprawdę lubi szkołę?

- Tak - odparł Oliver, po czym na chwilę zamilkł.

Jechali obwodnicą, omijając jakieś stare miasto położone na wzgórzu; na szczycie Frannie dostrzegła mury obronne zamku.

- Lewes - wyjaśnił Oliver. - Stolica hrabstwa Sussex.

- Gdzie w 1264 roku Szymon z Montfort pokonał i wziął do niewoli Henryka III.

Popatrzył na nią pytająco.

- Rodzinne miasto Gideona Mantella, który odkrył dinozaury -dodała. - Pierwotnie saska warownia, potem opactwo kluniackie.

- Mądrała z ciebie!

Uśmiechnęła się szeroko.

Przez kilka mil jechali rozległą, płaską doliną wcinającą się głęboko w podnóże Downs, po czym zwolnili i skręcili w obramowaną zarośniętymi zielskimi murkami boczną drogę, która wiła się jednostajnie w górę. Kiedy zaczęli zjeżdżać w dół, Frannie zobaczyła wiszący nad bagnistym polem brezent mgły. Minęli znak ograniczenia prędkości do trzydziestu mil na godzinę, a potem tablicę zasłoniętą częściowo kępą wysokich pokrzyw.

„MESTON. PROSZĘ JECHAĆ WOLNO.”

Droga biegła teraz płasko. Z przodu po lewej stronie pojawił się typowy dla Sussex przyjemny wiejski dom z kamienia i Frannie zastanawiała się, czy do niego skręcać. Oliver jednak nawet nań nie spojrzął i po chwili wjechali do małej, nie zeszpeconej nowoczesnością wioski zabudowanej podobnymi kamiennymi domami. Minęli staroświecki wiejski sklep, pub o nazwie Sherfield Arms i normański kościół, który Frannie uznała za interesujący.

Za wioską droga zaczęła się pięć stromo pod górę, z jej lewej strony biegło ogrodzenie pola, a z prawej ceglany mur, ponad którym widać było gęste korony dorodnych drzew jakiegoś wspaniałego, rozległego parku. Oliver zredukował bieg i gdy brali zakręt, Frannie zauważyła coś dziwnego ponad wierzchołkiem znajdującego się przed nimi wzgórza. Wyglądało to jak zastygły w locie gigantyczny

ptak. Kiedy podjechali bliżej, zobaczyła, że jest to jeden z dwóch potężnych kamiennych gryfów, ustawionych na ceglanych kolumnach bramy.

Oliver zwolnił i włączył kierunkowskaz. Na białej tablicy, osadzonej na słupie o ciężkiej podstawie, widniał czarny napis: „MESTON HALL. Godziny otwarcia 10 - 17.”

Frannie spojrzała na Olivera, ale nic nie wyczytała z jego twarzy. Gryfy górowały nad nimi, złowrogie stworzenia o wyszczerzonych dziobach i łuskowatych ogonach. Oliver skręcił w bramę i wjechał w elegancką aleję, obsadzoną z obu stron żywopłotami, prowadzącą ku zgrabnemu, kamiennemu budynkowi stajni. Przez jego środek przechodził sklepiony wjazd, nad którym wznosiła się kopulasta wenecka wieżyczka ze złotą tarczą zegara. Wskazówki stały na jedenastej czterdzieści.

Przejechawszy pod lukiem, znaleźli się na obramowanym cisowymi żywopłotami skrzyżowaniu z drogowskazem, którego strzałki pokazywały różne kierunki: KAPLICA. HERBACIARNIA. PARKING. DOM. OGRÓD. FARMA. Osobna, wolno stojąca tablica głosiła: „Markiz Sherfield przeprosza zwiedzających za wszelkie niedogodności powstałe w wyniku niezbędnych prac remontowych.” W sercu Frannie wezbrała niepewność; zastanawiała się, czy Oliver prowadzi z nią jakąś grę. Skręcił w aleję oznaczoną strzałkami „Dom” i „Parking”. Gdy wyjechali z za żywopłotu, dom nagle pojawił się przed nimi.

Był to elżbietański dwór z czerwonej cegły, równie duży jak wspaniałe pałace, które jako dziecko zwiedzała z rodzicami, zbudowany na szczycie wzgórza i górujący nad całą doliną.

Jego architektura miała charakter romantyczny i wielkopański: ceglane kominy wznoszące się majestatycznie w niebo, rzędy wysokich, laskowanych okien z gotyckimi gzymsami, okazałe drzwi wejściowe w wieży z blankami. Wzdłuż fasady biegł żwirowy podjazd, oddzielający ją od eleganckiego, otoczonego kamienną balustradą trawnika, poniżej którego zaczynał się schodzący w dolinę park.

- Czy to tutaj?

Oliver skinął głową z miną przyłapanego na psocie uczniaka.

Drogę zagroziła im tabliczka: „Zakaz wjazdu wszelkich pojazdów”. Po prawej stronie znajdowała się budka z biletami, a za nią drewniany mostek, prowadzący ponad rowem z wodą na opadające w dół stoku pole, na którym rósł olbrzymi, sękaty dąb i parkowało pół tuzina samochodów. Mimo swej okazałości dom miał smutny, zaniedbany wygląd. Grunty również, jakby o ich utrzymanie toczono walkę, pozbawioną widoków na zwycięstwo.

Jakaś potężnie zbudowana kobieta po sześćdziesiątce pospieszyła ku nim z ręką podniesioną w powitalnym geście i Oliver zatrzymał samochód. Obok kobiety przemknął spaniel odmiany springer i szczekając zawzięcie stanął pod drzwiami samochodu od strony Olivera. Kiedy ten je otworzył, pies wgramolił mu się na kolana i zaczął go lizać po twarzy.

- Kapitan Kirk! Cześć, stary! Cześć! Cześć! Przywitaj się z Fran-nie.

Pies przeskoczył na kolana dziewczyny tłukąc dookoła ogonem, dał się jej pogłaskać, a potem śmignął jak szalony przez kolana Olivera, wyskoczył z wozu i szczeknął na nich wyczekująco.

Kobieta dotarła do samochodu, ciężko sapiąc przystanąła, aby złapać oddech, i obrzuciła Frannie szybkim, ale uważnym spojrzeniem. Miała miłą, dość przystojną twarz i była ubrana w przyciasną błękitną koszulkę z wydrukowanym złotymi literami napisem „Me-ston Hall, East Sussex”. Jej głos brzmiał dziarsko, dźwięczał w nim lekko gardłowy wiejski akcent.

- Dzień dobry, lordzie Sherfield.

- Dzień dobry, pani B. Jak nam idzie?

Frannie patrzyła na Olivera z rosnącym zdumieniem. Zaczynała tracić grunt pod nogami. Kobieta ponownie omiotła ją wzrokiem, co sprawiło, że poczuła się jak eksponat w gablotce, i zakipiiała złością na Olivera o to, że nie starał się jej natychmiast przedstawić.

- Tydzień był nie najgorszy - powiedziała kobieta. - A dzisiaj też jak na razie dobrze. Przyjechało już kilkanaście osób.

Oliver z aprobatą skinął głową. Pies nadal szczekał.

- Cicho! - wrzasnął Oliver.

Kobieta znów zaczęła sapać i przesunęła wierzchem dłoni po czole, jakby na znak, że nie lubi upału.

- Wczoraj mieliśmy dobry dzień w herbaciarni. Przyszła wycieczka. Dwadzieścia cztery osoby. Wszyscy zamówili pełny podwieczorek.

- Wspaniale. Bardzo dobrze. Dobra robota.

Silnik pracowicie terkotał, a Frannie siedziała z uprzejmym uśmiechem na twarzy, świadoma, że kobieta ją obserwuje. Najwyraźniej nie powiedziano jej wielu rzeczy i miała nadzieję, że zdoła przetrwać najbliższe dwadzieścia cztery godziny, niczym się nie kompromitując. Uważnie słuchała, gdy kobieta znów zwróciła się do Olivera. Mimo nerwowego podniecenia graniczącego z paniką postanowiła trzymać rękę na pulsie.

- Możemy wyciągnąć z herbaciarni dużo więcej. Powinniśmy się zastanowić, czy nie zostawić jej otwartej przez zimę. Myślę, że na wycieczkach moglibyśmy dobrze zarobić.

- Tak... tak, na pewno ma pani rację... - Oliver skinął w zamyśleniu głową, zerkając na Frannie. - To... hmm... panna Monsanto -powiedział. - Pani Beakbane.

Pani Beakbane przygięła się i przechyliła głowę, żeby lepiej widzieć Frannie.

- Jak się pani ma? - zapytała miłym, lecz nieco ugrzecznionym tonem, co Frannie uznała za trochę krępujące.

- Dzień dobry - odparła ostrożnie.

Oliver pchnął dźwignię zmiany biegów do przodu.

- Dobrze... hmm... zobaczymy się później.

- Aha, jeszcze jedno. Młody Cliff Weber z wioski bardzo chciałby zamienić z panem parę słów.

Oliver zwolnił bieg.

- Cliff Weber? - powtórzył z niepewną miną.

- Chłopak Charleya Webera.

- Aha.

Oliver nadal wyglądał na trochę zakłopotanego. Pani Beakbane rozejrzała się dookoła, jakby chcąc się upewnić, że nikt jej nie usłyszy.

- Żeni się. Chce porozmawiać z panem o domu.

- Miałem zamiar pojechać dziś po południu do biura pełnomocnika.

- Powiem mu, żeby tam wpadł, dobrze?

- Tak, dobrze. Koło trzeciej.

Oliver wjechał powoli na zwirowy podjazd - Kapitan Kirk biegł obok samochodu - i ruszył wzdłuż fasady domu.

- Pani B. - powiedział - ma w sobie coś z megiery, ale trzyma tu wszystko żelazną ręką.

Zahamował i czekał cierpliwie, aż młody Japończyk zrobi swojej dziewczynie zdjęcie przy frontowych drzwiach.

Frannie odwróciła się do Olivera z kpiącą miną.

- Lord Sherfield?

Miał na tyle przyzwoitości, żeby się spieszyć.

- Nie używam tego tytułu zbyt często. Moja żona zwykła... -urwał.

- Więc jesteś parem?

- Niestety niezbyt aktywnym. Kiedy nie jestem w banku, większość czasu poświęcam ratowaniu tego miejsca.

Frannie wyjrzała przez okno. Z bliska zaniedbany stan domu jeszcze bardziej rzucał się w oczy. Kamienne obramowania okien zostały kiedyś pomalowane i teraz schodziła z nich farba. Elementy kamieniarki poodpadały. Murarka pilnie wymagała spojenia na nowo, a setki lat wiatrów i deszczów wytarły cegły do surowej gliny. Ściany za rynnami pokrywał zielony szlam. Nie przycinane krzewy pięły się do góry, nie dopuszczając światła do niektórych okien, a nawet wdarły się gdzieś do środka.

Frannie skupiła uwagę na herbie, wyrzeźbionym na kamiennej tarczy ponad drzwiami. Wśród innych symboli zauważyła gryfa, a poniżej jakąś łacińską inskrypcję, zbyt wytartą, by można ją było odczytać. Japończyk uśmiechnął się wesoło i Oliver pojechał dalej. Kiedy spróbowała objąć to wszystko myślą, ogarnęło ją wrażenie nierealności. Nie mogła uwierzyć, że to naprawdę dom Olivera, i że spędzi tu weekend. Wyobraziła sobie aprobatę ojca.

Podjazd kończył się niskim murkiem, za którym był dekoracyjny okrągły staw z kamienną, nieczynną fontanną. Duża tablica głosiła: TEREN PRYWATNY. ZWIEDZAJĄCYM WSTĘP WZBRONIONY.

Oliver zaciągnął hamulec i wyłączył silnik. W ciszę wdarło się szczekanie Kapitana Kirka. Gdy Frannie wyskoczyła z samochodu, pies nagle oszalał. Ślizgając się na żwirze zrobił kilka szerokich pętli w pogoni za własnym ogonem, a potem przesadził murek, obiegnął dookoła staw i popędził w stronę rosnących w oddali buków. Frannie zatrasnęła drzwiczki; brzęk wisiał przez chwilę w powietrzu, po czym znów zapadła kompletna cisza. Po kilku sekundach przerwało ją dalekie beczenie owcy.

Oliver otworzył tylne drzwi i wyjął ich rzeczy. Frannie podeszła przez trawnik do balustrady i z przyjemnością wciągając w nozdrza zapach trawy, zaczęła się przyglądać połaci schodzącego w dolinę parku. Faliste łąki - na jednej pasło się kilka koni, a na innej duże stado owiec - opadały ku gęstemu,

dorodnemu lasowi porastającemu dno doliny. Między drzewami migotało perliście jezioro. Las wchodził na daleki stok i pod wierzchołkiem ustępował miejsca upstrzonemu białymi punkcikami owiec pastwisku. Cała okolica usiana była kamiennymi obeliskami, klasycznymi kolumnami, posągami i pawilonami, co jeszcze potęgowało doznawane przez Frannie poczucie nierealności.

Odwróciła się do Olivera, który stał w milczeniu obok niej, trzymając bagaże.

- To naprawdę oszałamiające - stwierdziła, ale jej i tak już osłabione niepokojem podniecenie stłumił zaraz przypływ gniewu.

- Mam ochotę cię zabić - dodała.

- Dlaczego? O co ci chodzi?

- Dlaczego mi o tym wszystkim nie powiedziałaś? Myślałaś, że się wystraszę?

- A jak miałam ci powiedzieć?

Przeszła kilka kroków, stawiając stopy między kołyszącymi się źdźbłami traw.

- Nie wiem.

- Dlaczego się denerwujesz?

- Postawiłaś mnie w kłopotliwej sytuacji. Nawet nie przywiozłam ze sobą żadnej przyzwoitej sukienki.

- Boże! To nie jest żadna oficjalna okazja. Będziemy tu tylko we dwoje.

- A cały twój personel?

Oliver otoczył Frannie ramieniem i delikatnie ją uściskał.

- Wyglądasz cudownie tak jak jesteś, nie potrzebujesz sukni balowej. Tutaj nosi się dzinsy. - Pocałował ją lekko w policzek. - No chodź, rzućmy gdzieś te torby.

Posłała mu spojrzenie na poły gniewne, na poły uśmiechnięte.

- Jak długo tu mieszkacie?

- Od 1580 roku.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że jesteś taki stary

Kąciki jego oczu zmarszczyły się w uśmiechu, a podmuch wiatru przeczesał mu włosy na czole.

- Halkinowie mieszkają tu, odkąd dom został zbudowany. Nie zawsze jednak przechodził z ojca na syna - w ciągu wieków linia się trochę rozmyła.

Odwrócił się i niosąc bagaże przeszedł przez przerwę w murku. Idąc za nim, Frannie stwierdziła ku

swemu zdumieniu, że dom ma jeszcze boczne skrzydło. Było zbudowane w tym samym stylu co korpus główny, ale głęboko cofnięte za pas prostokątnych, wymagających uporządkowania klombów. Dalej zobaczyła rząd szklarni i mur kuchennego ogrodu. Pióropusz gęstego, błękitnego dymu z ogniska przypomniawszy jej, że lato dobiega już końca.

- To część, w której mieszkam... mieszkamy - powiedział Oliver.

Poszła za nim biegnącą wzdłuż domu wąską żwirową alejką, ograniczoną z jednej strony pasem bujnej trawy. Minąwszy trzmiela balansującego jak cyrkowy akrobata na rozkołysanej wiatrem gałązce pnącej róży i nadmiernie rozrośniętą hortensję, zatrzymali się pod drzwiami. Były drewniane, wykonane w tym samym stylu co drzwi głównej fasady, ale nie wysunięte do przodu. Ponad nimi Frannie zauważyła kolejną tablicę herbową z gryfem na jednym z pól.

Kiedy Oliver z ostrym zgrzytem przekręcał klucz w zamku, umysł Frannie zarejestrował coś znajomego w łacińskiej dewizie, wypisanej na wstędze pod herbem. W oddali usłyszała pojedyncze, żalobne uderzenie dzwonu i spojrzała na zegarek. Była jedenasta czterdzieści pięć.

Podniosła wzrok na herb i ponownie przeczytała dewizę. - *Non omnis moriar*. Automatycznie przetłumaczyła ją w myślach. *Nie*

wszystek umrę.

Oliver przytrzymał dla niej drzwi i marszcząc brwi weszła do dużej, ciemnej sieni. Oczywiście znała tę dewizę ze szkolnych lekcji łaciny, ale napotkała ją również gdzieś indziej i ta myśl ją zaniepokoiła. Nie wiedziała jednak dlaczego.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Zaczekawszy na Kapitana Kirka, Oliver zamknął drzwi. Wewnątrz było przyjemnie chłodno i bardzo ciemno. Frannie uświadomiła sobie, że nadal ma na nosie okulary przeciwsłoneczne, ale nawet gdy je zdjęła i jej oczy odpowiednio się dostroiły, nie zrobiło się dużo jaśniej. Słońce wpadało przez wąskie okna, stwarzając dramatyczny efekt światłocienia i chwytając pyłki kurzu w pułapkę promieni.

Byli w dużej, wyłożonej boazerią sieni o kamiennej, częściowo przykrytej pięknymi chodnikami posadzce. Pośrodku znajdował się okrągły stół z wazonem świeżych kwiatów. Szerokie dębowe schody prowadziły na półpiętro, gdzie stała rycerska zbroja.

Wzrok Frannie padł na stojące na podłodze pękate naczynie z brązu w formie zwróconych do siebie tyłem baranów. Podeszła doń, aby lepiej mu się przyjrzeć. Było zimne i, mimo skomplikowanych żłobień wyobrażających sierść, gładkie w dotyku. Zapomniawszy o swym skrępowaniu, odwróciła się do Olivera promieniejąc podnieceniem.

- Jak długo to masz?

Popatrzył na naczynie z lekko oszołomioną miną.

- Właściwie nawet nie wiem, co to jest - powiedział.

- Pochodzi z Chin - odparła. - Nazywa się *zun*.

- *Zun?*

W oczach Olivera błysnęła kpina.

- Przechowywano w nim wino. Wiesz, ile ma lat?

- Chyba około dwustu. Przywiózł go ze Wschodu któryś z moich przodków. Prowadziliśmy tam interesy.

Wyteńczywszy wzrok w słabym świetle, Frannie przyjrzała się uważnie rzeźbionemu wzorowi na rogach baranów. Nie bez trudu podniosła koniec naczynia i zerknęła na spód jednej z nóg.

- Sądzę, że to dynastia Shang; mniej więcej od 1700 do 1050 roku przed naszą erą.

Oliver był wyraźnie zaskoczony.

- Mój ojciec używał tego jako stojaka na parasole - powiedział.

Frannie pomyślała, że żartuje, ale z jego wyrazu twarzy poznała, że nie.

- Jest bezcenny.

- Mamy tu mnóstwo rozmaitych rupieci. Nigdy nie zostały porządnie skatalogowane. Może powinienem cię do tego zatrudnić.

- Jeśli tylko wszystko jest wschodnie albo rzymskie, dam sobie radę. Na innych rzeczach nie bardzo się znam.

- Na miejscu domu stała pierwotnie rzymska willa.

- Przeprowadzano tu kiedykolwiek jakieś wykopaliska?

- Około 1820 roku. Znaleźli mozaikową podłogę i łaźnię, a potem całość zasypali i posadzili na wierzchu buki.

- Boże, dlaczego?

- Myślę, że mieli już dość wizyt obcych ludzi wtykających we wszystko nos. - Podniósł bagaże. - Dobrze... rzućmy to gdzieś.

Wspięli się po schodach, które biegły wzdłuż ściany pokrytej malowidłami przedstawiającymi sceny myśliwskie, przeszli przez drzwi z pięknym nadprożem, minęli wiadro przeciwpożarowe i gaśnicę, zdaniem Frannie nadające wnętrzu instytucjonalny ton, i poszli szerokim, ciemnym korytarzem. Ich buty skrzypiały na wy-froterowanych deskach podłogi.

Oliver zatrzymał się przy jakichś drzwiach i wskazał na koniec korytarza.

- Tędy dojdiesz do głównej części domu - tej, która jest otwarta dla zwiedzających - gdybyś się chciała kiedyś przespacerować. Oczywiście musiałybyś kupić bilet.

- Bilet?

Zobaczyła jego minę i uświadomiła sobie, że się z nią przekomarza.

Otworzył jej drzwi i weszła do dużej, skąpo umeblowanej sypialni, w której pachniało zbutwiałym płótnem. Mimo wlewającego się do środka słońca czuć tu było chłodem i wilgocią, jakby pokoju nie odnawiano od lat i rzadko używano.

Oliver włączył kontakt przy drzwiach i wyraźnie zaskoczył go fakt, że żarówka się zapaliła. Przyglądał się jej przez kilka chwil z niemal prymitywnym zdumieniem na twarzy, a potem zgasił światło i zaniósł torbę Frannie na szezlong, który stał u wezgowia przypominającego katafalk łóżka z dwiema kolumnkami.

- Ubikacja jest w głębi korytarza, drugie drzwi po lewej stronie, a umywalnia tuż obok. Niestety, ludzie epoki elżbietańskiej nie mieli zwyczaju budować apartamentów z łazienkami.

Frannie spojrzała przez okno na dolinę.

- Nieprawdopodobny widok. Ile z tego to twoja ziemia?

- Na północ aż do głównej drogi, tej, z której zjechaliśmy, a na południu do rzeki, której stąd nie widać.

- Twoja ziemia ciągnie się aż do wsi, przez którą przejeżdżaliśmy?

- Wieś... hmm... należy do mnie.

- Należy do ciebie?

- Tak. - Podrapał się w czubek nosa i miał na tyle przyzwoitości, żeby się uśmiechnąć. - Liczy około siedemdziesięciu domów -wszystkie wynajęte za symboliczny czynsz. Duża część gruntów uprawnych jest puszczona w dzierżawę, więc w większości domów mieszkają pracownicy rolni.

- Czysty feudalizm.

- Owszem. Posłuchaj, na pewno chcesz się odświeżyć czy coś takiego. Pójdę zrobić kawę i spotkamy się na dole.

W łazience była wyszczerbiona, poplamiona wanna z lanego żelaza i umywalka. Kiedy Frannie odkręciła mosiężny kurek, kran zadrgał z ostrym stukiem, a po dłuższej chwili plunął rdzawą wodą z gwałtownością strażackiego węża.

Skontrolowała twarz w dużym lustrze i poprawiła włosy. Otaczało ją wrażenie nierealności, niemal jakby znalazła się w innym wymiarze i nie bardzo znała obowiązujące w nim reguły.

Gdy zeszła na dół, sień wypełniał mocny aromat kawy. Krótkim korytarzykiem przeszła do dużej kuchni o przytulnej, domowej atmosferze. Na półce nad antracytowym piecem stały miedziane garnki; z haków zwisały sznury cebuli i wianek czosnku; na drewnianym kredensie porozstawiano samochodziki; na wytartej kanapie leżała pogryziona tenisówka. Otwarte drzwi prowadziły do

zmywalni.

Oliver siedział ze słuchawką telefoniczną w ręku przy starym dębowym stole, niebezpiecznie wychylając się do tyłu na krześle i stukając ołówkiem w kolano. Za nim żarzyło się czerwone światło bulgoczącego ekspresu do kawy.

- Tak, dobrze, za jakąś godzinę pojedę do biura pełnomocnika, ale to wszystko. W ten weekend nie będę miał zbyt dużo wolnego czasu. - Mrugnął do Frannie.

W kącie Kapitan Kirk z prychnieniem, sapaniem i gwałtownym machaniem ogona zapamiętał wygrzebywał zabawki ze swojego koszyka i tarosił leżący w nim koc. Okna wychodziły na zacieniony wewnętrzny dziedziniec. Frannie dostrzegła zardzewiały ruszt i jakieś ogrodowe meble.

- Dobrze, o trzeciej. Do zobaczenia - powiedział Oliver z pewną niechęcią i odłożył słuchawkę. - Grzesznik nie może zaznać spokoju.

Frannie popatrzyła na niego.

- Dzierżawcy. Wiecznie jakieś problemy W połowie wypadków pełnię rolę jednoosobowej poradni małżeńskiej. - Bez zainteresowania przerzucił pocztę. - Przerażające jest to, że oni rzeczywiście kierują się moimi radami.

- Może twoje rady są dobre - zauważyła Frannie.

- Nie, po prostu mam dar przekonywania.

Podszedł do kredensu i zdjął z haczyków dwa kubki.

- Jak duży personel tu mieszka? - zapytała.

Oliver potrząsnął głową.

- Nikt tu nie mieszka.

- Nikt? - zdziwiła się. - A ta kobieta, która do nas wyszła, pani Deakdene?

Postawił kubki na stole.

- Beakbane. Nie, ona mieszka z mężem we wsi. Przenosi się tu tylko wtedy, gdy mnie nie ma, żeby opiekować się Edwardem. Poza tym cztery kobiety przychodzą codziennie do sprzątnia.

Zmarszczył brwi na widok jakiejś koperty, rozdarł ją, zerknął na list i wyrzucił go do kosza.

- A co z gotowaniem?

- Albo pani B., albo ja. - Stuknął się kciukiem w pierś, a potem wyłączył ekspres i nalał kawę do kubków. - Niestety jest tu trochę skromnie i prymitywnie. Wszystkie pieniądze pożera konserwacja domu. Przez długi czas prawie nic się nie robiło i jest teraz w dość rozpaczliwym stanie. Cukier, mleko?

- Czarna, dziękuję. Dostajesz jakieś dotacje?

- Tak - z English Heritage i od władz lokalnych - ale zwracają tylko część kosztów, albo przyznają niewielkie subwencje. - Wyjął z lodówki butelkę mleka i zdjął kapsel. - W północnym skrzydle osiada ściana, tam, gdzie jest rusztowanie. Jej podparcie kosztowało trzy czwarte miliona.

Uśmiechnął się ponuro.

- Czy właśnie dlatego dom jest otwarty dla publiczności?

- Wpływy ze zwiedzania nie są duże. Mamy około sześciu tysięcy gości rocznie, po trzy funty od osoby, zarabiamy też trochę na folderach, herbaciarni i tak dalej, ale wszystko idzie na pensje personelu. Na przykład musimy zatrudniać strażników do każdej sali. Trzeba być jednak otwartym dla publiczności, żeby móc się ubiegać o dotacje na konserwację. Dostajemy około czterystu tysięcy funtów na poczet kosztów.

- A resztę musicie zdobyć sami?

- Tak.

Przyniósł Frannie kubek z kawą, postawił go na stole i posłał jej długie, czułe spojrzenie.

- Dziękuję, że przyjechałaś.

Uśmiechnęła się, wzruszona.

- Dziękuję, że mnie zaprosiłeś.

Zapadła swobodna, ciepła cisza i Frannie zapragnęła nagle, żeby Edward nie przyjechał, żeby mogli być sami.

- Odziedziczyłeś to wszystko po rodzicach?

Oliver usiadł na brzegu stołu i podmuchał w swój kubek.

- Ojciec przepisał na mnie majątek za życia, żeby uniknąć płacenia podatku spadkowego. Przeprowadzili się z matką do mniejszego domu na farmie. - Utkwił wzrok w unoszącej się parze.

- Żeby nie płacić podatku spadkowego, testator musi przeżyć siedem lat od momentu przekazania praw własności. Ojciec umarł na dwadzieścia cztery godziny przed wygaśnięciem tego terminu.

- Boże! Więc musiałeś zapłacić podatek?

- Tak. - Wzruszył ramionami. - Był dość dobijający. Jeszcze go spłacam.

- Musiałeś coś sprzedać?

- Nasze dwa najlepsze obrazy - Canaletta i Vermeera.

Skulił ramiona i przyciągnął kubek do piersi, jakby chciał się ogrzać jego ciepłem.

- Nie uznaję wyprzedawania rzeczy. Uważam, że każdy, kto tu mieszka, ma obowiązek przekazać swoim następcom to, co odziedziczył, nienaruszone, a nawet w lepszym stanie. Muszę robić, co w mojej mocy, i mam nadzieję, że w przyszłości Edward będzie postępował tak samo.
- *Zun* byłby dużo wart, gdybyś...

Zabrzączał dzwonek u drzwi i jednocześnie rozległo się ostre stukanie kołatki. Kapitan Kirk przemknął ze wściekłym szczekaniem przez kuchnię i popędził korytarzem. Odstawiwszy kubek, Oliver zeskoczył ze stołu.

- To mogą być oni! - powiedział i pospiesznie wyszedł z kuchni.

Frannie zawahała się, niepewna, czy ma pójść za nim. Usłyszała dźwięk otwierania drzwi, a potem gwar głosów.

- Edward! Hej, hej, hej! Jak się masz?
- Kapitan Kirk! Cześć, Kirk! Dobry piesek! Tatusiu, wiesz co? Prawie mieliśmy wypadek! Prawie mieliśmy zderzenie!

Chociaż Frannie słyszała głos Edwarda tylko raz, poznała go natychmiast.

- Wcale nie, głupku! - odezwał się głos innego chłopca, bardzo natarczywy.
- Naprawdę, tatusiu! Ten samochód zajechał nam drogę. Musieliśmy ostro hamować.
- Był milę od nas, głupku. Prawie wcale nie musieliśmy hamować.
- Cześć, Clive! - powiedział Oliver. - Caroline! Wyglądacie wszyscy wspaniale!

Wzrok Frannie przyciągnęła wisząca na ścianie kompozycja fotograficzna. Podeszła bliżej, by ją obejrzeć. Było tam kilka zdjęć ładnej, rudowłosej kobiety mniej więcej w jej wieku i jedno przedstawiające Olivera, jakiegoś chłopca, w którym rozpoznała Edwarda, i tę samą kobietę - domyśliła się, że to zmarła żona Olivera - stojących obok skrzydła niewielkiego samolotu. Podobieństwo między kobietą a chłopcem było uderzające. Nie mogąc opanować ciekawości, Frannie dokładniej przyjrzała się lady Sher-field. Dostrzegła klasyczne rysy angielskiej arystokratki. Strój wycieczkowy od znanego projektanta mody. Miała wrażenie, że potrafi wyobrazić sobie jej głos: przenikliwy, afektowany, pewny siebie. I twardy?

Była w tym zdjęciu jakaś szczęśliwa niewinność. Cała rodzina razem, wybiera się dokądś lub po prostu pozuje. Frannie znów popatrzyła na kobietę, zastanawiając się niedorzecznie, czy na podstawie fotografii można poznać, że ktoś ma umrzeć. Cofnęła się, zaniepokojona mrocznością tej myśli.

Frannie czuła się niezręcznie nic nie robiąc. Chciała wyglądać interesująco na wypadek, gdyby Oliver wprowadził gości, żeby ją przedstawić.

- Jesteśmy cholernie zmęczeni - powiedział w sieni kobiety głos. - Nocowaliśmy w hotelu przy

drodze, na której non stop hurgotały ciężarówki.

- Tatusiu, na kolację jadłem ślimaki - odezwał się Edward.

Frannie zaczynała się czuć jak podsłuchiwaczka.

- Nieprawda - sprzeciwił się drugi chłopiec. - To nie były prawdziwe ślimaki.

- Właśnie że tak. Nie ma fałszywych ślimaków.

- Właśnie że nie. Prawda, mamusiu?

- Chcecie kawy albo drinka?

- Powinniśmy już jechać - odparł męski głos. - Matka Caroline spodziewa się nas na lunch.

- Mam dla ciebie niespodziankę, Edwardzie! - zawołał Oliver.

- Jaką? Powiedz!

Nagle zapadła cisza, jakby Oliver zniżył głos do szeptu. Frannie poczuła, że ulatują z niej resztki pewności siebie. Usłyszała kroki i odwróciła się, przygotowana na towarzyski blamaż. W drzwiach stał Edward, ubrany w białą koszulkę, dżinsy i espadryle. Miał opaloną buzię, obsypaną większą ilością piegów niż kiedy go widziała poprzednio, a z czubka nosa schodziła mu skóra.

Jego inteligentne zielone oczy rozszerzyły się, a na usta wypłynął uśmiech, będący dokładną repliką uśmiechu Olivera.

- Hej! Jesteś tą panią ze stacji!

Frannie odprężyła się i odwzajemniła uśmiech, tak jak poprzednio natychmiast poczuwszy do chłopca sympatię.

- Zgadza się.

Nagle przybrał poważną minę.

- Prawie mieliśmy wypadek.

- Naprawdę?

- Jakaś kobieta zajęła nam drogę. Wujek Clive musiał bardzo, bardzo mocno hamować. - Zamilkł na chwilę. - On nie jest moim prawdziwym wujkiem, ale tak go nazywam.

- Jak ci się udały wakacje?

Edward stał, przyglądając się jej bez słowa, jakby nie usłyszał pytania.

- Okropna historia - powiedziała kobieta w sieni.

- Kto prowadził łódź? - zapytał głos Olivera.
- Syn Jean-Luca, Albert. Zwykle jest bardzo ostrożny. Wiesz, jak to jest. Dzieciaki uwielbiają prowadzić łodzie. Edward też trochę prowadził, i Dominik. Problem polegał na tym, że dorośli byli lekko wstawieni - ciągnęli od rana - i zostawili wszystko dzieciakom.
- I nikt nie zauważył tej dziewczyny?
- Wypłynęła dość daleko od brzegu, ale morze było w miarę spokojne. Albert powinien był ją zauważyć, nie wygłupiał się ani nic. Nie potrafi tego wyjaśnić. Biedny Jean-Luc jest w strasznym stanie.
- Umiesz jeździć na nartach wodnych? - zapytał Edward Frannie.
- Nie.
- Ja umiem już jeździć na jednej nartce. Dominik tego nie potrafi; umiał tylko zaczynać na obydwóch, a potem jedną zrzucić.

Do kuchni wszedł drugi chłopiec. Miał nalaną, agresywną twarz i jasne włosy w nieporządnym kępkach, a ubrany był w jaskrawą koszulę i bermudy. Zatrzymał się w bezpiecznej odległości od Edwarda i wykrzywiwszy się ze złości, zaczął na niego krzyczeć.

- Wiesz co? Jesteś świrem! Prawdziwym świrem! Jesteś naprawdę głupi i nie chcę cię więcej widzieć. Jesteś głupim, głupim palantem!

Rzucił się na Edwarda, uderzył go pięścią w prawe ramię i w pierś, po czym wybiegł z kuchni.

Edward nie cofnął się ani nawet nie drgnął, ledwo przyjmując ten atak do wiadomości. Frannie podziwiała jego opanowanie.

- Dominik bał się wchodzić do wody, bo zobaczył meduzę -powiedział, jak gdyby nic się nie stało.

W drzwiach pojawiła się wysoka, drobnokoścista kobieta, wyglądająca na zgrzaną i zmęczoną podróżą; jej suche, jasne, zaczesane do tyłu włosy przytrzymywała kwiecista opaska. Była ubrana w lekką, wygniecioną tunikę, miała wyniosły, dość pogardliwy wyraz twarzy i harmonizujący z nim akcent. Gdy mówiła, przeciągała każde słowo, właściwie nie poruszając przy tym wargami.

- O, dzień dobry - powiedziała.
- Dzień dobry - odparła Frannie, czując się nieco przez nią przytłoczona.

Kobieta obdarzyła ją skąpym, protekcjonalnym uśmiechem i wyszła. Frannie usłyszała, jak mówi w sieni:

- Czy to nowa opiekunka do dziecka, Oliverze?

Suka, pomyślała.

W głosie Olivera zadźwięczało zakłopotanie.

- Nie... to Frannie... pozwólcie, że was sobie przedstawię, zupełnie nie myślę...
- Nie, naprawdę musimy już jechać - stwierdziła stanowczo kobieta.

Obydwoje z mężczyzną kolejno zawołali do Edwarda „do widzenia”.

- Jest taka jedna meduza, która może cię zabić w ciągu kilku sekund - odezwał się Edward, całkowicie to ignorując.
- Edwardzie, oni odjeżdżają. Chodź się pożegnać - krzyknął Oliver.

Chłopiec skrzywił się i z ociąganiem wymaszerował z kuchni.

- Zadzwoń do ciebie, Oliverze - powiedział głos kobiety. - Koniecznie chcę, żebyś kogoś poznał. To moja bliska przyjaciółka, przepiękna dziewczyna. Właśnie przeżyła okropny rozwód. Myślę, że ci się spodoba. A teraz najlepsze: skończyła matematykę w Cambridge! Zorganizuję coś w ciągu najbliższych paru tygodni.

Frannie bezskutecznie wyteńczyła słuch, ciekawa odpowiedzi Olivera, czując silne ukłucie zazdrości oraz pragnienie, by pójść do sieni i udusić kobietę. Wyglądało na to, że jest tu zbędna. Zaczęła się zastanawiać, czy nie powinna była jednak zostać w Londynie i iść na tamto przyjęcie.

Głosy ucichły. Frannie z ulgą ponownie spojrzała na fotografie, myśląc o napaści chłopca na Edwarda i o dziwnie dojrzałej reakcji tego ostatniego. Jedno ze zdjęć przedstawiało Edwarda, łowiącego ryby w jeziorze z małej wiosłowej łódki. W tle znajdowała się przystań i zwisające nad nią drzewa. Woda była spokojna, a chłopiec trzymał wędkę ze śmiertelnie poważną, skupioną miną.

- Umiesz jeździć konno?

Głos Edwarda przestraszył Frannie.

- Nie - odparła, odwracając się do niego.
- Mógłbym cię nauczyć, jeśli chcesz. Mój koń, Sheba, jest bardzo łagodny.

Uśmiechnęła się.

- Spróbuję.

Chłopcu rozjaśniła się buzia.

- Naprawdę? Sheba jest dość stara - ma czternaście lat; służy do polowania.
- Polujesz?

Na zewnątrz trzasnęły drzwiczki samochodu. Potem następne. A potem rozległ się krzyk, początkowo cichy i powolny, ale wciąż rosnący, aż przeszedł w ostry skowyt podobny do wycia syreny. Dopiero po

chwili Frannie uświadomiła sobie, że jest to krzyk ludzki.

- Myślę, że dość lubię polować, ale martwi mnie to, bo polowanie jest okrutne - powiedział Edward, jakby w ogóle nie słyszał krzyku.

- Chyba powinniśmy zobaczyć, co się stało - stwierdziła Frannie, gdy krzyk jeszcze się wzmógł.

Podeszła do drzwi. Edward nie ruszył się z miejsca. Przebiegła przez sień, wypadła na dwór i popędziła żwirową alejką.

Wokół zaparkowanego obok range rovera srebrnego volvo kombi panowało zamieszanie. Jasnowłosa kobieta histerycznie wrzeszczała. Łysiejący dość pulchny mężczyzna rozpaczliwie próbował otworzyć tylne drzwiczki volvo, zapierając się nogą o kolo i naciskając obydwoma rękami kłamkę.

Krzyk dobiegał z wnętrza samochodu.

Przez otwarte okno widać było napiętą, wykrzywioną bólem twarz chłopca. To on krzyczał.

Frannie zobaczyła ku swemu przerażeniu, że jego dłoń została przytrzaśnięta drzwiami od strony zawiasów; palce dostały się między ramę okna i futrynę.

W kierunku volvo biegł jakiś mężczyzna oraz pani Beakbane i druga kobieta w koszulce Meston Hall. Kobieta w przepasce na włosach - Frannie wynioskowała, że to matka chłopca - wgramoliła się do samochodu od drugiej strony i zaczęła jak szalona pchać drzwi od środka.

Krzyk chłopca stawał się coraz głośniejszy, dźwięczał w nim ból i przerażenie. Po lakierze spływały kropelki krwi, głęboki szkarłat kontrastował z zakurzonego metalicznym srebrem. Nadbiegł Oliver, chwycił palcami górną listwę drzwi i też zaczął ciągnąć. Łysiejący mężczyzna na moment oderwał od ziemi obie nogi, aby wykorzystać dla przeciwwagi cały ciężar ciała. W końcu drzwi się otworzyły, z odgłosem pęknięcia jak wyważony łomem sejf.

Na krótką chwilę krzyk ustał i ucichły kroki.

Trzy palce oderwały się jeden po drugim od framugi drzwi. Frannie pomyślała najpierw, że chłopiec zwalnia uścisk. Ale palce upadły miękko na żwir. Wśród ciszy słyszała, jak lądują.

Oliver objął komendę. Posłał panią Beakbbane, żeby zadzwoniła po karetkę, a Frannie kazał iść ze sobą. Przebiegli przez dom i wpadli do kuchni. Edward gdzieś zniknął, ale w panice Frannie ledwo to zauważyła. Kapitan Kirk ze szczekaniem wskoczył do kuchni za nimi.

- Ścierki, tamta szuflada! - krzyknął Oliver, odkręcając kran i przeszukując pomieszczenie wzrokiem.
- Zmocz je!

Otworzył szarpnięciem jedną szufladę, potem drugą i przetrząsnąwszy ją wyciągnął długą ostrzałkę do noży Frannie chwyciła naręczę ścierek do naczyń i wepchnęła je do zlewu. Oliver pomógł jej je wykręcić, po czym popędzili z powrotem do samochodu.

Oszołomiona matka chłopca przytrzymała owiniętą wokół jej dłoni zakrwawioną chusteczkę. Oliver ujął chłopca za rękę i zdjął chusteczkę. Palec wskazujący wisiał na wąskim pasku skóry. Z

trzech kikutów tryskała nierówno krew; trochę jej spadło jak krople deszczu na dżinsy Frannie, gdy przykucnęła obok z mokrymi ścierkami w pogotowiu. Musiała połknąć żółć, która wezbrała jej w gardle. Chłopiec krzychał niezmordowanie ile sił w płucach, robiąc przerwy tylko dla nabrania powietrza spazmatycznym haustem. Strumyk ciepłej krwi uderzył Frannie w policzek, potem drugi w czoło. Poczowała, jak spływa w dół ku oku. Odwróciła się, znów mocno przełykając ślinę i walcząc z przyływem mdłości, niezdolna spojrzeć ani na dłoń chłopca, ani na jego wykrzywioną, poczerwieniałą twarz.

Oliver owinął chłopcu dłoń ścierką, a Frannie pomogła mu okręcić nią nadgarstek. Powtórzyli tę operację z drugą ścierką, po czym Oliver obwiązał całość trzecią i przy pomocy Frannie oraz matki chłopca, używając ostrzałki do noży jako dźwigni, skręcił ją mocno, aby powstała opaska uciskowa. Zdenerwowany ojciec chłopca pochylał się nad nimi, przeszkadzając w opatrunku. Lekki skurcz ożywił wyraz całkowitej bezradności malujący się na jego twarzy.

Oliver zebrał odcięte palce, zawiązał je w kolejną ścierkę i podał Frannie.

- Zapakuj to do lodu - polecił.

Zamieszanie przyciągnęło uwagę kilkorga zwiedzających. Obserwowali całą scenę z niewielkiej odległości i rozmawiali między sobą, próbując odgadnąć, co się wydarzyło. Jedna z kobiet powiedziała, że na pewno chłopca pogryzł pies.

- Dom? Nic ci nie jest, Dom?

Edward pędził ku nim z przerażeniem na buzi.

- Dom? - spojrzał na kolegę, a potem na Frannie. - Co się stało? - Jego oczy poleciały ku opasce. - Hej, Dom... - Zbladł.

Frannie wpadła do domu zastanawiając się, gdzie Edward był w ciągu ostatnich kilku minut i dlaczego nie pobiegł do samochodu razem z nią. Rozłożyła ścierkę na blacie zlewozmywaka i popatrzyła na trzy palce, z których sączyła się krew. Wyglądają jak kupione w sklepie ze śmiesznymi rzeczami, pomyślała. Nagle zakręciło jej się w głowie; żołądek stanął jej dęba; straciła równowagę, przytrzymała się zlewu i zwymiotowała. Z oczu płynęły jej łzy. Otarła je rękawem, wypłukała zlew, umyła ręce i zmusiła się do racjonalnego działania.

W lodówce było kilka tacek z lodem. Zaczęła szukać odpowiedniego pojemnika. Krzyk się zbliżał i po chwili Oliver wniósł Dominika do kuchni, a za nim weszli rodzice i Edward. Pani Beakbane próbowała pocieszyć chłopca zapewnieniami, że zaraz przyjedzie karetka. Gdy Oliver położył go na kanapie, podeszła do zlewu i spojrzała na palce z zadziwiającą nonszalancją, która sprawiła, że Frannie poczuła się niepotrzebna.

- Podczas wojny byłam siostrą Czerwonego Krzyża - powiedziała pani Beakbane, jakby w formie wyjaśnienia, i zaczęła jej pomagać w wyjmowaniu kostek lodu. Frannie znów odniosła wrażenie, że jest niedoświadczona i tylko przeszkadza.

Krzyk stracił na sile i przeszedł w falujący, płaczliwy jęk bólu. Edward kręcił się wokół kanapy ze strapioną miną. Objął kolegę ramieniem, ale chłopiec odtrącił go i znów zaczął krzyczeć, jeszcze

gwałtowniej niż poprzednio. Jego matka siedziała obok ze zbielełą twarzą.

- Posłuchajcie - odezwał się ojciec - ta cholerna karetka może tu być za godzinę. Sam go zawiozę.
- Nie - zaproponował Oliver. - Trzeba go zawieźć gdzieś, gdzie wykonują zabiegi mikrochirurgiczne - może będą w stanie przyszyć mu palce. Jeśli pojedziesz w niewłaściwe miejsce, stracisz cenny czas; wydaje mi się, że zakończenia nerwów umierają już po kilku godzinach.
- Po sześciu - stwierdziła autorytatywnie pani Beakbane. - Mój Harry stracił mały palec w kosiarce, ale znaleźliśmy go dopiero następnego dnia.

Ojciec podszedł do zlewu i na widok palców szybko odwrócił głowę. Frannie cofnęła się, pozwalając, aby pani Beakbane zapakowała je starannie, z wykorzystaniem wszystkich kostek lodu. Potem zostały umieszczone w lodówce turystycznej i obłożone wkładami mrozącymi.

Oliver zadzwonił do znajomego lekarza, który podał mu parę nazwisk i doradził szpital oddalony od Meston Hall o niecałe pół godziny jazdy, co wyraźnie sprawiło ulgę ojcu.

Pogotowie zjawiło się kilka minut później. Chłopiec i matka pojechali karetką, ojciec ruszył za nimi volvo. Frannie, Oliver i Edward przyglądali się w odrętwieniu, jak odjeżdżają. Parę krótkich gwizdów syreny przeszło powietrze, a potem zapadła cisza.

Zawrócili w stronę domu, Oliver zatopiony w myślach, Frannie niepewna, co powiedzieć. Edward zatrzymał się przy stawie. Frannie czekała na niego przez chwilę, po czym weszła do środka. Pani Beakbane przeprosiła ich, mówiąc, że musi wrócić do herbaciarni, gdzie załatwiała pewną sprawę.

Oliver wylał do zlewu resztkę kawy z ekspresu i odkręcił kran. Zebrawszy ze stołu kubki, Frannie podeszła do niego.

- Zostaw - mogą pójść do zmywarki.

Słyszając te słowa, poczuła się jeszcze bardziej niepotrzebna. Jakby jeszcze nie odnalazła swojej roli. Oliver przesunął wzrokiem po jej twarzy i zniżył głos.

- Masz ślady barw wojennych.

Dotknęła palcami policzka i zobaczyła na nich krew.

- O Boże!

Pobiegła na górę do łazienki. Zobaczywszy swe odbicie w lustrze, przeraziła się. Na czole i policzkach miała smugi krwi. Wokół oczu rozmazany tusz. Znów wywróciły jej się wnętrzności. Cierpka żółć urosła jej w gardle i musiała zwymiotować. Potem rozebrała się i umyła, włożyła dzinsy i górę do umywalki, żeby je namoczyć, owinęła się ręcznikiem i poszła się przebrać do sypialni.

Kiedy wróciła na dół, Edward siedział w kuchni, przeglądając gazetę jak dorosły człowiek. Podniósł wzrok na ojca.

- Myślisz, tatusiu, że będą w stanie przyszyć Domowi palce?

- Dzięki mikrochirurgii lekarze potrafią dziś robić bardzo sprytne rzeczy.

- Szkoda, że to nie lewa ręka - powiedział Edward. - Wtedy przynajmniej mógłby nadal uprawiać sporty.

Uwaga chłopca zawisała w powietrzu. Zapadła długa cisza, którą mącił jedynie dźwięk ogryzania kości przez Kapitana Kirka. Edward zamknął „Daily Mail” i zaczął przerzucać strony „Timesa”.

- Zapomniałeś naprawić mój tor samochodowy, tatusiu.

- Nie zapomniałem. W jednym z samochodów zablokowały się koła.

- Nie działa.

Frannie zmarszczyła brwi, zastanawiając się, kiedy Edward zdążył się pobawić jakimikolwiek zabawkami. I czego szuka w gazecie.

- Działa. Włączyłeś transformator?

- Jesteś do niczego, tatusiu. Powinieneś był go oddać do naprawy w Lewes.

- W zeszłą niedzielę działał. Spędziłem nad nim godzinę.

Edward nie sprawiał wrażenia przekonanego. Oliver spojrział na zegarek.

- Zaplanujmy jakoś popołudnie. - Uniósł przeproszającym gestem ramiona, patrząc na Frannie. - Mam parę rzeczy do zrobienia. Chciałabyś poleżeć nad basenem? Popływać? Woda jest bardzo ciepła.

- Czy mogę oprowadzić Frannie po terenie?

Oliver dał jej znak oczami, że nie musi się zgodzić. Mrugnęła do niego, po czym uśmiechnęła się do Edwarda.

- Dziękuję, bardzo chętnie się przejdę.

- Czy mogę pokazać Frannie samolot, tatusiu?

- Muszę zajrzeć do samolotu, żeby obrócić silnik; może was tam dogonię.

- Naprawdę masz na imię Frannie? - zapytał Edward.

- Tak.

Wyciągnął do niej rękę i przez chwilę myślała, że chce jej uścisnąć dłoń. Ale on chwycił ją mocno i pociągnął delikatnie ku sobie, jakby miał jej do zakomunikowania jakąś pilną wiadomość. A potem powoli, nie rozluźniając chwytu, poprowadził ją ku drzwiom.

Zerknęła na Olivera i zauważyła w jego wpatrzonych w syna oczach dziwny wyraz niepokoju. Cień, który przemknął mu przez twarz, był cieniem lęku. Odwróciła się do Edwarda, ale zobaczyła tylko

ufną twarz małego chłopca, który znalazł nowego przyjaciela.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Frannie i Edward minęli wolnym krokiem range rovera i poszli wzdłuż fasady domu. Kapitan Kirk biegł tuż za nimi. Jakiś ptak zaświergotał, jakby łyżeczka zadzwoniła o porcelanę. Kiedy Frannie wdychała niesione wiatrem zapachy, czując na twarzy ciepło popołudniowego słońca, okropności sprzed godziny zaczęły ustępować z jej myśli; nie ustąpił jednak niepokój. Nadal się zastanawiała, dlaczego Oliver nie powiedział jej o swoim tytule; dlaczego nie powiedział o Meston Hall; czy miało to na przykład jakiś związek ze śmiercią jego żony. I czy nie powiedział jej o czymś jeszcze.

Unikając patrzenia na żwir, żeby nie zobaczyć śladów krwi, przyglądała się fasadzie domu i wyławiała wzrokiem szczegóły jej zniszczenia: brakujący kamień w gzymsie; pęknięte okno; ptasie gniazdo pod okapem; osy wlatujące i wylatujące przez dziurę w dachu.

Starszy mężczyzna z aparatem w błyszczącym futerale i kobieta w słomkowym kapeluszu wchodzili właśnie do środka frontowymi drzwiami i Frannie dostrzegła marmurową podłogę oraz białe kolumny. Edward pokazał na dolinę.

- Za tymi wzgórzami jest Kanał Angielski*. (***Kanał La Manche. Anglicy używają własnej nazwy - English Channel.**) A tam po prawej stronie Brighton - w pogodną noc widać łunę światła.

- Lubisz tu mieszkać? - zapytała Frannie.
- Tak, dosyć.
- Tylko *dosyć*?
- Lubię niektóre rzeczy - odparł nieco weselej.
- Masz tu dużo kolegów?
- Chyba tak.

Wydawało się, że chce powiedzieć coś jeszcze, ale potem zmienił zamiar.

Minęli dom i weszli na prywatną drogę, prowadzącą do obsadzonego żywopłotami skrzyżowania.

- Czy Frannie jest zdrobnieniem od czegoś?
- Moje pełne imię to Francesca.
- To imię włoskie?
- Tak.
- Czy to znaczy, że jesteś katoliczką?
- Tak, jestem katoliczką. - Zdumiało ją to pytanie. - A ty kim jesteś?

Edward milczał przez chwilę, po czym wsadził ręce do kieszeni i wbił wzrok w ziemię.

- Mamy własną kaplicę.
- Mogę ją zobaczyć?
- Nie ma tam nic do oglądania.
- To by mnie interesowało.

Pokazał na wprost.

- To tam, ale nie warto iść.
- Nie mogłabym na chwilę zajrzeć do środka?
- Po co?

W jego głosie dźwięczało dziwne napięcie i Frannie niemal zaczęła żałować, że upierała się przy tym pomysle.

- Bardzo interesują mnie kościoły.
- No dobrze.

Zaczekali, aż przejedzie samochód pełen turystów, przecięli alejkę, przeszli przez przerwę w żywopłocie i kaplica pojawiła się przed nimi. Była mała, wąska, obrośnięta wybujałymi chwastami i równie zaniedbana jak wszystko inne. Mocno wydeptana żuźlowa ścieżka prowadziła do drzwi przez maleńki cmentarz usiany starymi nagrobkami.

Wnętrze robiło wrażenie bardziej zadbanego. Po bokach stały marmurowe i alabastrowe grobowce, a w posadzkę wmurowane były tablice. Frannie przeczytała jedną z nich. *Lord Thomas Bouverie Henry Halkin. 15-ty markiz Sherfield. 1787-1821.*

Podczas gdy Edward szedł powoli środkiem nawy, przesuwając niedbale dłonią po pulpitych ławek, Frannie badała wzrokiem konstrukcję kaplicy, próbując określić czas jej powstania. Głęboko osadzone, masywne przypory i gładko ociosane kamienie; typowe dla stylu pionowego* (***Styl pionowy, inaczej perpendykulamy, odmiana późnego gotyku w architekturze angielskiej, panująca od ok. 1370 do 1550 roku.**)manswerki w skomplikowany geometryczny wzór. Geometria, pomyślała nagle. Matematyka. Słowa wypowiedziane przez Olivera podczas wtorkowego lunchu odbiły się echem w jej głowie. *Matematyka i konstrukcja są nierozdzielne.*

- Są tu pochowani wszyscy markizowie Sherfield z okresu czterystu pięćdziesięciu lat - powiedział Edward. - Oprócz jednego.

Stał ze wzrokiem wbitym w posadzkę przed sobą. Frannie podeszła do niego. Patrzył na onyksowy prostokąt z brązową tabliczką pośrodku. Napis na tabliczce brzmiał: *Lady Sarah Henrietta Louise Halkin, markiza Sherfield. 1963-1988.*

Edward poczerwieniał i Frannie wyczuła wiszące w powietrzu napięcie, jakby wtargnęła w sferę prywatności. Pomyślała, że pewnie dlatego ociągał się z pokazaniem jej kaplicy. Powinna była się domyślić, że tutaj może być pochowana jego matka, i pluła sobie teraz w brodę.

Chłopiec zaczął cicho nucić i po kilku taktach rozpoznała „Swing Low Sweet Chariot”. Potem się odwrócił i wolnym krokiem, jakby mu się nie spieszyło - jakby miał czas do końca świata - ruszył ku wyjściu, nucąc coraz głośniej, tak, jak mógłby nucić ktoś, kto jest sam w ciemności i chce dowieść, że się nie boi.

Kapitan Kirk leżał posłusznie na zewnątrz. Edward przestał nucić i ukląkł przy nim, mówiąc mu, że był dobrym pieskiem. Potem opuścili cmentarz i poszli drogą dla furmanek, która schodziła w dół ku zabudowaniom farmy. Rozdzielała ich niewidzialna bariera. Frannie zastanawiała się, co powiedzieć, żeby naprawić sytuację, uświadomiwszy sobie nagle, jak niewiele wie o dzieciach. Nie była przyzwyczajona do zajmowania się problemami osieroconych małych chłopców i po prostu nie wiedziała, co robić. Niemal chciała, żeby pojawiła się pani Beakbane. Nie miała pojęcia, co Edward czuje widząc swojego ojca z inną kobietą.

Przelatujący samolot przeciął niebo białą smugą. Gruby piasek chrząścił im pod stopami.

- Powiedziałaś, że jeden markiz nie został pochowany w waszej kaplicy. Kto to był?
- Lord Francis Halkin - odparł Edward. - Drugi markiz.
- Gdzie jest pochowany?
- Nie wiem. - Zniżył głos, jakby dopuszczał ją do sekretu. - Sporo ludzi nie bardzo go lubiło.
- Dlaczego?
- Chciałbym zostać pochowany w miejscu, które byłoby całkowicie tajne. Żeby nikt nie wiedział, gdzie jestem - stwierdził, nie odpowiadając na jej pytanie.
- Żebyś nie musiał spędzać wieczności ze swoimi przodkami? Wolałbyś poznać po śmierci jakichś nowych ludzi?

Edward zachichotał.

- Myślę, że byliby *śmiertelnie* nudni, a ty?
- Ponieważ by *śmiertelnie* milczeli?
- Dokładnie tak! - powiedział. - Wystaw rękę.

Wystawiła, a Edward przekręcił ją wnętrzem dłoni do góry i przyklepał.

- Dokładnie tak! - powtórzył przy tym. - Musisz tak robić, kiedy mówisz „dokładnie tak”!
- Zapamiętam. Dokładnie...

Urwała, ponieważ leżący na ziemi kamień przyciągnął jej wzrok. Uklękła i podniosła go. Wyjęła z kieszeni chusteczkę do nosa, napluła na nią i potarła jedną stronę kamienia, która była niemal płaska. Przyjrzała mu się uważnie, podczas gdy Edward obserwował ją w milczeniu, po czym podsunęła go chłopcu.

- Patrz!

Spojrzał na kamień tępym wzrokiem.

- Na co?

Frannie ostrożnie pokazała palcem.

- Widzisz? Odcisk muszli.

Przyjrzał się uważniej, nadal niepewny.

- To skamielina muszli morskiej, ostrygi czy czegoś.

Rozjaśniły mu się oczy.

- Rety, rzeczywiście! Jest naprawdę stara?

Skinęła głową.

- Ma dziesięć tysięcy lat; może więcej.

- Myślisz, że jest warta dużo pieniędzy?

Potrząsnęła głową.

- Cała Anglia jest nimi usiana.

- Nigdy dotąd żadnej nie widziałem.

- Pewnie nigdy dobrze nie patrzyłeś. - Podała mu skamielinę. - Weź ją sobie.

- Ty powinnaś ją wziąć, bo ty ją znalazłaś.

- To prezent.

- Hej! Świetnie! Dziękuję.

Ruszyła dalej, czując, że mimo wszystko dochodzi z synem Olivera do jakiegoś porozumienia. Ale zaskoczyła ją jego następna uwaga.

- Myślisz, że umarli pozostają umarli, Frannie?

Pamiętając o jego matce celowo obróciła odpowiedź w żart.

- Nie sądzę, żeby ta ostryga ożyła.

- Ale może ożyć jej duch.

Kombajn przegryzał się przez zboże na polu po ich prawej stronie. Ściernisko ciągnęło się daleko, niskie i najeżone. Frannie wdychała jego suchy, kłujący zapach. Pomyślała, że Edward jest dziwnym chłopcem, dojrzałym ponad wiek. Garbił się idąc, jakby przygniatał go ciężar tysiąca trosk.

Gdy podeszli od tyłu do potężnego hangaru z blachy falistej, usłyszeli huk przypominający wystrzał z broni palnej. Frannie aż podskoczyła, a Kapitan Kirk zaszczekał. Potem rozległ się terkot, który brzmiał jak obrót ogromnego koła zapadkowego, i kolejny huk. Edward pobiegł do przodu.

Na betonowej płycie przed hangarem stał range rover Olivera. Drzwi hangaru były otwarte i w środku widać było stary jednosilnikowy dwupłatowiec o rozpiętości skrzydeł równej niemal szerokości pomieszczenia.

Oliver trzymał obydwoma rękami środek jednej z łopatek śmigła i powoli obracał nim w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, a Edward przyglądał mu się z odległości paru stóp. Silnik wydawał głęboki odgłos ssania. Oliver zrobił kilka pełnych obrotów śmigłem, a potem napiął się, gwałtownie pociągnął łopatkę w dół i odskoczył w bok. Rozległ się kolejny, tym razem głośniejszy huk. Silnik zaskoczył i zgasł. Śmigło z trzaskiem wykonało pół obrotu i zatrzymało się znów, terkocząc jak koło zapadkowe. Do góry uniosła się mała chmurka niebieskich spalin. Oliver wyglądał na zaabsorbowanego i Frannie zaczęła się zastanawiać, czy zwyczajnie nie chciałby побыć trochę sam.

Odwrócił się i uśmiechnął do niej wesoło, odgarniając włosy z czoła zabrudzoną smarem ręką. Po twarzy spływał mu pot.

- W zeszły weekend go zapaliłem; muszę spróbować uruchomić go na kilka minut, żeby paliwo zaczęło krążyć, ale on najwyraźniej nie ma na to ochoty. - Popatrzył na samolot z zachwytem. - Co o nim myślisz?

Samolot przypominał Frannie filmy o I wojnie światowej. Prymitywna, otwarta, dwuosobowa maszyna z rozporkami i przewodem między skrzydłami, osadzona na robiącym wrażenie kruchego podwoziu, z nosem sterczącym w powietrze. Paru kawałków poszycia kadłuba brakowało i pod spodem widoczne były wręgi szkieletu oraz blok cylindrów silnika. Dla odmiany śmigło wyglądało nieskazitelnie; było zrobione z ciemnego, pokostowanego drewna i przytrzymywał je wypolerowany aluminiowy kołpak.

- Jest piękny - powiedziała Frannie. - Faktycznie nim leciałeś?

- Nie tym staruszkim. Nie był w powietrzu od dobrych trzydziestu lat. Kupiłem go pięć lat temu jako kompletny wrak. Ale jeszcze kilka miesięcy i poszybuje do góry.

- Tak! - zawołał Edward podnieconym głosem. - Tatuś powiedział, że polecimy do Francji.

Oliver spojrzał na zegarek.

- Lepiej pojedę do biura pełnomocnika. Osoba, z którą jestem umówiony na trzecią, pewnie już czeka.

- Grzesznik nie może zaznać spokoju - powiedziała Frannie.

- Ani chwili. Do zobaczenia za jakąś godzinę.

Frannie i Edward pomogli mu zamknąć hangar, a potem odjechał range roverem.

- Chciałabyś zobaczyć teraz jezioro? - zapytał Edward.

- Tak, jasne - odparła, z uczuciem, że Oliver zostawił ją na pastwę losu, i dochodząc do wniosku, że zarzuciła matka Doma niewiele się chyba pomyliła, gdy zapytała, czy Frannie jest opiekunką do dziecka. Zaczęła się gniewnie zastanawiać, czy Oliver nie zrobił jej w przyjazd tutaj, żeby zajęła się Edwardem. Ponownie wyobraziła sobie przyjęcie mające się odbyć wieczorem w Londynie. Czy popełniła błąd?

Obeszli brzegiem zaorane pole, przeskoczyli rów i znaleźli się u stóp parkingu dla zwiedzających. Kapitan Kirk wybiegał do przodu, a potem wracał w podskokach i znów szedł przy nich. Przeszli przez ogrodzenie i powędrowali szeroką, spadzistą łąką.

- Podoba ci się tutaj, Frannie? - zapytał Edward.

- Jest tu bardzo pięknie.

- Musiałem naprawdę tatusia przycisnąć, żeby się znów z tobą zobaczył.

Przystanęła i utkwiała w nim wzrok.

- Słucham?

- Tatusz nie miał dość odwagi. Powiedział, że byłby zbyt zawstydzony, a poza tym mógł ci się nie spodobać.

- Więc to ty? Ty go namówiłeś, żeby dał ogłoszenie?

Edward potrząsnął głową.

- Powiedziałem mu, że musi spróbować cię odszukać. Uważał, że jesteś miła, ale jest naprawdę bardzo nieśmiały.

- Więc jak go przekonałeś? - zapytała Frannie.

Chłopiec wyglądał na dość zadowolonego z siebie.

- Powierciłem mu trochę dziurę w brzuchu. Ale nie sądzę, żeby trzeba go było aż tak bardzo namawiać.

Przeszli między drzewami i Frannie uśmiechnęła się do siebie. Jej gniew zniknął, bawiła ją przedwczesna dojrzałość chłopca. W oddali trzy razy zadzwonił zegar. Minęli zrujnowany kamienny pawilon i weszli na wysadzaną krzewami lawendy ścieżkę, która biegła obok skupiska małych nagrobków, w większości zarośniętych mchem i porostami. Na jednym Frannie udało się odczytać

słowa: „Sam (Nimo San). Labrador. 1912 - 1925”.

Edward zatrzymał się przy krzaku lawendy i wskazał nań, oznajmiając:

- *Nana atropurpurea*.
- Co? - zapytała Frannie, niepewna, czy dobrze usłyszała.

Przestraszyło ją warknięcie Kapitana Kirka. Odwróciła się, żeby zobaczyć, co się stało, i uświadomiła sobie, że spaniel warczy na Edwarda.

Chłopiec zszedł po jakichś drewnianych schodkach i przystanął obok azalii.

- *Rhododendron campanulatum* - powiedział.

Spaniel warknął ponownie, o ton wyżej, odsłaniając ostre białe zęby sterczące z ociekających śliną dziąseł; jego miękka sierść zdawała się podnosić i twardnieć jak kolce, a ciemnobrązowe ślepie gotowały się wściekłością, która przeraziła Frannie. Wysuwając łeb przywarował na zadzie, jak gdyby tylne łapy wmurowało mu w ziemię. Warczenie stawało się coraz dziksze. Szarpnął się kilka razy, jakby próbował oderwać łapy od ziemi i skoczyć na chłopca. Frannie nachyliła się w popłochu i złapała psa za obrozę, żeby go powstrzymać.

Kapitan Kirk przekręcił łeb, opryskując ją śliną, i ledwo zdążyła cofnąć rękę i odskoczyć, zanim jego zęby capnęły powietrze. Pies znów odwrócił się do Edwarda, kipiąc złością i warcząc coraz głośniejsze. Edward stał bez ruchu, w milczeniu, wpatrując się weń hipnotycznie. Frannie ogarnęło wrażenie, że jest świadkiem pojedynku, i poczuła, że jeżą jej się włosy na głowie. Pies rzucił się ku chłopcu, ale znieruchomiał, jakby powstrzymała go jakaś niewidzialna siła. Spróbował się rzucić ponownie i znów znieruchomiał, najwyraźniej poskromiony skupionym wzrokiem Edwarda.

Frannie obserwowała z przerażeniem, jak sierść spaniela na powrót się kładzie. Pies zaskowyczał, po czym zaczął się cofać drżąc i skomląc, aż w końcu uciekł jak przepędzony demon.

Zapadła dziwna cisza. Słońce schowało się za chmurę, a Edward stał w milczeniu, jakby nic się nie wydarzyło. Frannie odwróciła się, by popatrzeć na psa, ale Kapitan Kirk biegł w stronę domu i prawie już go nie było widać. Cała się trzęsła, nie wiedząc, czego właściwie była przed chwilą świadkiem.

- Co się stało Kapitanowi Kirkowi, Edwardzie?

Chłopiec nie odpowiedział. A potem nagle wskazał azalię, która rosła po drugiej stronie ścieżki i miała białe kwiaty w kształcie trąbek.

- *Auriculatum*- oznajmił.
- Uczysz się łaciny w szkole? - zapytała Frannie drżącym głosem.

Przez kilka chwil przyglądał się krzewowi, jakby nie usłyszał pytania, po czym ruszył dalej ścieżką. Przedarłszy się przez gęstniejące zarośla wyszli na płaski teren i Frannie dostrzegła wodę za zasłoną trzcin. Jezioro miało dobre ćwierć mili szerokości i jeszcze więcej długości.

Podążyła za Edwardem wzdłuż brzegu ku żałośnie wyglądającej przystani. Biała farba, którą była pomalowana, pozieleniała od mchu i odpadała całymi płatami. Edward nie bez trudu otworzył zmurszałe drzwi i weszli do ciemnego, przesyconego wilgocią wnętrza. Twarz Frannie musnęła pajęczyna. Szarpnęła głową w bok, instynktownie podnosząc ręce, i poczuła na palcach lepkie niteczki. Jej nozdrza wypełniał nieprzyjemny, grzybny zapach zgnilizny.

- Wejdz pierwsza i usiądź - zakomenderował Edward, pokazując na wąską drewnianą krypę.

Oszołomiona, spełniła polecenie. Ostrożnie postawiła stopę na dnie łodzi, starając się nie nadepnąć na wiosła. Łódź zakołysała się niebezpiecznie. Frannie przytrzymała się burty, odzyskała równowagę, postawiła drugą stopę i szybko usiadła.

Edward odwiązał łódź, pchnął ją do przodu, wsiadł i włożył wiosła w dulki. Wypłynęli z przystani na słońce, znów świecące jasno.

Podczas gdy chłopiec wiosłował, Frannie czuła, jak dziób pruje wodę i słuchała plusku wioseł. Potem Edward dał łodzi dryfować siłą rozpędu, a Frannie pozwoliła na to samo swoim myślom: Jonathan Mountjoy; „Czy to nowa opiekunka do dziecka?”; Sarah Henrietta Louise Halkin. Onyksowa płyta na posadzce. 1963-1988.

- Mam nadzieję, że nie zamierzasz spać z moim tatusiem.

Ze zdumienia otworzyła usta. Edward był pochylony ku jednej burcie i patrzył leniwie w wodę, tak jak ona przed chwilą, z nieobecny wyrazem twarzy. Obserwowała go przez moment, zastanawiając się, czy dobrze zrozumiała.

- Słucham?

Nie podniósł wzroku ani jej nie odpowiedział. Jego twarz pozostała obojętna, nic nie dało się z niej wyczytać. Frannie nie wiedziała, czy to on ma rozstrojony umysł, czy ona sama.

Jakaś ryba plusnęła obok nich, zostawiając na wodzie krąg, który rozszerzał się powoli, aż powierzchnia jeziora znów stała się gładka, jakby woda zapomniała o tym, co się wydarzyło. Oliver powiedział jej poprzedniego wieczoru podczas kolacji, gdy mówił o matematyce i grach hazardowych, że moneta nie pamięta, którą stroną do góry upadła przy poprzednim rzucie. Szanse wyrzucenia następnym razem orła lub reszki są zawsze równe, bez względu na to, ile razy jedno lub drugie już wypadło. Woda też nie ma pamięci. Ludzie pamiętają wszystko - czasem zbyt wiele - powiedział Oliver

- i dlatego niekiedy trudno jest jasno sobie przypomnieć, co miało miejsce przed jakimś wydarzeniem lub po nim. Umysł nieustannie płata nam figle.

Obserwowała małego chłopca o inteligentnych zielonych oczach i smutnej piegowatej buzi, usiłując się domyślić, jaki figiel mógł jej przed chwilą spletać jej własny umysł.

Po powrotnej wspinaczce znad jeziora Frannie była zgrzana i tak spocona, że bluzka lepiła jej się do ciała. Ścieżką między gigantycznymi bukami wyszli na tyły okolonego murem warzywnika. Słońce nie świeciło już tak intensywnie, a gruchanie gołębia niosło się w powietrzu niczym ostatni capstrzyk

samotnego trębacza.

Czuła się nieswojo, jakby Edward grał z nią w jakąś grę, której reguł nie знаła, i zastanawiała się, czy chłopiec rozmyślnie próbuje podkopać jej pewność siebie. Miał jednak dopiero osiem lat; chyba był za mały, żeby być tak przebiegły? Przez jego zmiany nastroju nie wiedziała już, czy lewe jest prawe, czy prawe lewe. Nie potrafiła dać sobie z chłopcem rady i nie miała pojęcia, czy to jej wina, czy też powody są inne. Pomyślała o psie, zastanawiając się, gdzie teraz jest, i czy Edward nie sprowokował go celowo na jej benefis. Trudno jej było jednak w to uwierzyć, ponieważ atak Kapitana Kirka robił wrażenie całkowicie spontanicznego.

W ciągu ostatnich dziesięciu minut Edward znów stał się rozmowny. Zaczął ją wypytywać o skamieliny i wyjaśniła mu, jak na ich podstawie można datować przeszłość, ucieszona, że tak go to interesuje.

Kiedy doszli do drzwi domu, zapytał:

- Umiesz grać w ping-ponga?
- Nie grałam od wieków.
- Chciałabyś zagrać jedną partię?

Uśmiechnęła się, czując lekkie znużenie.

- Dobrze, ale krótką. Jestem zmęczona.

Posłał jej spojrzenie tak figlarne, że ogarnęła ją ochota, by wyciągnąć rękę i w geście sympatii potargać mu włosy, ale przypomniała sobie nieznaczny wyraz rozdrażnienia na jego buzi, gdy zrobił to Oliver. Powstrzymało ją również coś innego: nie śmiała.

Przed grą poszli do kuchni, żeby przegryźć po kanapce. Frannie skończyła swoją pierwsza i czekając na Edwarda powędrowała do biblioteki. Był to zdumiewająco mały i wąski pokój, który pełnił też chyba funkcję gabinetu. Na ścianach po obu stronach biurka wisiało kilka odręcznych wykresów. Jeden wyglądał na drzewo genealogiczne. Inny pokrywało mnóstwo matematycznych obliczeń. Reszta ścian była od podłogi do sufitu zastawiona rzędami półek z książkami, które Frannie chętnie by obejrzała zamiast grać w ping-ponga, ale czuła, że powinna zagrać.

Z zamyślenia wyrwało ją nadejście Edwarda, który, bojąc się, żeby nie zmieniła zdania, zaprowadził ją na górę i pociągnął ciemnym korytarzem obok jej sypialni. Gdy zbliżyli się do następnych drzwi, powiedział:

- To mój pokój. Pokażę ci go później, jeśli chcesz.
- Dziękuję.

Minęli jeszcze parę drzwi, po czym korytarz ostro skręcił w lewo. Edward wspiął się po wąskich schodach na poddasze, do ogromnego, mrocznego pokoju zabaw, który zdawał się ciągnąć przez całe skrzydło domu. Stał tam stół ping-pongowy.

Frannie, chociaż przegrała, dobrze się spisywała podczas gry. Obiecawszy Edwardowi, że następnego dnia pójdzie z nim obejrzeć sąd, przeprosiła go i poszła do swojej sypialni. Zamykając drzwi poczuła ulgę, że wreszcie będzie przez kilka minut sama.

Przez otwarte okno zobaczyła, że parking dla zwiedzających jest pusty, a budka z biletami zamknięta. Ćma latała niezgrabnie po pokoju, obijając się o ściany.

Mam nadzieję, że nie zamierzasz spać z moim tatusiem.

Po czole spłynęła jej kropla potu. Włożyła rękę do kieszeni, ale nie wymacała chusteczki. Wsunęła rękę głębiej. Kieszeń była pusta. Przypomniawszy sobie, że wycierała czoło w czasie gry, poszła do pokoju zabaw. Skąpe światło wpadające przez małe mansardowe okna, umieszczone tak wysoko, by nie mogło ich dosięgnąć dziecko, stwarzało w pomieszczeniu więzienną atmosferę.

Za jednym z okien przeleciał jakiś ptak i jego cień przesunął się po ścianie. Frannie uderzyła całkowita cisza zalegająca pokój. Deska zaskrzypiała jej pod nogą. Poszła dalej, stawiając lżejsze kroki, żeby nie usłyszał jej Edward.

Chusteczka leżała na podłodze pod stołem ping-pongowym. Frannie podniosła ją i otrzepała z kurzu. Co za smutny pokój, pomyślała, rozglądając się dookoła, i spróbowała wyobrazić sobie bawiącego się tu samotnie Edwarda. W kącie stał stary koń na biegunach, być może wiktoriański; prawdopodobnie znajdował się tu od lat i jeździły na nim całe pokolenia małych Halkinów. Oliver. Ojciec Olivera.

Podeszła do półek z książkami i rzuciła okiem na tytuły. William. Jennings. „The Famous Five”. Biggies. Stare książki, niektóre z podartymi okładkami, niektóre w ogóle bez okładek. Niektóre sama kiedyś czytała: „Baśnie” braci Grimm, „Struwelpeter”, rocznik „Eagle” i „Beano Bumper Book”. Nagle zauważyła album ze zdjęciami i wyciągnęła go z półki.

Był ciężki i żeby go otworzyć, położyła go na stole ping-pongo-wym. Pierwsze, kolorowe zdjęcie przedstawiało nagie niemowlę leżące na plecach z rączkami i nóżkami wyciągniętymi do góry.

„Edward, 2 dni”, brzmiał odręczny podpis wykonany czarnym atramentem.

Odwróciła grubą stronę. Dalej były różne zdjęcia matki Edwarda, tulącej go do siebie na szpitalnym łóżku. Frannie z zafascynowaniem przyglądała się młodszej wersji tej Sarah Henrietty Louise, którą widziała na fotografiach w kuchni. Zauważyła ten sam sposób trzymania głowy, te same klasyczne rysy i porównując je ze swoimi wydała się sobie raczej brzydka. Jej podejrzenia co do motywów, którymi kierował się Oliver zapraszając ją tutaj, zaczęły powracać. Dalej album zawierał zdjęcia pokazujące dorastanie Edwarda. Przypatrywała się im uważnie, usiłując dostrzec także wyraz jego buzi, szukając wskazówek, które mogłyby jej pomóc w wyjaśnieniu dziwnego zachowania chłopca. Nie znalazła żadnych.

Gdy odwróciła ostatnią stronę, zobaczyła złożony wycinek z gazety. Zaciekawiona, rozłożyła go. Pochodził z „Mid-Sussex Times” z dnia 10 sierpnia 1991 roku. Artykuł pośrodku został obwiedziony czerwonym długopisem. Jego tytuł brzmiał: MIESZKANIEC SUSSEX ZASTRZELONY W AMERYKAŃSKIEJ ULICZNEJ MAKABRZE.

Zaczęła czytać.

Mieszkaniec Sussex został zastrzelony przez bandytę podczas pobytu na wakacjach w Ameryce.

Jonathan Mountjoy, lat 25, rzeczoznawca ceramiki u Sothe-by'ego, opuścił w zeszły piątek swój dom przy High Street w Cuckfield, by udać się na swe wymarzone wakacje.

Jego śmierć wstrząsnęła sąsiadami. „Był łagodnym młodym człowiekiem, który nie skrzywdziłby nawet muchy”, powiedziała sąsiadka Ann Wilson.

Rzecznik prasowy Departamentu Policji okręgu Waszyngton DC powiedział: „Była to szczególnie występna zbrodnia, której ofiarą padł nieuzbrojony turysta. Energicznie poszukujemy sprawcy.”

Frannie przerwała czytanie i wróciła do początku artykułu, aby się upewnić, czy nie zwodzi jej wzrok. *Jonathan Mountjoy*. Nie można się też było mylić co do twarzy na zdjęciu; musiało pochodzić z okresu, kiedy byli na studiach albo Jonathan w ogóle się nie zmienił. Poważny wygląd, wysokie kości policzkowe stwarzające wrażenie wymizerowania i krótkie czarne włosy. Miła twarz. Jego sąsiedzi mieli rację, był wspaniałym młodym człowiekiem, choćby nawet zawsze wydawał się śnić na jawie.

Pamiętała, jak poprzedniego wieczoru w restauracji Seb Holland opowiadał jej o śmierci Jonathana. Przepłynęła przez nią fala niepokoju, gdy przypomniała sobie, że wcześniej Edward przeglądał w kuchni gazety, jakby czegoś szukał. Czy to on wyciął ten artykuł? Czy też może wyciął go Oliver, sądząc, że ją to zainteresuje? Druk zamazał jej się przed oczami. Poplątane myśli wirowały w głowie. Koncepcja, że zrobił to Oliver, nie miała żadnego sensu. Gdyby zobaczył ten artykuł w gazecie, na pewno by go jej pokazał, a nie schował w albumie fotograficznym syna. Poza tym artykuł pochodził sprzed paru tygodni.

Złożyła wycinek i odstawiła album na półkę. Potem postanowiła się wykapać, z nadzieją, że zanim skończy, Oliver będzie już z powrotem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Szybko się wykapała, a potem ostrymi pociągnięciami grzebienia rozczesała splecione włosy. Z lustra patrzyły na nią ciemnooliwkowe oczy. Przestraszone oczy. Przyglądały się zamkniętym drzwiom za jej plecami. Może Jonathan Mountjoy był krewnym Halkinów? Jakimś kuzynem? Ale jeśli tak, dlaczego Oliver o tym nie wspomniał?

Może był to tylko zbieg okoliczności. Czasami takie rzeczy się zdarzają. Przypomniały jej się słowa Olivera: *Zbiegi okoliczności mnie niepokoją... Nie sądzę, żeby istniało coś takiego jak nic nie znaczący zbieg okoliczności.*

Przypudrowała błyszczący nos. Niektórzy ludzie boją się pajaków, inni latania, ciemności, trzynastki; każdy czegoś się boi. Tak się złożyło, że Oliver Halkin boi się zbiegów okoliczności. To jeszcze nie znaczy, że ona też musi.

Tak jak miała nadzieję, Oliver czekał na nią w kuchni. Kapitan Kirk spał na podłodze przed piecykiem.

- Edward wreszcie cię zwolnił? - zapytał Oliver, puszczając do niej oko.

- Dopiero co.

- Przykro mi, że miałas go cały czas na karku.

- Był dobrym kompanem.

Zawahała się, chcąc zapytać Olivera o dziwne popadanie Edwarda w milczenie, ale nie przychodziło jej do głowy, jak to zrobić taktownie.

- Napiałabyś się herbaty - albo czegoś mocniejszego?

- Herbaty, z przyjemnością.

Jej spojrzenie padło na stalowy blat zlewozmywaka i przełknęła ślinę na wspomnienie palców, które kilka godzin wcześniej leżały tam na zakrwawionej ściereczce do naczyń.

- Zwykła czy Earl Grey?

- Poproszę Earl Greya. - Obserwowała jego twarz. - Czy mówi ci coś nazwisko Jonathan Mountjoy?

- Jonathan Mountjoy?

Wyjął z puszki torebkę herbaty ekspresowej, wrzucił ją do kubka i zalał wodą z pełnego czajnika.

- Jonathan Mountjoy? - powtórzył, marszcząc lekko brwi. - Chyba już gdzieś słyzałem to nazwisko.

- Wczoraj wieczorem - podpowiedziała.

- Ach! Czy to ten facet - twój kolega - który został zabity przez bandytę?

- Tak?

Nic nie dało się wyczytać z jego miny.

- Dlaczego?

Zaczerwieniła się.

- Miałam... miałam wrażenie, że jego nazwisko nie jest ci obce, to wszystko.

Potrząsnął głową.

- Więc gdzie byliście na spacerze?

- Najpierw poszliśmy do kaplicy.

- Ach tak? - Wyciągnął z kredensu jakąś puszkę. - Chcesz kawałek ciasta?

- Nie, dziękuję. - Obrzuciła wzrokiem spaniela. - Ile lat ma Kapitan Kirk?

Oliver zastanawiał się przez chwilę.

- Około trzech.
- Czy słucha Edwarda?
- Potulnie jak baranek. - Zawahał się. - Dlaczego?
- Dziś po południu myślałam, że chce go zaatakować.

Oliver potrząsnął głową.

- Bywa trochę ostry - w zeszły weekend rzucił się na jakichś Cyganów, ale nie tknąłby Edwarda. Kapitan...

- Czy mogę pooglądać video, tatusiu?

Edward wszedł do kuchni z grą komputerową w ręku, ukląkł przy wyciągniętym na podłodze psie, objął go ramieniem za szyję i przytulił do niego policzek.

- Chciałbyś pooglądać video, prawda, Kapitanie Kirku?

- Co chcesz obejrzeć? - zapytał Oliver.

- „Terminatora 2”.

Frannie bacznie obserwowała psa, ale Kapitan Kirk przyjaźnie lizał Edwarda po twarzy, jakby nic między nimi nie zaszło. Oliver schylił się i zmierzwił chłopcu włosy.

- Dobrze. Mam zamiar oprowadzić Frannie po domu. Co chcesz dzisiaj na kolację?

Gdy Oliver cofnął rękę, Edward z lekkim rozdrażnieniem przyglądał sobie fryzurę.

- Rybie paluszki - powiedział. - Kapitan Kirk je lubi - dodał, patrząc czule na spaniela. - Prawda, piesku?

Przycisnęła nos do nosa psa.

Frannie spojrzała na chłopca zaintrygowana, zastanawiając się, czy był niesmaczny rozmyślnie.

- Chyba mieliśmy już dość palców jak na jeden dzień.

Edward wyglądał na zawiedzionego.

- Czemu?

- Nawet nie wiem, czy jakieś są.

Edward posmutniał jeszcze bardziej.

- *Chcę* rybie paluszki; proszę, tatusiu.

Tupnął nogą i Frannie poczuła się nieprzyjemnie, jakby to z jej winy był przemęczony.

- Dobrze, już dobrze.

Po policzku chłopca popłynęły łzy. Frannie zrobiło się go żal. Może jeszcze nie doszedł do siebie po stracie matki. Może to tłumaczyło jego zachowanie. Ale nie tłumaczyło wycinka z gazety. Pochwyciła spojrzenie Olivera. Uśmiechnął się do niej smutno. Refleks słońca ześliznął się z górnego okna po drugiej stronie dziedzińca, jakby ktoś wyłączył światło. Edward znów mocno przytulił Kapitana Kirka i kołysał się w przód i w tył, a łzy leciały mu ciurkiem. Oliver wyjął łyżeczką torebkę z herbaty Frannie i podniósł butelkę z mlekiem niczym znak zapytania. Skinęła głową.

Oliver przez chwilę przyglądał się Edwardowi, a potem wyciągnął dłoń i ścisnął go za ramię. Chłopiec odezwał się nie podnosząc wzroku.

- Boję się, tatusiu - powiedział.

- Już dobrze - odparł jego ojciec. - Już dobrze. - Posyłając Frannie znużony uśmiech, wziął syna na rękę. - Kto jest zmęczonym chłopcem? Na pewno chcesz obejrzeć film, a nie pójść spać?

- Obejrzeć „Terminatora 2”.

Oliver mrugnął do Frannie i wyniósł Edwarda z kuchni. Podniecony Kapitan Kirk pobiegł za nimi korytarzem.

Frannie siedziała przy stole i dmuchała w herbatę, myśląc o dziwnym odezwaniu się Edwarda do ojca. *Boję się*. Zastanawiała się, czego.

Oliver zaczął oprowadzanie Frannie od sutereny, gdzie zobaczyła stare, nie używane już pomieszczenia kuchenne z olbrzymimi piecami i małymi, wybitymi wysoko oknami, które przypominały jej okna w pokoju zabaw. Dreptała obok niego, czując się trochę niezręcznie, jakby była zwiedzającą; nadal nie miała pewności, jaka jest jej rola. Na parterze pokazał jej sypialnię z odgrodzonym sznurem łóżkiem z baldachimem, na którym spał kiedyś Oliver Cromwell. Ale naprawdę urzekło Frannie wyposażenie wewnątrz. Zdawało się, że idą przez niekończący się skarbiec. Na początek rozpoznała etruskie lustro z brązu.

Na pierwszym piętrze weszli do długiej, wyłożonej dębową boazerią galerii. Były tam ławy w wykuszach okien, obite dekoracyjnymi tkaninami, eleganckie kanapy i duże stoły, na których leżały otwarte albumy ze zdjęciami rodzinnymi. Głęboki, różowa-wo-złoty blask słońca napełniał pokój eterycznym światłem, które wyfroterowana dębowa posadzka odbijała jak tafla jeziora. Z sufitu zwisały olbrzymie żyrandole o ozdobnie wykutych ramionach w kształcie gryfów.

- Nadzwyczajne - powiedziała Frannie, przystając w podziwie. Wciągnęła w nozdrza wonny, ciepły zapach drewna, świadoma kompletnej ciszy.

- Myślę, że to ty jesteś nadzwyczajna - odparł Oliver, ku jej zaskoczeniu otaczając ją ramieniem.

- Ja?

Przyciągnął ją delikatnie do siebie.

- Tak.

Odwróciła się do niego z uśmiechem.

- Nieprawda. Jestem zupełnie zwyczajna.

Obserwowała jego niebieskie oczy, patrzące prosto w jej oczy, i czuła siłę obejmującego ją ramienia.

- Moim zdaniem jesteś nadzwyczajna - powtórzył. - I urocza.

Uścisnął ją mocniej.

Frannie zarumieniła się z radości i przeszył ją nagły, silnie erotyczny ból pożądania. Oliver puścił ją, aby podejść do jakiejś szklanej gablotki; podążyła za nim.

- Dziękuję - powiedziała. - Myślę, że to ty jesteś uroczy.

Ich ramiona się dotykały i powrócił między nich spokój; znów poczuli się ze sobą swobodnie, jak wtedy, gdy poprzedniego wieczoru wyszli z restauracji.

Na ścianie nad nimi wisiał portret mężczyzny w siedemnastowiecznym stroju. Jego głowa wystawała z gronostajowego kołnierza purpurowej, aksamitnej togi. Na twarzy miał wyraz zimnej, pysznej arogancji, a cienkie wargi były zaciśnięte w uśmiechu inkwizytora. Jego długie do ramion włosy uczesane były w nieskazitelne loki á la król Karol. Małymi, jakby dziecięcymi dłońmi przyciskał do piersi jakąś książkę. Frannie uświadomiła sobie, że ta sama książka leży w gablocie na aksamitnej podkładce. Wyblakły atrament pokrywał karty robiące wrażenie źle zachowanego welinu. Tekst, w języku, którego nie rozpoznała, byłby prawie nieczytelny nawet przy lepszym oświetleniu.

Oliver poruszył się, jego cień padł na szybę i książkę pod nią.

- To jedyna rzecz, której naprawdę wolałbym nie mieć.

- Ta książka?

- Tak.

- Dlaczego? Co to jest?

Za ramę gablotki zatknięta była wypisana na maszynie karteczka: *Maleficarium, ok. 1650 r.*

- To zbiór reguł odprawiania rytuałów satanicznych. Podobno jest spisany na ludzkiej skórze.

- Poważnie?

- W naszej rodzinie zawsze się w to wierzyło. Nie mam pojęcia, czy to prawda.

Frannie pochyliła się nad gablotką z niezdrowym zainteresowaniem. Książka była równie kunsztownie sporządzona, jak odrażająca. Popatrzyła na włókno kart, na drobną siateczkę linii; pergamin miał ohydny, ciemnobrązowy kolor. Wytężyła wzrok, czując, że wzbiera w niej obrzydzenie. Widziała

zakonserwowaną ludzką skórę na mumiach i wyrobach prymitywnych plemion. Zawsze wyglądała właśnie tak.

- Czy ktoś tę książkę kiedykolwiek badał?
- Nie.
- Mogłabym ci to załatwić.

Na twarzy Olivera odmalowała się ostrożność.

- Nie jestem pewien, czy naprawdę chcę wiedzieć. Z czegokolwiek byłaby zrobiona, to cholernie zła rzecz. Nigdy jej nawet nie dotknąłem i nie sędzę, żebym miał ochotę.

- Jaka jest jej historia?
- Została spisana przez jednego z moich przodków, drugiego markiza.

Ruchem głowy wskazał portret.

- To on?
- Tak. Lord Francis Halkin.
- Czy to ten jedyny markiz, którego nie pochowano w waszej rodowej kaplicy?

Zmarszczył brwi.

- Skąd o tym wiesz?
- Edward mi powiedział, kiedy ją oglądaliśmy.

Oliver sposepniał.

- Według relacji był bardzo złym człowiekiem. - Obrzucił książkę niespokojnym spojrzeniem. - Zajmował się czarami. Czarną magią. Całą masą tego typu rzeczy. Był kimś w rodzaju naśladowcy Gillesa de Rais.

- Znam to nazwisko. Kim on był?
- Dość odrażającym Francuzem, który lubił stosunki seksualne z małymi chłopcami i podczas aktu podrzynał im gardła.

Oliver postąpił krok i gdy jego cień ześliznął się z książki, przez chwilę się wydawało, że skóra oddycha. Frannie też się odwróciła, zaniepokojona, nie chcąc już dłużej stać obok gablotki. Podłoga zaskrzypiała pod jej stopami.

Blask słońca w pokoju robił wrażenie czegoś niestosownego. Oliver wsadził ręce do kieszeni. Kiedy ruszył powoli dalej, Frannie poszła za nim.

- Gilles de Rais zabił ponoć z górą dziewięciuset chłopców, to największy wielokrotny morderca wszechczasów. Nie wiem, ilu zabił drugi markiz. Ani skąd brał swoje materiały piśmienne. - Przystanął i odwrócił się do Frannie. - Nie traktuję pojęcia arystokracja zbyt poważnie. Nikt z nas nie pochodzi od specjalnie miłych ludzi.

- Jest mnóstwo zwykłych ludzi, którzy też nie są zbyt mili -odparła Frannie. - Mnóstwo zwykłych ludzi popełnia złe czyny i okrucieństwa. Powinieneś zobaczyć broń, którą porządkuję w Muzeum. Na przykład pięknie ozdobione drogimi kamieniami hinduskie kastety z dodatkowym urządzeniem do urywania uszu. Czy urywanie ludziom uszu przyczynia się do postępu cywilizacji?

- Tak, ponieważ uniemożliwia noszenie walkmanów.

Zachichotała, a potem obejrzała się na gablotkę.

- Dlaczego trzymasz tę książkę? Czemu jej nie sprzedasz jakiemuś muzeum?

Wzruszył ramionami.

- Czy mi się to podoba, czy nie, należy do dziedzictwa tego domu.

Jest tu wiele innych rzeczy, za którymi nie przepadam. Na przykład bardzo bym chciał sprzedać parę ponurych starych portretów i kupić coś współczesnego, pomóc młodym artystom. Ale ludzie pragną oglądać na tych ścianach historię rodziny. - Ruszył dalej. -Książka przyciąga trochę zwiedzających - różne dziwne okultystyczne typy przejeżdżają setki mil, żeby się na nią pogapić - jest wymieniona w całkiem sporej liczbie prac naukowych. Co roku dostaję dwa, trzy listy od rozmaitych bigotów, żądających jej spalenia.

Przez drzwi na końcu galerii przeszli do jadalni. Stał tam okrągły mahoniowy stół, nakryty do wykwińskiego posiłku.

- Tutaj moi przodkowie jadaliby intymne kolacje.

Frannie policzyła miejsca przy stole.

- Intymne kolacje na szesnaście osób?

- Stół daje się składać i rozkładać.

Na każdej ze ścian wisiał jeden obraz. Uwagę Frannie przykuł portret mężczyzny, wykazującego silne podobieństwo do drugiego markiza. Jego twarz była trochę pulchniejsza, ale malowała się na niej ta sama twarda arogancja i lisi spryt.

- To trzeci markiz - powiedział Oliver. - Lord Thomas. Wydał swojego starszego brata, drugiego markiza, Cromwellowi, żeby odziedziczyć tytuł.

Frannie widziała na twarzy mężczyzny wyraz zadowolenia z siebie i z łatwością mogła uwierzyć w słowa Olivera.

- Działo się to podczas wojny domowej. Nasza rodzina miała w Londynie dom - spłonął później w

Wielkim Pożarze.* (***Olbrzymi pożar z 1666 roku, który zniszczył całe City.**) Podobno istniało tajne podziemne przejście prowadzące z domu do Tamizy i drugi markiz pozwalał rojalistom z niego korzystać w zamian za dostarczanie mu małych chłopców.

- Co się z nim stało?

Oliver omiótł pokój wzrokiem.

- To samo, co z Edwardem II. Wepchnięto mu w odbyty rozgrzany do czerwoności pogrzebacz. Kiedyś był to dobry sposób na zamordowanie człowieka - nie pozostawały żadne widoczne ślady.

Frannie wzdrygnęła się. Była zadowolona, że w rysach Olivera nie dostrzega żadnego rodzinnego podobieństwa do portretu. Ponownie spojrzała na okrągły stół, ogrodzony purpurowym sznurem, aby uniemożliwić zwiedzającym ściąganie sreber czy sztućców.

- Uzywacie czasem tego pokoju?

- Bardzo rzadko. Był okres, kiedy urządzaliśmy stylowe bankiety dla amerykańskich turystów.

- Czy moglibyśmy zjeść tu dzisiaj kolację? - zapytała figlarnie.

Oliver wyglądał na zaskoczonego.

- Chciałabyś?

- Myślę, że byłoby nadzwyczajnie!

Udzielił mu się jej nastrój.

- Chyba byśmy mogli!

- Nie sądzisz, że dom by tego chciał - być znowu używanym?

Oliver ukląkł i wczołgał się pod stół.

- Nie jestem pewien, czy pamiętam, jak się go składa.

Frannie zauważyła, że na trzonkach sztućców i srebrnych pojemnikach na przyprawy wyryty jest herb rodu. Pośrodku każdego talerza widniała, dużo większa, dewiza Halkinów, doskonała e czytelna, wypisana złotymi literami na wstędze. *Non omnis moriar.*

Słowa te napełniły Frannie tym samym lękiem, który czuła wcześniej, gdy przeczytała je nad drzwiami. *Nie wszystek umrę.* Z Horacego. Po raz pierwszy natknęła się na ten cytat, kiedy przerabiała Horacego w szkole. Ale od tamtej pory napotkała go gdzieś jeszcze. Przeczytała go ponownie. Tkwił na krawędzi jej pamięci, jak dziecko naśmiewające się z niej i uskakujące za drzewo.

Jak Edward. Wzdrygnęła się, pomyślawszy o dziwnym pytaniu, które zadał trzymając skamielinę. *Myślisz, że umarli pozostają umarli, Frannie?*

Nem omnis moriar. Bezgłośnie przepowiedziała sobie cytat, najpierw po łacinie, a potem w tłumaczeniu, wpatrując się w stalowe oczy trzeciego markiza, jakby mógł on pobudzić jej pamięć. Jakby mógł wyjaśnić, dlaczego te słowa tak głęboko i niezrozumiale ją niepokoją.

Języczki płomyków chwiały się niepewnie nad bliźniaczymi srebrnymi lichtarzami; nagle zatrzepotały w przeciagu i setki refleksów zatańczyły w jednym rytmie na gładkich fasetach kryształowych kieliszków.

Frannie włożyła na koszulę sweter, ale mimo to czuła rosisty chłód nocnego powietrza. Oliver siedział naprzeciw niej, po drugiej stronie mahoniowego stołu, którego rozmiary zmniejszył. Robił wrażenie rozluźnionego. Podwinął mankiety dżinsowej koszuli i obejmował dłońmi kieliszek. Włosy z obu stron przedziałka zsunęły mu się na skronie, ale nie próbował ich odrzucić do tyłu. Czerwień wina w kieliszkach matowił lekki odcień brązu. Etykietka na butelce głosiła: „Gevrey - Chambertin, 1971”. Grube steki z polędwicy buchały parą.

Jedzenie przynieśli w folii aluminiowej. Frannie nałożyła sobie na talerz grzybów, maleńkich młodych ziemniaków i dużego pomidora.

- Są tu jakieś duchy?

Usta Olivera rozszerzyły się w ciepłym uśmiechu, a światło świec pogłębiło błękit jego oczu.

- Nie sędzę.

- Myślałam, że wszystkie stare domy mają swoje duchy.

- Wszystkie stare rodziny mają jakichś nieciekawych przodków, ale nie zawsze po śmierci brzęczą oni łańcuchami i wyją w środku nocy.

Ukroił kawałek mięsa. Stek był pięknie usmażony: dobrze przyrumieniony na zewnątrz, różowy w środku, tak jak lubiła. Zaczęła kroić swój, obserwując sączącą się śladem noża strużkę soku. Widok ten przypomniał jej ciekącą z palców Dominika krew i przyprawił o mdłości. Podniosła czujnie wzrok na trzeciego markiza. Usłyszała westchnienie wiatru i szum liści. Okno za zaciągniętą zasłoną było lekko uchylone i stukało w przeciagu.

Po raz pierwszy spojrzała do góry na nie zapalony żyrandol. Światło świec odbijało się w jego kryształowych soplach. Płomyki paliły się teraz prosto; maleńkie, rozchodzące się kolistie fale ciepła ogrzewały powietrze nad nimi.

- Jak umarła twoja żona?

W końcu to powiedziała.

Oliver milczał przez dłuższą chwilę, a potem, jakby nagle ogarnęło go znużenie, pochylił się do przodu, oparł łokcie na stole i splótł dłonie pod brodą.

- Było to trzy i pół roku temu. - Delikatnie postukał się kciukami w szyję. - Szedłem z Edwardem na spotkanie z Sarah, mieliśmy zjeść razem lunch - były jej urodziny i przyjechaliśmy na cały dzień do Londynu. Poszła do fryzjera. Zobaczyliśmy ją po drugiej stronie ulicy i zaczęła do nas przechodzić.

Jakaś furgonetka ścigana przez policję nie zatrzymała się na czerwonym świetle i uderzyła w nią.

- Boże!
- Przewiozła ją na masce przez chodnik i wepchnęła przez szklaną witrynę do sklepu.

Frannie popatrzyła na niego z przerażeniem.

- Widzieliście, jak to się stało? Obydwaj?

Oliver wykrzywił usta.

- Trzy i pół roku temu? - zapytała drżącym głosem.
- Tak
- Gdzie to się stało?

Czuła napięcie w całym ciele.

- W City. Musiałem iść na zebranie i wziąłem Edwarda ze sobą do biura. Kiedy zebranie się skończyło, mieliśmy trochę czasu do spotkania z Sarah, więc pomyślałem, że pokażę mu Guildhall. Był odrobinę nie w humorze, bo obiecałem, że zabiorę go do Hamleya i nie dotrzymałem słowa. Napiliśmy się czegoś w jakiejś kafeterii i gdy wyszliśmy na Poultry, zobaczyliśmy Sarah po drugiej stronie ulicy. Pamiętam, że w pierwszej chwili jej nie poznałem, bo obcięła włosy na krótko. Zaczęła przechodzić przez jezdnię, jakaś ścigana przez policję furgonetka nie zatrzymała się na czerwonym świetle i wbiła ją w witrynę sklepową. Ucięło jej głowę.

- Boże, tak mi przykro.

Utkwił wzrok w swoim winie i nic nie odpowiedział.

Frannie poczuła osobliwą, dezorientującą mieszaninę przerażenia i zdumienia.

- Czy to była księgarnia? - zapytała cicho.

Spojrzał na nią dziwnie.

- Tak.
- Edward wypił koktajl czekoladowy, a ty kawę?
- Dokładnie nie pamiętam... - Mocno zmarszczył brwi. - Tak, chyba rzeczywiście... - Wychylił się do tyłu. - Skąd, do licha, o tym wiesz?
- Jestem dziewczyną, która was obsługiwała. To była kafeteria moich rodziców.

Zapadła długa cisza. Oliver potrząsnął z niedowierzaniem głową.

Nagle zimny prąd powietrza uderzył Frannie w twarz. Płomyki świec przechyliły się ostro, prawie

odrywając się od knotów. Za Oliverem poruszył się jakiś cień. Był to cień otwieranych drzwi. Frannie wbiła paznokcie w dłonie. Podążając za jej wzrokiem, Oliver odwrócił głowę.

W progu stał Edward, ubrany w wełniany szlafroczek i sztruksowe kapcie.

- Tatusiu, usłyszałem jakiś hałas na poddaszu.

Strach Frannie ustąpił i ciepła krew rozeszła się po jej żyłach jak centralne ogrzewanie. Wyprostowała zaciśnięte palce, odetchnęła z ulgą, niemal rozradowana, i kiedy Edward podszedł bliżej, uśmiechnęła się do niego. Oliver wstał i opiekuńczym gestem otoczył chłopca ramieniem.

- Naprawdę? To pewnie wiewiórki. Każę komuś zastawić pułapki i rozsypać trutkę.

Frannie nadal uśmiechała się do Edwarda, ale ten jakby jej nie rozpoznawał. Obrzucił spojrzeniem ich twarze.

- Czy mogę dostać trochę deseru?

Oliver potargał synowi włosy.

- Dostaniesz jutro. Chodź, zaprowadzę cię z powrotem do łóżka. Powiedz Frannie dobranoc.

- Branocfrannie - wymamrotał chłopiec i odwrócił się.

Oliver mrugnął do niej.

- Parę minut - powiedział.

Kiedy odchodzili, Edward zamruczał coś, czego nie zrozumiała; ich głosy ucichły, a sylwetki wtopiły się w ciemność korytarza. Spuściła wzrok na stek, którego prawie nie tknęła, i ukroiła następny kawałek. Cisza spotęgowała zgrzyt noża na porcelanie. Frannie myślała o wydarzeniach sprzed trzech i pół roku, zdumiona, że tak wyraźnie pamiętała, co Oliver zamówił dla chłopca i dla siebie. Myślała o tym zbiegu okoliczności; lub zbiegach okoliczności.

Napiła się wina i pochwyciła aroganckie spojrzenie trzeciego markiza. Ogarnęło ją skrępowanie. Nie potrafiła się pozbyć wrażenia, że twarz na portrecie ją obserwuje.

Okropna scena śmierci żony Olivera przesunęła jej się przed oczami. Tę scenę też pamiętała wyraźnie. I opowieści, które słyszała potem od właścicieli okolicznych sklepów, od swoich rodziców. Że głowa kobiety została równiutko odcięta taflą szyby i potoczyła się na drugi koniec księgarni. Że wszystkie książki trzeba było wyrzucić, bo co do jednej były spryskane krwią.

Poczuła dziwną mieszankę podniecenia i strachu. Jakby działała tu jakaś tajemnicza siła przeznaczenia, która uczyniła ją częścią swego wielkiego planu. Było jednak coś, co Oliver wiedział i ukrywał. Czy wiedział, że już się kiedyś spotkali? Czy miał jakiś powód, żeby się z nią skontaktować? Żeby ją tu przywieźć?

Płomyki świec pochyliły się pod wpływem kolejnego podmuchu wiatru. Za plecami Frannie rozległ się ostry trzask, brzmiący jak skrzypnięcie podłogi pod stopą, ale nie chciała, aby markiz na ścianie

zobaczył, że jest zdenerwowana. Domy zawsze skrzypią i trzeszczą. Różnica temperatur dnia i nocy. Kurczenie się i rozszerzanie. Muzeum Brytyjskie wydawało identyczne dźwięki. Wiele razy była zupełnie sama w podziemiach, otoczona mumiami i zamkniętymi trumnami; sama w kryptach. To nie zmarli napełniali ją strachem, lecz żywi. Nie bała się duchów.

Wiedziała, że w pokoju nie ma nikogo; drzwi za jej plecami były zamknięte i przebijała wzrokiem ciemność za drzwiami przed sobą. Ale kiedy coś dotknęło tyłu jej głowy, podskoczyła i krzyk uwiązał jej w krtani, zanim zdążył się wydostać. To samo coś trzepnęło ją w policzek. Potem w ucho. Jakiś kształt przemknął jej przed oczami. Cma pikującą nierówną parabolą. Jej cień zapełgał po stole.

Gdy tylko oddech Frannie się uspokoił, rozległ się za nią huk, który niemal zrzucił ją z krzesła na podłogę.

Odwróciła się z przerażeniem. Ściana była pusta; tam, gdzie przedtem wisiała podobizna jakiejś dziewczyny z przeszłości, teraz był tylko duży ciemny prostokąt i prymitywny hak w jego środku. Portret leżał przodem do dołu na podłodze, z ramą pękniętą od uderzenia i wyglądającą jak połamane kości. Usłyszała głęboki syk

- okno wessało zasłony. Nagle zgasły obydwie świece i zatrzasnęły się drzwi.

- Frannie? - odezwał się głos Olivera.

Otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Rozległo się ostre pstryknięcie i światło zalało pokój. Zamrugła oczami. Oliver popatrzył z niepokojem na nią, a potem na obraz.

- Co się stało? Nic ci nie jest?

Podszedł do obrazu, przykląkł i podniósł dwa kawałki drutu.

- Trzasnął - stwierdził. - Cholernie mamy drut. Komuś mogła stać się krzywda.

- Omal nie umarłam na serce!

Spojrzenie Olivera przesunęło się po pozostałych portretach, badając każdy surowo.

- Przepraszam za Edwarda. Zazwyczaj śpi dobrze.

- Pewnie jest jeszcze wstrząśnięty wypadkiem na motorówce -albo palcami Dominika. Każde dziecko miałyby po czymś takim koszmary.

Twarz Olivera trochę się odprężyła.

- Jesteś blada jak śmierć.

- Ten obraz mnie przestraszył!

- Przykro mi. - Popatrzył jej uważnie w oczy i uśmiechnął się. -No więc. Nie jesteśmy jednak takimi nieznajomymi!

Frannie wzruszyła ramionami.

- Już na King's Cross miałam wrażenie, że skądś cię znam. Cały czas mnie to męczyło.
- Często pracujesz w tej kafeterii?
- Pomagałam tam stale jako dziecko, podczas wakacji i kiedy byłam na studiach. Ojciec mi płacił, co było korzystne. Ale umowa najmu wygasła parę lat temu i rodzice musieli się stamtąd wynieść. W nowej kafeterii już nie pracowałam.

Spojrzała na niego pytająco. Postąpił krok w jej stronę.

- Naprawdę się cieszę, że tu jesteś.
- Mimo tego... zbiegu okoliczności?

Otoczył rękami jej talię i poczuła delikatny uścisk jego silnych palców. Pochylił głowę do tyłu o kilka cali. Włosy ześliznęły mu się jeszcze niżej na skronie, a w oczach zatańczyły iskierki światła z żyrandola.

- Może przyniesiesz mi szczęście.
- Mam nadzieję.

Wpatrywali się w siebie i ich twarze powoli się zbliżyły. Ich usta musnęły się lekko, jakby na próbę, po czym się rozłączyły. Spojrzeli sobie badawczo w oczy i znów się pocałowali. Frannie była zdumiona, jak miękkie i czułe są jego wargi, jak delikatnie się poruszają. Objął ją mocniej, śledząc palcami linię jej pleców, i czuła się już bezpieczna, jej obawy topniały, zastępowane głębokim pragnieniem. Całowała go gwałtownie, wsuwając palce w jego miękkie włosy, wdychając delikatną woń jego skóry, wyczuwając siłę jego ciała.

Ich usta znów się rozłączyły i znów zaczęli się w siebie wpatrywać. Oliver ujął jej twarz w dłonie, delikatnie pocałował obydwie powieki, a potem popatrzył jej w oczy z nadzieją i czułością.

- Chodźmy do łóżka - powiedział.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Jakiś ostry trzask wyrwał Frannie z niespokojnego snu. Brzmiał jak wyłączenie jakiejś maszyny albo zamknięcie szuflady. Usiadła oszołomiona i potrzebowała dobrej chwili, żeby sobie przypomnieć, gdzie jest. Potem odetchnęła z ulgą i opadła z powrotem na poduszkę. Leżała bez ruchu, starając się nie obudzić Olivera, który spał głęboko u jej boku. Przy łóżku palił się chwiejnie ogarek świecy. Na dworze zahuczała sowa.

Frannie zupełnie się rozbudziła, jakby coś było nie w porządku. Ponownie przebiło ciemność pohukiwanie sowy, ciche, samotne wołanie, nie odebrany przez nikogo sygnał wysłany w przestrzeń. Płomień świecy zadrżał i o ściany uderzyły cienie. Oczy Frannie obiegały pokój, ciemny baldachim łóżka, grube dywaniki na podłodze, ozdobne freski przedstawiające amorki i rubensowskie kobiety.

Ręka Olivera leżała pod cienkim prześcieradłem na jej brzuchu. Poruszył się i przycisnął kłujący zarostem podbródek do jej ramienia. Uśmiechnęła się na wspomnienie przyjemności ostatnich kilku godzin i jej lęk ustąpił. Czuła się pusta jak wyłuskany strączek, a jednocześnie rozkosznie pełna, jakby urzeczywistniła się w niej zasada równowagi. Kochali się niemal przez całą noc, zapadając na krótkie okresy w ciężki sen, a potem budząc się i zaczynając od nowa. Tak jak zaczynali teraz. Czuła, że Oliver muska wargami jej policzek, powoli wędrując palcami w dół jej ciała.

Oddała mu pocałunek; ich usta były lepkie, ich skóra wilgotna od potu. Pocałował ją w szyję, potem w pierś, potem w każde z ramion. Przebiegł delikatnie palcem wokół podstawy jej szyi i tam też ją pocałował. Popatrzył w milczeniu, z zachwytem, na jej twarz i zapagnęła go tak, jakby był dopiero początek nocy. Przyciągnęła go do siebie, pieszcząc dłońmi, całując lekko, potem głęboko, potem znów lekko; jej ciało było napięte, odpowiadało rosnącym pożądaniem na każdą odwzajemnioną pieszczotę, każdy oddany pocałunek, aż musiała powstrzymać krzyk i objąć Olivera kurczowo ramionami, jęcząc z rozkoszy tak intensywnej, że ledwo dawała się odróżnić od bólu, i powtarzając raz po raz jego imię, jakby świat miał się zatrzymać w swym biegu po orbicie, gdyby przestała.

Potem leżeli spokojnie, łapiąc oddech. Nozdrza miała pełne zapachów seksu, a na wargach słony smak skóry Olivera. Jego głowa spoczywała na poduszce, wtulona w jej ramię. Głaskała go po włosach, rozdzielając i porządkując kosmyki.

Z tyłu przedziałka miał maleńką łysą łatkę białej skóry. Wydawał się przez to podatny na zranienie. Jakby widziała jego czaszkę. Wzdrygnęła się, ale nadal patrzyła na to miejsce z zafascynowaniem. Wiedziała, że ludzie bez przerwy zrzucają skórę, co tydzień całą warstwę, zrzucają tyle płatków martwej białej skóry, że codziennie można by napełnić nimi głęboki talerz. Nagle zaczęła się zastanawiać, ile skóry potrzeba na zrobienie książki.

Przestraszywszy się swych myśli, pocałowała Olivera w głowę i na chwilę ukryła twarz w jego włosach. Odwrócił się do niej z poważną miną i utkwiał wzrok w jej oczach, marszcząc niespokojnie brwi.

- Co się stało? - zapytała.

Nie odpowiedział od razu. Nieoczekiwanie ścisnął jej ramię.

- Jakie znasz języki?

- Angielski. Trochę francuski. Włoski - odparła, lekko zdumiona. - I rozumiem łacinę - dodała. - Dlaczego?

- Nie znasz arabskiego? Albo jakichś języków starożytnych - oprócz łaciny?

Uśmiechnęła się.

- Nie. Chcesz, żeby ci coś przetłumaczyć?

Nic nie odpowiedział.

- Byłam kompletnie zaskoczona słysząc, jak Edward mówi po łacinie - stwierdziła.

Oliver jakby zeszywniał.

- Mówił do ciebie po łacinie?

Nagle zrobiło jej się chłodno pod samym prześcieradłem i przytuliła się do niego, żeby się ogrzać.

- Jego wiedza o roślinach jest nadzwyczajna. Wydaje się znać wszystkie łacińskie nazwy.

- Roślin? - zapytał cicho.

Podniosła kosmyk włosów z jego czoła i przycisnęła go z powrotem.

- Bystry synek bystrego tatusia.

Oliver znów milczał.

Usnęli.

Kiedy obudziło ją bicie zegara, pokój był pobielony światłem.

Bolały ją oczy i gdy nimi zamruwała, poczuła piasek pod powiekami. Oliver siedział na brzegu łóżka we wzorzystym szlafroku i uśmiechnął się do niej. Wynikająca ze zmęczenia bladość jego skóry podkreślała czerń zarostu i w połączeniu ze zmierzwionymi, opadającymi nierówno na czoło włosami nadawało mu to dość dziki wygląd, który Frannie uznała za pociągający. Jego oddech pachniał miętą, jakby właśnie umył zęby.

- Dzień dobry - powiedział.

- Która godzina?

- Szósta - odparł cicho. - Nie chcę, żebyś odchodziła, ale Edward często zagląda do mnie rano i...

Skinęła głową.

Uścisnął jej dłoń i przez chwilę patrzył na nią z troską w oczach.

- Wyleż się w łóżku - wstań, kiedy będziesz miała ochotę, i wtedy przygotuję ci śniadanie. Śpij, jak długo zechcesz - zrobmy sobie dzień odpoczynkowy.

Podniosła się i zsunęła nogi z łóżka, strząsając włosy z twarzy. Oliver zdjął szlafrok i zarzucił go jej na ramiona.

- Włóż to.

Wsunęła ręce w rękawy, tak długie, że w nich całkowicie zniknęły, a wstając nadepnęła na brzeg szlafroka i omal się nie przewróciła. Zgarnawszy swoje ubranie i buty, podeszła do drzwi. Oliver wyszedł z nią na korytarz i przez chwilę tak stali, jak potajemni kochankowie. Otoczył ją ramionami, a ona posłała mu pożegnalne spojrzenie.

- Do zobaczenia później - wyszeptał i pocałował ją delikatnie w czoło.

Podreptała boso korytarzem. Mijając drzwi pokoju Edwarda, które były lekko uchylone, zwolniła i na palcach doszła do własnych drzwi. Otworzyła je, a potem zamknęła, najciszej jak mogła.

Wciągnęła w nozdrza łagodne zapachy swojej sypialni, wsunęła się między świeże, chłodne prześcieradła i usnęła.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Frannie przeczytała tę historię na pierwszej stronie gazety ojca, kiedy miała dziewięć lat. Jacht jakiejś rodziny najechał na niemiecką minę z czasów II wojny światowej. Urwała się z zakotwiczenia i prawdopodobnie dryfowała po Kanale już od wielu dni. Strażnik ochrony wybrzeża powiedział, że była to pierwsza mina, jaką napotkano od dziesięciu lat. Cała rodzina zginęła.

Policzyła uderzenia zegara. Była siódma. Zastanawiała się, dlaczego nagle pomyślała teraz o tej historii. W dzieciństwie głęboko ją przeżyła i przez wiele lat bała się popłynąć gdziekolwiek łodzią.

Usłyszała, jak zegar wybija siódmą piętnaście, potem siódmą trzydzieści. Była zupełnie rozbudzona, rozgrzana wewnętrznym ciepłem, zbyt podniecona, żeby zasnąć. Słuchała narastającej kakofonii śpiewu ptaków, pozwalając, by jaśniejące światło igrało na jej zamkniętych powiekach. W końcu wysliznęła się z łóżka, włożyła ubranie i zeszła po cichu na dół.

Zdumiała się, usłyszawszy w sieni telewizor. Odgłosy dochodziły z małego pokoiku przy kuchni. Wetknęła głowę w uchylone drzwi. Edward, ubrany w szlafroczek w Garfieldy, leżał na podłodze pochłonięty kreskówką.

- Dzień dobry - powiedziała Frannie. - Wcześniej wstałeś.

Gapił się dalej w telewizor, nie zwracając na nią uwagi. Obok niego leżało na dywanie duże pudełko zapalek. Akcja filmu osiągnęła punkt kulminacyjny. Frannie patrzyła w ekran z łagodnym rozbawieniem. Jakiś pies przejechał po wyfroterowanej podłodze, wypadł przez okno i zawisł łbem do dołu nad manhattańską ulicą, uratowany przez mężczyznę, który przydepnął mu ogon. Obraz skurczył się do kółka z psem, a potem do maleńkiej kropki. Pojawiły się napisy.

Dopiero wtedy Edward odwrócił głowę. Buzię miał bladą, a oczy zaczerwienione od łez.

Frannie przestraszyła się.

- Co się stało? - zapytała, przyklękając obok niego.

- Znowu mnie naszło to złe - odparł.

- Co masz na myśli? - indagowała z rosnącym zaniepokojeniem.

Milczał przez chwilę.

- To mój ostatni weekend przed powrotem do szkoły.

Uśmiechnęła się odprężona, myśląc, że rozumie, o co chodzi, i współczując chłopcu.

- Spróbujemy więc wykorzystać dzisiejszy dzień jak najlepiej.
- Czy lubisz owady, Frannie? - zapytał ponuro.
- Nie. Dlaczego?

Wyłączył dźwięk w telewizorze i podniósł pudełko zapalek.

- To mój nowy przyjaciel.

Patrzyła czujnie na pudełko, gdy je wysuwał. Przez moment nic nie widziała. Chłopiec poprzeczylał pudełko na boki i postukał w nie.

- Wychodź, Jasiu Fasolo. Nazywam go Jasiem Fasolą, bo moim zdaniem jest podobny do Rowana Atkinsona.

Zobaczyła drgające czulki, a potem jej oczom ukazał się mały ciemnobrązowy żuk. Chwyciły ją mdłości.

- Czy znałeś Jonathana Mountjoya, Edwardzie?

Podniosła wzrok na jego twarz, ale chłopiec całą uwagę skupił na żuku.

- Odwróć się, Jasiu Fasolo - powiedział, potrząsając lekko pudełkiem.

Żuk dojrzał jednak do końcowej ścianki i próbował się na nią wspiąć. Zaczynała się nowa kreskówka. Edward odwrócił się do ekranu.

- Muszę to zobaczyć. Chciałabys popatrzeć ze mną?
- Właśnie idę na spacer. Pooglądam z tobą filmy, kiedy wrócę.

Chłopiec chwycił pilota i wzmocnił dźwięk. Pochłonięty na nowo telewizją, zdawał się nie słyszeć słów Frannie. Pudełko leżało obok niego, całkowicie zignorowane. Podobnie jak jej pytanie.

Frannie często słyszała, że wybitnie zdolne dzieci zachowują się tak, jakby nie bardzo łąpały kontakt z innymi ludźmi. Pomyślała, że może tak właśnie jest w wypadku Edwarda, i postanowiła porozmawiać o tym z Oliverem.

Zamknawszy za sobą frontowe drzwi, skierowała się w stronę jeziora. Poranek był piękny i przystanęła, by go podziwiać, na wdzięcznym kamiennym mostku, który łączył brzegi jeziora w najwęższym punkcie.

Gdy oparła dłonie na kamiennej balustradzie, po raz pierwszy zauważyła, że jakby się zestarzały; chociaż palce miała nadal szczupłe, wierzch dłoni stał się suchy i szorstki, prawdopodobnie od wszystkich tych wykopalisk, na których pracowała. Poczuła, że z jej nie umytej skóry unosi się zapach Olivera, i zapagnęła, żeby z nią teraz był.

Mimo niedawnych chwil szczęścia jej myśli zasnuwał cień. Niepokoiły ją mgliste wątpliwości. Uczucie, że coś jest nie w porządku, powróciło. Zardzewiała mina urwała się z kotwicy i dryfowała, niewidoczna, pod powierzchnią wody. Czekaając, aż ktoś na nią najedzie.

Przeżegnała się, zwyczajem z dzieciństwa.

Uczucie, że coś jest nie w porządku, pogłębiło się, gdy zawróciła w stronę domu. Poszła inną ścieżką niż poprzedniego dnia i na kilka minut zgubiła się w zagajniku. Kiedy doszła do drogi, biegnącej wzdłuż nieznanego jej pola ze słupem wysokiego napięcia pośrodku, zorientowała się, że zawędrowała zbyt daleko na wschód.

Skorygowała kierunek marszu i po kwadransie krajobraz znów zaczął wyglądać znajomo. Rozpoznała zawalony kamienny pawilon, który mijала z Edwardem, i potężne buki na wprost.

Gdy weszła w ich głęboki cień, zobaczyła przed sobą coś dziwnego. W pierwszej chwili wydało jej się, że to nadłamana gałąź, ale kiedy podeszła bliżej, uświadomiła sobie, że jest to jakieś zwierzę. Pomyślała, że wygląda jak złapany w sidła lis, i wywróciły jej się wnętrzności. Zwierzę wisiało za szyję, nieruchomo, na konarze drzewa.

Nagle przycisnęła dłoń do ust, tłumiąc krzyk, i z przerażenia stanęła jak wryta. Słyszała swój własny zdyszany oddech i czuła tępy ból w żołądku.

Obserwowało ją brązowe oko, lśniące jak marmur w igrającym na nim promieniu słońca.

Zrobiła krok do tyłu, potykając się o bruzdę. Oko śledziło każdy jej ruch, ale niczego nie rejestrowało. Otwarty pysk odsłaniał dziąsła, które jeszcze poprzedniego dnia ociekały śliną, a teraz były suche jak stary gumowy wąż. Łapy Kapitan Kirk miał rozpostarte, jakby spał na kuchennej podłodze, a nie wisiał na pętli z cienkiego, nagiego drutu.

Nitki strachu mocno ciągnęły ją w środku, ale zebrała się w sobie i powoli podeszła do psa, chcąc sprawdzić, czy na pewno nic nie można dla niego zrobić. Wystarczyło jej przelotne muśnięcie. Skóra pod jedwabistą sierścią przypominała w dotyku porcelanę.

Popędziła do domu i poszła prosto na górę, do sypialni Olivera. Drzwi były otwarte, ale pokój był pusty. Z przeciwnej strony korytarza dobiegł ją dźwięk wypuszczania wody z wanny. Zastukała pięścią w drzwi łazienki.

Oliver otworzył je obwiązany w pasie ręcznikiem i uśmiechnął się do niej ciepło, ale uśmiech zamarł mu na wargach, kiedy zauważył wyraz jej twarzy.

- Nie wiem, czy Edward go widział - powiedziała, gdy narzucał na siebie ubranie. - Płakał, kiedy zeszedł na dół, i nie jestem pewna, czy rzeczywiście z powodu powrotu do szkoły.
- Cyganie - stwierdził ponuro Oliver, jakby jej wcale nie słuchał, zawiązując sznurowadła tenisówek.
- Kilka tygodni temu mieliśmy problemy z Cyganami; rozbili obóz na naszej ziemi. Kapitan Kirk pogryzł jednego z nich.

Wyszli z domu po cichu, z nadzieją, że Edward ich nie usłyszy, niosąc plastikowy worek na śmieci i obcęgi. Odcięli spaniela z drzewa. Frannie zasugerowała, że powinni wezwać policję, ale Oliver

najwyraźniej się do tego nie kwapił. Położył worek z psem na tyle range rovera i pojechał do swojego gajowego, żeby ten go zakopał.

Frannie wróciła do domu i zrobiła sobie gorącą kąpiel. Moczyła się w wannie długi czas, zmęczona i przygnębiona, usiłując zebrać myśli. Usiłując - bez skutku - odsunąć od siebie wspomnienie zajścia między Edwardem a Kapitanem Kirkiem i podejrzenie, że to nie Cyganie zabili psa.

Nagle przypomniała sobie, z jaką czułością poprzedniego wieczoru Edward obejmował Kapitana Kirka ramieniem, zwinąwszy się obok niego w kłębek na kuchennej podłodze, i dała spokój próbom znalezienia odpowiedzi.

Kiedy godzinę później weszła do kuchni, przywitał ją aromat świeżo zaparzonej kawy i smażonych jajek, który podziałał na nią dziwnie uspokajająco i przywrócił jej poczucie bezpieczeństwa. Uświadomiła sobie, że po prostu przypomina jej znajomy zapach kafeterii rodziców.

Oliver miał na wypłowiałej dżinsowej koszuli rzeźnicki fartuch i wpychał ząbki czosnku pod skórę leżącego na blasze kurczaka. Edward klęczał na podłodze, obserwując swojego żuka zamkniętego w prostokątnym ogrodzeniu z klocków lego. Na stole, w rumowisku niedzielnych gazet, płatków śniadaniowych i dżemów, stał czysty talerz, przeznaczony, jak się domyśliła, dla niej.

- Cześć - powiedział Oliver.

Wymienili konspiracyjne spojrzenia.

Edward nie podniósł wzroku. Obecność chłopca nieuniknienie przytłumiła Frannie. Czy dlatego, że nadal nie wiedziała, czy jest jej przyjacielem, czy wrogiem? Przecież to tylko dziecko, upomniała się. A teraz jeszcze jego pies nie żyje.

- Dojrzałaś do śniadania? Dziś szef kuchni poleca francuskie grzanki.

Oliver starał się robić dobrą minę do złej gry.

- Ja poproszę - odezwał się wesoło Edward.

- Hej, ty już jadłeś!

- Nie mogę dostać jeszcze jednej? Proszę.

- Naprawdę chcesz jeszcze jeden kawałek?

Edward skinął głową.

- Tatusiu, czy mógłbym wziąć Frannie po południu na konie?

Frannie ze zdumieniem popatrzyła na chłopca, a potem zerknęła na Olivera, niepewna, czy Edward wie o Kapitanie Kirku, czy nie. Musi wiedzieć, pomyślała. Inaczej by go szukał.

Zaczął dzwonić telefon.

- Dziś po południu idziesz na przyjęcie.

Na buzi Edwarda odmalowało się rozczarowanie.

- Na jakie przyjęcie?

- Dziewiąte urodziny Jamiego Middletona.

- Boże, Jamie Middleton. - Wydał kilka dźwięków imitujących wymioty. - Muszę iść?

- Przyjąłeś zaproszenie. - Oliver podniósł słuchawkę, zasłaniając mikrofon dłonią. - Myślałem, że lubisz Jamiego. Parę tygodni temu chciałeś go tu zaprosić.

- On jest naprawdę głupi, tatusiu. W ogóle nie dorósł.

Oliver i Frannie wymienili spojrzenia. Oliver zdjął dłoń ze słuchawki.

- Słucham? - powiedział. - Clive! - Jego ton spoważniał. -Próbowałem się do was dodzwonić wczoraj wieczorem. Jakie są wiadomości?

Frannie obserwowała go w milczeniu. Mówił bardzo mało, przede wszystkim słuchał, i odłożył słuchawkę z ponurą miną. Wraz z jego uśmiechem jakby zniknęła częściowo z kuchni jasność poranka.

- Dominik - odezwał się. - Przyszli mu jeden palec, ale nie mają wielkiej nadziei. Pozostałych nie udało się uratować. Kości były zbyt poważnie zgniecione.

Edward postukał w podłogę, gdy żuk dotarł do ściany.

- Biedny chłopiec - westchnęła Frannie.

- Byłoby lepiej, gdyby to była lewa ręka, prawda, tatusiu? -powiedział Edward nie podnosząc wzroku.

- Już to mówiłeś wczoraj. Byłoby lepiej, gdyby to się w ogóle nie stało. - Oliver odwrócił się do Frannie. - Kawa czy herbata?

- Kawa. Może ja zrobię?

- Siedź i odpoczywaj, poczytaj gazety. Chcesz płatków?

Frannie zalała mlekiem garść płatków kukurydzianych, których nie jadła od lat, czując mimo przygnębienia głód, jakby zdawała sobie sprawę, że musi się wzmocnić przed tym, co ma nadejść. Oliver upuścił na patelnię grudkę masła.

- Tatusiu, robisz mi następną grzanekę? Jestem jeszcze głodny.

- Zrobię ci następną francuską grzanekę, jeśli obiecasz, że zaraz po śniadaniu pójdziesz nazbierać śliwek na placek.

- Czy Frannie mogłaby pójść ze mną i mi pomóc?

- Frannie może mieć ochotę sobie posiedzieć.

Mrugnął do niej, rozprowadził masło, wbił do miski dwa jajka i dobrze je rozklócił, a potem zanurzył w nich dwa kawałki chleba i rzucił je na patelnię.

- Frannie - powiedział Edward. - Pójdziesz?

- Tak, jasne.

Chłopiec obserwował ojca i odgrywał głód, garbiąc się figlarnie i mlaszcząc łakomie wargami. Błazeństwa te rozweseliły Frannie, zmusiły ją do uśmiechu.

Oliver położył grzanki na talerzach i polał je syropem klonowym.

- Gotowe.

- Tatusiu, patrz! Frannie!

Gdy żuk zbliżył się do rogu ogrodzenia z klocków lego, Edward położył mu na drodze ziarnko suszonego groszku. Owad popchnął je do przodu.

- Zaraz strzeli gola! - zawołał Edward z podnieceniem w głosie.

Żuk zmienił kierunek.

- Nie, głupi! - Chłopiec zablokował mu drogę dłonią. - Tędy!

- Grzanka ci stygnie! - stwierdził Oliver, wstawiając patelnię do zlewu i odkręcając kran.

Edward wstał.

- Pa, pa, Jasiu Fasolo - powiedział i rozgniół żuka jednym tupnięciem nogą. Potem usiadł na krześle i jak gdyby nigdy nic wziął do rąk sztucce.

Frannie popatrzyła z niedowierzaniem najpierw na niego, a następnie na szczątki owada. Oliver płukał patelnię i niczego nie zauważył. Edward ukroił kawałek grzanki, wepchnął go w kałużę syropu i podniósł do ust, a słodkie krople pociekły mu po brodzie. Żując z zapalem, ukroił kolejny kawałek, zanim przełknął pierwszy.

Ponownie spojrzała na szczerą, piegowatą buzię chłopca; na jego ciepłe zielone oczy i kręcone włosy.

- Dlaczego to zrobiłeś?

Jadł dalej bez słowa.

Jakiegolwiek byłyby powody jego zwyczaju nieodpowiadania na pytania, sprawiał on, że czuła się jak idiotka. Straciwszy apetyt, bez przekonania pokroiła grzankę i włożyła kawałek do ust. Słodki smak poprawił jej trochę humor. Starła się nie patrzeć na żuka, ale owad przyciągał jej spojrzenie.

- Dlaczego to zrobiłeś, Edwardzie? - powtórzyła.

Chłopiec zaczął pilnie kartkować „Mail on Sunday”, przebiegając kolumny wzrokiem, jakby czegoś szukał.

Oliver zmarszczył czoło. Edward nadal przerzucał strony, wpychając sobie jedzenie do buzi, a skończywszy jeść odłożył sztucce i całą uwagę skupił na gazecie.

Oliver podniósł pytająco brwi, patrząc na Frannie. Wskazała szczątki żuka. Gdy uświadomił sobie, co to jest, twarz mu sposepniała.

- Edwardzie, czy rozdeptałeś tego żuka?

Chłopiec zignorował pytanie i przewrócił następną stronę.

- Edwardzie? - W głosie Olivera dźwięczał gniew. - Po co to zrobiłeś? Dlaczego go zabiłeś?

- Żuki są szkodnikami, tatusiu.

- Nie wszystkie. I nie powinieneś męczyć zwierząt.

Edward tylko spojrzał na ojca tak, jakby to on był dzieckiem.

Frannie zobaczyła na twarzy chłopca ten sam wyraz, który poprzedniego dnia przyprawił psa o drzenie i zmusił go do ucieczki. Teraz zamknął usta Oliverowi, a ją zmroził. W oczach Olivera wyczytała jednocześnie gniew i oszołomienie.

- Na miłość boską, tatusiu, nie męczyłem go; uczyłem go tylko grać w piłkę. Frannie, skończyłaś? Pójdziemy teraz nzbierać śliwek?

Edward wszedł do zmywalni, wyniósł stamtąd dwa wiklinowe koszyki z paskami na ramię i podał jeden Frannie. Dopiąła pospiesznie kawę, przyniosła sobie buty i włożywszy je, wyszła za chłopcem na dwór.

Poszli skoszoną niedawno ścieżką biegnącą wzdłuż ceglanego muru warzywnika. Słońce przygrzewało mocno, ale powrócił wiatr. Wiał silniej niż poprzedniego dnia, porywając i uwalniając gałązki krzewów i liście drzew z dźwiękiem, który przypominał szum dalekich fal. Trawę zostawiono tam, gdzie upadła, i na skutek suszy zmieniła się już w siano; powietrze przesycił jego ostry, pieprzny aromat i bardziej cierpki zapach trybuli, która pleniła się po obu stronach ścieżki.

- Kapitan Kirk odszedł - stwierdził nagle Edward dość niedbałym tonem.
- Odszedł? - zapytała Frannie, zastanawiając się, co Oliver powiedział chłopcu.
- Odszedł - powtórzył Edward, po czym zamilkł.

Frannie spróbowała z innej beczki.

- Edwardzie, na poddaszu, w twoim albumie ze zdjęciami, znalazłam gazetowy wycinek o kimś, kto nazywał się Jonathan Mount-joy i został zabity w Ameryce. Wiedziałaś, że ten wycinek tam jest?
- Tak.
- Czy to ty go wyciąłaś?

Skinął głową.

- Dlaczego?
- Nie wiem - odparł szczerze.
- Wycinasz z gazet inne rzeczy?
- Czasami.
- Na przykład jakie?

Żadnej reakcji. Popatrzyła na niego.

- Edwardzie?

Nadal żadnej reakcji. Chłopiec zapadł w milczenie, jak zwykle zbijając ją z tropu.

Weszli do dużego, beznadziejnie zaniedbanego sadu. Rosnące rzędami drzewa były obsypane owocami, gałęzie uginały się pod ich ciężarem, niektóre niemal dotykały ziemi. Wszędzie dookoła w wysokiej, zachwaszczonej trawie leżały śliwki i renklody - osy i muchy pełzały po nich wgryzając się do środka. Frannie nadepnęła na śliwkę, poczuła, jak owoc pęka jej pod stopą, i spojrzała na brązowy, przejrzasty miąższ. Przez przerwę między drzewami dostrzegła rzędy jabłoni podobnie obciążonych owocami, tyle że wyglądającymi na mniej dojrzałe.

Edward podskoczył, chwycił niską gałąź, zawisnął na niej, po czym ją puścił. Drzewo zadrżało i posypał się na nich grad śliwek.

Jedna uderzyła Frannie w głowę i upadła jej u stóp. Podniosła ją, wytarła o dzinsy i ugryzła. Była rozmiękła i miała lekko zgniły posmak.

- Najlepsze są wiktorie, Frannie - powiedział Edward, biorąc ją za rękę. - Nazbierajmy wiktorii.
- Jaka jest ich łacińska nazwa?

Chłopiec nie odpowiedział i ruszył przez sad mocno ciągnąc Frannie za sobą, jakby się bał, że owoce mogą zniknąć. Zaprowadził ją do kępy drzew obsypanych dużymi, jajowatymi śliwkami. Niektóre z nich były zielone, niektóre żółte z czerwonymi żyłkami.

- To te! - zawołał.

Frannie podniosła jedną i ugryzła ją. Była twarda i kwaśna.

- Dojrzewają dużo później niż inne - powiedział Edward. - Trzeba dobrze patrzeć, żeby znaleźć dojrzałe. Poszukam ci jakiejś!

Puścił jej dłoń i pobiegł w podskokach do przodu, badając wzrokiem gałęzie następnego drzewa. Popatrzył uważnie na dużą, ciemnożółtą śliwkę, otoczył ją delikatnie palcami, jakby się obawiał, że jest krucha, po czym bardzo powoli zerwał, marszcząc w skupieniu czoło.

- Proszę!

Podał owoc Frannie.

- Dzięki!

Wzięła śliwkę, podniosła ją do ust i ugryzła. Gdy to zrobiła, coś połaskotało ją od wewnątrz w wargę. Poczowała w ustach jakieś dziwne trzepotanie, a potem dotkliwy ból. Gwałtownie splunęła. Coś ukłuło ją u podstawy języka jak rozgrzana do czerwoności igła. Odrzuciła głowę do tyłu, spluwając ponownie. Coś znów zafurkotało jej w ustach i wściekle ukłuło po raz drugi.

Splunęła jeszcze raz i jeszcze raz. Z ust wyleciały jej maleńkie kawałeczki śliwki i coś ciemnego, co zapikowało, po czym podfrunęło do góry. Osa; odleciała chwiejnym lotem.

Frannie przyłożyła dłoń do ust. Ból był rozdzierający, niemal nie do zniesienia. Usiłując go złagodzić, ścisnęła palcami wargę, potem język.

- Edward! Na pomoc! - zawołała z głębi gardła, potrząsając w panice głową, gdy bzyknęła koło niej następna osa.

Z całej siły uszczypnęła się w język, mocno zacisnęła wargi i potykając się ruszyła naprzód ze wzrokiem zamglonym łzami.

- Edward!

Jakaś gałąź uderzyła ją w twarz.

- Edward!

Inna gałąź trafiła ją w oko.

Amoniak na pszczoły. Ocet na osy. Powiedział jej to ojciec, gdy została użądlnona w dzieciństwie. AP. 00. Myśl błysnęła ponownie. AP. 00. Powtarzała się niczym refren w jej głowie, kiedy opuściwszy sad Frannie szła chwiejnym krokiem wzdłuż muru warzywnika, zmierzając w stronę domu najszybciej jak tylko mogła.

AP-OO-AP-OO.

Ocet Sarsonsa. Zobaczyła w wyobraźni butelkę. AP. 00.

Ocet Sarsonsa. W kafeterii jej rodziców butelki tego octu stały na wszystkich stolikach. Ocet i sos HP. Ból przepalił jej usta. Powstrzymała nowy strumień łez. Z każdą sekundą było coraz gorzej.

AP. 00. Litery bzycały jej w myślach jak osy. Zmuszając się do dalszego marszu powtarzała je raz po raz, żeby wiedzieć, co ma zrobić, gdy dotrze do domu. Gdzieś jest Edward. Nadal trzyma w ręku koszyk na śliwki. Z głębi trzewi wyrwał jej się żalostny jęk. Wyciągnęła z kieszeni chusteczkę, wepchnęła ją do ust i potykając się ruszyła dalej.

Tymczasem w sadzie Edward otrząsnął następne drzewo i skrzętnie zbierał z ziemi najlepsze śliwki. Starannie sprawdzał, czy nie ma w nich owadów, i układał je delikatnie w koszyku, uważając, żeby żadnej nie obłtuc. Pracował metodycznie, pamiętając, że nie wolno mu zbyt napęcznieć koszyka, bo będzie za ciężki do niesienia.

Dom był na wprost niej, za kępą buków. Kiedy do niego dotrze, ból się zmniejszy. Dom ukozi ból. Oliver ukozi ból. Przebiegła przed pozującą mężowi do zdjęcia młodą kobietą w momencie, gdy strzeliła migawka aparatu. „Przepraszam”, powiedziała, ale z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk i schwyte w pułapkę słowo odbiło się echem w jej mózgu. Przepraszam. Przepraszam. Przepraszam.

Potrząsnęła głową, jakby mogło to ostudzić płomień w ustach. Przygryzła chusteczkę. Miała wrażenie, że jej wargi są nadętymi pęcherzami. Ból przeżarł się do góry za oczy i w dół do przełyku.

Otworzyła drzwi wejściowe, przemknęła przez sień, która po jasnym blasku słońca wydawała się ciemna jak studnia, wpadła do kuchni i zobaczyła zgarbionego nad stołem Olivera, rozmawiającego w głębokim skupieniu przez telefon. Ze stojącej przed nim białej porcelanowej miski wychylała się trzepaczka do piany. Radio nadawało kolejny odcinek Archerów.

- Jedenaście? - mówił Oliver. - Jedenasta tej nocy?

Lewą ręką zamachał do Frannie na powitanie, ledwo ją zauważając, a wskazującym palcem prawej postukał z namysłem w stół.

- Takie same objawy? Czy weterynarz nadal sądzi, że to syndrom spadku mleczości?

Odwróciła się do Edwarda po pomoc i ze zdumieniem spostrzegła, że go nie ma; myślała, że cały czas

za nią idzie. Otworzyła jedną z szafek. Była pełna porcelany i szklanych misek. Zamknęła ją i otworzyła następną, zastawioną talerzami. Potem jeszcze następną i przez łzy zawodu wytrzeszczyła oczy na wok i inne patelnie. Ból stał się nie do wytrzymania. Ścisnęła język palcami.

- Chyba weterynarz ma jakąś koncepcję? - zapytał spokojnie Oliver.

Oczy zasłzy jej mgłą. Szarpnęła kolejne drzwiczki. W szafce stał robot kuchenny z różnymi przystawkami. Jeszcze mocniej zacisnęła zęby na zwiniętej w kłębek chusteczce i udało jej się wydać jakiś nieartykułowany dźwięk.

- Charles, zaczekaj - powiedział Oliver. - Frannie, co to było?

Wpadła w rozpacz, nie rozumiejąc, dlaczego, do licha, nie widzi jej udręki.

- Oct.

Chusteczka stłumiła jej głos.

Wreszcie popatrzył na nią jak należy i ogarnięty nagłym niepokojem wstał.

- Oct - powtórzyła i zatoczyła się w stronę szafki, po czym znów odwróciła się do Olivera, błagając go wzrokiem o pomoc.

- Chryste, Charles. Zaraz oddzwonię.

Zaczęła sprawdzać wszystkie szafki po kolei, zostawiając drzwiczki otwarte. Porcelana... szklane miski... patelnie... Następna była pełna butelek. Słodkie pikle, keczup, sos Worcester, sos sojowy, oliwa. Ocet. Sięgnęła do środka. Na półce stały trzy rodzaje octu: winny, jabłeczny i słodowy. Wyjęła ten ostatni, odkręciła zakrętkę, poląła wyciągniętą z ust chusteczkę i wepchnęła ją z powrotem.

Pod wpływem uderzenia kwasu do nosa gwałtownie zacisnęła powieki. Wykaszlnęła chusteczkę na dłoń, podeszła chwiejnym krokiem do zlewu, nachyliła się i zaczęła się krztusić. Kurki i stalowa komora zlewu przesunęły się jej przed oczami jakby były na rolkach. Poczowała na ramieniu rękę Olivera.

- Co ci jest, Frannie? Co się stało?

Podniosła na niego wzrok, usiłując przemówić, ale język zatykał jej usta i wargi nie chciały się poruszać jak należy.

- Ossa - zasyczała i zamknęła oczy.

Kiedy otworzyła je ponownie, Oliver trzymał jej twarz w dłoniach i przyglądał się badawczo ustom. Dotknęła ich palcem i wywinęła dolną wargę.

- Oss. Żdliła. W śliwce.

- Osa? Użądliła cię?

Gorączkowo skinęła głową i wskazała dwa punkciki na wargach, a potem język.

- W język? O Boże! Wdepnęłaś w gniazdo?

Jego twarz zmarszczyła się niepokojem, a chabrowe oczy jakby straciły kolor.

Frannie oddychała gwałtownie, zaciskając powieki. Oliver wytrzymał to przez sześćdziesiąt sekund, po czym oznajmił:

- Zawiozę cię na pogotowie. Mam na górze środek na uządlenia, ale nie możemy wlać ci go do ust.

Delikatnie wywinął jej wargi i popatrzył do środka. Spojrzał na zegar ścienny.

- Chociaż nie, może będzie szybciej, jeśli wezwę naszego lekarza. Zobaczę, czy przypadkiem nie ma go w domu.

Podniósł słuchawkę.

Frannie otworzyła oczy. Znów się zakrztusiła pod wpływem smaku octu. Zwiesiwszy głowę nad zlewem, zobaczyła obierki ziemniaków, górne końce marchewek i pokrytą zaschniętą kawą łyżeczkę. Płomień w jej ustach stawał się coraz gorętszy. Wypłukała je zimną wodą, ale to jeszcze pogorszyło sprawę.

Spostrzegła swe odbicie w ściance czajnika i spróbowała zbadać ślady uządleń, ale czajnik za bardzo zniekształcał obraz, by mogła je widzieć wyraźnie. Przypomniała sobie, że w sieni jest lustro i wyszła z kuchni.

W słabym świetle jej skóra wyglądała blado i martwo. Czarne smugi tuszu biegły jej w dół lewego policzka, ale ledwo zwróciła na to uwagę. Pochyliwszy się bliżej, ze zdumieniem stwierdziła, że warga prawie wcale nie spuchła; była tylko trochę nabrzmiała. Wywinęła ją i zobaczyła jedynie dwa maleńkie, niemal niezauważalne ślady. Zwinęła język; również na nim widoczny był tylko maleńki, czerwony, przypominający wrzód punkcik.

Z powrotem wcisnęła chusteczkę do ust; płomień ochłodził zaledwie odrobinę, a ocet znów wycisnął jej łzy z oczu. Wytarłszy je rękawem, ruszyła w stronę kuchni, objając się niezgrabnie o ścianę i potrącając obrazy.

- Zechciałby pan? - powiedział Oliver do telefonu, gdy weszła. -Naprawdę strasznie cierpi.

Usiadła naprzeciw niego. Łza kapnęła na pierwszą stronę „Mail on Sunday” i rozpląnęła się w małą szarą plamę. „Bush robi się twardy” - mówił zamazany nagłówek. Frannie też chciała być twarda, próbowała wziąć się w garść, przestać płakać.

Oliver odłożył słuchawkę.

- Będzie tu za dziesięć minut - mieszka niedaleko, w Glynde. Mówi, że ocet naprawdę jest najlepszy.

Zamknęła oczy, kiwając z wdzięcznością głową. Oliver znowu zajrzał jej ostrożnie do ust.

- Nie masz uczulenia na osy?

Potrząsnęła głową.

- Język nie wygląda na spuchnięty. Możesz swobodnie oddychać?

Tym razem skinęła potakująco. Otoczył ją ramieniem i mocno uściskał, a potem pocałował w czubek głowy.

- Tak mi przykro. To okropne. Ten rok jest straszny, jeśli chodzi o osy. Dosłownie nie dają nam żyć.

Gdy podniosła wzrok, zauważyła, że na nią patrzy, z zaniepokojeniem szukając czegoś na jej twarzy. Nie śladów uządleń, czegoś innego. Patrzy, starając się odczytać jej myśli. Nagle spojrzał w inną stronę i przestraszona odwróciła głowę.

Do kuchni wszedł z trudem Edward, trzymający w obydwu rękach wyładowany śliwkami wiklinowy koszyk. Z buzią poczerwieniałą od wysiłku zaniósł go dumnie ojcu.

- Zobacz, tatusiu, ile nazbierałem.

- Frannie uządliła osa - powiedział sztywno Oliver.

Wiadomość wyraźnie wstrząsnęła Edwardem. Wypuścił koszyk z rąk i podbiegł do niej, ignorując śliwki, które rozsypały się po podłodze.

- Frannie, nie! Osy! Dobrze się czujesz?

Popatrzył na jej twarz szeroko otwartymi oczami, z takim zatroskaniem, że przez chwilę myślała, że chłopiec się rozpłacze.

- Gdzie?

Spojrzała na niego czujnie i z oskarżycielską miną wskazała usta.

- W śliwce? Tej, którą ci dałem?

- Tk.

Buzia zmarszczyła mu się tak, jakby wypuszczono z niej powietrze, a głos przeszedł w jęk.

- Nie było w niej osy, to niemożliwe! Frannie, to niemożliwe, naprawdę uważałem. Kiedyś o mało nie ugryzłem śliwki z osą i zawsze patrzę. Frannie, przepraszam. Czy bardzo cię boli?

Skinęła głową. Chłopiec odwrócił się do Olivera.

- Tatusiu, zerwałem ją specjalnie dla Frannie.

Po policzku spłynęła mu łza i mimo bólu Frannie zawstydzila się swojej postawy.

- Naprawdę - powiedział.

Objęła Edwarda ramieniem i uściśnięła go. Potem ukryła twarz w wolnej dłoni, gdyż ból znów stał się nieznośny.

Lekarz starannie zbadał każde z użądleń i z głębokim współczuciem zapytał, czy jest na coś uczulona, po czym zrobił jej zastrzyk hydrokortizonu. Powiedział, że przez jakiś czas może jeszcze czuć ból i kazał jej wziąć aspirynę.

Resztę przedpołudnia spędziła na leżaku obok basenu, zasłonięta przed ciekawskim wzrokiem zwiedzających ozdobnie przystrzyżonym cisowym żywopłotem. Edward trzymał się blisko niej, jakby czuł się osobiście odpowiedzialny za jej powrót do zdrowia. Ku uldze Frannie zapadał na długie chwile w milczące skupienie nad grą komputerową, umożliwiając jej czytanie gazety.

Wiatr poderwał stronę leżącego na ziemi „Sunday Timesa” i przewrócił ją z szelestem. Frannie podniosła wzrok na Edwarda, pochylonego z przejęciem nad zabawką, przygryzającego w skupieniu dolną wargę i naciskającego guziczki. Zaczęła go obserwować, słysząc słabe dźwięki elektronicznej muzyki i stłumione wybuchy, jakby miało jej to jakoś pomóc go zrozumieć. Musiała rozwiązać zagadkę, dlaczego czasami potrafi być tak serdeczny i ożywiony, a potem nagle zupełnie się wyłącza i wydaje się przebywać gdzie indziej. Było to niepokojące. Mimo wcześniejszego postanowienia nie chciała podnosić tej sprawy w rozmowie z Oliverem, ponieważ czuła, że mogłaby wejść na zakazany teren.

Może nie ma w tym nic złowieszczonego. Może powodem jest śmierć jego matki. Uraz, jaki pozostawił po sobie widok jej uciętej głowy. Zastanowiła się, jak sama by zareagowała w takich okolicznościach. Być może Oliver miał szczęście, że dziecko w ogóle zachowało zdrowie psychiczne.

Odtworzyła w myślach moment, gdy Edward zerwał i podał jej śliwkę. Znów zobaczyła na jego buzi niewinność. Spróbowała ją porównać z niewinnością miny, jaką miał poprzedniego dnia na łódce.

Nagle chłopiec zerknął na nią i spuściła wzrok na basen. Przyjrzała się rurze, która biegła pod powierzchnią wody, i automatycznej oczyszczarce pracowicie chodzącej w górę i w dół. W jednym z rogów basenu zebrał się nieapetyczny kożuch piany i martwych much.

Mam nadzieję, że nie zamierzasz spać z moim tatusiem.

Jej niepokój rósł.

Edward obserwował ją swymi ciepłymi zielonymi oczyma.

- Jak się teraz czujesz, Frannie?
- Trochę lepiej - odparła.
- Chciałabyś sobie zagrać w moją grę?
- Jasne.
- Zabiję każdą osę, jaką zobaczę - powiedział.

Uśmiechnęła się.

- Nie musisz tego robić.

- Ale będę - stwierdził ponuro. - Jesteś moją przyjaciółką. Pożałuj tego, co ci zrobiły.

Słońce schowało się za chmurą. Frannie zadrżała, zdjeta nagłym lękiem. Przypomniała sobie żuka. I słowa, których Edward użył otwierając pudełko od zapalek. *To mój nowy przyjaciel.*

Pamiętała, w jaki sposób się z nim rozstał.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Lunch jedli na dziedzińcu. Słońce świeciło z przerwami, na coraz dłuższe chwile zasłaniały je chmury. Oliver dobrze przyrządził kurczaka; był soczysty, lekko przyprawiony estragonem, ale jedzenie sprawiało Frannie ból i w zamian wypila za dużo zmrożonego różowego wina. Edward, ku pewnemu rozdrażnieniu Olivera, prowadził bezlitosną wojnę z osami. Chwytał je w pułapkę pod odwrócone kieliszki, rozgniatał widelcem, a jedną utopił w szklance coli. W końcu odłożył sztucce, zostawiając swoją porcję prawie nietkniętą.

- Ten kurczak ma dziwny smak, tatusiu. Co w niego włożyłeś?

- Zioło o nazwie estragon.

Edward zrobił grymas.

- Zawsze paskudzisz jedzenie, kiedy je *smakoszujesz*.

Odwrócił się do Frannie. Uśmiechnęła się, ale zobaczyła, że

Oliver wygląda na trochę zbitego z tropu. Była ciekawa, czy jego żona dobrze gotowała.

- Oto wdzięczność! - powiedział. - Jest w domu od dwudziestu czterech godzin i już krytykuje moją kuchnię. - Spojrzał na syna z na poły żartobliwym, na poły gniewnym wyrazem twarzy. - W porządku, mądralo, może następnym razem ty coś nam upichcisz.

Edward popatrzył na niego poważnie.

- Nie możemy po prostu gotować jedzenia normalnie? Tak jak pani Beakbane? - Zwrócił się do Frannie. - Czyta za dużo książek kucharskich.

Zanim zdążyła stanąć w obronie Olivera, na dziedzińcu wszedł jakiś mężczyzna z chłopcem mniej więcej w wieku Edwarda. Mężczyzna był wysoki, potężnie zbudowany i wyglądał na trochę młodszego od Olivera; miał miłą twarz o zdrowej, świadczącej o częstym przebywaniu na powietrzu cerze i wypłowiałe od słońca włosy, a ubrany był w brudnawe dżinsy i starą koszulę. Chłopiec miał okrągłą, dość wyblakłą buzię o psotnym wyrazie, wysokie czoło i cienkie jasne włosy, niedbale przyczesane - z wyjątkiem jednego loka, który sterczał buntowniczo do góry. Był ubrany w żółtą koszulkę z Myszka Miki, czyste, ale wygniecione spodnie i adidas.

- Cześć, Charles! - zawołał Oliver, wstając, żeby ich przedstawić. - To... hmm... Frannie Monsanto. Mój brat Charles i mój bratanek Tristram.

- Dzień dobry - powiedział trochę nieśmiało Charles, ściskając dłoń Frannie i patrząc z zakłopotaniem w ziemię.

Frannie dostrzegła w ich rysach rodzinne podobieństwo.

- Tristram - odezwał się Edward. - Chciałbyś zobaczyć moją nową grę komputerową?

Chłopcu zaświeciły się oczy.

- Tak!

- Masz czas na drinka? - zapytał Oliver brata.

- Nie, dzięki, powinniśmy już jechać; w powrotnej drodze muszę coś odebrać od weterynarza.

- Kiedy przyjeżdża ten homeopata?

- Jutro rano.

Oliver krzyknął nagle do chłopców, którzy odbiegali w podskokach.

- Hej, dokąd idziecie?

- Tristram chciałby się pobawić moją grą.

- Innym razem. Stryj Charles chce już jechać.

Charles poskrobał się w głowę i spojrzał na Frannie.

- Czy... hmm... zna pani... hmm... tę część świata?

- Nie, prawie wcale.

- Aha; no tak.

Znów popatrzył w ziemię, jakby starał się wymyślić, co powiedzieć.

- Jak rozumiem, macie problemy z bydłem? - zapytała Frannie.

Wino znieczuliło ból po użądleniu, ale czuła, że wargę ma nadal spuchniętą i zastanawiała się, czy nie wygląda dziwnie.

Charles wepchnął ręce do tylnych kieszeni dżinsów i kolejny raz przemówił do ziemi.

- Tak, niestety. - Spojrzał na Olivera, na swój zegarek i z powrotem na Frannie. - Miło mi było panią poznać. Przepraszam, że już uciekamy. Dzieci mają jechać na jakiś tajemniczy piknik i matka nalegała, żeby zjawiły się punktualnie.

- Mnie też było miło.

- Nie zapomnij prezentu - powiedział Oliver do Edwarda.
- Czy muszę dać Jamiemu Middletonowi prezent, tatusiu?
- Oczywiście, że tak. To jego urodziny.
- Wolałbym go dać Tristramowi.

Jego kuzynowi zaświeciły się oczy.

- Tak, proszę!

Kiedy Charles i jego oblepiony błotem land rover zniknęli za drugim końcem fasady, Frannie doznała uczucia wolności; tak samo zwykła się czuć jako nastolatka, gdy jej rodzice wychodzili z domu. To było ekscytujące - mieć Olivera na kilka godzin tylko dla siebie. Ujęła jego dłoń i mocno ucisnęła. Wziął ją za drugą rękę i pocałował lekko w czoło.

- Lepiej się czujesz?
- O wiele.

Popatrzyła mu w oczy, szukając w nich upewnienia; upewnienia, że jego syn nie dał jej śliwki z osą rozmyślnie.

Leżeli w słońcu na leżakach obok basenu. Po pewnym czasie weszli do drewnianej przebieralni i kochali się na twardej, zakurzonej podłodze. Promienie słońca igrały ponad ich głowami jak wiązki światła kinowych projektorów. Duszne powietrze przesycał zapach starych kostiumów kąpielowych, odwieszonych i zapomnianych.

Potem leżeli w milczeniu. Frannie ujęła Olivera za nadgarstek, przyciągnęła jego dłoń do ust i lekko skubała wargami palec wskazujący. Później pieściła go delikatnie, czując na twarzy jego ciepły, zużyty oddech. Pot ściekał jej po czole, po policzkach, po szyi, a splątane włosy oblepiały głowę. Obserwowała pająka, który ostrożnie wisiał nad nimi na swej lśniącej nici. Ból zaczął powracać, więc wciągnęła przez zaciśnięte zęby chłodzące powietrze i po kilku chwilach pieczenie odrobinę się zmniejszyło.

Oliver przekręcił się na bok, oparł się na łokciu i przysunął twarz do jej twarzy.

- Przykro mi, że uządliła cię osa - powiedział.
- Nie sądzisz, że Edward może być o mnie trochę zazdrosny?

Słowa te poraziły go niczym prąd elektryczny. Natychmiast dostrzegła w nim zmianę; jak gdyby cały się zjeżył.

- Co masz na myśli?

Odsunął się od niej i z jego oczu uleciało ciepło.

- Nic - odparła, przestraszona tą reakcją.
- Uważasz, że zrobił to celowo?
- Nie, nie celowo; nie złośliwie. Zastanawiałam się po prostu, czy jakąś cząstką siebie, która - no wiesz - której nawet nie jest świadom - nie czuje do mnie urazy; czy do kogokolwiek, z kim się spotykasz.
- Naprawdę uważasz, że Edward celowo dalby ci śliwkę z osą?

Jego głos był zimny; był głosem obcego człowieka. Usiadł i zgarbił się posępnie nad kolanami.

Frannie, bojąc się spojrzeć na niego, obserwowała pająka, który wędrował z powrotem w górę nici.

- Nie. Nie to miałam na myśli - odrzekła i natychmiast rozzłościła się na samą siebie, ponieważ rzeczywiście miała to na myśli. Miała na myśli dokładnie to.

Pływali w basenie oddzielnie, jak dwoje obcych sobie ludzi. Oliver przekotłowywał potężnym kraulem po dwie długości basenu na raz, a potem kładł się na wodzie przy krawędzi, żeby złapać oddech. Frannie chlapała się od brzegu do brzegu miarową żabką. Za każdym razem, gdy się zatrzymywała, Oliver startował na nowo.

W ostatnich promieniach słońca wypili przy basenie herbatę, prowadząc niezręczną, banalną rozmowę. Frannie nie miała pojęcia, co robić, żeby ratować sytuację, i bała się, że wszystko popsuła. Oliver nie próbował jej dotknąć i nie odwzajemnił się nawet najlżejszym uściskiem, gdy wzięła go za rękę. Przeklinała się w myślach za to, co powiedziała.

Potem ją zostawił, mówiąc, że chce jeszcze raz spróbować uruchomić samolot, i nie zapytał, czy chciałyby pójść razem z nim. Usłyszała, jak range rover odjeżdża z rykiem silnika, prowadzony ostro, przez kogoś w złym humorze. Kilka minut później ciszę przerwał stłumiony trzask brzmący z początku jak wystrzał. Po nim kolejny, a potem daleki, ale gwałtowny łoskot trwający około sekundy. W ciągu następnego kwadransa sekwencja powtórzyła się kilkanaście razy, aż łoskot przeszedł w jednostajny, monotony warkot, który nie cichł przez parę minut. Wydawał się jeszcze pogłębiać samotność Frannie.

Wieczorem wracali do miasta. Oliver wziął na następny dzień wolne, żeby zabrać Edwarda do londyńskiego zoo. Frannie uznała za dziwne, że gdy spotkała ich po raz pierwszy, byli po wizycie w innym zoo; zbieg okoliczności, pomyślała; ledwo wart odnotowania.

Za kilka godzin rozstaną się na progu jej mieszkania i powróci do swojego świata. Do wazonu kwiatów w sypialni. Do gniewnej rozmowy telefonicznej z rodzicami o tym, dlaczego im nie powiedziała, że nie przyjdzie dziś na lunch. I do pełnego oczekiwań telefonu Debbie Johnson, chcącej usłyszeć wszystko o weekendzie.

Wszystko o tym, jak go zepsuła.

Chmury niczym kotary przesłoniły gasnące słońce. Zadrzała, gdy ciepło dnia odeszło.

Zegar na budynku stajni zadzwonił pięć razy. Każde uderzenie brzmiało długo, rozchodząc się w ciszy

echem jak ostrzeżenie. Bim, zagrzmiało. Trzymaj się z daleka! Bim. Niebezpieczeństwo! Bim. *Mam nadzieję, że nie zamierzasz spać z moim tatusiem.* Bim. *Non omnis moriar.* Bim. *Nie wszystek umrę.*

Pierwsza kropla deszczu uderzyła ją w policzek jak łąza.

Padało rześście, gdy wjechali z autostrady w pomarańczową mgłę świateł sodowych, które wyznaczały początek przedmieść Londynu i koniec weekendu. Wycieraczki piszczwały i skrzypiały, nowe krople deszczu pokrywały luki na szybie, gdy tylko poprzednie zostały starte. Tylne reflektory jadących przed nimi samochodów wyciągały się w przestrzeń. Nagle zaczęły się kolejno rozjaśniać podczas hamowania. Kostka lodowatoniebieskiego światła poleciała ku nim jak wystrzelona z procy. Po niej następna. Range rover zwolnił.

- Dlaczego się zatrzymujemy? - zapytał z tylnego siedzenia Edward zmęczonym głosem.

Oliver zmienił bieg.

- Wygląda na to, że był wypadek - odparł, przekrzykując łoskot silnika i kasetę z „Thrillerem” Michaela Jacksona, którą chłopiec kazał sobie puścić na cały regulator.

Edward przycisnął twarz do szyby. Obok napisu: „POLICJA. WYPADEK. POWOLI.” ruch przechodził w pojedynczą kolumnę. Jakiś biały samochód leżał do góry kołami w poprzek wysepki, niemal przecięty na pół przez mocno wygiętą uliczną latarnię. Drugi samochód, pozbawiony prawie całego przodu i z dachem sterczącym w powietrze, jakby ktoś potraktował go otwieraczem do konserw, stał zwrócony w przeciwnym kierunku. W pierwszym samochodzie tkwiło nieruchomo dwoje ludzi z pochylonymi do przodu głowami. Szyba była popękana. Frannie odwróciła wzrok, czując lęk, jakim zawsze napawały ją wypadki, ale mimo woli zaraz znów się obejrzała.

Z tyłu zawyła syrena. Policjant regulował ruch, każąc wszystkim zjeżdżać na bok. Minął ich wóz straży pożarnej, a chwilę później karetka pogotowia. Niebieskie światła prześlizgnęły się po lśniącym asfalcie.

- Jak twoim zdaniem doszło do tego zderzenia, tatusiu?

Kilkanaście osób stało wokół jakiegoś kształtu leżącego na jezdni. Frannie chwyciły mdłości, gdy zobaczyła, że to dziewczyna. Nie poruszała się. Z jej głowy wypływała ciemna kałuża.

- Czy ta pani nie żyje, tatusiu?

- Myślę, że jest tylko nieprzytomna.

Wokół samochodów zgromadził się już tłumek ludzi i gapiów wciąż przybywało. Dwaj mężczyźni ciągnęli mocno za drzwiczki. Gdy się otworzyły, poprzez łoskot silnika range rovera i muzyki dotarł do uszu Frannie pisk opornego metalu. Trafił akurat w taką częstotliwość, że podrażnił jej nerwy.

Edward postukał Frannie natarczywie w ramię i zniżył głos.

- Ona chyba nie żyje. W ogóle się nie rusza.

Policjant machał na nich gorączkowo, żeby jechali dalej. Edward odwrócił się i spojrzał na całą scenę

przez tylną szybę.

- Tatusiu, proszę, włącz tylną wycieraczkę. Szybko. Szybko! Nic nie widzę!

Nabrali szybkości i oddalili się od miejsca wypadku. Obraz leżącej na jezdni dziewczyny został jednak z Frannie.

- *Elephas maximus* - powiedział Edward.

Obejrzała się do tyłu.

- *Loxodonta africanus. Giraffidae.*

Mówił wyraźnie, ale cicho, i początkowo było jej trudno dokładnie zrozumieć słowa.

- *Diceros bicornis. Diceros simus.*

Zerknęła na Olivera. Ze zmarszczonymi brwiami patrzył we wsteczne lustro. Obejrzała się ponownie. Na twarzy Edwarda nie było uśmiechu. W samochodzie nagle zrobiło się zimno i poczuła, że wyskakuje jej gęsia skórka. Szok na widok wypadku, pomyślała.

- *Hippopotamus amphibius. Hippopotamus liberiensis* - recytował Edward bezbarwnym głosem, ze wzrokiem utkwionym prosto przed siebie.

- Czy to zwierzęta, które chcesz jutro zobaczyć? - zapytała.

- *Lama huanacus glama. Panthera pardus. Panthera uncia. Neofelis nebulosa. Panthera leo. Erethizontidae. Hystricidae. Hyaena hyaena. Hyaena brunnea. Hyaena crocuta.*

Była w tych łacińskich słowach jakaś nieodparta siła i Frannie poczuła, że włosy jeżą jej się na karku, a w środku coś rośnie spiralą. Strach. Spojrzała na Olivera, który nadal patrzył na syna w lusterku z twarzą zastygłą jak maska. Nie mogła odczytać jej wyrazu.

- *Crocodylus. Osteolaemus. Crocodylus porosus.*

- Edwardzie, dosyć - powiedział nagle Oliver.

Od pewnego czasu ruch sunął miarowo i jeden po drugim ukazywały się znajome punkty orientacyjne. Brudny budynek w stylu kina Odeon, będący magazynem win. Stacja benzynowa Gulu. Stacja metra Clapham South. Słaba czerwona poświata meczetowych okien hinduskiej knajpki. Drogeria. Restauracja i pizzeria z porzuconymi na deszczu zewnętrznymi stolikami.

- *Struthio. Gorilla gorilla. Gorilla berengei.*

- Dobrze, Edwardzie, dosyć! - powiedział Oliver głośniej i bardziej stanowczo. - Następna w prawo, tak?

Skinęła ponuro głową. Jego lodowatość nie topniała.

- *Anthropopithecus troglodytes. Camelus dromedarius. Camelus bactrianus.*

- Cicho bądź! - zawołał Oliver, tracąc panowanie nad sobą. - Powiedz nam, gdzie się tego wszystkiego nauczyłeś.

Ponownie spojrzął w lusterko.

- Tutaj w prawo - powiedziała Frannie.

Edward zamilkł.

Oliver wjechał w ulicę przylegających do siebie domów, z samochodami zaparkowanymi po obydwu stronach, dojechał do końca, skręcił w lewo w ulicę Frannie i zatrzymał się przed jej mieszkaniem.

Edward wyjrzał przez szybę.

- Czy to twój dom?

- Mam tu tylko mieszkanie.

- Mogę je zobaczyć?

- Nie dzisiaj - odparł Oliver. - Jest już późno i jesteś zmęczony.

- Nie jestem zmęczony, tatusiu. Nie moglibyśmy wejść chociaż na parę minut?

- Nie.

Frannie odwróciła się do chłopca, krzywiąc się z bólu, gdyż jedno z uządleń w ustach nagle ją ostro zakłuło.

- Pa, Edwardzie. We wtorek z powrotem do szkoły?

Skinął głową, a potem zmarszczyła mu się buzia.

- Nie chcę, żebyś szła, Frannie. - Zarzucił jej ręce na szyję i mocno uścisnął. - Czy zobaczę cię znowu bardzo niedługo?

- Mam nadzieję - odrzekła bezbarwnym tonem.

Oliver otworzył tylne drzwi i wyjął jej torbę. Frannie wysliznęła się z samochodu na mokry chodnik. Edward miał żalowaną minę.

- Pa, Frannie.

- Pa!

Posłała mu całusa.

- Hej, Frannie! - zawołał nagle. - Dokładnie tak!

Zmarszczyła brwi, po czym się uśmiechnęła.

- Dokładnie tak! - odparła, wyciągając rękę, i chłopiec ją przyklepał.

Potem zamknęła drzwiczki. Była już niemal całkiem przemoczona. Oliver zniósł jej torbę do sutereny i trzymał ją, podczas gdy szperała w torebce, szukając klucza. Wszedł za nią do przedpokoju i postawił torbę na podłodze pośród rozsypanych ulotek reklamowych. Frannie włączyła światło. Panowało między nimi niezręczne milczenie. Oliver spuścił głowę, otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, po czym poklepał się po biodrach. Frannie była bliska łez.

Nagle przysunął się do niej, położył jej ręce na ramionach i spojrzał prosto w oczy.

- Dziękuję, że przyjechałaś. Przykro mi z powodu tego, co się stało.

Patrzyła na niego przez chwilę, zanim odpowiedziała.

- Mimo wszystko cieszę się, że przyjechałam. Naprawdę.

Lodowaty wyraz jego twarzy stopniał i po raz pierwszy od chwili, gdy wpadł w gniew w przebieralni, Oliver się uśmiechnął.

- Mam zaproszenie na wernisaż malarza, którego dość lubię, Andrew Kiewzky'ego, na środę. Chciałabyś pójść?

- Z przyjemnością.

Odsunęła od siebie wszelkie myśli o aerobiku.

- Zaczyna się o siódmej. Mógłbym cię zabrać stąd albo z Muzeum.

- Chyba lepiej z Muzeum, skoro to tak wcześnie. O której?

- Mniej więcej za dziesięć siódma?

- Wejście od Great Russell Street?

Objęli się ramionami i mocno uścisnęli.

- Było mi z tobą dobrze - wyszeptała. - Przepraszam za to, co powiedziałam. Nie miałam tego na myśli.

Zwilgotniały jej oczy; gdy przywarła do Olivera, poczuła słaby zapach chloru z basenu.

- Lepiej już pójść, bo jeszcze Edward tu zejdzie - powiedział.

Pocałowali się lekko, a potem stanęła w progu i patrzyła, jak wbiega po stopniach kuląc głowę przed deszczem. Po chwili usłyszała ryk silnika odjeżdżającego range rovera i chlupot jego opon po kałużach.

Zamknęła drzwi wejściowe i pozbiierała ulotki z podłogi. Dostarczanie pizzy do domu, usługi przewozowe i jakiś budowniczy „STACKMAN - NAJTAŃSZY W MIEŚCIE!”. Rzuciła je na stolik w przedpokoju. Na górze rozplakało się dziecko i usłyszała podniesiony w gniewie męski głos. Potem zapadła cisza; słychać było tylko bębnienie deszczu.

Zadrzała, osaczona ponurością przedpokoju. Korytarzyk prowadzący do sypialni był ciemny i miał sto mil długości. Ruszyła nim powoli, czujnie nad słuchując. Kiedy stanęła pod sypialnią i chwyciła za gałkę, skontrolowała wzrokiem drzwi pokoju; drzwi kuchni; drzwi łazienki. Przekręciła gałkę, weszła do środka i przywitał ją zapach kwiatów Olivera. Włączyła światło.

I odetchnęła z ulgą.

Kwiaty były tam, gdzie je postawiła, w białej wazie z zielonym ceramicznym pałakiem, na kominku. Lilie i goździki. Podeszła i powąchała je; były nadal świeże i pachniały słodko. Zadzwoił telefon. Pewnie jej rodzice albo Debbie. Pozwoliła, żeby zadzwonił drugi, trzeci raz, ponownie wciągnęła w nozdrza zapach kwiatów. Kolejny dzwonek. Podeszła do łóżka i podniosła słuchawkę.

Odezwał się w niej męski głos, który brzmiał znajomo, ale w pierwszej chwili nie potrafiła sobie przypomnieć, do kogo należy.

- Halo, Frannie?

Poważny ton; na pewno znała ten głos, ale brzmiał inaczej niż zwykle; inaczej niż ten ktoś, kimkolwiek był, zwykle mówił. Brzmiał źle, jak odtwarzane z niewłaściwą prędkością nagranie.

- Cześć! - odparła, starając się nie zdradzić z tym, że nie poznaje rozmówcy.

- Próbowałem się do ciebie dodzwonić przez cały weekend.

- Wyjechałam za miasto.

Cisza.

Paul Bryce. Mąż Meredith. Oto kto to był.

- Aha - powiedział. - Rozumiem. Więc nic nie słyszałaś?

Słowa te miały ciężar ołowiu, zapowiadały coś złego. Odpowiedź

Frannie była cicha, wydobyła się ze ściśniętego gardła.

- O czym?

- O Meredith?

Nagle poczuła, że siła ciężkości obciąża jej szczękę, podstawę szyi, żołądek, biodra. Podłoga przepchnęła się do góry przez poduszeczki palców jej stóp i nogi ugięły się pod nią, wychodząc jej na spotkanie. Usiadła na łóżku, strach wzbierał w niej jak woda w śluzie.

- Nie. O Meredith?

Tym razem już zaszeptiała.

- Zginęła w piątek rano w wypadku samochodowym.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Krajobraz przesuwiał się za oknem pociągu, jego barwy były matowe i przygaszone, jakby na wszystkim osiadła posępna szarość nieba. Na kominach, osiedlach mieszkaniowych, zbiornikach retencyjnych, fabrykach, kanałach, zagłębieniach węglowych, kolumnach samochodów przed przejazdami kolejowymi. Frannie przyglądała się kobiecie, zdejmującej pranie z rozwieszonego na podwórku sznura. Niedaleko mostu stał mężczyzna, jego pies podnosił łapę przy latarni. Ciężarówka wspinała się na wzgórze. Życie toczyło się normalnym trybem; codzienne sprawy; nieubłagany, bezlitosny kierat. Dla wszystkich oprócz Meredith i jej rodziny.

Zawsze tak bardzo lubiła tę podróż. Teraz odbywała ją prawdopodobnie po raz ostatni. Minał miesiąc, odkąd wiozła tu ze sobą kontrabas i spotkała na peronie Olivera i Edwarda. Meredith żyła, a Frannie nie przypuszczała, że jeszcze kiedyś zobaczy Olivera. Nawet nie znała wtedy jego imienia.

Pociąg szarpnął i trochę kawy przelało się przez brzeg polistyrenowego kubeczka, parząc jej palce. Ugryzła kawałek nie wypieczonej śniadaniowej bułki; gorące mięso i rozpaćkany pomidor zapiekły ją w podniebienie. Żuła posępnie; jedzenie przesiąkło smakiem kartonowego opakowania. Było wpół do dziesiątej, pociąg miał przyjechać do Yorku tuż przed jedenastą. Kremacja była o dwunastej.

W niedzielę wieczorem leżała w łóżku rozmyślając o zbiegach okoliczności i wspominając uwagę Olivera, że nie istnieje coś takiego jak nic nie znaczący zbieg okoliczności. Myślała o wypadku, w którym zginęła żona Olivera, i o tym, który widzieli w drodze do Londynu, i że wkrótce potem dowiedziała się o Meredith. Zbyt dużo wypadków. Tak wiele zbiegów okoliczności. Spotkanie Olivera i Edwarda na dworcu po ich wizycie w kafeterii przed trzema laty; wpadnięcie w restauracji na Seba Hollanda i wiadomość o śmierci Jonathana Mountjoya; wycinek prasowy Edwarda; Meredith i Jonathan: dwoje ludzi z tego samego roku studiów umiera w odstępie kilku tygodni.

Usiłowała odgadnąć, czy to wszystko ma jakieś znaczenie, jakiś ukryty sens. W piątek przy kolacji Oliver mówił o Jungu i nic nie znaczących zbiegach okoliczności; czytała trochę na temat Junga w okresie, gdy interesowała się snami. Synchroniczność. Zbiorowa podświadomość. Związki przyczynowe. Jedyne związki, jaki zdołała ustalić, to że wszystko zdarzyło się odkąd poznała Olivera; nie potrafiła jednak znaleźć przyczyny.

W poniedziałek miała w pracy przykry dzień. Usta nadal ją bolały i była zbyt przygnębiona śmiercią Meredith, żeby móc się skupić. Rozweseliła się dopiero wieczorem, gdy zadzwoniła w końcu do Debbie Johnson, żeby poinformować ją o rozwoju sytuacji z Oliverem. Potem zadzwonił na pogawędkę sam Oliver. Okazał jej wiele współczucia. Podszedł też do telefonu Edward i słodkim, łagodnym, podnieconym głosem opowiedział jej o dniu spędzonym w zoo. Życzyła mu powodzenia w szkole, a odłożywszy słuchawkę znów zaczęła rozmyślać o jego popadaniu w milczenie i dziwnej znajomości łacińskich nazw roślin i zwierząt.

Przypomniała sobie, jak Oliver zawrzał gniewem, gdy zasugerowała, że Edward mógł dać jej śliwkę z

osą celowo, świadoma, że musiała dotknąć bardzo czułego miejsca. Reakcja Olivera nadal ją niepokoiła, podobnie jak niepokoił ją fakt, że tak szybko odrzucił sugestię wezwania policji, kiedy został zabity Kapitan Kirk. Czyżby osłaniał Edwarda?

Nawet jeśli tak było, nie zmniejszyło to intensywności jej uczucia dla niego: jeśli miało to na nie jakiś wpływ, to - o dziwo - jeszcze je pogłębiło. Cofnęła się myślą do swych poprzednich związków, zastanawiając się, czy zawsze niepokoił ją ludzie, których kochała. Porównanie było jednak trudne; nigdy dotąd nie czuła się w nikim zakochana tak głęboko.

Taksówka przejechała przez bramę krematorium i gładkim podjazdem między zadbanymi trawnikami dojechała do przysadzistej kaplicy z czerwonej cegły.

Frannie zapłaciła kierowcy, a potem przystanęła na chwilę, trochę zakłopotana. Przed kaplicą stały dwa karawany, rząd czarnych limuzyn i duża liczba osób rozbitych na małe grupki znajdujące się w pewnej odległości od siebie. Wyglądało to jak przyjęcie koktajlowe, na którym nie podano drinków.

Powiodła wzrokiem po twarzach, niepewna, którzy ludzie zebrali się na pogrzeb Meredith, a którzy na wcześniejszy. Było jej chłodno w czarnej bawełnianej garsonce i żałowała, że nie włożyła czegoś cieplejszego; zawsze zapominała, że w Yorkshire jest dużo zimniej niż w Londynie.

Mężczyźni byli ubrani w ciemne garnitury, a kilka kobiet miało kapelusze z woalkami. Zapach naftaliny i perfum mieszał się z wonią świeżo skoszonej trawy. Rozpoznała kogoś z uniwersytetu, ale nie był to ktoś, kogo znała osobiście. Potem zobaczyła męża Meredith, Paula, przechodzącego od grupki do grupki i witającego się z przybyłymi. Jego twarz, zazwyczaj rumiana, była ściągnięta i pobladała. Frannie z trudem zapanowała nad własnym smutkiem.

Ostry ból w żołądku, który poczuła, gdy usłyszała przez telefon wiadomość, i który nie opuszczał jej od tamtej pory, teraz się pogłębiał. Przez tylne okno karawanu widać było sterczącą spośród wiązanek i wieńców trumnę. Dwaj pracownicy zakładu pogrzebowego ubrani w czarne garnitury wyładowywali i nosili kwiaty za róg krematorium, gdzie je rozkładali. Dalej Frannie widziała dekoracyjną fontannę, długi mur z rytowanymi kamiennymi tabliczkami i rzędy pojedynczych krzaków róż, z których każdy był opatrzony dużą plaketką z pleksiglasu.

Drugi karawan był pusty, jego zawartość znajdowała się w tej chwili za zamkniętymi dębowymi drzwiami kaplicy, zza których dobiegał dźwięk organów i stłumiony śpiew „Jerusalem”. Przez bramę przejeżdżał już z hałasem trzeci karawan. Zatrzymał się w odległości podyktowanej szacunkiem, jak statek czekający na falę.

Frannie weszła do ogrodu pamięci i dołączyła do grupy żałobników oglądających kwiaty. Znalazłszy wiązanekę, którą posłała, przeczytała napis na szarfi: „Meredith. Zawsze będę cię kochać i tęsknić za tobą. Z najczulszą miłością. Spags.”

Spags było jej przezwiskiem na studiach; Meredith nadal ją tak nazywała, czasem również Paul. Po policzku potoczyła jej się łza. Wyciągając z torebki chusteczkę zauważyła, że ktoś się ku niej przeciska. Zrobiło jej się trochę słabo, gdy rozpoznała Phoebe Hawkins, swoją koleżankę z archeologii.

Phoebe Hawkins była dziwną, dość samotną dziewczyną. O własnych sprawach nie mówiła nikomu,

ale plotkowała o wszystkich innych osobach, jakby rozpaczliwie pragnęła należeć do paczki i wierzyła, że plotka jest walutą, za którą się do niej wkupi. Miała kanciastą, nieco męską twarz, ani ładną, ani brzydką, którą krótko ostrzyżone włosy i staroświeckie okulary w drucianej oprawie czyniły jeszcze bardziej surową. Była ubrana w matowoczną workowatą sukienkę i skórzane sandały. Stała niezgrabnie, z pochyloną głową, tak jak Frannie ją pamiętała. Przypominała wyglądającego ze skorupy żółwia.

Frannie zawsze było trochę żal Phoebe i chociaż jej specjalnie nie lubiła, starała się ją wciągać w życie studenckie. Nie słyszała, żeby Meredith mówiła o niej, odkąd skończyły studia, i była zaskoczona widząc ją tutaj. Przypomniała sobie jednak, że Phoebe nigdy nie przepuszczała złych wiadomości. Kiedy jeszcze były studentkami, często odnosiła wrażenie, że niepowodzenia innych sprawiają jej przyjemność.

Phoebe uścisnęła dłoń Frannie ze śmiertelną powagą, która wydawała się szczerą.

- To straszne, Frannie - powiedziała.
- Tak, to prawda.
- Jak się masz?
- W porządku, dziękuję - odparła Frannie, rozglądając się, żeby zobaczyć, czy jeszcze kogoś nie pozna. - A ty? - zapytała mechanicznie.
- Dobrze, naprawdę świetnie.
- Spags! Jesteś.

Nagle stanął przed nią Paul i na powitanie pocałował ją w oba policzki.

- Naprawdę miło z twojej strony, że zrobiłaś taki kawał drogi. Myślałem, że zadzwonisz i dasz mi znać, którym pociągiem przyjeżdżesz. Wyszedłbym po ciebie.
- Miałaś dość na głowie. - Uśmiechnęła się. - Nie wiem, co powiedzieć o Meredith. Przepraszam, jestem po prostu... ogłuszona. Jak tam dzieci?
- Są chyba za małe, żeby to naprawdę zrozumieć. - Zerknął ciekawie na Phoebe, której nie znał. - Dzień dobry.
- Jestem Phoebe Hawkins. Byłam z Meredith na studiach.
- Aha, rozumiem - odparł uprzejmie, ale dość oficjalnym tonem.
- Bardzo mi miło, że pani przyjechała. - Spojrzał ponownie na Frannie. - Wpadniesz potem do domu? - Rzucił okiem na Phoebe.
- Panią też serdecznie zapraszam. Zakład pogrzebowy podstawia parę limuzyn. Po prostu wsiądźcie do którejś zaraz po ceremonii.

Podszedł do mężczyzny i kobiety, którzy kręcili się w pobliżu.

- Aileen. Richardzie. Dziękuję, że przyszliście.
- Słyszałam, że pracujesz w Muzeum Brytyjskim - powiedziała Phoebe do Frannie.
- Tak.
- Znasz tam kogoś, kto nazywa się Penrose Spode?
- Dzielę z nim pokój - odparła Frannie zaskoczona.
- Na miłość boską!

W uśmiechu Phoebe były ciepło i czułość, jakich Frannie nigdy dotąd u niej nie widziała. Zaczęła się zastanawiać, czy nie osądzała jej źle.

- Skąd... skąd go znasz?
- Byliśmy razem przez cztery miesiące na wykopaliskach w Iranie, tego lata, gdy skończyłam studia. Dość dziwny facet.
- Trochę. Ale jest w porządku.

Frannie badała twarz Phoebe, chcąc wyczytać z niej jakieś informacje o Spodem, mając nadzieję na coś, czym mogłaby mu dokuczyć. Nagle ogarnęła ją ciekawość, czy coś między nimi zaszło. Zerknęła na dłonie Phoebe, ale nie zobaczyła obrączki.

- A co u ciebie? Co porabiasz?
- Pracowałam w Bath, w Muzeum Łaźni Rzymskich. Ale jakiś miesiąc temu przeniosłam się do Londynu, do Muzeum Historii Naturalnej.
- Jak ci tam idzie?
- Naprawdę dobrze, podoba mi się ta praca. - Zawahała się. - Biedna Meredith miała okropną śmierć.

Ponad przytłumionym gwarem tłumu Frannie usłyszała szcęk klamki i drzwi kaplicy się otworzyły. Żałobnicy przechodzili rzędem obok duchownego, który stał w progu ściskając im dłonie. Spojrzała ponownie na Phoebe.

- Wiesz, jak to się stało?

Phoebe milczała przez chwilę, jakby nie miała ochoty się rozstawać z dobrze ukrytą tajemnicą. Rozejrzała się dookoła, jak gdyby chcąc się upewnić, że nikt jej nie podsłuchuje, i nachyliła się ku Frannie. Ta poczuła zapach jej mydła. Miał karbolowy, służbowy, nieatrakcyjny odcień. Phoebe dzieliła się szczegółami z miną posiadaczki, jakby jej jednej je powierzono.

- Podobno było to w piątek rano; podrzuciła syna, Charlesa, do przedszkola i jechała na wyprzedaż

starych mebli koło Harrogate. Stała na światłach; kiedy się zmieniły, ruszyła i jakiś samochód przejeżdżający skrzyżowanie na czerwonym świetle uderzył ją z boku.

Phoebe zamilkła, ale jej rozszerzone oczy sygnalizowały, że ma do powiedzenia coś więcej.

- Boże, biedna Meredith! - zawołała Frannie.
- Oczywiście będzie sprawa sądowa. Policja go zaskarży.

Wiele z tego Meredith nie przyjdzie, pomyślała Frannie, ale nic nie powiedziała. Zauważyła inną znajomą, której nie widziała od paru lat, Phoebe nie chciała jej jednak puścić.

- Przynajmniej nie cierpiała zbyt długo - ciągnęła. - Ale widok musiał być dość przerażający.
- Nie cierpiała długo?
- Samochód stanął w płomieniach. Meredith była przytomna, ale nie mogli jej z niego wyciągnąć.

Frannie zamknęła oczy, czując przypływ mdłości.

- O mój Boże!
- Jedna kula ognia; spaliła się nie do poznania.

Kiedy Frannie otworzyła oczy, zobaczyła, że karawaniarze wyładowują trumnę. Trumnę, w której jest Meredith. Podniosła wzrok na ścianę z bladoczerwonej cegły. Niebo przecinała smuga po przelocie odrzutowca.

Spaliła się nie do poznania.

Usiłowała wypchnąć ten obraz z myśli, ale nie mogła. Zobaczyła Meredith za kierownicą: rozczochrane włosy, papieros między niechłujnie uszminkowanymi wargami; pochyla się, żeby podkręcić radio, rozlega się ryk muzyki; potem podnosi wzrok i widzi, że światło zmienia się na zielone, przesuwają dźwignię biegów do przodu, naciska gaz. Chwila przerażenia. Dźga stopą hamulec. Pisk opon. Huk. Potem płomienie. Próbuje otworzyć drzwi, które są wgniecione, wygięte. Inni ludzie ciągną za nie od zewnątrz, tak jak ciągnęli drzwiczki volvo w Meston, gdy Dominik przytrzasnął sobie palce. Płomienie rosną. Meredith pali się żywcem. Krzyczy, szarpie za klamkę, wali w okno. Tak jak kierowca w piekle na autostradzie, którego świadkiem Frannie była przed czterema laty.

Modliła się, żeby to nie było tak.

Zachwiała się i przełknęła żółć, która urosła jej w gardle. Dreszcze chodziły jej po skórze.

- To okropne - powiedziała słabo. - Mój Boże.

Ponownie zamknęła oczy i natychmiast je otworzyła, przerażona obrazem, który pojawił się w jej myślach.

- Straszne. - Phoebe wskazała ruchem głowy rodzinę Meredith wchodzącą za trumną w drzwi

kaplicy. - Wyobraź sobie konieczność zidentyfikowania ciała.

- Utrzymujesz kontakt z kimś z naszej paczki? - zapytała Frannie, chcąc zmienić temat.

- Sarah Hobday była w Bath przez sześć miesięcy, pracowała nad pewnym projektem Muzeum. A w zeszłym roku, podczas seminarium na Politechnice Middlesex, wpadłam na Keitha Stanleya. No i oczywiście parę razy odwiedziłam Susie Verbeeten. - Zawahała się, po czym dodała: - Biedaczka.

Frannie zobaczyła cień kłującego uśmiechu dawnej Phoebe; jak ssawka moskita wyciągał coś z każdego, kogo spotykała, zamieniał krew w truciznę.

- Dlaczego tak mówisz?

- Och, nie słyszałaś?

We Frannie urosły cienie.

- O czym?

Pamiętała Susie Verbeeten wyraźnie: organizatorka, zawsze organizatorka, ale czasami zabawna, chociaż miała skłonność do mędrkowania.

- Susie oślepła.

- Oślepła? - powtórzyła Frannie jak echo, z przerażeniem w głosie. - Susie?

- Tak. Myślałam, że o tym wiesz.

- Nie widziałam jej od końca studiów. - Nowy, nieokreślony strach wsączył się w serce Frannie i mgła zasnuła jej myśli. - Skąd... to znaczy... powiedz mi, co się stało? Oślepła trwale?

- O tak, nie ma żadnej szansy, zostały zniszczone siatkówki.

Grupki wokół nich się przeredzały, ludzie wchodzili rzędem do kaplicy.

- Ale jak?

Frannie była świadoma dźwięczącej w jej głosie desperacji.

- Przez wirusa, którego złapała w Malezji. Skażenie Morza Południowochińskiego. Jest jakaś bakteria, na którą miejscowi są odporni, ale ludzie z Zachodu nie. Atakuje siatkówki.

- Ale... dlaczego... to znaczy... nic nie da się zrobić?

- Nic a nic.-Phoebe rozejrzała się dookoła.-Powinniśmy wejść do środka.

Coś poruszyło się w głębi umysłu Frannie. Lekko, bardzo lekko; jak zahibemowany potwór nie do końca obudzony ze snu. Niezgrabnie weszła za Phoebe do kaplicy i usiadła obok niej na twardej, lśniącej ławce, patrząc w milczeniu na wyłożoną dębową okleiną trumnę, która stała na katafalku. Na

pojedynczy wieniec z białych lilii.

Śmierć jest miejscem samotnym; i cichym. Za krótką chwilę Meredith zostanie sama jedna wsunięta do pieca. Czy to konieczne, skoro jest już zwęglona nie do poznania? - zastanawiała się Frannie. I drzwi zamkną się za nią na zawsze.

A może Bóg przyjmie jej ducha. Może Meredith jest już z Bogiem. Frannie nie była pewna. Przechodziła kryzys wiary. Zamknęła oczy, odpięła klęcznik z haczyka i zsunęła się na kolana, kryjąc twarz w dłoniach.

Płakała cicho przez całą ceremonię, podczas gdy Phoebe siedziała obok niej z kamiennym spokojem. Ledwo słyszała słowa kapelana; Meredith nigdy nie była specjalnie religijna, a sądząc ze sposobu, w jaki o niej mówił, kapelan w ogóle jej nie znał.

Dziwne myśli przebiegały Frannie przez głowę. Pozory i rzeczywistość, nagle wspomniane ze szkolnego wypracowania. Pisał o tym Szekspir. Że nic nie jest takie, jakim się wydaje. Susie Verbeeten wydawała się silna, niezniszczalna. Przywódczyni paczki.

Oślepla.

Meredith była pełna życia. Wesoła. Zawsze miała szczęście, jakby chroniło ją jakieś zaklęcie. Frannie znów zaczęła się modlić, ale czuła, że sztywnieje jej całe ciało, a na skórze występuje zimny pot. Teraz była już bardzo przestraszona. Musi rozwiązać tę zagadkę.

Po wyjściu na zewnątrz, na mżawkę, Paul skierował je do jednej z podstawionych przez zakład pogrzebowy limuzyn marki Daimler. Frannie zwróciła się do Phoebe.

- Pamiętasz Jonathana Mountjoya?
- Tak. Widziałaś go ostatnio?
- Kilka tygodni temu został zabity w Waszyngtonie przez bandytę.

Phoebe lekko zbladła. Wydawało się, że nie chce patrzeć na Frannie. Kierowca przytrzymał im drzwiczki, weszły do silnie pachnącego skórą wnętrza samochodu i usiadły.

- Poważnie, Frannie?
- Tak.
- Kilka tygodni temu?
- Na początku sierpnia.

Frannie splotła dłonie, żeby się rozgrzać i dodać sobie otuchy.

- Wygląda na to, że nasz rok ma jakiegoś pecha, nie sądzisz, Phoebe? Meredith nie żyje. Jonathan nie żyje. Susie oślepla. Trzy osoby. Dość okropny zbieg okoliczności, prawda?

Phoebe potrząsnęła głową.

- Nie sędzę, żeby to był zbieg okoliczności.
- Co masz na myśli?

Phoebe milczała przez chwilę, a potem poprosiła kierowcę, żeby podzucił ją na stację, ponieważ musiała wracać do Londynu.

- Zadzwońię do ciebie, Frannie.
- O co chodzi?
- Można cię złapać w Muzeum Brytyjskim?
- Tak.

Phoebe zmieniła temat i gdy jechały przez York paplała z udawaną wesołością o starych znajomych, raczej obserwując czujnie jak ptak mijane widoki niż patrząc Frannie w oczy.

Pod stacją wysiadła z limuzyny.

- Jutro do ciebie zadzwonię - powiedziała i nie oglądając się za siebie weszła do środka.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- Chyba że chce pani kupić rydwan - powiedział Penrose Spode do słuchawki telefonicznej.

Miał otarty czubek brody i plaster na czole, gdyż w drodze do pracy spadł z roweru. Jego czarne włosy były jak zwykle przylizane i gładkie niczym foczne futro. Siedział sztywno za biurkiem naprzeciwko Frannie, w koszuli, której przyszarżała biel korespondowała z barwą jego cery, zielonej sztruksowej marynarce i starannie zawiązanym krawacie koloru sosu od pieczeni, trzymając słuchawkę w pewnej odległości od ucha, jakby była workiem brudnej bielizny należącym do kogoś obcego.

- Nie - powiedział lodowatym tonem. - Nie - powtórzył.

Frannie wprowadzała do komputera swoje notatki o opatrzonych etykietkami, ale nie skatalogowanych eksponatach przechowywanych w podziemiach i miała trudności z odcyfrowaniem własnego charakteru pisma. Było jej zimno, czuła się zmęczona i bolała ją głowa. Miała wrażenie, że poranny deszcz wszedł za nią do Muzeum i otula ją teraz jak przemoczony płaszcz. Ziębił jej ciało tak, jak dziwna reakcja Phoebe Hawkins na wiadomość o śmierci Jonathana Mountjoya zmroziła jej myśli.

Deszcz padał przez całą noc, zerwał się wiatr. Leżała w łóżku w swoim mieszkaniu i drżała z zimna, zapadając na krótkie chwile w niespokojny sen.

- Nie, z całą pewnością nie - powiedział Spode.

Frannie zmarszczyła pulsujące bólem czoło i wystukała:

Miecz na bawoły, Ram Dao. Inkrustowana drogimi kamieniami rękojeść.

Sztylet z kościaną rękojeścią, dynastia Gupta.

Nepalski nóż z żelazną klingą i miedzianymi obręczkami na rękojeści.

- Proszę pani - ciągnął Spode - jak już mówiłem, obawiam się, że połączono panią z niewłaściwą sekcją. To są Starożytności Wschodnie. Powinna pani porozmawiać z kimś z sekcji rzymskiej. - Zasłonił słuchawkę dłonią. - Wariatka, kompletnie szurnięta.

Frannie nie była pewna, czy Spode zwraca się do niej, czy do pokoju w ogólności. Zachowywał się w ten sposób przez cały ranek i usiłowała go ignorować, jak to zwykle robiła, gdy był rozdrażniony. Miała jednak kłopoty ze skupieniem się na pracy. Przed godziną znów wzięła aspirynę, ale niewiele jej to pomogło. Pociągnęła kolejny długi łyk coli z puszki, która stała na jej biurku. Cola czasem działała na nią, gdy miała kaca albo po prostu czuła się parszywie.

Była dziesiąta trzydzieści. Dwie i pół godziny do lunchu. Jej silna wola skruszała. Wyciągnęła z torebki Twixy, które kupiła sobie na deser. Kiedy rozdarła opakowanie i odgryzła kawałek jednego paluszka, Spode popatrzył na nią z pogardą.

- Tak, proszę pani - powiedział do słuchawki. - Jestem tego głęboko świadom.

Kursor na monitorze Frannie mrugał cierpliwie, mały pomarańczowy kwadracik na czarnym ekranie. Spode słuchał nie komentując i przez chwilę panowała cisza. Korytarzem nadchodzili jacyś ludzie. Usłyszała jowialny irlandzki akcent Declana O'Hare, kustosa Starożytności Wschodnich, i rubaszny śmiech osoby, z którą był. Otworzyły się drzwi. Odwróciła się w momencie, gdy O'Hare wetknął głowę do pokoju.

- O, Frannie. Jaka jesteś dziś elegancka. Pewnie masz ważną randkę, co?

Uśmiechnęła się słabo. Nie była w nastroju do słuchania jego żartów. Za nim stał jakiś ubrany w anorak mężczyzna z kozią bródką.

O'Hare mówił dalej.

- Frannie zostanie wkrótce uwolniona od wiecznego mozołu w podziemiach. Świt nowego świata jest już bliski. Jeśli Penrose będzie bardzo grzeczny, może i jemu coś kapnie. Mogłabyś przyjść do mojego gabinetu jutro o wpół do dziesiątej? Planujemy nową wystawę i chciałbym, żebyś od początku brała udział w jej organizacji. Jak daleko zaszłaś z katalogowaniem?

- Prawie skończyłam.

- Mogłabyś dokończyć to dzisiaj?

- Mogę spróbować.

- Może zostałabyś po godzinach?

- Muszę wyjść za piętnaście siódma. Zrezygnuję z przerwy na lunch.

- Kochana dziewczyna!

Wyszedł i zamknął drzwi, a Frannie poczuła przyływ zainteresowania, zadowolona z szansy porzucenia monotonii swego obecnego zajęcia.

- Proszę pani - odezwał się Spode do słuchawki - jeśli zajrzy pani do podręczników historii, przekona się pani, że Icenowie nie byli Rzymianami, i że Boadicea to kobieta, a nie zaginione hinduskie księżątko.

Frannie wyregulowała obraz na ekranie, zmniejszając trochę jasność i spojrzała w swoje notatki. Nagle zabrzączał telefon. Ogarnęła ją irracjonalna panika, że to Oliver dzwoni, aby odwołać spotkanie. Głęboko pragnęła znów go zobaczyć. Objąć go. Zostać przez niego uspokojona. Podniosła słuchawkę.

- Halo?

- Frannie?

Był to inny asystent naukowy, Julian Egon.

- Declan O'Hare powiedział, że będę musiał przejąć katalogowanie podziemi. Możesz mi napisać, co już zrobiłaś? Oszczędzi mi to trochę czasu.

- Jasne. Na kiedy ci to potrzebne?

- Nie ma pośpiechu. Za parę dni.

- Zrobię to dziś po południu.

Odłożyła słuchawkę i utkwiała wzrok w niedokończonym Twixie; mdliło ją od czekolady.

Penrose Spode skończył swoją rozmowę telefoniczną.

- Doprawdy - powiedział.

Frannie podniosła brwi.

- Cholerna baba.

Zmarszczył się, gdy Frannie wysączyła colę.

- Wiesz, ile w tym świństwie jest cukru?

- Pewnie dlatego działa - odparła i zaczęła wystukiwać następną pozycję.

Telefon zadzwonił ponownie. Tym razem była to Carol Bolton, z pytaniem, czy Frannie nie chciałaby dołączyć do paru osób, które mają po pracy obejrzeć z przewodnikiem wykopaliska na terenie jakiejś budowy, a potem pójść do chińskiej knajpki. Podziękowała za zaproszenie i powiedziała, że jest już z kimś umówiona. Carol odparła, że domyśla się z kim, zachichotała i rozłączyła się.

Palce Frannie wykazywały beznadziejny brak koordynacji z jej umysłem i bez przerwy się myliła. Penrose Spode był w nastroju do telefonowania. Lodowaty sarkazm, z jakim odnosił się do telefonistek bibliotekarzy i archiwistów sprawiał, że kuliła się w sobie. O jedenastej przerwała pracę, spytała go, czy coś chce, poszła do stojącego przed bufetem automatu i kupiła obydwójgu po kawie. Kiedy wróciła do pokoju, Spode skończył właśnie kolejną rozmowę i trząśł się z oburzenia na jakąś nową niesprawiedliwość.

- Chyba znasz kogoś, z kim byłam na studiach - powiedziała, stawiając plastikowy kubeczek na schludnym pustkowiu jego biurka.

Czujnie przyjrzał się kropli, która spływała po ścianie.

- Kto to taki?

- Phoebe Hawkins.

Spojrzał na nią podejrzliwie, jakby wtargnęła nieproszona w jego prywatne życie. Z wyrazu twarzy przypominał strzegącą swego gniazda wronę.

- Tak - odparł wymijająco. - Słabo ją pamiętam. Byliśmy razem na wykopaliskach w Iranie.

- Gorące arabskie noce?

Zjeżył się w milczeniu, jakby odpowiedź była poniżej jego godności i przez parę chwil udawał, że wrócił do pracy.

- Prawdę powiedziawszy, to nie - odezwał się nagle i Frannie uświadomiła sobie, że wspomina ich znajomość czy związek miłosny mniej szczęśliwie niż Phoebe.

Powodowana czystą ciekawością zastanawiała się, jaki naprawdę był to związek. Z pewnej jego uwagi wywnioskowała kiedyś, że mieszka z matką, ale zawsze udzielał na pytania niejasnych odpowiedzi. Nikt inny z kolegów też nie wiedział o nim nic więcej. Przez rok dzielenia z nim pokoju nie znalazła żadnej szczeliny w pancerzu osłaniającym jego prywatność.

- Co za zbieg okoliczności! - stwierdziła.

Nic nie odpowiedział.

Zjadła w bufecie kanapkę z jajkiem i pomidorem, splukała ją sokiem jabłkowym, kupiła drugiego Twixa i wrzuciwszy go do torebki poszła prosto do podziemi. Do skończenia tego magazynu zostały jej dwie szafy. Jeśli się pospieszy, może zdąży zrobić je dzisiaj, jak prosił Declan O'Hare. Chociaż nie będzie to koniec katalogowania hinduskiej broni, Julian Egon będzie miał przynajmniej jasny punkt wyjścia, gdy przejmie pracę.

Szła spiesznie długim, ponurym, biegnącym głęboko pod ziemią korytarzem z jarzeniówkami na suficie, rzędami gaśnic i ponumerowanymi drzwiami magazynów pełnych skarbów. Niektóre eksponaty zniesiono tu dla bezpieczeństwa podczas Blitzu i już nigdy nie wróciły na górę. Niektóre po prostu nie zmieściły się w salach ekspozycyjnych i czekały na odpowiednią wystawę. Inne były obiektami, których dokumentacja zaginęła.

Otworzyła drzwi oznaczone 2f, włączyła światło i weszła do pozbawionego okien, dusznego pomieszczenia. Wysoka na trzy stopy chimera z czerwonego marmuru wyszczerzyła do niej zęby kilka cali od jej twarzy. Siedziała na wieku kamiennej trumny, strzegąc jej zawartości. Miała odrażający pysk i przyprowadzała Fran-nie o ciarki. Declan O'Hare powiedział jej kiedyś ze złowrogim błyskiem w oczach, że trumna nigdy nie była otwierana i ciąży nad nią klątwa straszniejsza od klątwy grobowca Tutenchamona.

Eksponaty piętrzyły się wokół aż do wysoko sklepionego sufitu: półki pełne posążków, masek śmierci, totemów, przyłbic, hełmów. W mroku przeciwległego kąta stało krzesło do tortur, nabite pionowymi szpikulcami. Frannie prześliznęła się obok niego, żeby otworzyć drzwi jednej z dwóch cedrowych szaf, których jeszcze nie tknęła. Ku jej zdumieniu wewnątrz znajdował się tylko jeden przedmiot, wyszczerbiona brązowa figurka tygrysa otoczona osobliwego kształtu symbolami. Aby się upewnić, że w szafie nie ma nic więcej, Frannie wyciągnęła schodki i wspięła się do góry. Wszystkie dziesięć zrobionych z listewek półek było puste.

Zeszła na dół i otoczyła figurkę dłonią. Kiedy zacieśniała chwyt, poczuła bolesne ukłucie w palec. Przez chwilę myślała, że użądliła ją kolejna osa, ale potem spostrzegła ciemnoczerwoną krew tryskającą z maleńkiej dziurki. Wyssała krew do czysta i mocno obwiązała palec chusteczką.

Gdy obróciła tygrysa, zobaczyła, co ją skaleczyło: był to ułamany szpic czegoś, co wyglądało na miecz. Przesunęła figurkę na brzeg półki, zdumiona jej ciężarem, i spojrzała na przywiązaną do niej starą, pożółkłą etykietkę. Otworzyła notes i zdjęła skuwkę z długopisu, zabierając się do zwykłej procedury.

Etykietkę sporządzono bardzo dawno, atramentem, który wyblakł do wodnistego brązu, ale napis był nadal czytelny: „Uszkodzona brązowa figurka tygrysa znaleziona podczas oblężenia Seringapatamu, prowincja Mysore, w 1799 r. Czas powstania: początek XVIII w. n.e. Ofiarowana Muzeum Brytyjskiemu w 1865 r. przez Williama Halkina, 14. markiza Sherfield.”

Drżący uśmiech przebiegł po wargach Frannie jak pęknięcie przez tafłę lodu. Usiłowała przekonać samą siebie, że nie ma w tym nic złowróbnego, że to nic nie znaczy, usiłowała odepchnąć wątpliwości, które osaczały ją od pogrzebu Meredith. Nagle doznała niesamowitego wrażenia, że w pomieszczeniu jest ktoś jeszcze i obserwuje ją. Odwróciła się. Nic. Spojrzała ponownie na tygrysa, znów przeczytała etykietkę. Wtedy usłyszała wyraźne szurnięcie nogą. Rozległo się koło drugiego końca szafy, w pobliżu drzwi.

- Kto tam? - zawołała.

Nie było odpowiedzi.

- Kto tam? - zawołała głośniej.

Cisza. Ale sufit ją obserwował. Ściany zdawały się ku niej sunąć; czuła dotyk niewidzialnych palców, które ściągały i marszczyły jej skórę. Przewyciężyła panikę. Na dole nie było nikogo, kto by ją usłyszał, gdyby zaczęła krzyczeć. Zrobiła ostrożnie krok między półki, szukając jakiegoś przedmiotu, który mogłaby wziąć do ręki, czegoś ciężkiego; szafy były pełne broni, setek egzemplarzy. Przesunęła się w stronę drzwi i nagle przystanęła zdumiona. Chimera z czerwonego marmuru strzegąca zamkniętej trumny nie znajdowała się już na wieku. Stała obok na podłodze. Blokując jej drogę.

Zza drzwi odezwał się niski, skrzekliwy głos:

- Idę tylko na spacer. Możesz wyjść z trumny pod moją nieobecność, jeśli obiecasz, że będziesz grzeczny.

W progu pojawił się jej szef, szczerząc głupkowato zęby.

- Declan O'Hare! Ty draniu! - powiedziała Frannie.

Zakołysał głową z boku na bok i wsunął ręce do kieszeni blezera.

- Zawsze mówiłem, że ten pokój jest nawiedzony, prawda?

Przycisnęła dłoń do serca.

- Boże, ależ mnie przeraziłeś! - Jej ulga była zaprawiona gniewem. - Mało nie umarłam ze strachu!

Ponownie wyszczerzył zęby.

- Strach jest przyprawą, która nadaje życiu smak, Frannie. Jak możesz szanować przeszłość, jeśli się jej nie boisz? Nie możesz kochać niczego, czego się nie lękasz. Nie wiedziałaś o tym?

Pomyślała, że chyba miesza mu się w głowie.

- Nie, nie wiedziałam; jest wiele rzeczy, które kocham, nie bojąc się ich.

Pogłaskał chimerę po łbie, jakby była kotem.

- Czyżby? Wymień chociaż jedną.

- Moi rodzice.

Potrząsnął głową.

- Nie, kochasz ich tylko dlatego, że najpierw nauczyłaś się ich bać. Na tym polega różnica między podobaaniem się i miłością, Frannie. Mogą ci się podobać różne rzeczy - piękny widok, ładny wazon - ale kochać możesz tylko coś, co szanujesz. A jeśli coś szanujesz, w pewnym sensie się tego boisz. - Schylił się i nie bez trudu podniósł chimerę z powrotem na trumnę. - Cesare Lombroso powiedział, że ignoranci zawsze podziwiają to, czego nie potrafią zrozumieć. Czy ty też?

- Co to ma być? Dwadzieścia pytań?

- Powiedz mi, czy ty też?

- Czy podziwiam to, czego nie potrafię zrozumieć? Nie wiem. Do czego zmierzasz?

Nagle zaczęła się zastanawiać, czy między Declanem O'Hare i Oliverem Halkinem nie istnieje jakieś powiązanie, o którym nie wie. Napis na przeczytanej przed chwilą etykietce podsuwał jej różne pomysły. Może Halkinowie są dobroczyńcami Muzeum czy coś w tym rodzaju. Czy Declan próbuje ją

ostrzec? Odstreczyć od Olivera? Absurdalne.

Przechadzał się po pomieszczeniu swym normalnym, nieco wyniosłym krokiem. Był mężczyzną czterdziestokilkuletnim, namiętnie zakochanym w swej pracy i miał gładką urodę telewizyjnego prezentera. Przystanął, aby postukać w jakąś srogą maskę.

- Wiesz, dlaczego wojownicy nosili je w bitwie?
- Żeby odstraszyć wrogów.

Uśmiechnął się swym telewizyjnym uśmiechem.

- Nie, Frannie. Żeby ukryć przed nimi swój strach.
- To nie jest dobry dzień na rozmawianie ze mną o strachu, Decían.
- Tak? - Popatrzył na nią pytająco. - Dobrze się czujesz? Co sobie zrobiłaś w palec?
- Nic. To tylko ukłucie.
- Kiepsko wyglądasz. Ach, oczywiście. Zapomniałem. Pogrzeb. Przykre?
- Tak.
- Śmierć na Zachodzie zawsze ma takie oblicze. Ale to już inna historia. Więc pragniesz dziś wolności od strachu?

Skinęła głową. O'Hare utkwiał wzrok w jednej z masek śmierci.

- Dobra z ciebie dziewczyna, Frannie. Dobry naukowiec. Masz przed sobą wspaniałą przyszłość. Tylko nie zubożętniej na przeszłość, to wszystko.
- Nie sądziłam, że jestem na nią obojętna.

Potrząsnął krótko głową.

- Ja też nie sądzę. - Przesunął dłonią po tarczy z krokodylej skóry. - Nie uważasz, że byłoby cudownie, gdybyśmy mieli dostęp do przeszłości? Gdybyśmy mogli przejechać po czymś takim jakąś maszyną, złapać pole energii człowieka, który kiedyś nosił tę tarczę w bitwie, dowiedzieć się o nim wszystkiego, poznać jego myśli, jego uczucia, to, jak żył?
- Owszem, byłoby.
- Właśnie tym są dla mnie starożytności, Frannie. Czy dla ciebie też?
- Chcesz powiedzieć, że naprawdę potrafisz odczytać z nich przeszłość?

Jego wyraziste niebieskie oczy rozszerzyły się.

- Niestety nie. Żałuję, że nie jestem medium, wtedy może bym potrafił. Są ludzie, którzy potrafią. A

przynajmniej tak twierdzą. Powinnaś porozmawiać z Penrosem, on zna się na tych rzeczach.

- Penrose? - zapytała zaskoczona.

Przewrócił oczami w formie dość sceptycznego potwierdzenia.

- Ale powiem ci, co myślę: my, ludzie, pamiętamy wszystko, co się nam kiedykolwiek zdarzyło, wszystko, co kiedykolwiek widzieliśmy czy zrobiliśmy. Do wielu z tych rzeczy nie mamy dostępu, chyba że poddamy się hipnozie. Są w nas, ale głęboko zagrzebane. Wierzę, że przedmioty i miejsca również mają pamięć; na ich atomy, na ich cząstki elementarne - obojętne, jak to nazwać - oddziałuje wszystko, co się wokół nich dzieje. Musi być jakiś sposób na to, żeby się do nich dostać.

- I właśnie to chcesz zrobić? Znaleźć ten sposób? Wynaleźć maszynę, która będzie potrafiła je odczytać?

- Nie - odparł z uśmiechem i podszedł do drzwi. - Absolutnie nie. Jestem tylko zwykłym archeologiem, który grzebie w ziemi szukając starych kości, garnków i ogródkowych skrzatów.

Wyszedł bezszelestnie na swych gumowych podszewkach, a Frannie potrząsnęła głową, oszołomiona jego ekscentrycznością.

- Declan! - zawołała za nim.

Zatrzymał się przy drzwiach na końcu korytarza.

- Słucham?

- W jednej z szaf jest mała brązowa figurka - osiemnasty wiek, Indie - ofiarowana w 1865 roku przez Williama Halkina, czternastego markiza Sherfield. Czy ta rodzina ma jakieś powiązania z Muzeum?

Spojrzał na podłogę, założył ręce za plecy i zmarszczył brwi.

- Wydaje mi się, że mieli jakieś powiązania z Kompanią Wscho-dnioindyjską. I w pewnym okresie byli zupełnie niezłymi mecenasami sztuki.

Kiedy się z nim zrównała, ruszył dalej. Przeszedł przez drzwi i zaczął wchodzić po schodach. Dotrzymała mu kroku.

- Banda dziwaków, ci Halkinowie. Połowa to pomyleńcy. Ale taka jest większość arystokracji - powiedział.

- Dlaczego Halkinowie są dziwni?

- Och, nie pamiętam, kiedy to było - chyba w osiemnastym wieku - żona jedenastego czy dwunastego markiza umarła, ale on całkowicie to zignorował, zachowywał się tak, jakby nic się nie stało, kazał służącym nadal przebierać ją do obiadu i znosić na dół. Jadał z nią przez ładnych parę lat po jej śmierci. Połowa służby odeszła, bo nie mogli znieść tego cyrku. - Przytrzymał Frannie drzwi u szczytu schodów. - No i oczywiście był jeszcze w siedemnastym wieku ten stary drugi markiz, który

zabawiał się przeróżnymi okultystycznymi sztuczkami. Pasjonowała go numerologia.

- Wygląda na to, że dużo o nich wiesz.
- Nie, wcale nie. Interesuję się historią Anglii, to wszystko. Byli znaczącą rodziną, w pomniejszym sensie. Paru członków parlamentu i żołnierzy, te rzeczy. Nawet nie wiem, czy ta linia nie wygasła.
- Nie - stwierdziła Frannie.
- Aha - odparł bez wielkiego zainteresowania. - Jeśli chcesz się dowiedzieć o nich czegoś więcej, możesz spróbować poszukać w bibliotece.
- Miałam taki zamiar.
- Jest tam cały dział poświęcony genealogii. Muszą w nim być. Najlepiej zacznij od Debretta.

Kiedy tuż przed piątą wróciła do swojego pokoju, Penrose'a Spode'a nie było; zerknąwszy na drzwi zobaczyła, że jego kask ochronny i odblaskowa szarfa zniknęły, co świadczyło o tym, że wyszedł na dobre. Siadając przy biurku zauważyła notatkę sporządzoną jego starannym charakterem pisma: „O 2.35 telefonowała Phoebe Hawkins. Bardzo prosi, żebyś do niej jak najszybciej zadzwoniła. Jest na zebraniu, ale cię przełączą.”

Wykręcając numer zastanawiała się, czy to nie rozmowa z Phoebe skłoniła Spode'a do wyjątkowo jak na niego wczesnego wyjścia z pracy. Jakikolwiek był jednak tego powód, cieszyła się, że go nie ma i nie będzie mógł podsłuchiwać.

- Frannie?

W głosie Phoebe dźwięczało zdenerwowanie.

- Przepraszam, dostałam twoją wiadomość dopiero przed chwilą.
- Posłuchaj, nie mogę teraz rozmawiać. Czy mogłybyśmy się spotkać dziś wieczorem?
- Nie mogę - odparła Frannie. - To niemożliwe. Może jutro w porze lunchu?
- Nic z tego, mam zebranie. A jutro wieczorem? Mogłabyś wpaść do mnie na kolację?
- Tak, chyba tak - powiedziała Frannie, nie bardzo mając ochotę umawiać się na wieczór, na wypadek, gdyby chciał się z nią spotkać Oliver. - Gdzie mieszkasz?
- W Clapham. Thetford Avenue.
- Wiem, gdzie to jest. To tylko parę ulic ode mnie.

Phoebe nie zareagowała na tę wiadomość.

- To naprawdę ważne, Frannie. Nie żartuję.

- Nie martw się. Przyjdę. O której?
- Koło siódmej?
- Dobrze.
- Numer trzydzieści osiem, mieszkania trzy.

Frannie zapisała adres.

- Czy mówi ci coś liczba *dwadzieścia sześć*, Frannie?
- Dlaczego? - zapytała po chwili zastanowienia.

Usłyszała, że ktoś niecierpliwie woła Phoebe.

- Słuchaj, muszę kończyć. Uważaj na tę liczbę.
- Mam uważać? O co ci chodzi?

Dobiegło ją kolejne niecierpliwe wołanie.

- Do jutra. O siódmej.

I Phoebe odłożyła słuchawkę.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

W ciągu popołudnia deszcz przestał padać i wymyte jezdnie lśniły pod wieczornym niebem. Było za pięć siódma. Frannie czekała pod Muzeum ubrana w płaszcz nieprzemakalny. Godziny szczytu już minęły i ruch uliczny się przeredził, ale spaliny nadal wisiały nad Great Russel Street ciężką chmurą. Rozległ się ostry klakson i Oliver zatrzymał z hałasem swoje renault.

Kiedy Frannie wsiadła do samochodu, przeprosił za spóźnienie, mówiąc, że utknął na zebraniu, a potem przywitał ją długim pocałunkiem, który zaparł jej dech i wywołał rumieniec na jej policzkach.

- Prześlicznie wyglądasz - stwierdził.
- Ty też wyglądasz nie najgorzej.

Podobała jej się jego jasnoniebieska koszula i prążkowany, barwny krawat z przewagą koloru pomarańczowego. Ucałowała kostki jego dłoni i przez chwilę patrzyli sobie w oczy, podczas gdy silnik pracowicie chodził. Oliver wyglądał na odprężonego. Niepokój, który podczas weekendu ścigał mu twarz zmarszczkami, zniknął, dzięki czemu jego rysy były jeszcze bardziej wyraziste i jeszcze mocniejsze.

- Tęskniłem za tobą - powiedział.
- Ja za tobą też.

Zdawała sobie sprawę, że są doskonale widoczni dla wszystkich osób wychodzących z Muzeum, ale nic ją to nie obchodziło.

- Edward poszedł do szkoły bez problemu?
- Tak, robił wrażenie bardzo zadowolonego. - Podniósł palec. - Musiałem mu coś uroczyście obiecać. Że będziesz w Meston w sobotę po południu, kiedy przyjedzie do domu na weekend. - Przechylił głowę i uśmiechnął się. - Czy byłoby to możliwe?

Smutek spowodowany śmiercią Meredith i zaniepokojenie słowami Phoebe poszły na chwilę w niepamięć. Objęła go ramionami, odurzona ciepłem, którym emanował, i własną na nie reakcją.

- Myślę, że da się to załatwić - odparła miękko.
- Jak tam uządlenia?
- Jeszcze trochę bołą, ale dziś czuję się już dużo lepiej.

Oliver włączył się do ruchu. Frannie oparła się o fotel i zapytała:

- Edward może przyjeżdżać do domu na każdy weekend?
- Jest wolny od sobotniego lunchu.
- Brakowało ci go dzisiaj?
- Ponieważ na poniedziałek i wtorek wziąłem wolne, dziś musiałem przysiąc fałdów; nie miałem zbyt wiele czasu na myślenie o nim.
- Co dzisiaj robiłeś?
- Analizowałem i omawiałem statystyki wypadków drogowych.

Obserwując jego szybką, agresywną jazdę, Frannie doszła do wniosku, że nie zrobiły one na nim wrażenia.

- Do czego to potrzebne?
- Nasz bank zajmuje się reasekuracją ubezpieczeń samochodowych. Musimy podejmować decyzje opierając się na statystykach. - Zmieniając pas zamilkł na chwilę, świadom toku myśli Frannie. - No więc, jak było na pogrzebie?
- Ponuro. Mąż był bardzo dzielny. Myślę, że to wszystko jeszcze do niego nie dotarło.
- Wróciłaś wczoraj wieczorem?
- Tak. Dostałam dziś w Muzeum dobrą wiadomość. Będę pracować przy nowej wystawie, z czego się naprawdę cieszę.

- Świetnie! Brawo!

- Chyba po prostu miałam trochę szczęścia. I zdarzył mi się dość ciekawy zbieg okoliczności dotyczący twojej rodziny - dodała z wahaniem.

- Tak?

Opowiedziała mu o tygrysie z brązu, ale nie wspomniała, że się nim skaleczyła.

- Czternasty markiz. William Halkin - powiedział Oliver z namysłem. - Był chyba związany z Kompanią Wschodnioindyjską. I z polityką w Indiach. Ofiarował muzeom sporo dzieł sztuki.

- Kiedy zobaczyłam tę figurkę, w pierwszej chwili wydało mi się to trochę niesamowite. Chyba zaczynam się od ciebie зараżać strachem przed zbiegami okoliczności.

Oliver zahamował ostro na czerwonym świetle i poleciała do przodu, naprężając pas bezpieczeństwa.

- Co masz na myśli?

- Pamiętasz wypadek, który widzieliśmy w drodze powrotnej do Londynu?

Skinął głową, przybierając poważniejszy wyraz twarzy.

- No więc, gdy tylko weszłam do domu, zadzwonił mąż Meredith z tą straszną wiadomością. Po tym, jak powiedziałaś, że zbiegi okoliczności zawsze coś znaczą, pomyślałam, że to dość zagadkowa sprawa.

Światła się zmieniły i Oliver lekko dodał gazu.

- Ja też dostałem w niedzielę wieczorem niezbyt dobrą wiadomość. Nie chciałem mówić o tym przez telefon. Charles zadzwonił, żeby mi powiedzieć, że następne sześć krów złapało wirusa i weterynarz zabronił nam sprzedawać mleko, dopóki całe stado nie wyzdrowieje.

- Czy straciecie dużo pieniędzy?

Na Charing Cross Road utknęli w korku. Oliver zatrzymał się za taksówką, która wypluwała pasażerów.

- Tak; i nasze ubezpieczenie tego nie obejmuje.

- Może coś pomoże ta homeopatia, której chcecie spróbować.

- Może - odparł bez przekonania.

Okrążyli Trafalgar Square, wjechali w Pall Mall, potem Oliver zwolnił, znalazł miejsce do zaparkowania samochodu i wpasował się w nie tyłem. Frannie z przyjemnością szła wzdłuż białych georgiańskich fasad, trzymając Olivera za rękę i przyglądając się ostatnim blaskom dziennego światła przeświecającym przez drzewa.

Przy wejściu do galerii Oliver pokazał zaproszenie. Z głębi dobiegał subtelny gwar toczonego się przyjęcia. U szczytu krótkich schodów stała kelnerka z tacą drinków. Frannie czuła zapach dymu i perfum oraz lekki aromat alkoholu. Przeszła do szatni, zdjęła płaszcz i położyła go na ladzie. Starszawy, siwowłosy szatniarz powiesił płaszcz na wieszaku i dał jej plastikowy numererek.

Frannie otworzyła torebkę i wrzuciła numererek do środka. Kiedy to zrobiła, coś ją tknęło. Coś w związku z numerkiem. Zagłębiła dłoń w torebce, poszperała palcami i wyjęła go. Był to numererek dwudziesty szósty.

Poczuła na szyi mrowienie gęsiej skórki, gdy przypomniała sobie słowa Phoebe; jej przestraszony głos, zupełnie do niej nie pasujący. Po *prostu uważaj na tę liczbę*.

Ku swemu zdumieniu zobaczyła, że Oliver również odczytuje numererek i z wyraźnym niepokojem marszczy brwi; może zaniepokoiło go coś innego, pomyślała, wrzucając numererek z powrotem do torebki i usiłując odpędzić wątpliwości uśmiechem. Zamierzała miło spędzić ten wieczór. Zdecydowanie nie da się nastraszyć numerkowi z szatni.

Na przyjęciu był tłum wytwornych kobiet i wysokich mężczyzn w garniturach pracowników City i krzykliwych krawatach lub zwykłych marynarkach i bawełnianych koszulkach. W swoim czarnym żakiecie, eleganckich szortach i białej koszulce Frannie czuła się tu dobrze, chociaż wiedziała, że być może powinna się była ubrać bardziej szykownie. Oliver najwyraźniej jednak aprobował jej strój i z dumą przedstawiał ją przyjaciółom i znajomym.

Poznała marszanda Jamesa Shenstone'a, który studiował w Trinity College w Dublinie razem z Declanem O'Hare. Uraczył ją opowieściami o jego studenckich wybrykach, a potem przedstawił malarzowi, którego nazwiska już nie pamiętała; nie udało się jej go zapamiętać, nawet gdy usłyszała je ponownie. Artysta był niski, wyglądał na dość zakłopotanego i kilkanaście razy powtórzył Frannie, że urządzenie tej wystawy wcale nie było jego pomysłem. Dowiedziawszy się, że jest archeologiem, zapuścił się w wywód o związkach między archeologią i antropologią, aż, onieśmiałego i ociągającego się, zabrano go do zdjęcia.

Potem dopadł Frannie jakiś bezgranicznie nudny mężczyzna o zgrzytliwym niczym nienaoliwione tryby głosie. Założywszy, że czytała w prasie o procesie sądowym, w który jest zaangażowany, zrobił jej na ten temat dziesięciminutowy wykład i nie zadał ani jednego pytania o nią samą.

W końcu uratował ją Oliver, obejmując ją ramieniem w opiekuńczym geście.

- Spływamy?

Skinęła z wdzięcznością głową i, uśmiechnąwszy się słodko do nudziarza, poszła za Oliverem do wyjścia. Pomógł jej włożyć płaszcz i wyszli na zewnątrz; było już prawie zupełnie ciemno.

- Przykro mi, że ten facet się do ciebie przyczepił. Czy poza tym dobrze się bawiłaś?

- Wspaniale. Mam dobrą amunicję na mojego szefa.

- Tak?

- Ten historyk sztuki, któremu mnie przedstawiono?

- Jimmy Shenstone.

- Właśnie. Był na studiach razem z moim szefem z Muzeum. Następny zbieg...

Urwała w pół zdania i uśmiechnęła się do Olivera z miną winowajczyni. Uścisnęła ją.

- Wolno ci wymawiać te dwa słowa; nie mam na ich tle kompletnej paranoi. Tylko lekką.

Frannie roześmiała się.

- Kto pierwszy będzie na górze!

Wyrwała mu się i pobiegła po prowadzących na Pall Mail schodach, przeskakując po dwa stopnie na raz. Oliver deptał jej po piętach. Zatrzymali się na szczycie, bez tchu.

- Jesteś szalona! - zawołał Oliver rozpromieniony.

Ale kiedy dotarli do samochodu, mina mu zrzędła.

- Cholera!

W świetle latarni napis na przyklejonej do przedniej szyby kwadratowej kartce był doskonale czytelny:

UWAGA. POJAZD TEN MA BLOKADĘ NA KOŁACH. NIE PRÓBUJ GO URUCHOMIĆ. Pod spodem widniało duże gwiazdziste godło policji miejskiej.

Oliver uparł się, żeby zostawili renault, i powiedział, że załatwi sprawę rano; pojechali taksówką do jego mieszkania na Cadogan Square.

Wygląd mieszkania kontrastował z okazałą elegancją fasady budynku. Było małe i umeblowane niemal wyłącznie nowoczesnymi sprzętami. Na ścianach wisiało kilka rodowych olejnych malowideł, ale większość ozdób i obrazów również była nowoczesna. Panowała tu przytulna atmosfera.

Frannie uśmiechała się, ale była przygaszona. Przestroga Phoebe Hawkins, *Po prostu uważaj na tę liczbę*, tkwiła w jej umyśle jak stara melodia. Poszła za Oliverem do maleńkiej, supernowoczesnej kuchni i czekała, podczas gdy wyjmował z lodówki butelkę wina, a z szafki dwa kieliszki.

- Nie jesteś głodna? Zjadłabyś omlet czy coś?

- Mogę go zrobić, jeśli chcesz.

- Nie martw się; zrobię go w minutę. Najpierw się napijmy.

Wyjął z szuflady korkociąg i zaczął otwierać butelkę.

- Sądzisz, że istnieją różne rodzaje zbiegów okoliczności? -zapytała.

- Co masz na myśli?

- Czy potrafisz odróżnić coś, co jest czystym przypadkiem, od -czy ja wiem - czegoś nadprzyrodzonego?

Zaniósł tacę do pokoju i włączył jazzową kasetę, której Frannie nie rozpoznała, a potem usiadł obok niej na wygodnej kanapie. Z tyłu, z za okna, dobiegały stłumione odgłosy ruchu ulicznego.

- Człowiek ma wrodzoną potrzebę doszukiwania się sensu w rzeczach, których nie rozumie. Jednym z przewrotnych paradoksów fizyki jest to, że w chaosie istnieje pewien porządek. Jak już mówiłem, zajmowałem się dzisiaj statystykami wypadków drogowych. W 1986 roku zginęło w Anglii w tych wypadkach 5618 osób. W 1987 - 5339. W 1988 - 5230. W 1989 - 5402. W Stanach Zjednoczonych mamy taką samą regularność, tylko liczby są dużo wyższe. - Podniósł ręce w geście bezradności. - Jak, do diabła, mogą być tak stałe, rok w rok?

Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- Masz te liczby w głowie?

- Uhm. - Nalał wina i podał jej kieliszek. - Na zdrowie. Nie uważasz, że to dziwne? Kiedy się pomyśli o wszystkich kombinacjach pecha i przypadku, jakie prowadzą do wypadku drogowego, człowiek oczekiwaby wzrostów i spadków - w jednych latach więcej, w innych mniej. Tymczasem co roku jest to niemal dokładnie ta sama liczba. Taką stałość wykazuje liczba ofiar wypadków drogowych i katastrof lotniczych, liczba pogryzień przez psy, zgonów na raka, ataków serca. Wszystko.

- Więc dlaczego tak jest? - zapytała Frannie.

Oliver wypił trochę wina i spoważniał.

- Istnieje matematyczne prawo wielkich liczb, ale nie wierzę, żeby to ono stanowiło odpowiedź. Myślę, że za sposobem, w jaki działa ten świat, kryje się coś, czego jeszcze nawet nie zaczynamy rozumieć.

- Coś nadprzyrodzonego?

- Moim zdaniem zbiegi okoliczności są sygnałami działania jakiejś wyższej inteligencji lub świadomości. Ale nie mam wyrobionej opinii co do tego, czy jest to jakaś nadprzyrodzona siła lub istota, jakaś postać Boga, czy też coś, co po prostu wszyscy mamy w sobie - część naszego zaprogramowania.

Muzyka koła teraz Frannie.

- Więc czy nasze poznanie się było częścią chaosu, czy częścią kosmicznego ładu?

- Mogło nie być ani jednym, ani drugim.

Wypowiedział te słowa ostro, niemal tonem reprimendy.

- Czy nie istnieje teoria, że doszukujemy się w zbiegach okoliczności zbyt wielu znaczeń? Że przy założeniu nieskończoności czasu wszystko jest możliwe? Na przykład, że gdyby posadzić małą przy

maszynie do pisania, w końcu odtworzyłaby dzieła zebrane Szekspira?

- Nie wierzę w nieskończoność. Życie jest skończone; ani ludzie, ani małpy nie żyją wiecznie. Byłoby o wiele ciekawiej, gdyby dramaturdzy w trzech różnych częściach świata, którzy się nigdy nie spotkali, usiedli i napisali tę samą sztukę.

- Słyszałam, że takie rzeczy się zdarzają.

- Tak. Istotnie się zdarzają. Zdarza się mnóstwo różnych dziwnych rzeczy, które bagatelizujemy jako przypadek. Ludzie spotykają się na dworcach kolejowych i bagatelizują to jako przypadek.

Frannie uśmiechnęła się. Oliver pociągnął mały łyk wina i wpadł na kilka chwil w zadumę.

- Kiedy spotkaliśmy się na King's Cross, powinniśmy byli z Edwardem pojechać wcześniejszym pociągiem; spóźniliśmy się tylko dlatego, że przypomniałem sobie, że muszę gdzieś zadzwonić.

- Hej! Ja też powinnam była złapać wcześniejszy pociąg. Spóźniłam się na niego, bo ktoś zadzwonił do mnie w momencie, gdy wychodziłam z pracy.

Obserwowała jego twarz, ale nie wyczytała na niej żadnej reakcji.

- Spotykamy się trzy lata temu w kafeterii twoich rodziców. Spotykamy się trzy lata później na dworcu kolejowym. Daję ogłoszenie do pisma, którego nie czytujesz, a ty je spostrzegasz.

Przechylił głowę i podniósł na nią wzrok.

- Czy Jung nie wierzył w nic nie znaczące zbiegi okoliczności? Jak to nazywał... Synchroniczność? - zapytała.

- Nigdy nie wyjaśnił tego zjawiska w zadowalający sposób. Przyjął chyba, że ma z tym coś wspólnego telepatia. - Przesunął palcem wokół brzegu kieliszka. - Kto to powiedział, że człowiek wątpi we wszystko, w co można wątpić, i ma nadzieję, że to, co pozostaje, jest prawdą?

- Nie wiem - odparła. - To bardzo piękne.

- Moim zdaniem to smutne oskarżenie.

- Czy matematycy nie mają skłonności do traktowania zbiegów okoliczności sceptycznie, ponieważ prawdopodobieństwo zdarzenia się takich rzeczy jak spotkanie kogoś znajomego na dworcu czy lotnisku albo czyjś telefon dokładnie w chwili, gdy o tym kimś myślimy - jest znacznie mniejsze niż zdajemy sobie sprawę?

- Kiedyś tak sądziłem. - Jego oczy rozszerzyły się i nagle posmutniał. - Naprawdę miałem kiedyś nadzieję, że tak jest.

Objąwszy kieliszek dłońmi, oparł na nim podbródek i zdobył się na słaby uśmiech.

- Przepraszam. Poruszyłam drażliwy temat.

- Nie szkodzi. Dobrze jest o tym czasem porozmawiać. Uścisnęła jego dłoń. Była zimna jak lód. Wzdrygając się cofnęła rękę i popatrzyła nań badawczo. W oczach miał ten sam lęk, który zobaczyła w samochodzie, gdy pierwszy raz zabierał ją do restauracji. Wtedy był to wyraz przelotny, zniknął tak szybko, że mógł być tylko złudzeniem. Ponownie chwyciła jego dłoń i ścisnęła ją zaniepokojona.

- Co się stało?

Uśmiechnął się.

- Nic mi nie jest. - Odwzajemnił jej uścisk. - Nic mi nie jest -powtórzył, a potem nagle wstał i wyszedł do kuchni.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Parę minut po siódmej Frannie szła ulicą, przy której mieszkała Phoebe Hawkins, zmęczona i w złym humorze. Oliver dostał bilety na premierę filmową z udziałem członka rodziny królewskiej i zaproponował, żeby się z nim wybrała.

Wieczór był wilgotny, padała lekka mżawka. Szła z pochyloną głową, ściskając butelkę Valpolicelli, którą owinięto jej w sklepie papierem.

Pragnęła znów zobaczyć Olivera, tęskniła za nim od rana. Zadzwonił koło południa i zostawił dla niej wiadomość, ale niemal cały dzień była uwiązana z Declanem O'Hare i grupą kolegów, więc znalazła ją dopiero wpół do siódmej.

A teraz zamiast być z nim, brnęła w deszczu, aby spędzić wieczór z kimś, kogo nie lubi, nie wiedząc, czego się spodziewać, i jej wątpliwości rosły. Phoebe Hawkins była przebiegłą manipulantką. Właśnie z tego powodu nie lubiono jej na studiach. Trzeba było uważać, co się jej mówi, bo po paru tygodniach informacja wracała do człowieka kompletnie zniekształcona. Niewinny komentarz na temat kogoś znajomego zostawał przerobiony na afront i przekazany osobie zainteresowanej cicho, po kryjomu, w formie przypadkowej uwagi. Albo jego treść subtelnie się zmieniała. Bowiem dla Phoebe prawda była tylko surowcem do obróbki. Frannie zastanawiała się, czy i teraz Phoebe nie knuje czegoś w tym rodzaju. Jej stare sztuczki. Robienie wielkiej sprawy z niczego.

Jeśli śmierć Meredith, śmierć Jonathana Mountjoya i ślepotą Susie Verbeeten były niczym.

Z każdym krokiem, który zbliżał ją do mieszkania Phoebe, narastało w niej uczucie przygnębienia. Ulicą przejechała taksówka. Miała ochotę ją zatrzymać, pojechać na Leicester Square, wmieszać się w tłum pod kinem i wyglądać Olivera, zobaczyć, z kim przyszedł. Im dłużej go znała, tym większą przyjemność sprawiało jej bycie z nim. Poprzedniego wieczoru, gdy już się odprężył, poszli do łóżka i kochali się przez całą noc, równie czule i namiętnie jak w sobotę.

Fakt, że przyszła do pracy ubrana tak samo jak poprzedniego dnia, nie umknął uwadze Penrose'a Spode'a. Szorty nie były jej typowym strojem biurowym. Oczywiście nie skomentował tego, nie słowami; wyraził wszystko jednym krótkim i złożonym grymasem mięśni twarzy. Declan O'Hare również to zauważył, ponieważ nie przegapiał niczego, i zażartował delikatnie, wiążąc jej brak skupienia z identycznością ubioru, ale poskromiła go rzucając niedbale, że spotkała jego starego znajomego, Jamesa Shenstone'a, który wspominał ich wspólne dni w Trinity College w Dublinie.

Przeszła wolnym krokiem obok samochodów, które stały zaparkowane w rzędach po obu stronach ulicy. Mijając otwarte okno poczuła zapach jakiejś potrawy z czosnkiem, ale nie była głodna. Nie miała ochoty spędzić wieczoru w obskurnej kuchni, pijąc Valpolicellę i jedząc kulki mięsne, czy co tam Phoebe mogła upichcić.

Po jezdni prześliznął się urywany błysk niebieskiego światła i zawyła syrena. Frannie poczuła, że ogarnia ją groza. Poryw wiatru wstrząsnął drzewami i na chodniku zaszeleścił samotny liść.

Poprzedniego dnia dwa zbiegi okoliczności: znalezienie tygrysa z brązu i liczba dwadzieścia sześć. Potem policja zablokowała koła renault Olivera. Czy istniał między tymi faktami jakiś związek? Większy niż związek między śmiercią Meredith i leżącym na dachu samochodem? Popada w obłąd. Zadrżała. Nagle zrobiło się przenikliwie zimno. Jakby była zima, a nie późne lato. Z okna po przeciwnej stronie ulicy ryknęła jakaś stara piosenka Buddy'ego Holly'ego. Kiedy Frannie skręciła za róg, zobaczyła przed sobą gmatwaninę pojazdów i oślepił ją blask reflektora łukowego.

Przez sekundę myślała, że ktoś kręci film, ale potem poleciał ku niej pojedynczy sześcian niebieskiego światła. Policjant w błyszczącej żółtej kamizelce stał na środku jezdni, zatrzymując jakiś samochód. Następny niebieski sześcian zzieleniał mu na piersi.

Pierwszą rzeczą, którą zobaczyła w jaskrawym białym świetle za policjantem, było koło roweru. Drugą - ogromny cień ciężarówki padający ukośnie na chodnik. Kabina pojazdu zburzyła ceglany mur czyjegoś frontowego ogrodu. Na rogu ulicy zebrał się nieduży tłumek gapiów.

- Przepraszam, sir - mówił policjant do kierowcy samochodu. -Czy mógłby pan pojechać inną drogą?

Koło roweru lśniło w blasku umieszczonego na statywie reflektora. Zajęczał zmieniany bieg. Jakiś mężczyzna krzyknął. Frannie zobaczyła karetkę pogotowia. Wóz straży pożarnej. Obszerną platformę z dźwigiem, którego potężny metalowy hak właśnie się obniżał. Dwaj mężczyźni próbowali znaleźć punkt zaczepienia pod przednim zderzakiem ciężarówki. Wykonany dużymi literami napis na jej boku głosił: ZAKŁAD OGRODNICZY HUNSTONÓW. OWOCE PROSTO Z KRZAKA!

Frannie jeszcze raz popatrzyła na koło rowerowe. Było wygięte jak cały rower, skreślony i strzaskany niczym jakaś dziwaczna nowoczesna rzeźba w galerii Tate. „Rower na brukowej płycie”, pomyślała. Jej umysł starał się czymś zająć, odwrócić jej uwagę od ciała pod przednim kołem ciężarówki.

Przyszły jej na myśl słowa wypowiedziane przez Edwarda, gdy w niedzielę wieczorem dojechali do Londynu. *Czy ta pani nie żyje, tatusiu?* Odpryski niebieskiego światła prześliznęły się po mokrym chodniku i leżącej na jezdni kobiecie. Kogut na dachu wozu z dźwigiem wysyłał przerywane pomarańczowe błyski. W powietrzu unosiły się kłęby ciemnego dieslowskiego dymu. Kobieta mogła mieć dwadzieścia parę lat; postury Phoebe, pomyślała Frannie. Mniej więcej wzrostu Phoebe. Była ubrana w luźną sukienkę i rzymskie sandały.

Pod Frannie ugięły się kolana. Żołądek podszedł jej do gardła. Nie chciała dłużej patrzeć. Kobieta się nie poruszała, ale mogła żyć, nie znajdowała się pod ciężarówką całym ciałem; olbrzymie przednie koło przygniatało jej tylko jedną rękę. Wyglądało to tak, jakby po coś sięgała.

Nie opodal leżała w rynience ściekowej torba na zakupy. Kawałek dalej przewrócony na bok kartonik jogurtu, który rozlał się po asfalcie; jabłka, kiść bananów; świeże tagliatelle w plastikowym

opakowaniu; tubka koncentratu pomidorowego. W rynience leżała też duża torebka na ramię, a obok niej grzebień i notes.

Do kobiety podszedł sanitariusz. Świecił silną latarką i stąpał po śliskiej jezdni wolnym, ostrożnym krokiem, jakby szedł po lodzie. Koło ciężarówki było skrzycone i w strumieniu światła Frannie dostrzegła po jego drugiej stronie rozcapierzoną, płaską jak martwa rozgwieżdżoną dłoń.

Spod opony sączyła się krew. Frannie pochwyciła wzrokiem wytłoczone blisko obręczy słowo „Pirelli” i zaczęła czytać je raz po raz, aż straciło wszelkie znaczenie. Musiała zająć czymś umysł, żeby nie patrzeć na kobietę.

Nagle światło latarki sanitariusza padło na zwróconą ku przodowi twarz kobiety. Strużki krwi na niej już krzepły, a oczy były zamknięte.

Krzyk uwiązł Frannie w gardle i imię Phoebe wydobyło się z jej ust jako przeciągły jęk niedowierzania. Podbiegła do niej.

- Proszę się cofnąć! Proszę się cofnąć! - zawołał policjant.

Frannie zignorowała go, przyklękła, chwyciła wolną dłoń Phoebe, żywą dłoń, i uściśniła ją mocno.

- Już dobrze, Phoebe, to ja - powiedziała, ale jej głos był cichy, niesłyszalny jak gwizdek na psy. Coś szcęknięto metalicznie nad jej głową. Ktoś delikatnie odciągnął ją na bok. W duszy rozkołysał jej się złowieszczy dzwon. Już kiedyś słyszała jego alarmujące bicie.

- Musi się pani odsunąć - powiedział ktoś. - Będziemy podnosić.

Cień zderzaka ciężarówki zadrżał. Frannie wstrząsnęła się bezradnie w szoku. Ktoś coś zawołał; zaryczał silnik; usłyszała bębnienie deszczu. Koło uniosło się ułamek cala, potem jeszcze trochę, przesuając się w bok, a na jezdni zatańczył jego cień.

Frannie mogła teraz zobaczyć, co znajdowało się pod kołem; mogła zobaczyć, że to, co było kiedyś ręką, zmieniło się w spłaszczoną miążgę ciała i zmiażdżonych kości z ohydnie wytłoczonym zygzakowatym bieżnikiem opony.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Plastikowy kubeczek opadł na podstawkę: z rurki trysnęła gorąca czarna kawa; potem spienione mleko; rozległ się ostry zgrzyt i automat zamilkł.

Frannie ostrożnie wyjęła kubeczek, starając się nie rozlać kawy, i wróciła do poczekalni, której przygnębiającą, martwą atmosferę uwydatniała jeszcze ponura zieleń ścian i zapach sztucznej skóry bijący z pociętych, podartych siedzeń.

Za drzwiami przetoczył się z kłopotem stolik na kółkach. Potem zapadła cisza. Po jakichś pięciu minutach w korytarzu zastukały szybkie kroki i drzwi się otworzyły. Frannie odwróciła głowę. Do środka weszła pielęgniarzka, którą widziała już wcześniej, a za nią jakiś wysoki, niedźwiedziowaty mężczyzna o dość wojowniczym, choć zmęczonym wyrazie twarzy i krzaczastych brwiach. Był ubrany w szary, niedopasowany garnitur, górny guzik koszuli miał rozpięty, a krawat rozluźniony.

- To panna Monsanto - powiedziała pielęgniarka. - Doktor Gower operował pani znajomą.

Frannie wstała, ale lekarz polecił jej gestem, żeby usiadła, i przycupnął na brzegu krzesła.

- Nie udało się nam skontaktować z rodzicami Phoebe - oznajmił krótko. - Będziemy nadal próbować. - Obrzucił Frannie przeciągłym, taksującym spojrzeniem. - Niestety nie mogliśmy uratować jej ręki; kości były za bardzo zmiążdżone.

Słowa lekarza docierały do Frannie pojedynczo, w zwolnionym tempie. Czuła się tak, jakby wiano jej do żołądka jakiś środek paraliżujący, i paraliż postępował teraz w górę jej ciała, obejmując tułów, szyję, mózg. Z przerażeniem potrząsnęła głową, ale słowa wciąż napływały, rozbrzmiewając echem, nagłaśniane brzęczeniem zepsutej jarzeniówki na suficie.

- Musieliśmy amputować powyżej łokcia. Ale przynajmniej żyje.

- Tak - odparła bezmyślnie.

- Czy widziała pani wypadek?

- Nie... Szłam... - Nagle zauważyła leżącą na krześle obok butelkę Valpolicelli, wciąż owiniętą zielonym papierem ze sklepu. -

Właśnie szłam do niej na kolację. - Dotknęła butelki; była twarda i zimna. - Kiedy będę mogła ją odwiedzić?

- Oprzytomnieje wystarczająco, żeby chwilę porozmawiać, już jutro po południu, ale przez dzień czy dwa będzie jeszcze trochę otępiąta od środków przeciwbólowych.

Frannie wyszła przez główną bramę szpitala tuż po wpół do jedenastej, stawiając kołnierz i z pochyloną głową, ponieważ pogoda jeszcze się pogorszyła.

Cała się trzęsała. Pragnęła, żeby ktoś ją objął, otoczył ramionami, powiedział jej, że wszystko będzie dobrze, że niepotrzebnie się denerwuje, że jest to tylko seria przerażających zbiegów okoliczności, nic więcej.

Weszła na stację metra i kupiła bilet. Już samo wymówienie nazwy stacji docelowej dziwnie dodało jej otuchy.

- Bethnal Green - powtórzył mężczyzna w okienku, Hindus o cichym głosie; uśmiechnął się do Frannie, jakby dzielił z nią sekret, jakby również w jego odczuciu stacja ta była czymś wyjątkowym, miejscem dla wszystkich ludzi na świecie, którzy potrzebują pomocy. Włożył resztę do metalowej miseczki pod okienkiem, a z otworu wyskoczył bilet.

Długie, puste schody ruchome zwiozły Frannie na peron. Phoe-be Hawkins nie jest chora. Ale nigdy nie wyzdrowieje. Coś nie miało tutaj sensu; tutaj tkwiła cała trudność. Ręka nigdy jej nie odrośnie. Podobnie jak Meredith nigdy nie ożyje. Ani Jonathan Mountjoy. Susie Verbeeten nigdy nie odzyska wzroku. I prawa dłoń małego Dominika nigdy nie będzie taka sama.

Twardy jak żwir deszcz uderzył Frannie w twarz, gdy wyszła ze stacji Bethnal Green i ruszyła

pospiesznie ulicą. Bliźniacze wiadukty kolejowe udzieliły jej na chwilę schronienia. Idąc, sunęła dłonią po metalowej balustradzie i odrywała ją na każdym spojeniu, tak jak zwykła robić, gdy była dzieckiem. W nozdrzach czuła znajomy fetor uryny.

Wyszedłszy ponownie na deszcz minęła parking firmy handlującej używanymi samochodami, stację benzynową oraz niechlujny rząd sklepów i barów z daniami na wynos. Na ulicy było niewiele ludzi. Po drugiej stronie ciągnęło się boisko jej szkoły. Kiedyś robiło wrażenie tak dużego, że można by się na nim zgubić, teraz było po prostu niedużym asfaltowym podwórkiem z wymalowanymi liniami i przymocowaną do ściany tablicą do koszykówki; miejscem, gdzie mała dziewczynka, którą ledwie już pamiętała, chodziła codziennie, oprócz świąt i wakacji, przez dwanaście lat.

Kilka przecznic dalej, cofnięty w stosunku do ulicy, stał w ciemnym zaciszu kościół i klasztor Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. Był to stary, masywny budynek, gotycki, z czerwonej cegły, tradycyjny.

W dzieciństwie Frannie chodziła z rodzicami na mszę co niedzielę. Około piętnastego roku życia jej wiara zaczęła słabnąć, ale całkiem przestała chodzić do kościoła, dopiero gdy zaczęła studia. Zmiany w jej duszy nie spowodowała jakaś jedna rzecz, lecz narastające przez lata wątpliwości i potrzeba szukania odpowiedzi na własny sposób.

Stara kobieta walczyła na przystanku autobusowym z małą parasolką. Nad wejściem do kina świecił się napis „Kevin Costner”. Jadłodajnia rybna była zamknięta; Quikburger dwoje drzwi dalej jeszcze otwarty, samotny klient opierał się niedbale o ladę czytając jadłospis. Frannie zemdliło od zapachu smażonej cebuli. Myśli zawirowały jej w głowie.

Jedna po drugiej. Przypadek. Zbieg okoliczności. Nic więcej. Boże, proszę, nic więcej.

Strach przenikał ją do szpiku kości. Ulicą przejechał z hurgotem autobus; potem ciężarówka. Miała przemoczone stopy i bardzo bolała ją prawa noga. Wyjęła z kieszeni prawą rękę, wsunęła ją pod płaszcz i sięgnęła do szyi. Upadła katoliczka Francesca Monsanto pociągnęła za cienki łańcuszek i poczuwszy w dłoni mały srebrny krzyżyk, ścisnęła go lekko. Włożyła go tego ranka po raz pierwszy od wieków.

Gdy zadzwoniła do drzwi, z którymi z jednej strony sąsiedował ciemny o tej porze lokal Kanapkowego Raju, a z drugiej mamie oświetlone, zadymione biuro King Taxi, było w pół do dwunastej.

Po kilku chwilach w oknie nad wejściem zabłysło światło. Usłyszała skrzypienie schodów i drzwi gwałtownie drgnęły. Ulicą przejechał z hałasem motocykl. Ogarnęła ją chmura oleistych spalin dwutaktu.

- A kto tam? - krzyknął głos jej ojca.

- To ja, papa. Frannie.

Usłyszała brzęk łańcucha; odsuwanie rygla; potem drzwi się otworzyły. Ojciec utkwiał w niej zdumiony wzrok. Jak zawsze wieczorem, jego twarz okalał mocny zarost. Na pasiastą piżamę narzucił wystrzępiony frotowy szlafrok; włosy miał potargane i Frannie zobaczyła nagle, jak bardzo posiwiał,

zdziwiona, że nie zauważyła tego wcześniej.

- Francesca! Hej! Co tu robisz tak późno?

Otoczył ją ramionami, uściskali się i ucałowali w oba policzki. Obejmowała go mocno, drobnego, kościstego mężczyznę niższego od niej. Jego oddech pachniał winem i tytoniem, włosy olejkiem, którego wciąż używał, a świeżo uprana piżama czystością. Na policzku czuła twardą szczecinę jego zarostu. Pragnęła, żeby utulił ją tak, jak wtedy, gdy była mała, żeby nadal robił na niej wrażenie ojca, a nie obcego człowieka.

Wypuścił ją delikatnie z objęć i cofnął się trochę, potrząsając głową.

- Gdzie byłeś w niedzielę? Dlaczego nie zadzwoniłeś? Martwiliśmy się o ciebie.

Kości twarzy niemal wystawały mu spod żółtawej skóry, a oczy miał zapadnięte, jakby trawiła go wyniszczająca choroba, ale to po prostu lata ciężkiej pracy i brak ruchu na świeżym powietrzu nadały mu znużony wygląd człowieka przegranego; jakby zdawał sobie sprawę, że życie go przerasta i zrezygnował z prób dotrzymania mu kroku. Zamiast żyć naprawdę, żył filmami, które oglądał nałogowo, spędzając prawie cały wolny czas przed telewizorem. Spojrzał na nogę Frannie i jego rysy zmiękczył niepokój.

- Co się stało? Miałaś wypadek?

Zerknęła w dół i ze zdziwieniem zauważyła rozdarcie na prawej nogawce dżinsów. Dotknąwszy go, poczuła ból.

- Nie... nie zwróciłam uwagi.

- Gdzie się przewróciłaś? - Przesunął lekko palcem po jej policzku. - Wyglądasz okropnie. - Nagle w jego oczach błysnęło podejrzenie. - Pokłóciłaś się z chłopakiem? Kopnął cię? Wejdz.

Przywarł do ściany, żeby ją przepuścić, i zamknął drzwi. Wspięła się po stromych schodach, nadal ściskając Valpolicellę. Usłyszała telewizor: podniesione głosy, wystrzały, ryk silnika i pisk opon.

- *Chi e, papa?* - zawołała jej matka.

- Francesca. *Ha avuto un accidente!* - odpowiedział gorączkowo ojciec.

Ponownie zapiszczały opony; rozległy się kolejne strzały; potem wycie syreny. Na szczycie schodów ojciec otworzył drzwi pokoju i włączył światło.

- Przyniosę ci coś, bandaż, środek odkażający. Chcesz kawy? Kieliszek wina?

W powietrzu unosił się lekki aromat smażonego czosnku. Nic nie wisiało na ścianach, ale mały pokój z wnęką jadalną był zagracony meblami - stał tu trzyczęściowy komplet wypoczynkowy i za dużo krzeseł - oraz porcelanowymi bibelotami, które zbierała matka.

- Kawy, z przyjemnością. - Wyciągnęła butelkę wina. - To prezent - powiedziała. - Na przeprosiny za niedzielę.

Usiadła w fotelu i popatrzyła na ceglaną imitację kominka. Na jego obramowaniu stały zdjęcia jej samej, jej siostry i dwóch braci, jak również wazon ze sztucznymi, jedwabnymi storczykami, porcelanowy włóczęga z Capo di Monte siedzący na parkowej ławce i biała plastikowa figurka Matki Boskiej. Okno wychodziło na ruchliwą ulicę; przez firankę zobaczyła światła przejeżdżającej ze zgrzytem ciężarówki, a potem piętro autobusu z samotnym pasażerem o ponurym wyglądzie. Na końcu korytarza, w telewizorze w sypialni jej rodziców, trwał pościg samochodowy.

- Więc kto cię kopnął? Kto to był? Masz chłopaka?
- Nikt mnie nie kopnął, papa. Moja znajoma miała właśnie straszny wypadek na rowerze. Musiałam się skaleczyć, kiedy uklękałam.
- *Mamma mia! Povera Francesca!*

Frannie odwróciła się, przestraszona histerycznym, ostrym krzykiem matki, która podbiegła do niej w szlafroku, czepku kąpielowym i z kremem na twarzy. Uklękała przy córce i ucałowała ją w obydwie policzki.

- Wypadek? Miałaś wypadek?

Potrząsając z niepokojem głową, przeczesła palcem włosy Frannie i zaczęła trajkotać po włosku, nie dając jej szansy odpowiedzi czy wyjaśnienia czegokolwiek. Wyszła z pokoju, po kilku chwilach wróciła z ręcznikiem, mokrą szmatką, jodyną oraz plastrem, i zasypując Frannie gradem pytań, pomogła jej zdjąć dzinsy.

Kiedy ojciec wniósł tacę z kawą i słodkimi ciasteczkami, nagłe wzruszenie dobrocią rodzicówomal nie doprowadziło Frannie do płaczu. Czuła, że nie zasługuje na to, żeby ją tak rozpieszczali. Nie miała apetytu, ale przypomniała sobie, że przepuściła lunch i nie jadła kolacji, więc dla wzmocnienia sił zjadła kanapkę, którą wmusił w nią ojciec.

- Wiesz co? - odezwał się. - W sobotę pojechałem do City, żeby zobaczyć ten nowy dom na miejscu naszego baru. I wiesz co? Jeszcze go nie zbudowali. - W jego głosie dźwięczało zdumienie i przygnębienie. - Nawet nie zaczęli budować! Poulterers' Alley, nasz bar, nic nie jest wyburzone!

- Zupełnie nic, papa?

- Zaczęli wyburzać - ale mieli to zrobić dwa lata temu. Mogliśmy tam zostać jeszcze dwa lata. - Zapalił papierosa i Frannie zauważyła, że matka marszczy z dezaprobatą brwi. - Pewnie kopią tam archeolodzy.

- Mam nowego chłopaka - powiedziała, aby zmienić temat, nie dając się złapać w pułapkę.

Oczy ojca zabłyśły ciekawością. Wychylił się bardziej do przodu.

- Masz chłopaka? - zapytała matka. Wyraz jej twarzy również się zmienił. - *Come si chiama?*

- Oliver - odparła Frannie.

- Oliver! - powtórzyła wyraźnie matka. - *Un bel nome!*

- Oliver - zawtórował jej jak echo ojciec.

Frannie uśmiechnęła się, lekko zawstydzona, żałując, że o tym wspomniała. Przestraszyła się, że może to przynieść pecha; spotykali się ze sobą niewiele ponad tydzień.

- A co on robi, ten Oliver? - zapytał ojciec. - Jest archeologiem czy ma jakiś prawdziwy zawód?

Potrząsnęła niezgrabnie głową.

- Nie, nie jest archeologiem; jest matematykiem.

Ojciec popatrzył na nią smutno.

- Archeolog; matematyk; co za różnica? *Ecco*. Przychodzisz tu w środku nocy w takim stanie... - Zaciągnął się papierosem, ściskając go między palcem wskazującym i kciukiem, i pokręcił w przygnębieniu głową. - Kiedy ty wreszcie dorośniesz, Francesca? - Przygładził jej włosy. - Kiedy zaczniesz myśleć realnie?

Odwzajemniła jego spojrzenie; dystans między nimi był tak wielki jak zawsze.

Ojciec westchnął. Zapadła długa cisza.

- Zostaniesz u nas na noc, dobrze? - odezwał się w końcu. - Wypierzemy twoje ubranie, żeby na rano było porządne i suche, damy ci dobre śniadanie.

Zamknęła oczy i skinęła głową, zbyt zmęczona, żeby protestować, zbyt zmęczona nawet, żeby myśleć. Ogarnęła ją fala wyczerpania. Chciała już tylko zasnąć.

*

Kiedy się rano obudziła, jej ubranie leżało na krześle w maleńkim pokoju gościnnym. Dochodziła siódma i mieszkanie było puste. Wzięła prysznic, ubrała się i zeszła na dół do kafeterii. Radio grało jakąś ckliwą melodię. Ojciec kroił chleb i smarował go masłem, a matka w milczeniu mieszała

tuńczyka z cebulą.

- Czy mogę w czymś pomóc? - zapytała Frannie.

Matka wytarła ręce o przód fartucha i ucałowała ją w oba policzki; jej skóra była miękka i zimna w dotyku.

- Siadaj, zrobię ci dobre śniadanie - powiedział ojciec. - Wepchnę w ciebie trochę jedzenia.

- Dziękuję - odparła z uśmiechem i nagle poczuła się jak za dawnych czasów.

Ranek był pogodny, słońce świeciło prosto w okna. Ulicą przejechała polewaczka. Godziny szczytu już się zaczęły i w stronę centrum Londynu ciągnął sznur samochodów. Frannie usiadła przy wąskim stole na jednym ze znajomych taboretów, odsuwając ketchup i sos HR

- Jak ci się spało? - zapytał ojciec, wbijając jajka do miski. Zaskwierczało masło.

Odpowiedziała mu, że spała dobrze, nie dodając, że po raz pierwszy od ładnych paru dni; głębokim, niezakłóconym snem. Czuła się tego ranka bardziej wypoczęta - i głodna.

Ojciec wziął następne jajko i popatrzył na nią niepewnie.

- Ale miałaś złe sny, prawda?

Z uśmiechem potrząsnęła głową.

- Nie.

- Bardzo wystraszyłaś matkę i mnie.

Delikatnie, nie rozbijając skorupki, postukał jajkiem, po czym znów na nią spojrzał.

- Mówiłaś przez sen.

Zmarszczyła brwi. Światło w pomieszczeniu jakby trochę przygasło.

- Co mówiłam?

Wzruszył ramionami, stłukł jajko i jedną ręką wbił je do miski. Potem mocno rozklócił wszystkie widelcem i zakręcił nad nimi młynkiem do pieprzu.

- Coś bez składu i ładu. Zupełnie bez sensu. W obcym języku. - Wyglądał na zaniepokojonego. - Napędziłaś nam stracha, twojej mamie i mnie.

- Co masz na myśli?

- Jakbyś to nie ty mówiła. Jakby ktoś inny mówił przez ciebie.

Zobaczyła na twarzach rodziców wyraz powagi i poczuła, że cierpnie jej skóra.

- Coś jest niedobrze, Francesca - powiedział z namaszczeniem ojciec. - Coś jest bardzo niedobrze.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

- Jesteś bardzo blada - powiedział Penrose Spode ponad lśniącem pustkowiem swego biurka. - Dobrze się czujesz?

Frannie skinęła głową.

- Zarwana noc?

Idealne koło jego ust rozciągnęło się w domyślnym uśmiechu.

- Nic z tych rzeczy, Penrose. Niestety nie poszczęściło mi się wczoraj.

Nadal nie wiedziała, jak blisko był z Phoebe, ale nie dojrzała jeszcze do opowiedzenia mu o wypadku.

Jej odpowiedź wywołała na twarzy Spode'a wyraz zakłopotania, jakby nie bardzo wiedział, jak ma ją rozumieć. Otworzył usta, po czym z powrotem je zamknął, rezygnując z wygłoszenia następnej uwagi, którą sobie obmyślił.

Kiedy tylko wstał zza biurka i wyszedł na korytarz, Frannie odszukała w książce telefonicznej numer kwiaciarni i zamówiła kwiaty dla Phoebe. Poleciała wysłać je do szpitala razem z bilecikiem i obciążyć kosztami jej kartę kredytową. Podczas gdy pół jej umysłu załatwiało tę sprawę automatycznie, połową aktywną i świadomą rozważała zbieg okoliczności, w wyniku którego cztery osoby z tego samego roku studiów zginęły lub zostały dotknięte kalectwem w krótkich odstępach czasu.

Skonfrontowała go ze zdrową logiką; z racjonalnym myśleniem; z teorią prawdopodobieństwa, której liźnęła nieco podczas rozmów z Oliverem. Rozbrzmiewały również echem w jej głowie pełne niepokoju słowa ojca, ale każdy mówi przez sen, gdy się czymś martwi i na ogół bez składu i ładu.

Późnym rankiem zadzwonił Oliver, żeby zapytać, jak się ma i jak się jej udał wieczór. Opowiedziała mu o wypadku Phoebe. Bardzo się przejął i okazał jej współczucie, tak samo jak wtedy, gdy chodziło o Meredith. Zapytała, jak było na premierze. Chociaż powiedział, że bez niej w ogóle się nie bawił, tylko trochę poprawiło jej to humor.

- Wpadnę po ciebie jutro o wpół do dziesiątej.

- Dobrze - odparła krótko, świadoma nadstawionych uszu Spode'a.

Kiedy Oliver się rozłączył, przez kilkanaście sekund nie odkładała słuchawki, przestraszywszy się nagle, że może to być ich ostatni kontakt; że może go już nigdy więcej nie zobaczyć.

Przestraszywszy się swego dalszego życia.

Frannie patrzyła bezmyślnie na nazwisko ordynatora, wypisane szarymi literami na umieszczonym nad podwójnymi drzwiami zielonym pasku. „Lyttleton”. Zebrała się w sobie.

Szpitalę ją przerażały; zawsze tak było; ich zapachy, ich dźwięki. Wchodząc do szpitala człowiek za

bardzo zbliżał się do śmierci, by móc czuć się dobrze.

Otworzyła drzwi i poszła do pokoju pielęgniarek. Siostra przełożona powiedziała jej, że Phoebe leży na końcu oddziału, za zakrętem; dodała, że właśnie wyszli od niej rodzice, i poprosiła Frannie, żeby nie siedziała zbyt długo, ponieważ Phoebe dostała środek uspokajający, jest zmęczona i powinna wkrótce znów pójść spać.

Zapachy pasty do podłogi i środków odkażających mieszały się z mdłą, zastarzałą wonią piure ziemniaczanego. Za parawanem zasłaniającym jedno z łóżek coś się działo. Frannie minęła jakąś niemal łysą staruszkę o tak zapadniętych policzkach, że jej usta wyglądały jak pępek, i kobietę po pięćdziesiątce, która pilnie robiła na drutach, przyjmując wizytę rodziny.

Oddział zakręcał na końcu jak litera L. Phoebe leżała w samym rogu. Nad szczytem jej łóżka znajdowało się okno z niebieskimi zasłonkami, nie zaciągniętymi jeszcze mimo zmroku. Coś ścisnęło Frannie za gardło. Phoebe patrzyła w sufit, oczy miała na wpół przymknięte, a twarz koloru gumy do żucia. Na haczyku ponad jej głową wisiały słuchawki; nocna lampka była wyłączona; na stoliku stała miska z owocami, wazon kwiatów i kilka kart z życzeniami powrotu do zdrowia.

Obok łóżka sterczał stojak z nie podłączoną kroplówką. Prawa ręka Phoebe leżała na pościeli; żółta plastikowa bransoletka oplatała nadgarstek, a do wierzchu dłoni przyklejona była cewka.

Frannie zobaczyła ciało wychodzące z drugiego rękawa szpitalnej koszuli i przez krótką chwilę myślała, że Phoebe nic nie jest, że doktor Gower się pomylił i jednak udało mu się uratować jej rękę.

Potem spostrzegła, gdzie ta ręka się kończy: że jest to chudy, mały, obandażowany kikut wyglądający jak ponadnaturalnej wielkości kciuk. Karłowata ręka bez dłoni, jak u dziecka - potworka. Szczupła i żałosna.

Nagle oblało ją gorąco i zakręciło jej się w głowie. Zdezorientowana, spojrzała na twarz Phoebe, a potem jeszcze raz na kikut. Na kilka chwil rozdzieliły się, jakby należały do dwóch różnych osób. Kikut należał do kogoś innego. Phoebe, którą znała, miała dwie ręce.

Podeszła bliżej i znów stanęła nieruchomo, usiłując zachować spokój. Wyteżyła wzrok, aby się upewnić, czy Phoebe nie robi jej takiego kawału, jak kiedyś Declan O'Hare, że nie zgięła ręki tak jak kiedyś jej ojciec zginał mały palec i pokazywał dłoń udając, że go sobie odgryzł.

Phoebe miała na czole mały plasterek i większy opatrunek na policzku. Jej oczy beznamytnie zarejestrowały obecność gościa. Frannie nadržbiała miną, wiedząc, że musi być silna, że nie wolno jej pozwolić, aby Phoebe uznała utratę ręki za katastrofę; musiała ją przekonać, że nie jest to gorsze od wycięcia migdałków, że ludzie bez przerwy tracą ręce i nogi, że to żadna sprawa. Nie większa niż złapanie kataru czy spóźnienie się na autobus. Czy zostawienie otwartej lodówki.

Na co komu, do diabła, dwie ręce?

Wzięła długi oddech, stanęła przy łóżku i ujęła drętwo prawą dłoń Phoebe. Poczuła cień odwzajemnienia uścisku.

- Cześć, Phoebe - odezwała się.

Minęło kilkanaście sekund, zanim Phoebe odpowiedziała, słabym i niewyraźnym głosem:

- Frannie.

Frannie usiadła na krześle przy łóżku i popatrzyła na dużą, żartobliwą kartę z pielęgniarkami śmigającymi po oddziale na deskorolkach. Ponownie uścisnęła dłoń Phoebe.

- Moje biedactwo.

Oczy Phoebe przesunęły się powoli na twarz Frannie. Powieki zamknęły się i otworzyły, jakby dziewczyna walczyła z sennością. Frannie znów poczuła lekki uścisk. Doszła do wniosku, że nie ma czasu do stracenia.

- Wczoraj wieczorem chciałaś mi coś powiedzieć, Phoebe. Coś bardzo ważnego. Pamiętasz, co to było?

Po kilku sekundach leżąc na łóżku dziewczyna skinęła głową. Ale potem w jej oczach pojawił się zamęt.

- Kazała mi wyjechać przed ciężarówkę. Kazała mi myśleć, że dam radę ciężarówce.

- Kto ci kazał?

Zapadła długa cisza. Phoebe zamknęła oczy. Frannie czekała, modląc się, żeby je z powrotem otworzyła, żeby nie odpłynęła w sen. Rozejrzała się i nie zobaczywszy w pobliżu żadnych pielęgniarek, delikatnie potrząsnęła ramieniem Phoebe.

- Kto ci kazał przejechać przed ciężarówką?

Phoebe otworzyła oczy i spojrzała na Frannie z pomieszaniem i zdumieniem.

- Ouija* (***Tabliczka z alfabetem i innymi znakami używana podczas seansów spirytystycznych**)
- powiedziała.

- Ouija? - powtórzyła Frannie.

Nagle Phoebe szarpnęła Frannie z wysiłkiem za rękę, pociągając ją ku sobie. Usta miała rozchylone, a jej oczy patrzyły błagalnie, usiłowały coś przekazać; odezwała się, ale zbyt słabym głosem. Frannie pochyliła się bardziej, przysuwając policzek do policzka Phoebe.

- Ouija. Ostrzeż ich, Frannie.

Frannie była zdezorientowana.

- Ouija? Możesz mówić jaśniej? Proszę.

A potem nagle uświadomiła sobie, co Phoebe ma na myśli, i eksplodowała w niej bomba przerażenia.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Kiedy rozklekotany volkswagen-furgonetka, w którym gnioła się z ósmiorgiem innych studentów trzeciego roku Uniwersytetu Londyńskiego, podjechał do krawężnika, Frannie Monsanto wsunęła palce za koszulkę, szukając otuchy w dotyku swego krzyżyka. Wiedziała, że robią źle. Przed godziną wydawało się to świetnym pomysłem, ale teraz zaczynała trzeźwieć i odwagę, którą dał jej alkohol, zastąpił pogłębiający się niepokój oraz pamięć o tym, co się wydarzyło, gdy była tam po raz ostatni.

- Kawalek dalej po lewej, za tymi workami śmieci - powiedziała.

Furgonetka zatrzymała się zarzucając na bok, wraz z warkotem silnika umilkł ryk muzyki. Wysypali się na chodnik - hałastra z rozczochranymi włosami i w pomiętych ubraniach - i stali, mrużąc oczy od drobnego deszczu i pomarańczowego blasku sodowych latarni, jakby wysadzono ich ze statku kosmicznego na obcą planetę. Ponad nimi wznosiły się po obu stronach ciemne, milczące okna banków i towarzystw ubezpieczeniowych. W kwadratowej mili londyńskiego City ulice, które za dnia roily się od ludzi, nocą były puste; w soboty wymierały.

Jakiś samochód przejechał ulicą, ostro tnąc kołami kałuże. Odbicie tylnych świateł sunęło za nim po lśniąącym asfalcie jak duch. Seb Holland zamknął drzwiczki furgonetki. Kropelki mżawki łaskotały policzki Frannie, gdy prowadziła grupkę obok Biura Zatrudnienia Johna Templara z ofertami w oknie: SEKRETARKA DYREKTORA. SPRZEDAWCA - TYLKO PROWIZJA. KSIĘGOWY/A NA DWA DNI W TYGODNIU. PRACOWNIK DO EKSPEDYCJI. Skręciła w wąski, dużo ciemniejszy zaułek, minęła fryzjera, kiosk z gazetami, usługi szewskie i krawca, po czym zatrzymała się i zaczęła przetrząsać torebkę w poszukiwaniu kluczy. Przez korkowe podeszwy jej płóciennych butów przemiękała do środka woda.

- O rety! - zawołał Seb Holland. - To jest knajpa twojego ojca?

Frannie skinęła głową.

- Świetna! - powiedział ktoś inny.

Nad niewielką witryną biegł rząd dwunastocalowych, odblaskowych liter, z których dwóch brakowało: KAN P I LUIGI CAFE.

Do wewnętrznej strony szyby przymocowany był czterema małymi przyssawkami biały, plastikowy jadłospis. „Na miejscu lub na wynos” - brzmiał napis u dołu. Popękana plastikowa tabliczka zawieszona w poprzek okna na cienkim łańcuszku głosiła: „Specjalność - śniadania!” Na rzeźnickich hakach wisały salami i kiełbasy; umocowana ponad ladą ultrafioletowa pułapka na muchy napełniała ciemne wnętrze kafeterii purpurowym blaskiem.

Frannie otworzyła drzwi i weszła do środka, pomiędzy znajome zapachy aromatycznych wędlin i oliwy z oliwek, ziaren kawy i płynu do zmywania naczyń. Włączyła jeden z kontaktów; jarzeniówka oblała tył lokalu silnym światłem, dołączając monotonnym brzęczeniem do szumu lodówek.

Półeczki wewnątrz szklanej lody chłodniczej były puste. Na wierzchu, obok elektronicznej kasy, stał samotny pleciony koszyk z paczkami chipsów. Wzdłuż półki z laminatu umocowanej do ściany w głębi biegł rząd barowych stołków, a na środku rozlokowało się kilka maleńkich stolików z

zamontowanymi na stałe siedzeniami i plastikowymi krzesłami. Ścianę za ladą ozdabiały plakaty, jeden z Neapolem, drugi z Amalfi. Obydwa były wyblakłe ze starości i miały nierówne, poobrywane rogi, gdyż wiele razy wydzierały się już spod przytrzymujących je pasków taśmy klejącej.

Plakaty zrosły się z kafeterią na równi z wesołymi słowami, którymi jej ojciec witał każdego klienta, bez względu na to, czy go znał, czy nie: „Jak się mamy? Co sobie dziś życzymy?” Na równi ze skupionym milczeniem jej matki, przygotowującej kanapki i gorące napoje, wsuwającej kamionki z *pastą* do kuchenki mikrofalowej. Ludzie brali to milczenie za objaw ponurego usposobienia, ale prawda była taka, że w ciągu dwudziestu ośmiu lat, jakie minęły, odkąd rodzice Frannie opuścili slumsy Neapolu i przyjechali do Anglii w poszukiwaniu dobrobytu, matce nie udało się nauczyć języka nawet na tyle, żeby poprowadzić najprostszą rozmowę.

W siatce pułapki tłukła się z bzykiem ćma. Lokal był stary, nie przemeblowywany od 1957 roku, kiedy to rodzice Frannie wzięli go w dzierżawę, i nieskazitelnie czysty, taki, jakim zostawiali go co wieczór od poniedziałku do piątku, około szóstej, gdy zamykali interes. Jako dziecko Frannie spędzała tu więcej czasu niż w ich mieszkaniu w Bethnal Green. Podczas szkolnych wakacji pracowała w kafeterii prawie codziennie i będąc na studiach nadal przychodziła pomagać rodzicom, chociaż już nie tak często.

- Proszę kanapkę z *pastrami* i koperkiem, z razowego chleba - powiedział Max Gabriel, patrząc przez pusty kontuar i strząsając z oczu potargane jasne włosy.

- Hej, Luigi, kanapkę z aligatorem, i to biegiem! - zaryczał Seb Holland, stając przy ladzie. Rozejrzał się dookoła i wyszczerzył zęby. - Hej, Luigi! Obsługa!

Rozległ się ostry trzask. Skrzydło ćmy spłonęło i owad z trzepotem spadł na dno pułapki, między ciała much i os. Frannie zamknęła drzwi na klucz i sprawdziła, czy wywieszka „Przepraszamy, zamknięte”, która zakołysała się uderzając lekko o szybę, nadal wisi napisem do zewnątrz. Coś ścisnęło ją za gardło. Nie była pewna, czy jest to strach, czy poczucie winy, czy też może świadomość, że popełniła błąd sprowadzając tu swoich przyjaciół, proponując to miejsce i w ogóle godząc się na ten pomysł.

Kłapa do piwnicy znajdowała się w maleńkim korytarzyku, który łączył frontową część kafeterii z kuchnią i toaletami. Jako dziecko Frannie była urzeczona piwnicą, ale jednocześnie panicznie się jej bała. Paolo, jej najstarszy brat, mówił, że mieszka tam zły czarownik, i Frannie mu wierzyła; piwnica była wystarczająco duża i wystarczająco ciemna. Czarownik mógł w niej mieszkać przez całą wieczność, zlizując wodę z wilgotnych ścian i podskubując zapasy, które tam przechowywali. Niewidoczny, czaił się gdzieś w mroku (obserwując ją, mówił Paolo), za każdym razem, gdy będąc dzieckiem schodziła z ojcem na dół, aby otworzyć którąś z dostarczanych regularnie z Palermo skrzyń z serami, wędlinami czy oliwkami; czarownik bał się jej ojca. Ale nie bał się jej.

Raz go widziała: ostatnim razem, kiedy była na dole.

A w każdym razie widziała jego cień. Było to przed pięciu laty, może trochę dawniej. Nie używali już wtedy piwnicy, nie używali jej od dobrych dziesięciu lat; ojciec zaczął się zaopatrywać we wszystko u hurtownika, stwierdziwszy, że składanie zamówień raz na tydzień jest łatwiejsze i bardziej opłacalne niż sprowadzanie dużych partii towaru z Włoch.

- Potrzebujemy papieru - powiedziała Susie Verbeeten wodzo-wskim tonem. Miała czarne włosy, na

bokach podgolone, a pośrodku sterczące do góry jak sprężyny. Jej matka była ponoć czarownicą i dlatego Susie znała się na okultyzmie. - I grubego flamastra.

Jonathan Mountjoy jak zwykle stał z rękami w kieszeniach, patrząc nieprzytomnym wzrokiem gdzieś do góry, myślami w innym wymiarze. Lynn Frickers, drobna, podobna do ptaka dziewczyna, spojrzała nerwowo na Frannie.

- Zastanawiam się, czy nie powinnam już iść. Mam na poniedziałek dużo do przeczytania.

Bob Castle skinął głową, napinając i kurcząc mięśnie twarzy pomiędzy kępkami rzadkiej rudej brody.

- Tak, ja też muszę... - Omiótł wzrokiem pomieszczenie. - Muszę jutro wcześniej wstać... Chyba powinienem...

Frannie weszła do maleńkiej wnęki za lodówkami, gdzie stała szafka, w której trzymali materiały piśmienne.

- Ile papieru? - zawołała i zdumiała się, jak wielkie napięcie zadźwięczało w jej głosie.

- Musimy zrobić dwadzieścia osiem kwadratów, mniej więcej trzy na trzy cale - odparła Susie.

Frannie wzięła kilka arkuszy papieru, nożyczki i czarny flamaster. Lynn Frickers szarpała się z drzwiami, a Bob Castle stał za nią jak wierny pies. Frannie otworzyła drzwi z klucza, wypuściła obydwójce na zewnątrz, po czym znów je zamknęła, żałując skrycie, że sama nie może wyjść. Czuli ucisk z tyłu głowy i suchość w gardle.

- Nie wiem, po jaką cholerę w ogóle tu z nami przyjechali - powiedziała Meredith Minns. - Nigdy nie ma z nich żadnego pożytku!

Frannie odrzuciła z twarzy swoje długie brązowe włosy i uśmiechnęła się. Wesoła normalność głosu Meredith na chwilę rozproszyła jej obawy. Podała Susie papier, a potem poszła na tyły kafeterii, przyklękła na starym linoleum i wsunawszy palce pod metalowe uchwyty klapy do piwnicy z całej siły dźwignęła ją do góry. Ciężka kłapa podniosła się z trzaskiem, ciągnąc za sobą pajęczynę.

Rozłoszczony pajak czmychnął, znikając jej z oczu. Zimne, stęchłe powietrze pachnące wilgotnym kamieniem i zbutwiałym drewnem wylało się z otworu, owiewając ją, przesiakając przez mokre ubranie do skóry. Popatrzyła na opadające niemal pionowo drewniane schody, których dolne stopnie ginęły w czerni, i nagle strach ścisnął jej serce.

Gramoliła się po tych schodach z piskiem przed pięciu laty. Ścigana przez czarownika. Szukała wejścia do sekretnego korytarza, który podobno prowadził do Tamizy i został przed kilkoma wiekami zamurowany. Nagle usłyszała ostre szurnięcie i przesunął się za nią jakiś cień. Kiedy skierowała nań latarkę, żarówka zgasła.

Wiedziała, że mógł to być po prostu wytwór jej wyobraźni. Albo jakiś włóczęga czy pijak. Piwnice domów się łączyły, przepelzając pod lukami filarów można było obejść pod ziemią pół City. W tej części Londynu roiło się od sekretnych przejść pochodzących jeszcze ze średniowiecza. Korzystali z nich uciekający z Tower więźniowie, rojaliści w czasie wojny domowej, przemysłowcy.

Przez pięć lat chciała wrócić do piwnicy i udowodnić sobie, że tamten cień był niczym, po prostu

złudzeniem optycznym. Ale za każdym razem, gdy zebrała się na odwagę, w końcu tchórzyła, bo nie miał kto z nią pójść. Dziś wieczorem, siedząc trochę wstawieni w dolnej sali pizzerii, wygłupiali się, żartowali, opowiadali sobie historie o duchach i usiłowali się wzajemnie nastraszyć. Kiedy więc Seb Holland zaproponował urządzenie seansu spirytystycznego - czy może była to Meredith Minns - i Susie Verbeeten stwierdziła, że trzeba do tego kompletnej ciemności, Frannie powiedziała, że zna idealne miejsce.

- Seb, masz w furgonetce latarkę? - zapytała, przypomniawszy sobie, że w piwnicy nie ma światła.
- Tak, przyniosę ją.

Meredith Minns podeszła do otworu i spojrzała w dół.

- Boże, co tam jest?
- Nic - odparła Frannie. - Puste kartony i tak dalej.
- Doskonale - zawyrokowała Susie, zaglądając jej przez ramię.
- Ciemno i straszno - powiedział Max. - Dlaczego nie możemy zrobić tego na górze?
- Bo potrzebujemy miejsca, gdzie nie ma nikogo i gdzie jest zupełnie ciemno - wyjaśniła Susie.
- Dlaczego ma być zupełnie ciemno? - zapytała Meredith.
- Poniefasz, kochanie - odrzekł Seb, przybierając słowiański akcent i przebiegając palcami po jej plecach - pęciami fsyfacz Księcza Czemoszczi. Ju hu huuu!

Meredith wzdrygnęła się i wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Przesstań!

Seb otworzył drzwi wejściowe i poszedł po latarkę. Susie wycięła z papieru dwadzieścia osiem kwadratów, napisała na nich wersalikami po jednej literze alfabetu, a na dwóch ostatnich pojedyncze słowa *Tak*, i *Nie*.

- Potrzebny nam kieliszek - powiedziała. - I jakaś płaska powierzchnia, i świeca.
- Powinna być na dole jakaś skrzynia, która się nada. Jeśli nie, możemy znieść stolik - odparła Frannie, zapierając klapę na zawiasach.

Max rozejrzał się po kafeterii.

- Ten interes powinien być kopalnią złota - w samym środku City - doskonała lokalizacja.
- Czynsz jest bardzo wysoki - odpowiedziała Frannie i pomyślała o swoich rodzicach: codziennie na nogach o piątej rano, żeby przygotować kanapki; wiecznie borykający się z kłopotami - żeby popłacić rachunki, przedłużyć jeszcze o parę lat dzierżawę, którą właściciele chcieli wymówić, planując przebudowę terenu; wiecznie marzący o powrocie do Neapolu z wielkim majątkiem. Tymczasem

prawda była taka, że nigdy tam nie wrócą, już nie. Ich krewni i znajomi poumierali, przeprowadzali się lub pozmieniali; przeszłość, którą zostawili za sobą we Włoszech, była równie ciemna jak przyszłość leżąca przed nimi w Anglii. Za kilka lat dzierzawa wygaśnie, tym razem na dobre, i budynek pójdzie do rozbiórki. Będą się musieli stąd wynieść, zacząć od nowa gdzie indziej, zmęczeni, starzejący się ludzie, których nadzieje rozwiały się jak mgła.

Frannie znalazła w szafce obok zlewu pudełko świec, wyjęła jedną, wzięła leżące na kuchence zapalki i zaczęła na Seba. Wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi na klucz i podał jej dużą latarkę w gumowej oprawie.

Włączyła ją i skierowała potężny snop światła w mroczny otwór. Po podłodze przesunęła się biała plama. Wcisnęła świecę i zapalki do tylnej kieszeni dżinsów i zaczęła schodzić powoli po drewnianych schodach, ściskając latarkę w jednej ręce i mocno przytrzymując się kolejnych stopni drugą.

Kiedy zeszła na sam dół, ogarnęło ją nieprzyjemne uczucie izolacji. Twarz Susie Verbeeten wydawała się być całe mile wyżej. Zimne powietrze przegryzało jej ubranie, ziębiło skórę. Usiłując odegnąć niepokój, oświetliła latarką czarną jak smoła ciemność, która ją otaczała. Na ścianach zatańczyły cienie. Rozległo się echo monotonnego plum... plum... plum... kapiącej z góry deszczówki.

Po obu jej stronach i za nią ciągnęły się rzędy filarów: przysadzistych, połączonych lukami, kamiennych kolumn, którymi podparto stropy, gdy przed wiekami wody Tamizy podmyły fundamenty. Pochodząc z czasów na długo przed odkryciem współczynników naprężeń i tolerancji, były prawdopodobnie o wiele grubsze niż potrzeba. Ceglane ściany były wilgotne i poobłupywane. Tradycja głosiła, że zamurowano za nimi ofiary Wielkiej Zarazy.

Powiodła snopem światła dookoła, ale nie dostrzegła nic nieznanego. Kilka pustych kartonów pochylało się na bok, ich spody zżarła przenikająca podłogę wilgoć. Nagle uświadomiła sobie, że oświetla ścierwo rozkładającego się szczura i wzdrygając się przesunęła latarkę.

- W porządku? - zawołała Susie, a echo odpowiedziało: *Ądku-ąd-ku?*
- Tak! - odkrzyknęła Frannie. *Ak-ak-ak*, odpowiedziało echo; kolejno oświetliła przyjaciółom schody.
- Straaaaszno! - powiedział Seb, wpychając ręce do kieszeni i rozglądając się dookoła.
- Doskonale - stwierdziła Susie, po czym spojrzała niepewnie do góry. - Chyba powinniśmy zamknąć klapę, żeby nie było żadnego światła.

Seb wspiął się po schodach i pociągnął za uchwyt. Kłapa opadła z głuchym łoskotem, który przyprawił Frannie o atak klaustrofobii.

Oświetliwszy Sebowi schody, omiotła latarką twarz przyjaciół, aby dodać sobie otuchy. Prawie wszyscy sprawiali wrażenie, że czują się nieswojo. Nawet Seb jakby stracił nieco ze swej buńczuczności. Tylko Susie wydawała się być zupełnie spokojna. Wybrała szeroką, płaską skrzynkę ze sklejki, na środku postawiła odwrócony kieliszek, a wokół niego rozmieściła na chybił trafił kwadraciki z literami i słowami *Tak* i *Nie*.

- Ustawcie dookoła skrzynki jakieś siedzenia - poleciła.

- Jezu! - pisnęła Meredith, chwytając Jonathana Mountjoya za ramię. - Tam się coś poruszyło.

Frannie przesunęła strumień latarki i zobaczyła, jak za filarem na końcu piwnicy znika szczur lub duża mysz.

- Masz świecę, Frannie? - zapytała Susie.

Frannie wyciągnęła świecę z kieszeni i zapaliła zapałkę. W przenikliwej wilgoci stęchlizny gryzący zapach siarki działał krzepiąco. Susie nakapała stearyny na skrzynkę i, przeklinając, gdy gorąca kropla sparzyła ją w palec, mocno osadziła w niej świecę. Po podłodze zaszurała przesuwana przez Jonathana Mountjoya beczka. Frannie odwróciła głowę. Dźwięk ten przestraszył ją, przywołał wspomnienie tamtego cienia i tamtego szurnięcia. Potem wszyscy usiedli.

- Zgaś, Frannie - powiedziała Susie.

Frannie wyłączyła latarkę. Ciemność jakby skoczyła ku nim, owalna żółta poświata ledwo ją zatrzymała. Płomień zadrżał i wokół podstawy świecy zakołysała się mała plama cienia. Zimny przeciąg dmuchnął Frannie na szyję jak czyjś oddech. Czuła zapach gorącej stearyny i słabszą woń wypalanej zapałki. Gdzieś w mroku nadal kapła monotonicznie deszczówka. Płomień zadrżał ponownie, tym razem silniej, i Frannie miała wrażenie, że jeży jej się niewidoczny meszek na rękach. Bawełniana koszulka z napisem „Wolność dla Nelsona Mandeli” przywierała jej do ciała jak mokry ręcznik.

Rozległy się trzy silne stuknięcia, a potem zagrzmiał upiorny głos:

- Jest tu kto?

Meredith zachichotała.

Znów trzy stuknięcia.

- Seb - powiedziała ostro Susie.

- Ju-hu-huuu! - zawył Seb niskim i budzącym echo głosem.

Frannie podskoczyła, czując na szyi czyjeś palce.

- Seb, na miłość boską!

Uśmiechnęła się jednak, gdyż momentalnie opuściło ją przytłaczające napięcie. Może był to najlepszy sposób: żartować, wygłupiać się, nie brać tego zbyt serio.

- Wyczuwam obecność duchów - powiedział Seb, wiercąc się na siedzeniu. - Otaczają mnie duchy.

- Seb - odezwał się cicho Max. - Chyba powinniśmy się wszyscy uspokoić i być poważni.

Meredith Minns uśmiechała się niepewnie. W słabym świetle świecy kontrast niezdrowej bledkości

cery z jaskrawą czerwienią szminki i czernią wysmarowanych żelam włosów nadawał jej upiorny wygląd. Susie Verbeeten rozejrzała się władczo dookoła.

- Hej, kochani, zastanawiam się właśnie, czy nie powinnam już iść - powiedziała Meredith, odrzucając głowę teatralnym gestem. - Muszę trochę poczytać. W poniedziałek mam następnego egzamin.

- Absolutnie nie możesz teraz odejść! - zawołała Susie. - Żeby wytworzyć dość energii do wywołania i kontrolowania ducha, trzeba co najmniej sześciu osób.

Meredith zaczęła żuć wewnętrzną stronę policzka.

- Dobrze - odezwała się Susie. - Niech każdy położy na kieliszku jeden palec. Bardzo lekko, nie popychajcie go. To naprawdę ważne, żebyście go nie popychali.

Frannie dostrzegła wybity na stopce kieliszka napis „Helix”. Wyciągnęła ostrożnie rękę i dotykając innych dłoni, które przepychały się w walce o miejsce, oparła na kieliszku palec wskazujący. Kieliszek drżał i skakał na wszystkie strony.

- Przestańcie go popychać - powiedziała Susie. - Wszyscy go popychacie!

Kieliszek znieruchomiał.

- A teraz zamknijcie wszyscy oczy.

Frannie popatrzyła w ciemność ponad poświatą świecy, a potem na palce na kieliszku. Zamknęła oczy. Przez kilka chwil siedzieli w milczeniu. Frannie czuła parcie na kieliszek.

- Czy jest tu jakiś duch? - zapytała Susie przyciszonym głosem. - Jeśli przyłączył się do nas jakiś duch, niech da nam znać poruszając kieliszkiem.

W oddali rozległo się ciche dudnienie. Frannie poczuła, że kieliszek drży. Dudnienie stawało się coraz głośniejsze, odbijało się echem po piwnicy, przechodziło w łoskot.

- Jezu! - zawołał Jonathan.

- Metro - powiedziała Frannie, nie otwierając oczu. - To tylko metro. Central Line.

- Wspaniale, Susie - odezwał się Seb. - Udało ci się wywołać ducha metra.

Meredith zachichotała. Dudnienie ucichło.

- Mogłabyś wezwać teraz prom Dover - Calais? - zapytał Seb.

Meredith znów zachichotała.

- A może Boeinga 747? - podsunął Max.

- Cicho - zasyczała gniewnie Susie. - Skupcie się!

Kieliszek zatańczył.

- Coś tu jest. Coś jest tutaj z nami. Czuję to. - Susie podniosła głos. - Czy jest z nami jakiś duch? Czy jest tu duch, który chce z nami porozmawiać?

Panująca w piwnicy cisza zwielokrotniała każdy dźwięk. Frannie przełknęła ślinę. Słyszała łup-łup-łup swojego serca, głośnie jak łoskot ulicznego ruchu krążenie krwi w żyłach, bulgotanie, gdy ponownie przełknęła ślinę. Piwnica zrobiła się dużo zimniejsza, jakby ktoś otworzył drzwiczki zamrażarki. Frannie zeszywniała. Czuła, że zaszła jakaś zmiana, że jest z nimi jeszcze coś lub ktoś. Stało za nią i przesuwano magnes albo arkusz celofanu kilka cali od jej skóry, przyciągając jej włosy, a jego lodowaty oddech przenikał ją na wylot, jakby była przezroczysta. Mocno zacisnęła powieki, zbyt przerażona, by otworzyć oczy i zobaczyć, co to takiego.

- Połączył się z nami jakiś duch - obwieściła Susie Verbeeten.

Skórę Frannie drapały lodowate szpony. Chciała przerwać seans, za bardzo się bała, żeby go dalej ciągnąć.

- Jest wśród nas duch - powiedziała Susie głośnie. - Czy chcesz z nami porozmawiać?

Kieliszek przesunął się z ostrym szurnięciem kilka cali w prawo i znieruchomiał.

- *Tak* - oznajmiła Susie piskliwym z podniecenia głosem. - Mówi *taki* - Jej ton odzyskał poprzednią władczość. - Kim jesteś? Proszę, powiedz nam, jak się nazywasz.

Frannie poczuła, że kieliszek znów się porusza. Prześliznął się po powierzchni skrzynki i nagle stanął.

- Litera N - odczytała Susie.

Kieliszek znowu się przesunął.

- Nie popychajcie go, niech się porusza sam, niech porusza go duch. O - ciągnęła Susie głosem pełnym skupionego napięcia.

Kieliszek znów ruszył.

- N.

- *Non* - powiedział Jonathan Mountjoy. - Po francusku *nie*.

Kieliszek sunął dalej.

- O-M-N-I-S - przeliterowała Susie.

- *Omnis* - powtórzył Max Gabriel.

- To po łacinie - stwierdził Seb. - Wywołałaś ducha rzymskiego centuriona. Cześć, Poloniuszu!

Meredith zachichotała.

Kieliszek znów się poruszył, płosząc ich wszystkich.

- M-O-R-I-A-R - odczytała Susie. - *Non omnis moriar.*
- *Non omnis moriar* - zawtórował jej Max Gabriel.
- Kto pamięta łacinę? - zapytała Susie.
- Ja - wychrypiała Frannie. Miała tak sucho w gardle, że ledwo mogła mówić.
- Co to znaczy?
- To cytat z Horacego - wyjaśniła głosem niewiele mocniejszym od szeptu.
- *Z Doracego?* - zapytał Seb.

Meredith zachichotała ponownie, tym razem był to chichot wymuszony, nerwowy.

- *Z Horacego* - powtórzyła cicho Frannie. Drżała jej ręka. - *Non omnis moriar.* To znaczy: Nie wszystkim umrę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Wrzesień 1991

Drzwi wagonu metra otworzyły się, wyrwijąc Frannie z rozmyślań. Gwałtownie podniosła wzrok. Clapham South. Zerwała się na równe nogi i ledwo zdążyła wysiąść, zanim drzwi ponownie się zamknęły. Stała na peronie, tknięta wspomnieniem.

Dewiza rodziny Olivera. *Non omnis moriar.*

Poczuła, jak skręca się w niej spirala napięcia. Kolejny zbieg okoliczności. Chyba że zawodzi ją pamięć. Za jej plecami pociąg wytoczył się ze stacji, przyspieszając z ostrym gwizdem. Podmuch nieświeżego podziemnego wiatru owionął ją i wpadł do tunelu za ogonem pociągu.

Naginanie przeszłości do terażniejszości. Umysł robi takie rzeczy; umysł bez przerwy płata figle. Kiedy schody ruchome wiozły ją do góry, jej pamięć pracowała gorączkowo. Trzy lata temu - dawniej - trzy i pół roku temu; pod koniec wiosennego semestru na ostatnim roku studiów. Świętowali czyjeś urodziny w dolnej sali taniej pizzerii, do której często chadzali.

To Susie Verbeeten zaproponowała seans spirytystyczny Susie Verbeeten go poprowadziła. Despotyczna Susie, o wiele bardziej despotyczna niż Phoebe. Twierdziła, że wie, jak się robi taki seans, od swojej matki, która jest czarownicą.

A teraz Susie była niewidoma.

Idąc pospiesznie do domu, Frannie rozmyślała, jak się z nią skontaktować. Wiedziała, że jej matka mieszka w Sussex, pamiętała, jak Susie mówiła, że w tej samej wsi mieszkała kiedyś Virginia Woolf. Rodmell! Zapamiętała to, chociaż nie miała pojęcia dlaczego. Ze zdobyciem numeru telefonu nie

powinno być kłopotu, Verbeeten nie jest nazwiskiem pospolitym.

W korytarzu podniosła z podłogi pocztę z dwóch dni: głównie rachunki plus karta urodzinowa z włoskim znaczkiem i neapoli-tańskim stemplem; od ciotki, która nie ufając włoskiemu systemowi pocztowemu co roku przysyłała jej życzenia za wcześnie. Przeszła do pokoju i wykręciła numer informacji. Czekaając, machinalnie gryzmoliła na odwrocie koperty z rachunkiem telefonicznym.

NON OMNIS MORIAR - napisała wersalikami, a potem zanotowała numer Susie i natychmiast go wykręciła.

Telefon odebrała kobieta o cienkim, ostrym głosie, w którym słychać było lekką chrypkę palaczki.

- Już ją proszę. A kto mówi?
- Frannie Monsanto. Byłyśmy razem na studiach.

Usłyszała dźwięk podnoszenia słuchawki, a zaraz potem serdeczne i wesołe powitanie Susie:

- Spags! Jak się masz?!

Frannie była kompletnie zaskoczona. Susie zareagowała tak, jakby nie rozmawiały ze sobą od kilku dni, a nie od ponad trzech lat.

- Dobrze, bardzo dobrze.
- Co porabiasz?

Opowiedziała jej. Susie wydawała się być szczerze zainteresowana jej pracą, tym, co robiła od czasu studiów, z kim utrzymywała kontakt.

- Czy będziesz w Sussex podczas weekendu? - zapytała Frannie.
- Tak, w ogóle się stąd nie ruszam.
- Mieszkasz może gdzieś w pobliżu wsi Meston, koło Lewes?
- Tak, dlaczego?
- Właśnie tam będę w ten weekend.
- Na miłość boską, Frannie! To jakieś cztery mile od nas! Wpadnij na drinka albo na lunch.
- Z przyjemnością. Kiedy by ci najbardziej pasowało?
- Wszystko mi jedno, nie mam żadnych planów.

Frannie zawahała się.

- Susie, czy pamiętasz ten seans spirytystyczny, który urządziliśmy kiedyś w piwnicy kafeterii moich rodziców?

- Zabawne, że o tym wspominasz.
- Dlaczego?
- O to samo pytała mnie Phoebe Hawkins.
- Niedawno?
- Tak. Zadzwoiła we wtorek wieczorem i powiedziała, że była właśnie na pogrzebie Meredith. Zapytała mnie o ten seans. Czy pamiętam, kto w nim uczestniczył.

Frannie milczała przez chwilę. Wyglądało na to, że Susie nie słyszała o wypadku Phoebe.

- A pamiętasz?
- Zawsze prowadziłam terminarz; prawdopodobnie zapisałam to sobie. Ale jest mi dość trudno sprawdzić coś takiego w moim... -głos jej się załamał.
- Może mogłabym ci pomóc? Wydaje mi się, że pamiętam, ale muszę się upewnić.
- O co chodzi, Frannie? Co się dzieje?

Frannie nie chciała rozmawiać na ten temat przez telefon.

- Mogłabyś się nad tym do jutra zastanowić? Wiem, że to było jakiś czas temu. Ale spróbuj to sprawdzić albo sobie przypomnieć.
- Dobrze - odparła Susie zaniepokojonym tonem. - Zrobię, co w mojej mocy. Myślisz, że coś w tym...
- Nie wiem. Myślę, że to po prostu zbieg okoliczności.
- Zawsze tak sądziłam.
- To znaczy?
- Zapamiętałam, co powiedziała mi Ouija.
- Co takiego?
- To było tylko jedno słowo, nic więcej. *Ciemność*.

Kolumna samochodów kierujących się na południe od Londynu popęzła kawałek do przodu i znów się zatrzymała. Oliver zahamował i przerzucił biegi w range roverze na luz. Dzień był niepokojny: na błękitnym niebie kłębiły się ciężkie, nawisie chmury; wiatr gwałcił drzewa; po chodnikach szurały liście i puste pudełka.

Oliver był ubrany w sportową koszulkę, cienki niebieski sweter i džinsy; włosy miał w nieładzie i wyglądał na zmęczonego. Frannie zastanawiała się, czy dobrze się czuje. Siedzieli w milczeniu, każde

pochłonięte własnymi zmartwieniami.

Phoebe Hawkins. Phoebe prosto z pogrzebu wróciła do domu i zadzwoniła do Susie Verbeeten, żeby ją zapytać, kto uczestniczył w seansie spirytystycznym. Później zadzwoniła do Frannie, żeby ją ostrzec przed liczbą dwadzieścia sześć. Dlaczego? Pomyślała o numerku z szatni w galerii sztuki w środę wieczorem. Potem samochód Olivera został zablokowany. Absurdalne. Pomyślała o tym, że w następnym tygodniu są jej urodziny i poczuła ukłucie niepokoju. Jej dwudzieste szóste urodziny. Co Phoebe wiedziała?

Non omnis moriar. Im bardziej się starała wszystko sobie przypomnieć, tym większa ogarniała ją niepewność. Pamiętała, że się bała, że w pewnym momencie zatkała uszy, nie chcąc usłyszeć swojego przesłania. Więcej niż się bała; pamiętała, że była przerażona.

Ouija dała każdemu z nich przesłanie, ale Frannie nie mogła sobie przypomnieć, jak one brzmiały. Nigdy się nie dowiedziała, jak brzmiało jej własne; poprosiła innych, żeby jej nie mówili. Wierzyła, że czasem usłyszawszy coś złego człowiek może sam sprawić, że spełni się to jak prorocstwo.

Ciemność. Czy Susie Verbeeten mogła sama doprowadzić się do ślepoty?

Nagle Oliver wziął ją za rękę i pocałował.

- Nie przeprosiłem cię jeszcze za to, że rozgniewałem się na ciebie w niedzielę. Wybacz mi.

Potrząsnęła głową.

- To była moja wina. Tak mnie bolało, że nie mogłam jasno myśleć. Nie chciałam oskarżyć Edwarda. Po prostu...

Znaleźli się na autostradzie; samochodów było tu mniej i jazda stała się swobodniejsza. Mocno dodając gazu, Oliver przejechał na pas szybkiego ruchu.

- Powinienem był wyjaśnić ci wszystko wcześniej.

Przeczesał dłonią włosy, a potem odrobinę opuścił szybę. Rozległ się ostry syk powietrza.

- Edward ma problemy behawioralne; jest dzieckiem z zaburzeniami, jak określają to psychiatrzy. Nie wiem, czy to wina śmierci jego matki, czy moja.

- Twoja?

Oliver mówił cicho, nie spuszczając wzroku z drogi przed sobą, i musiała dobrze wytężyć słuch, żeby go słyszeć.

- Nigdy nie byłem blisko z moimi rodzicami. Posłali mnie do szkoły z internatem, kiedy skończyłem siedem lat, a w czasie wakacji zajmowała się mną służba. Mieliśmy z bratem opiekunki do bardzo późnego wieku; no i była pani Beakbane. Nie mogę się wzorować na mojej matce czy ojcu, więc nie jest mi łatwo zbliżyć się do Edwarda. Wiedziałem, że po tym, co się stało z jego matką, będzie tego bardzo potrzebował, ale nie jestem pewien, czy mi się to choć trochę udaje.

- Wydaje mi się, że masz z nim naprawdę dobry kontakt -powiedziała Frannie, współczując mu. Współczując jego synowi. -Nie widziałam was razem za wiele, ale...

Umilkła, przypomniawszy sobie spotkanie na King's Cross: napad złego humoru Edwarda i bezradność Olivera. Potem cofnęła się pamięcią jeszcze dalej, do poranka, gdy na Poultry ucięło kobiecie głowę. Ojciec i syn wchodzi do kafeterii: napad złego humoru syna.

- Dopiero odkąd poznałem ciebie - odparł Oliver.

Odbiegając myślami od prowadzenia zwolnił i zjechał na sąsiedni pas. Zaczęły ich wyprzedzać samochody, które przed chwilą minęły.

- Twoja obecność cudownie na niego wpływa. Wtedy gdy spotkaliśmy się na King's Cross, był nieznośny przez całą podróż, a przez resztę dnia zachowywał się jak aniołek. W zeszłą sobotę był idealny; i w niedzielę też, dopóki...

- Dopóki go nie oskarżyłam, że dał mi tę śliwkę specjalnie. Boże, tak mi przykro!

Zdjął lewą rękę z kierownicy i poklepał ją po udzie.

- Posłuchaj, on mógł to zrobić.

- Nie - stwierdziła - To był wypadek. - Spojrzała na niego. -Edward nie ma chyba żadnego powodu, żeby chcieć mnie skrzywdzić?

Mam nadzieję, że nie zamierzasz spać z moim tatusiem.

- Nie - odrzekł Oliver bez przekonania, ze znużonym uśmiechem, i położył dłoń z powrotem na kierownicy.

Doznała znajomego uczucia, że coś przed nią ukrywa.

- Kiedy mówisz „zaburzenia”, co masz na myśli? To dziwne zapadanie w milczenie, recytowanie łacińskich nazw?

- Chodzi o całe mnóstwo rzeczy. Sprawia poważne kłopoty w szkole - niektórzy chłopcy go unikają. Kierownik już parę razy mnie ostrzegał, że może będzie zmuszony go wydalić.

- Jakie kłopoty?

- Na przykład nie chce chodzić do kaplicy, co uczniowie powinni robić każdego ranka. Jak mam go przekonać, że Bóg go kocha, skoro wie, że Bóg zabrał mu matkę? - Popatrzył na Frannie, ale nie potrafiła mu odpowiedzieć. - Ciągłe wdaje się w bójki z innymi dziećmi. A najgorszą rzecz zrobił w zeszłym semestrze. Podpalił kosz na śmieci.

Frannie z poczuciem winy stłumiła uśmiech. Całym sercem była po stronie Edwarda.

- Omal nie spalił szkoły - dodał Oliver.

- Byłeś z nim u kogoś?

- U psychologa?

- Tak.

- Załatwiłem całą rundę wizyt. Psychologowie dziecięcy, psychiatrzy. Byłem u najlepszych ludzi. Przy nich jest słodki jak miód. Grzeczny jak aniołek. Do niczego z nim nie dochodzą. Próbowałem homeopatii, zmiany diety, środków farmakologicznych. - Wzruszył ramionami - Jak dotąd podziałałaś tylko ty.

- Bardzo mi to pochlebia.

Uścisnął jej dłoń i przez jakiś czas jechali w milczeniu. Na wiadukcie zobaczyła wóz policyjny, ale Oliver prowadził poniżej dozwolonej prędkości. Schodzący do lądowania na Gatwick odrzutowiec przeleciał niepokojąco nisko nad autostradą przed nimi, napełniając powietrze rykiem silników.

Pogładziła dłoń Olivera.

- Przy twoim lęku przed zbiegami okoliczności, co sądzisz o znalezieniu przeze mnie tego tygrysa w szafie w Muzeum?

Poczuła, że lekko drży mu dłoń.

- Nie wiem - odparł.

- To dziwne, nie uważasz? Jakby coś nas do siebie przyciągało, krok po kroku. Jedno powiązanie za drugim.

- Tak - przyznał krótko.

Droga prześlizgiwała się pod kołami range rovera, jego brudna maska odrobinę drgała. Duża mucha uderzyła w przednią szybę, zamieniając się w plamę krwi; jej skrzydła nadal trzepotały, jakby rozpaczliwie próbowały odlecieć bez ciała.

Oliver przejechał kilka mil nie odzywając się ani słowem, a potem, wcześniej niż w poprzedni weekend, włączył lewy kierunkowskaz i zjechał z autostrady.

- Szkoła Edwarda - powiedział w formie wyjaśnienia.

Wkrótce przyhamował i obok dużej tablicy z napisem „Szkoła

Przygotowawcza Stowell Park” skręcił w bramę o ceglanych filarach. Kiedy jechali długą, wysadzaną topolami i bukami aleją, twarz Olivera powoli wracała do życia, niczym zwierzę budzące się ze snu zimowego; jakby perspektywa zobaczenia Edwarda napełniała go tęsknotą. Frannie była wzruszona; po raz pierwszy naprawdę odczuła ogrom miłości Olivera do syna.

- Jeśli tylko jest coś, co mogłabym zrobić, żeby ci jakoś pomóc z Edwardem, to powiedz. Chętnie to zrobię.

- Już mi pomagasz - odparł. - Samą swoją obecnością. To będzie dla Edwarda prawdziwa niespodzianka, że przyjechałaś ze mną po niego.

Za drzewami po obu stronach drogi ciągnęły się pola, pasły się owce, a w oddali widać było miękkie zarysy wzgórz Downs. Porównując tę idylliczną scenerię ze swoim starym boiskiem szkolnym w Bethnal Green, Frannie zastanawiała się, jak patrzyłaby na świat, gdyby zamiast tam, spędziła dzieciństwo tutaj. Nie czuła jednak żalu; życie jest wielką loterią. Zastanawiała się też, jak patrzyłaby na świat, gdyby w wieku pięciu lat zobaczyła uciętą głowę własnej matki.

W samochodzie było ciepło, więc odkręciła trochę okno.

- Rodmell jest blisko ciebie, prawda?

- Tak, to tylko kawałek drogi.

- Mieszka tam moja koleżanka ze studiów. Chciałabym wpaść do niej na chwilę dziś albo jutro. Biedaczka straciła wzrok.

- Chryste. W jaki sposób?

- Dokładnie nie wiem. Chyba z powodu jakiegoś wirusa, którego złapała na Dalekim Wschodzie.

- Nie masz wiele szczęścia ze swoimi przyjaciółmi - stwierdził ponuro.

Nie odpowiedziała.

- Może pojechałabyś teraz? Po południu muszę obejrzeć z Char-lesem pewien sprzęt i miałem nadzieję, że przez parę godzin popilnujesz chłopców. Mogę cię odwieźć i przywieźć albo, jeśli wolisz, weź samochód.

- Dobrze, jeśli nie będziesz go potrzebował. Dzięki.

- Normalnie zajęłaby się nimi pani Beakbane, ale idzie na jakiś ślub czy coś. Nie masz nic przeciwko temu?

- Nic, absolutnie.

I rzeczywiście tak było. Przewyciężyła już wrażenie, że jest zastępczą nianią, i cieszyła się na myśl o spędzeniu jakiegoś czasu z Edwardem, zdobyciu jego zaufania.

- Tristram potrafi być czasem nieznośny, a Edward jeszcze go podpuszcza.

Ich oczom ukazał się przysadzisty wiktoriański gmach. Oliver przyhamował przed spowalniaczem i range rover przejechał po nim podskakując. Pedałowało w ich stronę na rowerach dwóch chłopców.

- Dużo dzieci lubi psocić - zauważyła Frannie. - Może Edwardowi obrywa się częściej niż mu się należy.

Oliver nic nie odpowiedział.

Wzrok Frannie spoczął na sygnecie na jego serdecznym palcu. Dostrzegła gryfy w herbie.

Non omnis moriar. Przełknęła ślinę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Wyciągając szyję, aby oszacować szerokość samochodu, Frannie skierowała rangę rovera między drewniane słupki wąskiej bramy i dodała gazu. Silnik zaryczał, koła schrupały łysiejący żwirowy podjazd i boczne lustro prześliznęło się obok słupka z zapasem zaledwie centymetra.

Pięćdziesiąt jardów dalej wznosił się stary, zaniedbany dom, wyglądający tak, jakby odbył niedawno burzliwy rejs dookoła świata przymocowany do pokładu statku. Na podwórzu stało volvo kombi z obwisłym zawieszeniem, zżartymi rdzą progami i widoczną przez brud na tylnej szybie wyblakłą żółtą nalepką *Energia jądrowa*

- *dziękuję, nie!*

Frannie nie bez trudu zaciągnęła ręczny hamulec, zgasiła silnik i powoli odpięła pas bezpieczeństwa. Teraz gdy już znalazła dom, nie śpieszyło jej się do wysiadania. Była zdenerwowana perspektywą spotkania z Susie, niepokoiła się, czy kalectwo jej nie zmieniło.

Gramoląc się z samochodu, usłyszała gdakanie kur i poczuła zapach świń. Silny poryw wiatru rozsypał jej włosy. Odgarnęła kilka kosmyków z oczu. Na dużym polu zboża za domem warkotał kombajn. Żniwa. Idzie jesień. Czy jej dożyje?

Słońce późnego poranka lśniło w górze jak lustro, ale nie dawało żadnego ciepła. Podeszła do domu, zerkając w otwarte wrota stojącej po drugiej stronie podwórza stodoły. Wewnątrz dostrzegła rozpięte na sztalugach płótno. Przez wycięte w tylnej ścianie okno otwierał się widok na pola.

Ziarna żwiru utkwili w protektorach jej adidasów i zachrzęściły, gdy stanęła na płytkach ganku. Nacisnęła dzwonek, ale nie usłyszała żadnego dźwięku i pomyślała, że chyba jest popsuty. Odczekawszy chwilę, uniosła zardzewiałą żelazną kołatkę i głośno zastukała.

Drzwi otworzyła dobiegająca pięćdziesiątki kobieta ze strzechą siwobrazowych włosów, ubrana w brudny malarski fartuch i plastikowe klapki. Nie była umalowana i jej twarz, choć zeszpecona bliznami po młodzieńczym trądziku i żółto-czarnym osadem nikotyny na odsłoniętych w uśmiechu zębach, zachowała ślady lalkowa-tej urody. Na szyi miała rzemyk z kryształem górskim, a na przegubie dłoni ciężką bransoletkę „od uroku”. W jednej ręce trzymała papierosa, drugą, przykucnąwszy, odganiała od drzwi dwa koty.

- Dzień dobry. Frannie?

Frannie natychmiast rozpoznała głos, który słyszała poprzedniego wieczoru przez telefon - jak u małej dziewczynki, ale z delikatną chrypką palaczki.

- Tak! Pani Verbeeten?

- Jak to miło, że przyjechałaś. Susie strasznie się cieszy. -Cofnęła się i znów machnęła na koty poplamionymi farbą dłońmi.

- Tonga, Biba, moje skarbeczki, sio, dajcie Frannie przejść, no już!

Frannie weszła do obskurnego korytarza, w którym pachniało kotami i wschodnim kadzidłem. Na ścianie na wprost drzwi wisiał pogryziony przez mole aztecki kilim, a podłoga zarzucona była zakurzonymi ludowymi dywanikami. Ścianę z prawej strony pokrywał olbrzymi gobelin. Dopiero po chwili zauważyła, że jego głównym motywem jest pięcioramienna gwiazda. Pentagram, pomyślała. Pięciokąt gwiaździsty. Na górze zaskrzypiała podłoga i obydwie się obejrzały. Susie schodziła po schodach, pewnym krokiem, jakby doskonale widziała.

Miała na sobie luźną białą koszulę, džinsy i skórzane kapcie, a w dłoni ścisnęła małą niebieską książkę. Wyglądała dokładnie tak samo jak przed trzema laty, gdy Frannie widziała ją po raz ostatni. Wyprostowana, kanciasta sylwetka, szczupła, przystojna twarz, której przydawała surowości fryzura, również taka sama jak dawniej: podgolona na bokach, a pośrodku stercząca do góry niczym strzyżony żywopłot. Jej ślepotę zdradzał tylko nieobecny wyraz oczu utkwionych gdzieś obok Frannie. I pomyliła się zapinając guziki koszuli; jeden przeskoczyła.

- Spags!

Ton Susie był wesoły, ale dźwięczała w nim nuta niepewności.

- Cześć, Susie!

Frannie chciała, żeby jej głos zabrzmiał naturalnie, jakby nic się nie zmieniło. Wyszło to jednak kompletnie źle, jakby mówiła do jakiegoś imbecyla. Wyciągnęła rękę i ujęła prawą dłoń Susie, a potem otoczyła koleżankę drugim ramieniem i niezgrabnie uściskała. Susie serdecznie odwzajemniła uścisk i ucałowały się w obydwa policzki. Frannie poczuła przykry, cierpki zapach potu spod pach. Nie tylko ona była zdenerwowana tym spotkaniem.

Kiedy puściła rękę Susie, ta nieoczekiwanie dotknęła jej ramion, przesunęła dłońmi po żebrach, a następnie pomacała włosy.

- Jak zawsze szczupła - powiedziała. - I nadal masz długie włosy.

Frannie odprężyła się na moment.

- Świetnie wyglądasz, wiesz? Naprawdę ładnie.

Zapadła cisza i Frannie przestraszyła się, że powiedziała coś niewłaściwego. Z niepokojem obserwowała oczy Susie; przez krótką chwilę wydawały się na niej skupiać, ale zaraz powędrowały dalej.

- Napijesz się czegoś? Kawy, herbaty? - zapytała Susie.

- Kawy, z przyjemnością.

- Wracam do pracowni, kochanie. Zawołaj mnie, jeśli będziesz czegoś potrzebować. - Pani Verbeeten utkwiała we Frannie nieprzenikniony wzrok. - Miło mi było cię poznać. Susie dużo mi o tobie opowiadała.

- Mnie również jest miło - odparła Frannie, zbita z tropu jej spojrzeniem.
- Zostań na lunch, jeśli masz ochotę, serdecznie zapraszam. Będzie po prostu sałatka.
- Dziękuję, ale muszę wracać.

Susie zaprowadziła Frannie do staroświeckiej i zaniedbanej kuchni. Właśnie wymykał się z niej kot.

- Boże, nie wiem, co się dzieje z tym czasem, Frannie. Chciałam do ciebie zadzwonić. Parę razy nawet próbowałam, ale akurat byłaś na wykopaliskach.
- Zadzwoniłabym do ciebie, ale myślałam, że jesteś na Dalekim Wschodzie.
- No, więc opowiedz mi o sobie - poprosiła Susie.

Położyła książkę na zajmującym środek kuchni stole i Frannie zobaczyła, że jest to stary terminarz. Przyglądała się, jak Susie otwiera szafki, wyjmując kawę i kubki, otwiera lodówkę. Robiła wszystko powoli, metodycznie, ostrożnie odstawiając przedmioty na stół. Potrząsnęła elektrycznym czajnikiem, włączyła go, odkręciła pokrywkę słoika z kawą, a potem wymacała pod kuchennym blatem szufladę z łyżeczkami.

- Masz chłopaka? - zapytała.

Frannie zawahała się.

- Tak.
- Świetnie! - zawołała Susie z serdecznością, która zdumiała Frannie. - Co robi? Mówiłaś, że pracujesz w Muzeum Brytyjskim, prawda? Czy on też jest archeologiem?
- Nie... jest... - Frannie nie bardzo wiedziała, jak ma opisać

Olivera. - Jest matematykiem. Statystykiem.

Woda w czajniku zawrzała. Susie wyciągnęła z za niego jakiś gadżet z dwoma drutami nierównej długości, przypięła go do brzegu kubka w taki sposób, że druty znalazły się w środku, i zaczęła nalewać wodę. Kiedy nalała jej do pełna, rozległ się ostry elektryczny sygnał. Przełożyła gadżet i napełniła drugi kubek.

- Sprytne - powiedziała Frannie.
- Są tysiące sztuczek - odparła Susie z cieniem goryczy w głosie.
- Uczę się teraz obsługiwać maszynę, która odczytuje drukowane książki: analizuje słowa i konwertuje je na Braille'a. Za pół roku dostanę psa-przewodnika - muszę pójść na kurs instruktażowy.
- Czy istnieje jakaś szansa, że odzyskasz wzrok?
- Z mlekiem?

- Dziękuję, czarna.

- Nie ma na to najmniejszych szans - stwierdziła Susie tak nieodwołalnym tonem, jakby nawet nie chciała o tym rozmawiać.

Wlała do swojego kubka trochę mleka, a potem odstawiła butelkę, niebezpiecznie blisko krawędzi blatu. Odwróciła się, zdjęła z półki tacę i postawiła na niej obydwie kubki, mijając ręką butelkę o zaledwie kilka cali. Frannie, zaniepokojona, przesunęła ją dalej.

- Cukier?

- Dziękuję, nie słodzę.

Frannie zobaczyła z przerażeniem, że sięgając po cukiernicę Susie sunie dłonią w głąb blatu. Postawiła butelkę z mlekiem dokładnie na jej drodze.

Rzuciła się do przodu, ale było już za późno. Uderzona przez Susie butelka przewróciła się jak kręgiel, zawirowała na blacie plując mlekiem, trafiła jeden z kubków i strąciła go na podłogę. Wrząca kawa rozprysnęła się na wszystkie strony, oblewając dzinsy Frannie i parząc jej nogi, zachlapując bawełnianą koszulę i dzinsy Susie, obryzgując sprzęty.

Frannie chwyciła ściereczkę do naczyń, zmoczyła ją w zimnej wodzie i przycisnęła do nóg Susie, gorączkowo przepraszając i tłumacząc, że to jej wina.

- Niestety nie jestem zbyt dobra w sprzątaniu - stwierdziła Susie.

Pozwoliła się przeprowadzić w inną część kuchni i wyjaśniła Frannie, gdzie znajdzie gumową ściągaczkę, mop i wiaderko.

- Tak mi przykro - powiedziała Frannie, czując się bardzo podle, gdy zmywszy podłogę robiła sobie nową kawę.

- Nic nie szkodzi. Muszę się przyzwyczaić do tego, że ludzie mi pomagają - odparła Susie ironicznie.

Przeszły do pokoju. Było to mroczne pomieszczenie, w którym stała wytarta kanapa i dwa fotele z oparciami w pokrowcach. Na ścianach wisiało kilka obrazów, dziwnych, dość niepokojących abstrakcji. Frannie była ciekawa, czy namalowała je matka Susie. Obramowanie kominka zajmowały rozmaite kamienie i kryształy oraz parę małych, raczej brzydkich posążków. Na przykrytym koronkową serwetą okrągłym stole leżała zniszczona talia kart do tarota.

Zaczekała, aż Susie postawi tacę, i zdjęła z niej obydwie kubki, chcąc uniknąć dalszych nieszczęśliwych wypadków.

- Myślałaś o tym seansie spirytystycznym, Susie? - zapytała.

- Mama znalazła mój stary terminarz. Cholera, zostawiłam go w kuchni.

Susie zerwała się i wyszła z pokoju, zgrabnie omijając kota; zręczność jej ruchów zdumiewała

Frannie.

- Było nas siedmioro - powiedziała Susie po powrocie, wręczając jej terminarz. - Ty, ja, Meredith, Phoebe, Jonathan Mountjoy, Seb Holland i Max Gabriel.

- Tak właśnie myślałam - odparła Frannie, czując, jak zaciska się w niej obręcz napięcia. - I ty dostałaś przesłanie *Ciemność*?

Susie zaśmiała się nieszczercze.

- Tak. Wszyscy dostaliśmy głupie przesłania. - Zawahała się. - Oprócz Meredith. Przypomniałam sobie o tym dopiero wtedy, kiedy zadzwoniła do mnie Phoebe.

- Jesteś z nią w bliskim kontakcie?

- Nie za bardzo, bo większość czasu od skończenia studiów spędziłam za granicą. Kiedy parę miesięcy temu wygasła jej umowa w Bath, Phoebe chciała pojechać ze mną do Chin, na wykopaliska w Seczuanie, ale zaproponowano jej pracę w Londynie. Miała szczęście. Mogło jej się przytrafić to samo co mnie.

- To był jakiś wirus? - zapytała Frannie.

- Tak. Złapałam go po drodze, na Malajach. Wziął się ze skażenia Morza Południowochińskiego. Miejscowi są na niego odporni i chcą go utrzymać w tajemnicy przed turystami. U większości ludzi kończy się to infekcją oczu, która po paru dniach przechodzi - ale zdarzają się też bardzo ciężkie przypadki, takie jak mój, kiedy wirus niszczy siatkówkę.

- Przykro mi, że nie dowiedziałam się o wszystkim wcześniej - powiedziała Frannie z zakłopotaniem.
- Przyjechałabym do ciebie.

- Do niedawna nie chciałam nikogo widywać. Obawiam się, że nie jestem najlepszym towarzystwem. Cały czas tylko myślę o rzeczach, których już nigdy nie będę mogła robić.

- Medycyna i technologia wciąż się rozwijają - odparła Frannie, bo co innego mogła powiedzieć. - Za rok czy dwa może nastąpić jakiś wielki przełom.

Susie milczała przez chwilę.

- Nasz rok ma niezły wskaźnik nieszczęśliwych wypadków, co?

- Czy to *wypadki*? Czy nie coś innego?

- Ouija?

- Tak.

- Tak myślisz?

- To Phoebe - chyba - powiązała jedno z drugim.

- Prawdę mówiąc jestem zdziwiona, że Phoebe nie zadzwoniła jeszcze raz. Powiedziała, że może przyjedzie do mnie w ten weekend.

Frannie popatrzyła na Susie.

- Nic nie słyszałaś?

Susie zeszywniała i jej głos przybrał zatrwożony ton.

- Nie. O czym?

Opowieść Frannie o wypadku wyraźnie nią wstrząsnęła.

- Powinam... powinienam ją odwiedzić. Poproszę mamę, żeby mnie zawiozła. Jak ona to znosi?

- Kiedy ją wczoraj wieczorem widziałam, była solidnie zamroczona prochami.

- Będzie to przeżywała. Tak samo jak ja. Boże!

Susie odstawiła kubek i chwyciła się brzegu kanapy, jakby dla dodania sobie otuchy

- Czterem z siedmiu osób, które brały udział w seansie, coś się przytrafiło - powiedziała Frannie. - Spory zbieg okoliczności.

- Czterem? - powtórzyła Susie niepewnie po dłuższej chwili zastanowienia. - Zajrzyj do terminarza, Frannie. To będzie gdzieś koło 24 marca.

Frannie wzięła terminarz ze stołu i otworzyła go. Okładkę miał sfatygowaną, a kartki pomięte, wypełnione dużym, niestarannym charakterem pisma. Na jeden dzień przypadała jedna strona i niemal każdy cal kwadratowy powierzchni był zapchany jakimiś spisami, numerami telefonów, mocno podkreślonymi przypomnieniami. Kilku kartek brakowało, kilka było poddzieranych. Znalazła stronę z 24 marca i zauważyła, że jej dolne dwa cale również są oddarte. W gmatwaniu notatek dostrzegła obwiedzione grubym kółkiem słowo „Seans!!!”. Pod nim widniały imiona wszystkich osób, które wzięły w nim udział, a jeszcze niżej zestawienie:

Ja - CIEMNOŚĆ

Phoebe - AUTOMAT OWOCOWY

Jonathan - PIENIĄDZE ALBO ŻYCIE

Max - SPADEK WAGI

Meredith - ŚMIERĆ PRZED 25. WYPADEK SAMOCHODOWY

Frannie gwałtownie podniosła wzrok.

- Śmierć przed dwudziestym piątym rokiem życia. Wypadek samochodowy. Meredith? - powiedziała.

- Tak.
- Zapisalaś to bezpośrednio po seansie?
- Tak. No, może parę dni później. Ile lat miała Meredith, kiedy zginęła?
- W październiku skończyłaby dwadzieścia pięć.
- Cholera - wymamrotała Susie. - Cholera.
- To naprawdę niesamowite - stwierdziła Frannie.

Zadrżała i przewróciła kartkę, aby poszukać swojego przesłania.

- Automat owocowy - odezwała się Susie po dłuższym milczeniu. - Takie było przesłanie dla Phoebe.

Na odwrocie kartki Frannie nie znalazła nic związanego z seansem. Wyglądało na to, że przesłania jej i Seba Hollanda znajdowały się na pasku, który został oddarty. Ponownie spojrzała na zestawienie.

- Tak, *automat owocowy*.
- Jednoręki bandyta - powiedziała Susie.

Frannie w pierwszej chwili nie zareagowała; przeglądała terminarz na wypadek, gdyby jej przesłanie zostało zapisane gdzie indziej. Nagle jednak zrozumiała makabryczne skojarzenie i wytrzeszczyła oczy na Susie.

- Ty dostałaś przesłanie *ciemność* i straciłaś wzrok. Jonathan -*pieniądze albo życie* i zastrzelił go bandyta. Phoebe - *automat owocowy* i straciła rękę. Łatwo jest je dopasować. Ale to chyba nie robi z nich jeszcze przepowiedni czy prorocत्व?

Słyszała, że w jej głosie dźwięczy niepokój.

- A jakie jest twoje przesłanie? - zapytała Susie.
- Przesłań dla mnie i Seba Hollanda brakuje. Ktoś oddarł dół strony. Pamiętasz, jak brzmiały?

Susie zastanawiała się przez chwilę, a potem potrząsnęła głową.

- Nie. Minęło zbyt dużo czasu. Zresztą to był tylko żart, nie brałam tego poważnie.
- Ładny żart - mruknęła Frannie.

Susie wykrzywiła usta.

- Nie pamiętasz, czy w moim była liczba, Susie? Liczba dwadzieścia sześć?
- Nie, naprawdę nic nie pamiętam. A ty tak myślisz?

- W przeddzień wypadku Phoebe kazała mi uważać na tę liczbę.

- Frannie wzruszyła ramionami i znów zajrzała do terminarza. -Max Gabriel - spadek wagi - przeczytała.

Przez dłuższą Susie wydawała się nie reagować, a potem powiedziała:

- Cóż, rzeczywiście spadł na wadze.

- Co masz na myśli?

- Chodziłam z nim - zanim - to mi się przytrafiło. Był związany z grupą świrniętych Zielonych; usiłowali zrobić sabotaż w jakiejś francuskiej elektrowni atomowej i zostali silnie napromieniowani. Umiera w hospicjum na białaczkę. To nie cztery z siedmiu osób, które brały udział w seansie, Frannie. To pięć osób.

Frannie spuściła wzrok na zwęglone kawałki drzewa i szary popiół w wygasłym palenisku, zastanawiając się z roztargnieniem, czy są tam od poprzedniej zimy. Sufit był niski, kremowy, gdzieś zszarzały od dymu tytoniowego. Pokój robił wrażenie tak ponurego i ciemnego, że musiała popatrzeć przez okno na błękitne niebo, aby się przekonać, że nie pada deszcz.

Otworzyła i zacisnęła dłonie. Ciało ciążyło jej jak ołów, jakby szła na dno, jakby miała w środku zbiorniki powietrzne, które zostały przebite. Kanapa ugięła się pod nią; pod kanapą była kamienna podłoga, a pod podłogą ziemia. Czuła ogrom planety i małość pokoju, i siłę ciągnącej ją w dół grawitacji.

- Dlaczego to wszystko się nam przytrafia? - wyszeptała.

Susie zaczęła po kolei naciągać sobie palce, strzelając kostkami.

Frannie pamiętała, że zwykła tak robić na studiach, i podziałało jej to na nerwy.

- Boję się, Susie - powiedziała. - Naprawdę się boję.

Słyszała śpiew ptaków i daleki warkot kombajnu. Zamknęła oczy, usiłując powstrzymać strumień łez.

- Przepraszam. To tobie przytrafiła się straszna rzecz, a ja tu siedzę i płaczę.

- Ja już się napłakałam - odparła cicho Susie.

- To nie musiało się zdarzyć - stwierdziła Frannie. - Może gdybyśmy się zastanowili nad tym, co powiedziała nam Oujia, moglibyśmy zapobiec wszystkim tym...

Susie pochyliła się ku niej.

- Nie sądzę, żeby ktokolwiek z nas mógł cokolwiek zrobić. Wszystkie przesłania są takie mgliste, takie żartobliwe, można je interpretować na dziesiątki sposobów.

Frannie skuliła ramiona obronnym gestem.

- Oprócz przesłania Meredith.

- Naprawdę myślisz, że gdyby ktokolwiek z nas rozszyfrował swoje przesłanie, postępowałyby inaczej? Myślisz, że gdybym wiedziała, że oślepnę, przyszłoby mi do głowy, żeby się nie kąpać w Morzu Południowochińskim? Że Phoebe przestałaby jeździć na rowerze? Łatwo jest być mądrym po fakcie, prawda?

Frannie obserwowała przez okno siedzącego na trawniku kosa. Zazdrościła mu niewinności i swobody. Kiedy podniósł łebek, zobaczyła, że w dziobie wije mu się robak. Nigdy w życiu nie czuła się tak bezradna.

Popatrzyła na stłoczone wokół kominka książki: „Projekcja astralna”, „Paranormalne czy normalne?”, „Obecność przeszłości”. Dotąd specjalnie nie interesowała się okultyzmem; teraz zachłannie odczytywała tytuły, zastanawiając się, czy któraś z tych książek może zawierać odpowiedź.

- Powinam ostrzec Seba - stwierdziła. - Jeśli jeszcze nic mu się nie stało.

- Wiesz, jak się z nim skontaktować?

- Tak. Ale co mam mu powiedzieć?

Susie milczała.

- Jak to powstrzymać, Susie?

Niewidoma kobieta rozłożyła bezradnie ręce i gest ten nieoczekiwanie wprowadził Frannie w gniew.

- Susie - odezwała się podniesionym głosem. - Skoro to Ouija sprowadziła na nas wszystkie te nieszczęścia, skoro nie istnieje żadne inne wytłumaczenie, musi być jakiś sposób, żeby to powstrzymać. To ty znałaś reguły, mówiłaś nam, co mamy robić. Powiedziałaś, że twoja matka jest czarownicą.

- Mama - czarownicą? - powtórzyła Susie ze zdumieniem. - Ona nie jest czarownicą, jest po prostu trochę - czyja wiem - pomyłona.

- Dlaczego ma na ścianie pentagram?

- Ma w domu setki okultystycznych dupereli. Nie przepuści niczemu, ale nie jest czarownicą. Boże, nie potrafi nawet postawić tarota bez zagłądania do książki!

- Ale przecież mówiłaś, że znasz się na Ouija - odparła Frannie z niedowierzaniem. - Upierałaś się, że potrzebna jest całkowita ciemność, i właśnie dlatego zesłaliśmy do piwnicy.

- Mama urządziła czasem seanse w domu, stąd o tym wiedziałam.

- Wspaniale - stwierdziła ironicznie Frannie. - Po prostu wspaniale!

Głos Susie pozostał spokojny.

- Frannie, w ogóle nie przyszło mi do głowy, że jest to coś więcej niż zabawa. Myślisz, że chcę być niewidoma? Czasami budzę się rano i żałuję, że żyję.

Spuściła głowę i ukryła twarz w dłoniach. Po chwili wstała niepewnie, podeszła do koleżanki i objęła ją ramionami. Frannie poczuła wilgoć jej łez.

- Przepraszam, Frannie.

Frannie odwzajemniła uścisk; sama też płakała.

- Jonathan Mountjoy - łkała Susie. - Meredith. Phoebe. Max. Tacy dobrzy ludzie.

- Pokonam to - oznajmiła Frannie. - Położę temu koniec, cokolwiek by to było. A ty odzyskasz wzrok.

- Nic nie przywróci mi wzroku, ale nie chcę, żeby coś stało się wam. Pomogę tobie i Sebowi jak tylko będę mogła. Ale nie wiem jak. Może powinnaś pójść do księdza?

- Twoja matka urządziła seanse. Czy kiedykolwiek miała jakieś problemy?

- Nigdy mi o niczym takim nie mówiła. Możesz z nią pogadać, ale nie sądzę, żeby potrafiła ci pomóc.

Przeszły przez podwórko do atelier w stodole. Zapach oleju lnianego i terpentyny przypomniawszy Frannie pracownię konserwacji obrazów w Muzeum. Pomieszczenie było zdumiewająco schludne i przewiewne; światło dawały nowoczesne świetliki w dachu i okno wychodzące na pole, ściany zostały niedawno pobielone. Wisiało na nich mnóstwo płócien, a dziesiątki innych stały na podłodze.

Pani Verbeeten pracowała przy sztalugach odwrócona plecami do drzwi i najwyraźniej nie zwróciła uwagi na wejście dziewcząt. Trzymając mocno paletę w jednej ręce, a cienki pędzel z wielbłądziejego włosia w drugiej, pokrywała kolorem jakiś detal. Na dojar-skim zydłu stała pełna niedopałków puszka, w której kopał się papieros. Obraz przedstawiał grupę zakapturzonych postaci stłoczonych na skalnym cyplu pod murami zamku.

Frannie przyjrzała się uważnie dwóm wiszącym na ścianie portretom. Pierwszy wyobrażał Susie jako nastolatkę, drugi brodatego mężczyznę siedzącego za nieporządnym biurkiem. Przeniosła wzrok na jeden z pejzaży. Był to niepokojący obraz ze złowieszczym niebem i niesamowitymi budynkami, utrzymany w ponurej tonacji, która nie przypadła jej do gustu, ale technika malarska zrobiła na niej wrażenie.

- Malujesz, Frannie? - odezwała się nagle pani Verbeeten, nie oglądając się za siebie. Jej głos przestraszył **Frannie**.

- Nie.

- Ślepotą Susie nauczyła mnie widzieć przedmioty w inny sposób. Susie potrafi rozpoznawać ludzi po krokach. Ja już też. Uczę się malować to, co widzi umysł, a nie oczy.

Frannie przerzuciła oparte o ścianę płótna, zerkając na każde: wszystkie wyrażały ten sam

niepokojący nastrój co krajobraz, na który przed chwilą patrzyła.

- Wizerunki - ciągnęła pani Verbeeten. - Cały czas mnie nawiedzają. Każda myśl wywołuje wizerunek.

- Są bardzo dobre.

Pani Verbeeten odwróciła się i w dziecinny sposób przechyliła głowę.

- Strasznie mi miło, że tak uważasz, Frannie.

Odłożyła pędzel na brzeg sztalug, wzięła papierosa i zaciągnęła się dymem.

- Frannie chce się ciebie poradzić w sprawie Ouija, mammo.

Pani Verbeeten przez chwilę przyglądała się czubkowi papierosa, a potem przeszła Frannie wzrokiem.

- Najlepsza rada, jakiej mogę udzielić, to żeby draństwa nie tykać - powiedziała.

- Trochę już na to za późno, mammo!

- Nie urządziłam seansu od lat.

Zaciągnęła się głęboko i wypuściła dym nosem.

- Dlaczego? - zapytała Frannie, nadal uporczywie przerzucając obrazki.

Pani Verbeeten zerknęła na płótno tak, jakby chciała już wrócić do pracy.

- Zbyt wiele razy... - zawahała się. - Zbyt wiele razy przesłania były zbyt dokładne i zbyt przykre.

Tarot daje pewne wskazówki. Ta cholerna Ouija tylko *fait accompli*. Umrzesz za trzy dni, rozumiecie? Tego rodzaju rzeczy. I te rzeczy się sprawdzają.

Zdusiła papierosa w puszcze, wzięła do ręki pędzel i przesunęła nim po cynobrowej plamie na palecie, sygnalizując, że przerwa skończona.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Strzałka szybkościomierza miotła się jak szalona między sześćdziesiątką i osiemdziesiątką, range rover podskakiwał na wyboistej dwupasmowej szosie i Frannie ledwo panowała nad kierownicą. Wiedziała, że jedzie za szybko, ale wciąż dociskała pedał gazu do podłogi. Silnik ryczał ochryple i strzałka dochodziła już do dzie-więćdziesiątki. Frannie przepełniała zdumiewająca beztroska; upajała się tą brawurową jazdą i poczuciem wolności, zadowolona, że jest już daleko od klaustrofobicznej, posępnej atmosfery domu Susie Verbeeten, daleko od jej dziwnej matki. Naładowana adrenaliną, doznawała zapomnianego uczucia pewności siebie.

Tył ciężarówkę, którą doganiała, zniknął za wzniesieniem. Z trudem odczytała godzinę na zegarze umieszczonym po lewej stronie tablicy rozdzielczej, na wprost fotela pasażera. Pokazywał dziesięć po

pierwszej. Obiecała Oliverowi, że wróci przed pierwszą.

Szosa skręciła w lewo ostrzej niż się spodziewała i runął ku niej rząd drzew rosnących po przeciwnej stronie jezdni. Gwałtownie zdjęła nogę z gazu. Range rover przechylił się na bok, uderzyła barkiem o drzwi, a opony zapiszczały tak, jakby gubiły bieżnik, i przejechały na niewłaściwy pas. Szarpnęła kierownicą. Za mocno; ciężki pojazd zarzucił w lewo, w prawo, i znów przekroczył białą linię. Z przeciwka, migając światłami i wściekle trąbiąc, nadjeżdżał jakiś samochód. Czując suchość w ustach nadepnęła na hamulec. Zderzy się z nim. Zderzy się z nim! Zaparło jej dech. Samochód leciał prosto na nią; widziała przerażenie na twarzy kierowcy, widziała, jak gwałtownie skręca kierownicą. Błotniki pojazdów minęły się w odległości kilku cali. Usłyszała klakson, głośny jak gwizd przejeżdżającego przez stację pociągu. Pomyślała, że straciła boczne lusterko, ale również ono ocalało.

Ogarnęła ją nieopisana ulga. Aż się lepiała od wywołanego Szokiem potu. Ciężarówka znajdowała się teraz dwieście jardów przed nią, a szosa na długim odcinku była prosta. Poczowała w żyłach nowy zastrzyk adrenaliny. Da radę ją wyprzedzić. Ponownie docisnęła pedał gazu do podłogi, włączyła kierunkowskaz, spojrzała w lusterko wsteczne. I zamarła.

Z tyłu siedział Edward.

Doznała wstrząsu, jakby kierownica była pod prądem. Odchyliła się gwałtownie.

- Edward - wyjąkała, odwracając głowę.

Siedzenie było puste. Zamrugła oczami. Lodowaty podmuch powietrza owionął jej szyję. Kątem oka dostrzegła jakiś błysk. Czerwień. Niebezpieczeństwo. Pomarańcz. Otworzyły jej się usta, a źrenice rozszerzyły przerażenie.

Ciężarówka stała, migając prawym kierunkowskazem.

Przerzucając cały ciężar ciała do przodu, nacisnęła hamulec. Koła się zablokowały, opony zapiszczały na suchym asfalcie; samochodem zarzuciło w prawo, w lewo. Tył ciężarówki leciał na nią tak, jakby ktoś ustawiał zbliżenie w obiektywie aparatu fotograficznego. Zobaczyła, że światła stopu gasną. Prawy kierunkowskaz nadal migał. Ciężarówka zaczynała skręcać; powoli, ślamazarnie.

Szybciej. Błagam, jedź. Na miłość boską, szybciej.

Sama też była zablokowana, tak jak koła. Pasażer. Range rover zarzucił w lewo, mocno podskoczył i pisk opon raptownie umilkł, gdyż koła wjechały na trawiaste pobocze. Przez chwilę samochód sunął w niemal całkowitej ciszy; nie było słychać nawet silnika. Ominął wiatę przystanku autobusowego, ale drogę zagroził mu żywopłot. O przednią szybę zastukały jak grad kolczaste gałązki. Samochód sunął dalej i podskoczywszy ze skrzypnięciem resorów wjechał na miękką ziemię zaoranego pola. Kilka gawronów odfrunęło, spłoszony bażant wzbił się ciężko w powietrze. Samochód podskoczył jeszcze raz, a potem zatoczył łuk w prawo, jakby wpadł w gigantyczną bruzdę.

Kiedy Frannie otworzyła oczy, na tablicy rozdzielczej błyszczało jakieś czerwone światełko. Pogratulowała sobie w duchu. Ponownie spojrzała w lusterko i odwróciła się. Nic. Żadnego Edwarda. Puste tylne siedzenie.

Coś monotonicznie tykało. Uświadomiła sobie, że zablokowała się skrzynia biegów. Otworzyła drzwi i wychyliwszy się z samochodu popatrzyła do tyłu. W żywopłocie była szeroka, postrzępiona dziura. Za nią widziała czarny asfalt szosy. Dobiegł ją ryk zmieniającej biegi ciężarówki, oddalający się, milknący. Po chwili znów słychać było jedynie tykanie pompy paliwowej.

Czując się trochę głupio, powiodła wokół wzrokiem i zamknęła drzwi. W dół nadgarstków ściekał jej pot. Dłonie miała kompletnie mokre. Wytarła je o dzinsy i przekręciła kluczyk w stacyjce. Samochód szarpnął i stanął. Wcisnęła sprzęgło, wyłączyła bieg na luz i spróbowała ponownie. Silnik zrobił kilka obrotów, ale nie zapalił. Zapal, proszę! Jeszcze raz mocno przekręciła kluczyk i gdy rozrusznik zaklekotał, delikatnie dodała gazu. Za oknami przesunął się błękitny kłęb spalin. Wrzuciła jedynekę i powoli zwolniła sprzęgło.

Koła zabuksowały, o podwozie zastukało błoto i kamienie, a potem samochód ześliznął się w bok. Zdjęła nogę z gazu. *Mysł.* Wiedziała, że powinna dać radę się wydostać. Kiedyś na wykopaliskach siedziała w land roverze, który ugrzązł w piachu po osie. Kierowca pociągnął za coś w tunelu transmisyjnym i wyjechali. Przyjrzawszy się uważnie przykrytemu dywanem garbowi zobaczyła małą plastikową gałkę. Wytarte białe litery tworzyły napis „Przekładnia”, a do ścianki tunelu przymocowana była tabliczka z instrukcją. Pociągnęła dźwignię do góry, wrzuciła bieg i zwolniła sprzęgło.

Range rover stanął bokiem; dodała mocniej gazu i samochód zaczął sunąć do przodu. Szerokim lukiem zakręciła w przerwę w żywopłocie, przejechała na drugą stronę i zatrzymała się. Tam, gdzie zablokowane koła zryły trawę, zostały głębokie brązowe koleiny. Boczne lusterko było zgięte na płask, ale tym przejmowała się najmniej.

Niespokojnie popatrzyła na dziurę w żywopłocie, a potem rozejrzała się po szosie. Żywej duszy. Może Oliver zna właściciela pola; zadzwoni do niego i zapłaci za szkodę. Jeszcze raz odwróciła głowę i utkwiała wzrok w tylnym siedzeniu. Odpięła pas, uklękła na fotelu i dla pewności omiotła spojrzeniem część bagażową; na wyłożonej dywanem podłodze leżały kable złączowe; przeżuty pepeg z czasów Kapitana Kirka; pojemnik aerozolu do odmrażania szyb i kawałek papierka od czekolady. Ani śladu Edwarda. Usiadła z powrotem. Przywidziało jej się.

To nerwy.

Powoli ruszyła i wjechała na szosę. A potem zaczęła się trząść.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Frannie minęła tablicę z napisem „MESTON HALL. GODZINY OTWARCIA 10 - 17, skręciła w bramę z gryfami na kolumnach i przejechała pod lukiem budynku stajni. Zegar pokazywał pierwszą dwadzieścia pięć.

Wjechawszy w tłumek zwiedzających zwolniła, odpowiedziała na afektowany uśmiech jakiejś kobiety z personelu i zaparkowała samochód na żwirowym podjeździe przed domem.

Potem wysiadła i obejrzała przód rangę rovera. Opony i zakola były oblepione błotem, a w hak do holowania zaplątały się gałązki. Powyciągała je pospiesznie i rzuciła na rozpalone za reprezentacyjnym ogrodem ognisko.

Kiedy podeszła do drzwi skrzydła mieszkalnego, w oddali rozległ się stłumiony trzask, a po nim łoskot i jednostajny warkot. Uświadomiła sobie, że słyszała te same dźwięki przed tygodniem: samolot Olivera. Dobrze. To znaczy, że jeszcze nie wrócił.

Dębowe drzwi zatrzęsły się za nią głucho. Nadal była roztrzęsiona. Nie wiedziała, czy powinna powiedzieć Oliverowi o swoim wypadku i gryzła się sprawą żywopłotu.

Zawołała: „Już jestem!”, ale nikt jej nie odpowiedział. W powietrzu unosiły się pyłki kurzu, a z wiszącego na przeciwległej ścianie olejnego obrazu błyskało oko martwego bazanta. Przeszła do kuchni; stół był nakryty na pięć osób i stała na nim sałatka z szynką. Kartka od pani Beakbane mówiła, że pieczone ziemniaki są w dolnym piecyku.

Frannie opadła z ulgą na zniszczoną kanapę, ale gumowa kość, która sturlała się na podłogę, przypomniała jej o tym, co Edward nazwał „czymś złym”. Powędrowała myślami do znalezionej w pokoju zabaw wycinka o śmierci Jonathana Mountjoja. Potem do szklanej gablotki z książką spisaną na ludzkiej skórze. *Malefactorium*, czy jaki tam miała tytuł. Zastanawiała się, czy nad rodziną Olivera nie ciąży jakaś klątwa, czy nie można by w ten sposób wytłumaczyć gwałtownej śmierci jego żony. A jeśli tak, czy jest następna w kolejności za to, że pozwoliła sobie go pokochać?

Decjan O'Hare powiedział jej, że Halkinowie są wzmiankowani w całkiem sporej liczbie książek; wybierała się do Biblioteki Brytyjskiej przez cały tydzień, ale nigdy nie miała czasu. Powędrowała więc z powrotem korytarzem, przecięła sień i przez wielkie kasetonowe drzwi weszła do biblioteki - gabinetu Olivera.

W środku panowała chłodna wilgoć, jakby pomieszczenia nigdy nie ogrzewano, a w powietrzu unosił się mocny zapach stęchłej skóry i gnijącego papieru. Niebo ciemniało; przez okno widziała ciężkie szare chmury. Spojrzała na pokryte matematycznymi obliczeniami kartki na biurku i hieroglificzne wykresy przypięte do ściany, a potem do góry, na półki z książkami, przebiegając wzrokiem tytuły, niepewna, gdzie zacząć.

„Historia drugiej wojny światowej” Winstona Churchilla. „Opowieści Kanterberyjskie”. „Historia studiów renesansowych” Waltera Patera. Całe tomy historii wojskowości, historii politycznej, różnych biografii. Osobny dział poświęcony matematyce i kilka książek na temat numerologii. Zawahawszy się, podeszła do wykresów na ścianie. Liczby; równania algebraiczne. Pośrodku pierścienia koncentrycznych kręgów zauważyła liczbę dwadzieścia sześć. Ale gdy się nachyliła, by lepiej jej się przyjrzeć, usłyszała elektroniczne ding - dong - dang, a na biurko padł jakiś cień. Odwróciła się przestraszona i omal nie zbiła z nóg Edwarda. Stał tuż za nią.

- Boże, ale mnie przeraziłeś.
- Właśnie nastukałem cztery tysiące, Frannie. - Pokazał jej ekran gry komputerowej. - To wynik. Na poziomie czwartym. Poziom czwarty jest najtrudniejszy. To mój nowy rekord - powiedział.
- Bardzo ładnie - odparła, trochę zdezorientowana.
- Co robisz?

Zaczerwieniła się.

- Patrzyłam, czy nie ma tu jakichś książek o historii waszej rodziny.

Spojrzał na nią poważnie. Oczy miał podsinione, jakby z niewyspania, czego wcześniej nie zauważyła. A może była to tylko kwestia oświecenia?

- Mogę z tobą porozmawiać, Frannie? - zapytał, rozglądając się dookoła, jakby sprawdzał, czy w pokoju nie ma nikogo więcej.

- Oczywiście - odrzekła, zaniepokojona jego wyrazem twarzy.

- Czy możesz mi pomóc, Frannie?

- W czym?

Uśmiechnęła się do niego, bo wyglądał tak, jakby był bliski łez. Kiedy przez dłuższą chwilę nie odpowiadał, pomyślała, że znów zapadł w to swoje milczenie. Wtedy się odezwał.

- Czy miewasz czasem dziwne myśli o innych ludziach, Frannie?

- O co ci chodzi?

- Jakbyś miała w sobie jakieś złe coś, które każe ci robić rzeczy, których nie chcesz robić?

Wiedziała, że chwila jest ważna i chciała to dobrze rozegrać.

- Czasami myślę o rzeczach, które chciałabym zrobić, ale wiem, że nie mogę.

- Nie o to mi chodzi. Czy czasem masz w sobie coś, co powoduje, że chcesz zrobić krzywdę innym ludziom?

Utkwił w niej swe ciepłe zielone oczy; wyglądał na przestraszonego.

- Ja mam to złe coś, Frannie. I nie chcę go.

- A co to coś robi?

- Powoduje, że rzeczy się zdarzają, kiedy tylko o nich pomyślę.

- Jakie rzeczy?

- Pamiętasz, jak w zeszłą sobotę drzwi przycięły Domowi palce?

- Tak.

- Ja to spowodowałem.

- Przecież byłeś wtedy ze mną.

- Wiem; ale zobaczyłem to w głowie; chciałem, żeby to się stało. Ale kiedy już się stało, żałowałem tego.

Nieemożliwe, pomyślała. To niemożliwe. Nagle jednak przypomniała sobie dziwne, niemal samobójcze uczucie, jakiego doznała w range roverze, jakby znajdowała się pod wpływem narkotyków, uczucie, że jest niezniszczalna i może zrobić wszystko; i jak żywo ukazał jej się Edward. Splotła mocno dłonie i zaczęła skubać paznokcie.

- Jak często się to zdarza?
- Czasami zdarza się w szkole. A teraz naprawdę się przestraszyłem, bo kiedy tatuś pracował nad silnikiem, miałem złe myśli o tobie.
- Co sobie pomyślałeś? - zapytała.

Po policzkach popłynęły mu łzy.

- Chciałem, żebyś się rozbiła range roverem - powiedział.

Utkwiła w nim otepiałe spojrzenie.

- Dlaczego, Edwardzie?
- Nie wiem. Czasem mam w sobie takie złe coś, którego nie mogę powstrzymać. - Jego oczy się rozszerzyły. - Pomożesz mi, prawda, Frannie?
- Jak? Opowiedz mi coś więcej o tym złym czymś.

Chłopiec zapadł w milczenie. Wzięła głęboki oddech.

- Czy miałeś to coś, kiedy zginęła twoja mamusia?

Oczy Edwarda rozblęły tak, że aż się przestraszyła; ich wyraz całkowicie się zmienił, wydawały się zionąć jadem.

Wybiegł z biblioteki i następnym dźwiękiem, jaki usłyszała, było trzaśnięcie drzwi na górze.

Pomyślała, że powinna pójść do chłopca, przeprosić go i uspokoić, ale czuła się kompletnie wyczerpana. Usiadła i zaczęła się zastanawiać, co, do licha, miał na myśli, próbować wydobyć z tego jakiś sens. Ukryła twarz w dłoniach. Wszystko, co wiedziała, to to, że Edward siedział z tyłu range rovera; widziała go wyraźnie.

Powodowanie zdarzeń siłą woli? Palce Dominika? Osy? Kapitan Kirk? Czy to możliwe? Może byłoby możliwe przy voodoo, ale w wypadku ośmioletniego chłopca? Jego matce ucięło głowę. Dlaczego miałby tego chcieć? Czy sprawiło to „złe coś”, które ma w sobie?

Mam nadzieję, że nie zamierzasz spać z moim tatusiem.

Czy Edward jest opętany?

Spróbowała się roześmiać, ale ta myśl utkwiła jej w głowie. *Opętany*. Ledwo zauważyła, że niebo coraz bardziej ciemnieje. Siedziała pogrążona w rozmyślaniach, przebiegając niewidzącym

spojrzeniem po półkach z książkami i popatrując na dziwne matematyczne hieroglify na ścianie. Jej umysł pracował gorączkowo w poszukiwaniu logicznego wyjaśnienia.

Usiłowała opatrzyć wszystko etykietkami, tak jak zrobiłaby na wykopaliskach, oznakować każdą cząstkę mogącą pomóc w złożeniu identyfikowalnego przedmiotu, mogącego z kolei dać obraz miejsca, w którym go znaleziono, i ludzi, którzy go tam pozostawili. W archeologii wystarczały maleńkie fragmenty. Maleńkie fragmenty były wszystkim, co miała teraz. Jonathan Mountjoy. Meredith Minns. Max Gabriel. Phoebe Hawkins. Susie Verbeeten. Edward. Żona Olivera. Palce Dominika. Osy. Gdzie jest związek? Czy Edward jest opętany? Psychiczenie chory? Czy jest medium? Telepata? Czyta w jej myślach? Mogłoby to wyjaśnić historię z range roverem, bo coś ewidentnie wpłynęło wtedy na jej zachowanie, ale nie sprawę palców Dominika; i nie osy.

Jak to często ostatnio robiła, cofnęła się myślą do chwili, gdy po raz pierwszy zobaczyła Olivera i Edwarda. W kafeterii; napad złego humoru chłopca. Potem na King's Cross, znów napad złego humoru. *Czy możesz mi pomóc, Frannie?* W pewnym sensie Edward wydawał się jej ufać, mieć z nią kontakt. A jednocześnie jej nienawdził?

Słyszała wiele historii o ludziach z zaburzeniami psychicznymi, którzy mieli dziwne zdolności. Zwłaszcza o dzieciach będących mediami. Dzieci z zaburzeniami psychicznymi przyciągają poltergeisty, to znany fakt. Oliver powiedział, że Edward ma zaburzenia. Trudno ich nie mieć, kiedy widziało się uciętą głowę własnej matki.

Zwłaszcza jeśli samemu spowodowało się jej śmierć.

Rozmyślenia Frannie przerwało trzaśnięcie frontowych drzwi i po chwili do biblioteki wszedł Oliver. Był ubrany w brudny kombinezon, a dłonie i twarz miał umazane smarem. Pocałował ją lekko w usta.

- Przepraszam za spóźnienie. - Uśmiechnął się triumfalnie. - Wreszcie silnik zaczął chodzić prawidłowo!

Odwzajemniła uśmiech.

- Świetnie. Nie mogę się doczekać pierwszego lotu.

- Już niedługo. - Popatrzył na swoje ręce. - Lepiej pójdę się umyć. Charles będzie tu lada chwila; darujemy sobie lunch i od razu pojedziemy - bardzo ci przeszkadza, że zjesz z chłopcami?

- Nie, w porządku - odparła, z nadzieją, że rzeczywiście wszystko będzie w porządku.

- Jak się czuje twoja znajoma w Rodmell?

- Różnie. Raz lepiej, raz gorzej.

Rozległo się ostre pukanie do frontowych drzwi.

- To oni - powiedział Oliver i wyszedł.

Usłyszała dźwięk otwierania drzwi, a potem głos Tristrama.

- Stryjek Oliver!
- Witaj, mały brutalu! - zawołał Oliver.
- Witaj, duży brutalu! - odparł chłopiec.

Frannie wyszła do sieni. Brat Olivera był trochę wyższy i szczuplejszy niż pamiętała. W starej koszuli, znoszonych szarych spodniach z flaneli i kaloszach wyglądał jak prawdziwy farmer.

- Poznałeś Frannie w zeszły weekend - powiedział do niego Oliver.

- Tak - odrzekł Charles i postąpił ku niej, nieśmiało przeczesując palcami słomiane włosy. - Miło mi panią znów widzieć.

Uścisnął jej niezgrabnie dłoń.

Tristram patrzył na nią w milczeniu: Jego drobna postać tonęła w za dużej o kilka numerów żółtej koszulce ze Snoopym i sięgających poniżej kolan różowych bermudach. Frannie pamiętała, że przed tygodniem ojciec przyliżał mu włosy, żeby wyglądał schludnie na przyjęciu urodzinowym. Tym razem nie podjął tego wysiłku; jasne, potargane kosmyki opadały chłopcu na czoło i było mu tak dużo lepiej. Uśmiechnęła się do niego ciepło.

- Jak się masz, Tristram?

Uniósł pytająco brwi.

- W porządku - odparł, wzruszając ramionami.

Znów usłyszała melodyjne ding - dong - dang gry komputerowej i zobaczyła, że przed zbroją na podeście schodów stoi Edward. Patrzył w dół z nieobecny wyrazem oczu, jakby ich nie widział. Po chwili przeniósł uwagę z powrotem na zabawkę i zszedł do sieni, nie spuszczając wzroku z ekranu.

- Stryj Charles i ja zaraz jedziemy, Edwardzie - powiedział Oliver. - Ty i Tristram zjecie lunch z Frannie.

Chłopiec nadal koncentrował się na grze i nie zareagował na słowa ojca.

- Słyszałeś, Edwardzie? - zapytał Oliver z rozdrażnieniem w głosie.

Edward machnął ręką, równie rozdrażniony.

- Jestem zajęty.
- Nie przywitasz się ze stryjem i z Tristramem?

Edward podniósł wzrok.

- Dzień dobry, stryjkę. - Spojrzał na ojca. - Mogę pokazać Tristramowi samolot?

- Nie sędzę, żeby to był dobry pomysł.

Chłopcu wyciągnęła się buzia.

- Dlaczego?

- Silnik długo pracował i jest jeszcze bardzo gorący. Pójdziemy obejrzeć samolot po moim powrocie.

- Obiecujesz?

- O ile nie wrócimy zbyt późno.

Ding - dong - dang gry komputerowej rozdźwięczało się na nowo i Frannie zobaczyła, że Edward znów wciska guziki, przygryzając w skupieniu język.

Kiedy Oliver poszedł się umyć, zapytała jego brata, jak ma się bydło. Odpowiedział, że chyba nastąpiła poprawa, ale jest jeszcze za wcześnie, aby mieć pewność, i wyjaśnił jej szczegóły kuracji homeopatycznej, którą stosuje weterynarz.

Wrócił Oliver, wycierając nadal brudnawe ręce o kombinezon.

- W porządku - powiedział rześko. - Jedziemy! Dasz sobie radę z tymi bestiami, Frannie?

- Dobrze, chłopcy, co byście chcieli na deser? - zapytała Frannie, sprząając talerze ze stołu.

- Lody z gorącym sosem czekoladowym! - zawołał Edward. - Umiesz zrobić gorący sos czekoladowy, Frannie?

- Jeśli mamy czekoladę.

Tristram szepnął coś Edwardowi do ucha i obydwaj chłopcy zachichotali.

Frannie znalazła czekoladę i zrobiła sos. Kiedy Edward skończył jeść, podniósł ku niej buzię z biało-brązową obwódką wokół ust i zapytał, czy mogą iść się z Tristramem pobawić.

Spróbowała pochwycić jego spojrzenie, coś w nim wyczytać, ale nic nie zobaczyła.

- Zaczekajcie, aż posprzątam, to pójdę z wami.

Był pod jej opieką i czuła, że powinna go pilnować.

Wcisnęła ręce w naszyte na bawełniane spodnie kieszenie i zmarszczył w zamyśleniu czoło, co nadało mu na chwilę wygląd wiekowego męża stanu.

- Myślę, że moglibyśmy iść obejrzeć konie. Gdybyś poszła z nami, dalibyśmy ci lekcję jazdy.

- Nie, nie dzisiaj.

- To nie będzie niebezpieczne, Frannie, naprawdę. Wyjedziemy tylko na pole. Pojedziesz na Shebie,

ona jest bardzo łagodna.

- Jeśli mam się uczyć jazdy konnej, powinien być chyba z nami twój ojciec.
- Z tatusia nie ma żadnego pożytku przy koniach; zna się tylko na samolotach. Nic ci się nie stanie, Frannie. Będę ją trzymał za wodze.

Tristram był pochłonięty wyskrobywaniem swojej miseczki do czysta.

- Ja też ją potrzynam, Frannie - powiedział nie podnosząc wzroku.

Uśmiechnęła się, nie chcąc wyjść na tchórza, ale była zdecydowana, że nie wsiądzie na konia.

- Tylko tu posprzątam, a potem pójdziemy je obejrzeć.
- Obiecujesz?
- Obiecuję, że z wami pójdę, ale nie obiecuję, że będę jeździć.
- Dobrze.

Chłopcy wybiegli z kuchni, paplając wesoło.

- Hej! Dokąd idziecie? - zawołała, wychodząc za nimi do sieni.
- Chcę pokazać Tristramowi mój wynik w grze komputerowej -odparł Edward. - W moim pokoju.

Frannie wróciła do kuchni, zadowolona, że ma chwilę spokoju na zebranie myśli. Zaczynała się trząść pod wpływem nowej fali szoku powypadkowego i była głęboko zaniepokojona wizytą u Susie Verbeeten. Wstawiła czajnik, żeby zrobić sobie kawy, załadowała zmywarkę do naczyń i wymyła z rondla resztki czekolady.

Podmuchała na kawę, upiła łyk i wyszła do sieni. W domu panowała cisza; chłopcy byli pewnie pochłonięci grą Edwarda. Wróciła do kuchni, wytarła stół do czysta, usiadła i zaczęła przeglądać weekendowy dodatek do „Timesa”. Nie była jednak w stanie skupić się na tyle długo, by przeczytać którykolwiek artykuł do końca.

Dopiła kawę i poszła do pokoju Edwarda, z nadzieją, że chłopcy porzucili zamiar odwiedzenia stajni. Gdy otworzyła drzwi, poczuła ukłucie lęku. Nie było ich tutaj. Poszła na górę do pokoju zabaw, ale tam też ich nie było.

Coraz bardziej zaniepokojona, zbiegła na dół i wyszła na dwór w jasny blask słońca. Chłopców nie było nigdzie widać. Spojrzała na zegarek. Od momentu ich wyjścia z kuchni minęło jakieś dwadzieścia minut. W oddali rozległ się stłumiony trzask. Kilka chwil później usłyszała następny i poczuła ostre szarpnięcie w żołądku.

To niemożliwe.

Kolejny trzask, a po nim trajkoczący łoskot, który niemal natychmiast ucichł.

Nie.

Zanim jeszcze hałas umilkł jej w uszach, pędziła już żwirową alejką.

Gdy biegła wzdłuż fasady domu, twarze zamazywały jej się przed oczami. Przecisnęła się przez grupkę turystów odchodzących od kasy biletowej i wpadła na wysokiego, masywnego jak worek z piaskiem mężczyznę, który robił zdjęcie. Głos odmówił jej posłuszeństwa; przeprosiła mężczyznę wzrokiem, przytrzymując się go wyciągniętą ręką, jakby dla odzyskania orientacji, przemknęła obok i pognała drogą koło kaplicy w stronę hałasu. Znów rozległ się przeszywający uszy łoskot, tym razem głośniejszy; gniewny dźwięk, który poszedł po całej okolicy, wstrząsając spokojem cichego popołudnia.

Przebiegła trawnik i dopadła asfaltowej dróżki, którą Edward prowadził ją w poprzednią sobotę, zaledwie przed tygodniem. Kiedy jeszcze nie wiedziała, że Meredith nie żyje, a Max Gabriel jest umierający. Kiedy Phoebe Hawkins miała jeszcze dwie ręce. Biegając, modliła się w myślach.

Proszę, nie pozwól, żeby stało im się coś złego. Proszę, niech nic im nie będzie.

Przed sobą, za rozległym polem, na którym leżały bele zżętego zboża, dostrzegła wysoki hangar z zardzewiałej blachy falistej. Rozległ się trzask, o ściany hangaru zabębnił krótki, diabelski łoskot, a potem zaległa cisza. Popłynęły ku niej kłęby spalin. W panice przyspieszyła kroku. Gdy wypadła z za rogu hangaru, zobaczyła, że Edward i Tristram stoją przed samolotem na dwóch baryłkach po ropie i obracają z trudem śmigłem, które jest dużo wyższe od nich, napinając się i mocno wyężdżając siły. Świetnie się bawiąc. Zatrzymała się, przerażona.

- Gotów! - wrzasnął Edward, zbierając się w sobie.
- Gotów! - odwrzasnął Tristram, również zbierając się w sobie i przytrzymując śmigło.
- Edward! - krzyknęła Frannie. - Edward! Tristram!

Pociągnęli śmigło ostro do dołu. Zaczęło się klekocząc obracać, powoli, samoistnie, nabierając prędkości, aż łopatki rozmazały się w przezroczystą plamę i z ogłuszającym hałasem zapalił silnik. Buchnął kłęb spalin. Dwupłatowiec zatrzęsł się i hangar zadudnił łoskotem.

Chłopcy kołysali się, próbując utrzymać równowagę w wirze zasysanego przez śmigło powietrza. Edward młócił rozpaczliwie rękami, baryłka chwiała się pod nim jak szalona, zarzucając go do przodu; zaczynał lecieć w stronę śmigła.

Frannie niemal odeszła z przerażenia od zmysłów.

- Edward! - krzyknęła, ale nie słyszała nawet, czy głos wydobył jej się z ust. - Edwa...

Chłopiec z wysiłkiem odzyskał równowagę, chwycił Tristrama za ramiona i obydwaj zaczęli się kołysać to w przód, to w tył. Nagle baryłki się przewróciły, zrzucając ich na ziemię. Tristram legł bez ruchu. Edward zakrył głowę rękami i odturlał się w bok.

Frannie nigdy nie zapomniała tego, co wydarzyło się potem. Tristram dźwignął się na kolana i oszołomiony zamarł w tej pozycji, patrząc prosto na nią. Samolot zaczął sunąć do przodu, w jego

kierunku.

- Tristr...

Przerażenie zdławiło jej głos. Rzuciła się ku chłopcu, ale zaczepiła stopą o jakieś pęknięcie i grzmotnęła na twardy beton.

Łapiąc oddech zauważyła, że po jej lewej stronie coś się porusza, że ktoś biegnie, ale widziała tylko zamazaną plamę. Po chwili plama stała się mężczyzną grubo po pięćdziesiątce, ubranym w zabrudzoną roboczą koszulę. Tristram nadal klęczał, patrząc na nią i na zbliżającego się mężczyznę.

Ścierając sobie dłonie o beton, Frannie popęzła w stronę małego chłopca, który klęczał niecałe dwa jardy od śmigła. Dźwignąwszy się z wysiłkiem na nogi, poczuła ssanie powietrza.

- TRISTRAAAAMMMM!

Koszulka wysunęła jej się z dzinsów i lodowaty podmuch owionął jej nagie plecy; kosmyki włosów biły ją po twarzy jak powiązane w supły sznurki.

Tristram miał minę przestraszonego winowajcy. Wstał i cofnął się. Cofnął się w stronę najeżdżającego nań śmigła.

- Tristram! Nie bój się, Tristram! - zawołała Frannie, ale głos miała zduszony i ochryply, bliższy piskowi niż krzyku. Wyciągnęła ręce i do złapania chłopca zabrakło jej zaledwie kilku stóp. Śmigło przesunęło się po nim jak cień.

Kątem oka zauważyła, że mężczyzna również się przesuwa. Później wszystko zwolniło, jakby miała czas do końca świata. Rejestrowała dziwne szczegóły: gumowe podeszwy jej adidasów skurczyły się na betonie, a potem rozszerzyły, wypchnęły ją w powietrze i zamortyzowały lądowanie, znów skurczyły się i rozszerzyły, wiatr od śmigła poderwał do góry siwe pasma włosów mężczyzny, odsłaniając łysinę pod spodem, i wzdął jego koszulę jak żagiel.

W jej głowie rozbrzmiewał echem jakiś dziwny dźwięk, jakby *czinnngg* ostrza kosiarki trafiającego na kamień. W pierwszej chwili pomyślała, że Tristram został uderzony poduszką, bo w powietrzu unosiły się tysiące maleńkich strzępków przypominających piórka. Potem zniknęły.

Zniknął też chłopiec.

Śmigło znajdowało się teraz kilka cali od jej własnej twarzy, ostry podmuch rozdzierał jej usta, mroził oczy. Rzuciła się w bok i łopata skosiła tylko powietrze; łoskot silnika świdrował bębni jej uszu, spaliny wypełniały płuca jak wata. Koło uderzyło ją w plecy i gdy leżała rozplaszczona na ziemi, przesunął się nad nią cień skrzydła. Piach, kamyki i żwir obsypały jej twarz, kłując jak grad.

Podniosła się wolno i zamglonymi oczami zobaczyła, że stoi koło niej Tristram. Nic mu nie jest. Nic mu się nie stało! Ogarnęła ją ulga. Nagle jednak uświadomiła sobie, że to nie Tristram, tylko Edward, z jakimiś kłaczkami we włosach i cały w plamkach krwi.

Patrzył na bermudy, z których jednego końca wystawały nogi obute w maleńkie adidas. Z drugiego końca sterczało poszarpane mięso, rozwijające się zwoje jelit i kilka cali zaostrego, białego

kręgosłupa wyglądającego jak drzewce złamanej włóczni. Małe jezioro krwi rozplątało się powoli po betonie, wsiąkając w zarośnięte zielskie pęknięcia.

Ktoś wdrapywał się do kabiny samolotu: mężczyzna w roboczej koszuli, zarejestrowała mętnie. Łoskot silnika nagle umilkł i słychać było już tylko szum Śmigła. Potem zaległa cisza. Samolot przestał się poruszać. Jego kadłub, skrzydła i beton naokoło pokrywały maleńkie strzępki włosów, kości i ciała. Kiedy później przejrzała się w lustrze, zobaczyła, że też jest nimi obsypana.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Pamięć Frannie odtwarzała na wrywki fragmenty popołudnia. Chwile; ułamki chwil; szczegóły. Nie mogła się skupić na żadnym elemencie wydarzeń dłużej niż kilka sekund, bo jej umysł zaraz zmieniał kanał.

Powiodła błędnym wzrokiem po salonie, usiłując odzyskać orientację. Salon znajduje się w czasie rzeczywistym. Siedzi w salonie. Potem jest na betonowym lądowisku i rzuca się ku Tristramowi. Kolczaste gałązki rysują szybę range rovera. Hangar dudni łoskotem silnika samolotu. Tiger Moth toczy się do przodu. Śmigło wyrasta za Tristramem jak cień. Wraca range rover z Charlesem i Oliverem: potężny ryk silnika; chrzęst opon na żwirze; obydwaj mężczyźni wysiadają, pogrążeni w wesołej rozmowie, nieświadomi tego, co ich czeka, patrząc z umiarkowanym tylko zaciekawieniem na wóz policyjny zaparkowany za poobijaną toyotą Charlesa i tablicą „Teren prywatny. Zakaz wjazdu wszelkich pojazdów”. Policjant zbliża się do Charlesa i Olivera, Frannie idzie obok niego. W tym samym momencie zza rogu domu wychodzi Edward ze swoją grą komputerową i przez krótką chwilę jej ding-dong - dang... ding

- dong - dang... wydaje się być jedynym dźwiękiem na świecie.

Potem rozlega się przerażający skowyt Charlesa, jęk bólu brzmiący tak, jakby wydarł się z trzewi ziemi.

Teraz siedziała na kanapie przed zimnym kominkiem, trzymając w dłoni szklankę. Wiatr tłukł o szyby. „To moja wina, to wszystko moja wina”. Jej głos zdawał się dobiegać z daleka, z drugiego pokoju.

W szklance była whisky: mocna, nie rozcieńczona szkocka, która piekła jej usta i paliła żołądek. Nie złagodziła szoku ani bólu, ale wtłoczyła je do innej przegródki, i dopóki tam pozostaną, nic jej nie będzie.

Pomogły też proszki, pomogły trochę wszystko przytłumić, opóźnić powrót rzeczywistości jeszcze o kilka godzin. Dał jej je Oliver. Oliverowi dał je lekarz. Lekarz, który w poprzedni weekend zajął się jej uzdaleniami, a teraz przyjechał zabrać Charlesa. Twarz Olivera wydawała się rosnąć i maleć. Rozciągała się na boki, a potem kurczyła. Lekarz powiedział, że biorąc te proszki nie powinna pić.

Zmienił się kanał. Maleńkie strzępki przywierają do srebrnego kadłuba i osłony silnika. Śmigło nadal się obraca, ale nie słychać już szumu. Potem znów znalazła się w salonie. Napięcie ryło jej czaszkę jak pazury jakiegoś zwierzęcia.

- To moja wina - powtórzyła.

Oliver usiadł obok niej.

- Nie - powiedział.
- Tak.
- Dzieci trzeba cały czas pilnować. Nikt, kto sam ich nie ma, nie może tego wiedzieć. To nie twoja wina.

Jego głos brzmiał dziwnie, jakby dobiegał zza szyby. Zastanawiała się, czy nie umarła. Oliver patrzył na nią jakoś nienaturalnie. Może samolot mnie zabił i nikt mi o tym nie powiedział. Wyciągnęła rękę, aby dotknąć Olivera, ale jej dłoń chwyciła tylko powietrze. Spróbowała jeszcze raz, ujęła go za nadgarstek, wyczuła pod palcami włosy, twarde mięśnie, przycisnęła twarz do jego szyi, wciągnęła w nozdrza zapach jego uszu, szamponu, skóry, objęła go mocno.

Na kominku było zdjęcie samolotu, w kuchni też; jego zdjęcia zdawały się być w każdym pomieszczeniu. Oliver, Edward i matka Edwarda stoją przed nim i uśmiechają się do obiektywu.

- Powinnam była ich pilnować, pójść za nimi.
- Powinienem był zamknąć hangar na kłódkę.
- Gdzie był kluczyk do stacyjki samolotu?
- Nie ma kluczyka; tylko parę przełączników na tablicy rozdzielczej. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że...

Jego głos umilkł nagle, jak przedtem szum śmigła.

Frannie wypiła jeszcze trochę whisky i przytrzymała szklanek blisko twarzy, wdychając aromat alkoholu. Wszystko było postawione na głowie, jakby spisano nowe prawa wszechświata i nikt jej o tym nie powiedział. Świat był teraz miejscem, gdzie kilkoro smarkaczy może się pozabijać i pokaleczyć samym siedzeniem wokół stołu z odwróconym do góry nogami kieliszkiem; gdzie mały chłopiec może zabijać i okaleczać samym myśleniem o tym. Może to Oliver spisał te nowe prawa? Wykresy na ścianach biblioteki. Hieroglify. Zamknęła oczy. Obłęd był bliski; oddzielała ją od niego tylko szklanka whisky i mała niebieska pigułka.

Jej kolej też była bliska. I nie wiedziała, co ją od niej oddziela.

Brzęk tłuczonego szkła na piętrze przestraszył ich oboje. Oliver zerwał się z kanapy i wypadł na korytarz. Podążyła za nim. Wbiegli po schodach na podest, gdzie słychać było jedynie ciche zawodzenie, które Frannie wzięła w pierwszej chwili za jęk wiatru.

Dochodziło z pokoju Edwarda. Uświadomiła sobie, że to nie zawodzenie, tylko melorecytacja. Oliver chwycił gałkę z brązu; kostki dłoni miał zbieleć. Przez moment pozostał w bezruchu, a potem powoli otworzył drzwi, walcząc z silnym przeciągiem.

Pokój był ciemny, szyby w oknach potłuczone. Zastony gwałtownie falowały wydzierając się z żabek, kółka ślizgały się z klekotem po pręcie, materiał szeleścił. Pośród tego pandemonium spał Edward.

Leżał na plecach, a z jego ust wydobywała się monotonna psalmodia.

- *...murotaccep menoissimerni rutednuffe sitlum orp te sibov orp iuq iedif muiresym itnematset inrete a te ivon iem siniugnas xilac mine tse cih...*

Frannie ogarnęła panika. Jakiś samochodzik potoczył się po półce i spadł jej pod nogi. Oliver wyprowadził ją z pokoju i delikatnie zamknął drzwi.

- Co to do licha jest? - wyszeptała. - Co się tu dzieje?

Polecił jej gestem ręki, żeby zaczekała, poszedł szybkim krokiem do swojej sypialni i po chwili wrócił z małym magnetofonem. Uchyliwszy drzwi pokoju syna na kilka cali, włączył nagrywanie i taśma zaczęła się z szumem obracać. W korytarzu dźwięczał bezbarwny, monotony głos Edwarda:

- *...muem suproc mine tse coh. Senmo coh xe etacudnam te, etipicca: snecid, sius silupicsid euqtided, tigerf, tixid eneb, snega saitarg metnetopinmo muus mertap mued et da muleac ni siluco sitavele te saus sunam selibarenev ca satcnas ni menap tipecca ruteretap mauq eidirp iuq...*

Oliver zamknął drzwi i zatrzymał taśmę, a potem poszedł do swojej sypialni, włączył światło, zaczekał, aż Frannie wejdzie do środka i zamknął drzwi. Pokój wyglądał schludnie, ale było w nim bardzo zimno i w jasnym oświetleniu robił dziwne wrażenie. Świece w żelaznych lichtarzach stojące po obu stronach łóżka wymieniono na nowe. Twarz Olivera była blada i pobrużdżona, od rana postarzał się o dobre dwadzieścia lat. Przysiadł na brzegu łóżka i postawił magnetofon obok siebie, a potem spojrzał poważnie na Frannie.

- Nie poznałaś tego?

Pozostała przy drzwiach, czując się jak nieproszony gość.

- Co to jest? Któryś z języków arabskich?

Przyglądała się amorkom i odaliskom namalowanym na ścianach; grubym dywanikom, koszulom na metalowych wieszakach, zaczepionych o drzwi szafy. Rzędowi stojących na podłodze wyglansowanych butów z drewnianymi prawidłami. Wszystko było obce.

- Puszczę taśmę od tyłu - powiedział Oliver. - Może to ci pomoże.

Otworzył szafę, pogrzebał w jej czeluściach i wyciągnął stary magnetofon szpulowy. Przegrał nań taśmę, po czym włączył odtwarzanie wstecz. Głos Edwarda natychmiast zabrzmiał wyraźniej.

- *...Hic est enim Calix Sanguinis mei, nom et aetemi testamenti: mysterium fidei: qui pro vobis et pro multis effundetur in remissionem peccatorum.*

Frannie chodziła pod drzwiami tam i z powrotem, jak zwierzę w klatce. Oliver obserwował ją udręczonym spojrzeniem, z głową wtuloną w ramiona. Jego znoszone tenisówki tonęły w leżącym obok łóżka włochatym dywaniku. Zaczęła tłumaczyć, wypowiadając drżącym głosem słowa, które tak dobrze znała, których nauczyła się na pamięć jeszcze we wczesnym dzieciństwie. Minęło wiele czasu, odkąd ostatni raz słyszała je po łacinie.

- Oto jest kielich krwi mojej, nowego i wiecznego przymierza -powiedziała zacinając się, nie mogąc spuścić wzroku z Olivera. -Która za was i za wielu będzie wylana na odpuszczenie grzechów.

Zatrzymał taśmę.

- Msza - wyjaśniła. - Recytuje kanon mszy świętej wstecz.

Przeszła przez pokój i położyła dłoń na zimnym kaloryferze pod oknem. Z szyby popatrzył na nią duch jej twarzy. Odwróciła się do Olivera.

- Mszy nie... nie odprawia się w Anglii po łacinie... - Zająknęła się. - Wstecz. Ja... - urwała, przypomniawszy sobie nagle, jak Edward sypał łacińskimi nazwami roślin. I zwierząt.

Mówił do ciebie po łacinie? - zapytał Oliver, gdy w poprzednią sobotę leżeli w tym pokoju w łóżku. Robił wrażenie zdziwionego, ale nie wygłosił żadnego komentarza. Podobnie jak nie wnikał w sprawę, kiedy Edward zaczął recytować łacińskie nazwy w samochodzie w niedzielę wieczorem, podczas drogi powrotnej do Londynu.

- Czy mówienie mszy wstecz nie ma czegoś wspólnego z czarną magią? - spytała.

- Owszem - odparł sztywno. - Sprawdziłem to, kiedy zrobił to po raz pierwszy.

- Już to kiedyś zrobił?

- Robi to w szkole od paru lat. A dokładnie od trzech i pół roku - powiedział, posyłając jej dziwne spojrzenie.

- A okna? Czy to też już się kiedyś zdarzyło?

- Nie. To się do tej pory nie zdarzyło. - Milczał przez chwilę. -Uspokoi się. A rano nie będzie niczego pamiętał.

- Skąd się to bierze?

Oliver nic nie odpowiedział.

- Ci lekarze i psychiatrzy, u których z nim byłeś... Mówiłeś im o tym?

- Puszczaliśmy im taśmy.

- I co powiedzieli?

- Że nie ma w tym nic niezwykłego. Podobno dzieci z zaburzeniami psychicznymi często mówią przez sen w dziwnych językach albo mamrocą bez sensu.

Frannie czuła się jak w pułapce między jasnością pokoju i mrokiem na zewnątrz, mrokiem, który napierał na szybę, usiłując się przebić na wylot i rozgnieść ją o jasność. Zadrżała. Chłód wsiąkał w jej skórę jak atrament w bibułę.

Oliver wyjął z szuflady nocnego stolika inną taśmę i włożył ją do magnetofonu.

- W zeszłą sobotę, kiedy spaliśmy razem, Frannie, zaczęłaś mówić przez sen. To mnie obudziło. Myślałem, że zaraz przestaniesz, ale ty mówiłaś i mówiłaś, zupełnie bez składu i ładu. Za diabła nie mogłem cię zrozumieć. Nagrałem kawałek, bo pomyślałem, że cię to rozbawi, ale potem uświadomiłem sobie, że możesz się poczuć zażenowana, więc nic ci nie powiedziałem.

Popatrzył na podłogę, a potem znów na nią. Przypomniała sobie, że obudziło ją wtedy w środku nocy jakieś pstryknięcie i że zastanawiała się, co to było.

- Kiedy w niedzielę w nocy Edward zaczął swoją melorecytację, zdałem sobie nagle sprawę, że to ten sam dźwięk. Wiedziałem, że musi tu istnieć jakiś związek, że nie może to być przypadek

Puścił taśmę.

- *Muem suproc mine tse coh senmo coh xe etacudman te etipicca snecid sius silupicsid euqtided tigerf tixid eneb snega saitarg ibit metnetopinmo muus mertap mued et da mulaec ni siluco sitavele te...*

Frannie słuchała jak zahipnotyzowana monotonnego dźwięku własnego głosu.

Oliver nacisnął stop.

- Nie wiem, skąd przyszedł mi do głowy pomysł, żeby puścić to od tyłu.

Przyglądała się, jak palec Olivera zawisa w powietrzu, celując w klawisz odtwarzania wstecz, a potem go przyciska. Po chwili znów usłyszała własne słowa i zaczęła je odruchowo tłumaczyć z łaciny na angielski:

- ...podniósł oczy ku niebu, do Ciebie, Boga, Ojca swojego wszechmogącego, i dzięki Tobie składając, błogosławił, łamał i rozdawał swoim uczniom mówiąc: bierzcie i jedzcie z tego wszyscy. To jest bowiem ciało moje...

Oliver zatrzymał nagle taśmę i dom pogrążył się w ciszy Frannie była zupełnie otepiąta.

- Zapytałaś mnie, skąd się to bierze.

Na twarzy Olivera malowało się napięcie.

- Po raz pierwszy zdarzyło się to w noc po tym, jak widzieliśmy cię w kafeterii twoich rodziców...
Chociaż cię wtedy nie znaleźliśmy.

Lodowate powietrze wnikało teraz w jej żyły, w jej kości. Zrobiło jej się tak zimno, jakby jej ciało było martwe.

- To ty jesteś powodem, Frannie - powiedział cicho. - To z ciebie się to bierze.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Frannie siedziała w milczeniu, podczas gdy słowa Olivera zapadały w nią, rozpuszczając się jak chemikalia, paraliżując jej członki. Dopóki w to nie uwierzy, nic jej nie będzie. Da sobie radę z tym, co powiedział, jak długo wie, że zmyśla.

Patrzyła na chromowaną siatkę głośników na obu końcach magnetofonu i jego lśniącoczerwoną plastikową obudowę. Zastanawiała się bez związku, dlaczego Oliver ma taką paskudną rzecz. Może magnetofon należał do Edwarda. Albo do zmarłej żony Olivera. Może Sarah Henrietta Louise Halkin lubiła, żeby muzyka dudniła wszędzie, dokąd pójdzie. Może puszczała ją głośno, żeby rozproszyć ciszę tego domu, ciszę, która teraz osaczała Frannie, wnikała w jej ciało.

Zastanawiała się, od jak dawna mówi przez sen. Od kilku miesięcy? Od roku? Od sześciu lat? Przez całe życie? Pamięć, niczym bańka powietrza odrywająca się od dna oceanu, wypłynęła na powierzchnię jej umysłu. Słowa ojca poprzedniego ranka.

Napędziłaś nam stracha, twojej mamie i mnie... jakbyś to nie ty mówiła... jakby ktoś inny mówił przez ciebie.

Kto jeszcze ją słyszał? Bańka pamięci pęczniała. Tom Dufferin, jej ostatni chłopak, mówił, że mamrocze przez sen. Elliot Dumas, jego poprzednik, również. I na wykopaliskach w Iranie, po skończeniu studiów, osoby, z którymi dzieliła namiot, narzekały, że czasami budzi wszystkich swoim mamrotaniem. Koniec ostatniego roku studiów. Sięgnęła pamięcią głębiej w przeszłość; wcześniej nikt jej nic nie mówił; nikt w domu, gdzie miała wspólną sypialnię z siostrą. Maria-Angela coś by powiedziała. Wiele razy na wykopaliskach spała w zbiorowych namiotach; ktoś zwróciłby na to uwagę. Na drugim roku studiów dzieliła pokój z Meredith; ona też nic nie mówiła. Więc zaczęło się to pod koniec trzeciego roku. Z powodu zdenerwowania egzaminami?

A może...? Usiłowała odsunąć od siebie tę myśl, ale bez skutku. Ouija. Urządzili seans na trzecim roku studiów. Zaledwie kilka dni przed końcem ostatniego semestru. Wszyscy byli tamtego wieczoru tacy szczęśliwi; większość zajęć mieli już za sobą, a przed sobą ferie wielkanocne na zebranie sił do zaatakowania końcowych egzaminów. I tacy niewinni. Nieświadomi tego, co ich czeka; nieświadomi istnienia złego ducha, którego wywołali i rozgniewali, który miał zacząć ich ścigać i prześladować.

Który ją opętał.

Spuściła wzrok na swoje dłonie, niezdolna spojrzeć Oliverowi w oczy. Przyjrzała się paznokciom; po śmierci końce palców robią się niebieskie; pamiętała, jak zobaczyła paznokcie swojej babki w otwartej trumnie w Neapolu; były prawie czarne.

Przypomniała jej się rozmowa z Edwardem w bibliotece.

Ja mam to złe coś, Frannie. I nie chce go... Powoduje, że rzeczy się zdarzają, kiedy tylko o nich pomyślę.

Edward wywiera wpływ na ludzi. To musi się brać z niego. Odezwała się do Olivera.

- Edward powiedział, że... - urwała.

Podniósł brwi, czekając na ciąg dalszy. Ale w jej głowie powstał chaos, ponieważ to mogło się zaczynać od niej, nie od Edwarda, a w takim razie to za jej sprawą Edward powoduje, że ludziom przytrafiają się nieszczęścia. To niemożliwe.

- Dlaczego mówisz, że to się bierze ze mnie? - zapytała. - Skąd wiesz, że Edward łapie to ode mnie, a nie odwrotnie?

- Nie może być przypadkiem, że obydwójce recytujecie przez sen kanon mszy wstecz, prawda?

Nic nie odpowiedziała.

- Mówiłaś, że słyszałaś o tym, co Jung nazwał synchronicznością; ja w to wierzę. Wierzę, że wyjaśnieniem zjawiska, które ludzie nazywają przypadkiem, jest nieświadoma telepatia. Przesyłanie sobie myśli.

Patrzyła na niego otępiałym wzrokiem.

- Sądzę, że jedno z was to wywołuje, a drugie łapie. - Rozprostował nogi, skrzyżował ręce na piersiach i pochylił się do przodu. -Edward nie robił tego, dopóki cię nie spotkał.

Mylisz się, chciała powiedzieć. Mylisz się! Ale nie była co do tego przekonana.

- To nie ty, Frannie, to nie jest twoje świadome ja. Tak samo jak Edward nie wie, co robi, gdy nagle zapada w ciągu dnia w to swoje milczenie. Powoduje to coś innego. Ty jesteś tylko kanałem.

- Kanałem czego?

Oliver wstał, podszedł do niej, położył jej dłonie na ramionach i delikatnie uścisnął. Poczowała jego ciepły, zaprawiony whisky oddech i zobaczyła ciemny meszek zarostu, który podkreślał malujące się na jego twarzy udręczenie i wyczerpanie. Nagle uświadomiła sobie, że z oczu płyną jej łzy i przytuliła policzek do jego piersi, do skóry jego szyi i miękkiej wełny swetra.

- Czy kiedykolwiek brałaś udział w seansie spirytystycznym? -zapytała.

- Nie.

- Ja tak. Raz.

- I co się wydarzyło?

Opowiedziała mu o wszystkim. Słuchał uważnie, opierając się o parapet.

- Sprawdziłaś, co z innymi twoimi kolegami ze studiów? Tymi, którzy nie brali udziału w seansie? - odezwał się, gdy skończyła.
- Po co?
- Aby się upewnić, że znalazłaś właściwy związek przyczynowy. Zakładasz, że przyczyną jest seans, ale może to być coś innego. - Podwinął palce u nóg w starych tenisówkach i przyjrzał się im podjął watek. - Gdyby jakieś dziwne rzeczy przytrafiały się również tym studentom, którzy nie uczestniczyli w seansie, sprawa wyglądałaby inaczej.
- Mam się skontaktować ze wszystkimi ludźmi, którzy studiowali na Uniwersytecie Londyńskim w tym samym czasie, co ja?
- Tak. To nie byłoby niemożliwe.
- Ale ile by to zajęło czasu? - odparła spokojnie. - I co miałabym mówić? *Cześć, właśnie się zastanawiam, czy jeszcze żyjesz?*

Oliver milczał przez chwilę, głęboko zatopiony w myślach.

- Masz znajomego księdza? - zapytał w końcu.
- Nie. Już nie.

Popatrzył na nią znużonymi oczami.

- Chyba musimy jakiegoś znaleźć.

Kochali się, bo obydwójce potrzebowali pociechy, ale potem Fran-nie leżała w łóżku Olivera nie mogąc usnąć. Alkohol przestał działać i opadły ją dręczące myśli. Zaczęła sobie wyobrażać własny pogrzeb, zastanawiając się przy tym, którzy z jej dawnych chłopaków by przyszli. Może poczuliby się winni, że nie dosyć ją kochali. Potem pomyślała, że może powinna zadzwonić do biura numerów i sprawdzić, czy nie ma telefonu zaufania dla uczestników seansów spirytystycznych. Jak dla osób z problemem alkoholowym.

Leżący obok niej Oliver zaczął oddychać głębiej: wciągał powietrze długimi, mocnymi wdechami. Siła fizyczna, wszystkie przywileje wysokiego urodzenia, a jednak i on ma swoje lęki. Boi się zbiegów okoliczności.

Dwadzieścia sześć.

Otworzyła oczy, oblewając się zimnym potem. Hieroglify na ścianie. I liczba dwadzieścia sześć w centrum koncentrycznych kręgów! Śmierć Tristrama tak nią wstrząsnęła, że zapomniała zapytać Olivera o to, co zobaczyła w bibliotece. Nagle poczuła, że nie może dłużej czekać.

Zatrzeszczało łóżko: Oliver wstawał. Usłyszała, że wkłada coś na siebie, a potem stąpa ostrożnie po podłodze. Drzwi łazienki trzasnęły cicho raz i drugi. Włączyła nocną lampkę i podciągnęła się wyżej.

Rozległ się dźwięk spuszczenia wody, po czym Oliver wrócił do sypialni.

- Cześć - powiedział.

Posłała mu zmęczony, wymuszony uśmiech i słowa same popłynęły z jej ust.

- W bibliotece wiszą na ścianach diagramy z jakimiś obliczeniami. Co to jest?

Usiadł we wzorzystym szlafroku na brzegu łóżka i zgarbił się nieco.

- Numerologia - odparł krótko.

- Co to takiego?

Ziewnął.

- Jej częścią jest teoria, że liczby stanowią klucz do zrozumienia - jak przypuszczam - ukrytych tajemnic wszechświata.

- Jakie liczby?

Musiała to pojąć.

- Wszystkie liczby mają znaczenie.

- Jak się je odczytuje?

Oliver pozostał na brzegu łóżka.

- To połączenie metafizyki i religii. Liczby są w Biblii. Bardzo interesował się nimi Arystoteles. Pitagoras też. Wszystko opiera się na logicznych podstawach. Liczby tworzą porządek w pozornie chaotycznym wszechświecie.

- A skąd się te liczby biorą?

- Wiesz, co to jest palimpsest?

Frannie sięgnęła po stojącą obok łóżka szklanę z wodą.

- Tak Jest ich dużo na pergaminach używanych przez średniowiecznych mnichów. Kiedy jakiś tekst został usunięty i na tej samej karcie napisano nowy, nadal można odczytać stary tekst, jeśli popatrzy się dostatecznie uważnie albo w odpowiednim oświetleniu.

Oliver skinął głową.

- Jeśli popatrzy się dostatecznie uważnie, liczby są we wszystkim. W cząsteczkach atomowych wszystkiego, co widzimy, i czego dotykamy. W naszych imionach i datach urodzenia. W Biblii są setki kodów, przesłań.

- W jaki sposób się tym zainteresowałeś?

Oliver oparł się o wezłowie łóżka.

- W matematyce chodzi między innymi o porządek; o schematy; o to, by z chaosu wyłowić sens. - Zamyślił się na chwilę. - Wszechświat jest chaotyczny, ale nasz system słoneczny jest uporządkowany

- na naszej planecie istnieje życie, ponieważ znajdujemy się we właściwej odległości od Słońca i Księżyca. Trochę dalej od Słońca, a byłoby na to za zimno; trochę bliżej, a byłoby za gorąco. Czy to przypadek? Czy jakiś plan? - Posłał jej półuśmiech. - Ludzkie życie jest chaotyczne, a jednak tworzymy społeczeństwa w pewnym sensie uporządkowane. Dzielimy naszą planetę na państwa, ustanawiamy rządy, prawa, systemy nauczania i kody zachowań. Czy to przypadkowa ewolucja? Selekcja naturalna? Czy jakiś odgórny plan?

Obserwowała go, zastanawiając się, do czego zmierza. Malująca się w jego oczach rozpacz nadawała mu wygląd człowieka, który spojrział w otchłań Piekła i nie może usunąć tego obrazu z myśli. Mówił bezładnie, jakby do siebie, jakby dzięki temu mógł wpaść na odpowiedź. Jego oszołomienie przerażało Frannie; chciała, żeby był silny. W ciemnościach za nie zaciągniętymi zasłonami zegar na budynku stajni wybił drugą.

- Kiedy Sarah umarła, długo nie umiałem przyjąć tego do wiadomości; a gdy w końcu to do mnie dotarło, sam zapragnąłem umrzeć. Tak bardzo ją kochałem. Nie sądziłem, że kiedykolwiek będę zdolny...

Umilkł, a Frannie wypła trochę wody.

- Przy życiu trzymał mnie tylko Edward. Przez wzgląd na niego musiałem zostać na tym świecie; więc zakopałem się w pracy, a na weekendy wymyśliłem sobie dodatkowe zajęcie. W banku badałem wtedy sprawę zbiegów okoliczności i pomyślałem sobie, że byłoby ciekawe, gdybym się przyjrzał mojej rodzinie, sprawdził, czy jakieś zbiegi okoliczności nie zdarzały się w naszej historii.

- Chodzi ci o kwestie genetyczne?

- Nie, ogólnie.

- Znalazłeś coś?

- Tylko jeden bardzo dziwny zbieg okoliczności. Związany z pewną liczbą.

- Jaką liczbą?

- Dwadzieścia sześć - powiedział.

Trochę wody wylało się ze szklanki Frannie i pociekło jej po dłoni między palcami a kciukiem. Oliver zauważył, że straciła opanowanie i popatrzył na nią badawczo.

- W numerologii to dość interesująca liczba. Dwójka ma wiele złych znaczeń. Podobnie szóstka. Dwadzieścia sześć to dwa razy trzynastka. Trzynastka zawiera dwie szóstki. Dwa razy jeden równa się dwa. Dwa razy trzy równa się sześć.

- Chyba się pogubiłam - stwierdziła.

Odrzucił z czoła kosmyk włosów i przesunął palcami po konturach swojej twarzy, jakby chciał się upewnić, że jest nadal nietknięta.

- Ja też się w tym bez przerwy gubię; jest tu mnóstwo warstw. To coś w rodzaju wielokrotnego palimpsestu.
- Ale dlaczego dwadzieścia sześć? - indagowała. - Czy istnieje po temu jakiś szczególny powód?
- Właśnie tego usiłuję się dowiedzieć. Natrafiłem na jedno powiązanie, które jest dość intrygujące, ale nic nie znaczy. Mówiłem ci, że drugi markiz zajmował się numerologią?
- Ten zły markiz?
- Tak. Odkryłem, że z jakichś powodów bardzo lubił tę liczbę -była czymś w rodzaju jego podpisu, jego znaku. Chociaż ostatecznie nie przyniosła mu szczęścia. Został stracony - zamordowany, wszystko jedno - 26 marca 1652 roku.

Frannie uśmiechnęła się słabo.

- Czy ta liczba coś ci mówi? - zapytał.
- Tak - być może. Phoebe Hawkins ostrzegała mnie przed nią tuż przed swoim wypadkiem. Ale kiedy później odwiedziłam ją w szpitalu, nie udało mi się z niej wydobyć nic sensownego. Była w zbyt dużym szoku. Muszę się z nią zobaczyć jeszcze raz.

Marszcząc brwi, wrócił do poprzedniego wątku.

- Moja żona, Sarah, również zginęła 26 marca. I były to jej dwudzieste szóste urodziny.

Frannie chłonęła te słowa w milczeniu. Czowała suchość w ustach. Spojrzała na Olivera, szukając u niego wyjaśnienia i otuchy, których nie mógł jej dać. Strach powędrował w górę jej kręgosłupa i rozlał się jak zimna woda u podstawy czaszki. Zanim się odezwała, przygryzła wargę. Spróbowała przybrać normalny ton, ale nic jej z tego nie wyszło.

- W przyszłym tygodniu są moje dwudzieste szóste urodziny -powiedziała. - Dwudziestego szóstego.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Rano Frannie przeniosła się z sypialni Olivera do własnej tuż przed szóstą. Przy śniadaniu wszyscy byli zgaszeni.

Policjanci wrócili, gdy sprząтали ze stołu. Spisali szczegółowe oświadczenie Frannie, zwiększając jej poczucie winy, a potem na ponad godzinę zamknęli się z Oliverem i Edwardem w bibliotece.

Kiedy się w końcu wynieśli, Oliver powiedział, że musi pojechać na farmę pomóc Charlesowi, który nie nadaje się do żadnej roboty. Frannie i Edward spędzili resztę ranka wałęsając się po posiadłości w poszukiwaniu skamielin. Do lunchu zebrali paręnaście ładnych okazów, które Edward z dumą umył i oznajmił, że weźmie je ze sobą do szkoły.

Frannie kilkakrotnie próbowała wrócić do rozmowy, którą zaczęli poprzedniego dnia w bibliotece, ale za każdym razem zamiast odpowiedzieć Edward zasypywał ją pytaniami o skamieliny i archeologię w ogóle. Musiała mu obiecać, choć przyszło jej to z trudem, że jeśli przyjedzie na następny weekend, przeprowadzą miniwykopaliska, tylko we dwoje, tam, gdzie była kiedyś rzymska willa.

W końcu odwróciła się do niego i zapytała wprost.

- Edwardzie, wczoraj w bibliotece powiedziałaś mi, że potrafisz spowodować, aby coś się komuś przytrafiło, samym myśleniem o tym. Czy miałeś złe myśli o Tristramie, zanim uderzyło go śmigło?

Reakcja chłopca ją przeraziła. Spojrzenie Edwarda stało się twarde i dzikie, wściekłość wykrzywiła mu twarz.

- *Nie!* - odpowiedział, podnosząc głos niemal do krzyku, po czym wybuchnął płaczem i pobiegł na górę.

Odczekawszy parę minut, poszła za nim. Znalazła go w sypialni, siedzącego na krześle i łkającego. Objęła go ramieniem i odezwała się cicho:

- Powiedz mi coś więcej o tym złym czymś, Edwardzie.

Wyciągnął rękę i zdjął z półki biały sportowy samochodzik; wcisnął jakiś guzik w podwoziu i tylne koła zaczęły się obracać.

- Chcesz sobie wytrzeć oczy? - zapytała.

Potrząsnął głową.

- Miewasz złe myśli o kimś jeszcze? Na przykład o mnie?

Wyłączył samochodzik i zaraz włączył go ponownie, nie odpowiadając na pytanie, znów pogrążony w tym swoim milczeniu.

Frannie wypróbowała go.

- Co byś chciał na lunch? Zrobić ci coś dobrego?

Nadal milczał. W końcu zostawiła go i zeszła na dół. W sieni przystanęła, nasłuchując uważnie, czy nie nadchodzi Oliver, przeszła do kuchni, znów wytężyła słuch, a potem, tak szybko, jak tylko mogła, wyjęła małe zdjęcie Edwarda z fotograficznego kolażu na ścianie i wsunęła je do wewnętrznej kieszeni swojej torebki.

O szóstej odwieźli Edwarda do szkoły. Wsiadł z samochodu z ponurą miną, dzierżąc małą torbę ze starannie zawiniętymi w papier skamielinami, przypomniawszy Frannie o obietnicy urządzenia wykopalisk. Potem ruszyli do Londynu.

- Cały dzień zachodziłem w głowę, z jakim księdzem mógłbym się skontaktować - powiedział Oliver. - Znam arcybiskupa Canterbury; jesteśmy obydwoj w Izbie Lordów. Mógłbym z nim porozmawiać, ale... - Wzruszył ramionami. - Nie jestem przekonany, czy to taki dobry pomysł. Nawet

gdyby uwierzył w tę historię, wysłałby pewnie jakiegoś przedstawiciela, a to by długo trwało.

Minęła ich z łoskotem ciężarówka, ciąg powietrza zakłuł samochodem.

- Mógłbym jednak zobaczyć się jutro z biskupem Lewes. To dość rozsądny człowiek. - Uścisnęła dłoń Frannie. - Wszystko będzie dobrze.

- A ja powinnam się zobaczyć z twoim bratem - stwierdziła.

- Wcale nie; nie sądzę, żeby był w stanie kogokolwiek oglądać.

Położył jej rękę na ramieniu i lekko pogładził.

- Zabierz się jutro ze mną; pojedziemy do biskupa Lewes. Zadzwoń i zapytam, czy będzie mógł nas wieczorem przyjąć.

Skinęła ponuro głową.

- Zostaniesz dziś ze mną?

Pochyliła głowę i przytuliła policzek do jego dłoni.

- Czy moglibyśmy zjechać z drogi?

- Dokąd?

- Chciałabym zajrzeć na parę minut do Phoebe.

Frannie czuła pod stopami porowatość leżącego na podłodze linoleum. Zadzwoił wózek z instrumentami chirurgicznymi i odsunęła się na bok, by go przepuścić. Przygnębienie atmosferą szpitala jeszcze powiększało dławiący ją strach.

Sąsiadka Phoebe, młoda kobieta o twarzy szarego, niezdrowego koloru, spała głęboko. Stolik Phoebe i pomocnik na łóżku były zastawione kwiatami, olbrzymi kosz owoców otaczały karty z życzeniami powrotu do zdrowia. Phoebe siedziała i wyglądała lepiej niż w czwartek, a nawet przywitała Frannie uśmiechem.

- Dziękuję za kwiaty, które przysłałaś, Frannie. Są naprawdę piękne.

Wskazała jeden z wazonów na stoliku.

- Nabrałaś trochę życia.

- Prochy - odparła Phoebe.

Frannie zobaczyła jej rozszerzone źrenice i uświadomiła sobie, że dziewczyna ma rację: jest zaćpana; oderwana od rzeczywistości. Odwróciła twarz, żeby Phoebe nie dostrzegła jej grymasu. Declan O'Hare powiedział, że wojownicy wkładali do bitwy maski, aby ukryć swój strach. Frannie miała nadzieję, że nie czeka jej bitwa, ale wiedziała, że odwróciła twarz z tego samego powodu.

- Odwiedziłaś Susie - stwierdziła Phoebe.
- Tak.
- Cieszę się. Rozmawiałam z nią dzisiaj.

Frannie opadła na krzesło przy łóżku.

- Kiedy zadzwoniłaś do mnie we wtorek, Phoebe, zapytałaś, czy mówi mi coś liczba dwadzieścia sześć, i kazałaś mi na nią uważać. Dlaczego?
- Zapamiętałam ją z naszego seansu. Utkwiła mi w głowie.
- Jak brzmiało moje przesłanie?
- Wydaje mi się, że właśnie tak.
- To znaczy?
- *Dwadzieścia sześć. Albo może dwudziesty szósty.*
- Tylko liczba?

Phoebe skinęła głową.

- Tak mi się wydaje.
- To było całe przesłanie?
- Nie wiem, czy to było przesłanie, Frannie, czy prorocstwo.

Frannie zamknęła oczy, po czym znów je otworzyła, bojąc się obrazów, które czekały pod powiekami.

- Seb Holland - powiedziała słabym głosem. - Pamiętasz, jak brzmiało jego przesłanie?
- Nie. Susie pytała mnie o to samo. Pamiętam tylko swoje, twoje, Jonathana i Meredith.
- Myślisz, że to wszystko jest po prostu kwestią przypadku? Zbiegiem okoliczności?
- Nie.
- Więc co to jest?
- Nie wiem.

Frannie odgarnęła z twarzy kosmyk włosów i spojrzała w dół, unikając wzroku Phoebe.

- Jak doszło do twojego wypadku? - zapytała po dłuższej chwili.
- Nie jestem pewna. Nie rozumiem.

- Czego nie rozumiesz?

- Dlaczego się nie zatrzymałam.

Wyraz oczu Phoebe uległ zmianie; mrugała nimi coraz szybciej i drżały jej powieki.

- Czy to była wina hamulców? Nawaliły ci hamulce?

- Nie próbowałam hamować. W ogóle nie nacisnęłam hamulców. Frannie wpatrywała się w jej rozszerzone źrenice.

- Dlaczego?

- Tego właśnie nie rozumiem.

- Może jesteś jeszcze trochę skołowana? Narkoza, no wiesz... Phoebe potrząsnęła głową.

- To nie to. Ani nie ogłupiacze. Myślą, że nie wiem, że dają mi ogłupiacze. - Jej głos stał się niewyraźny, gdy go podniosła. - Ale ja wiem. - Gniew tak ściągnął jej rysy, że Frannie się przestraszyła. -Wiem. Rozumiesz? Wiem.

Frannie uśmiechnęła się łagodnie, chcąc rozładować napięcie.

- Tak, oczywiście.

- Nie dam się nabrać. Wiem, co tu jest grane.

Frannie usłyszała ostry klekot zasłony zaciąganej wokół łóżka w sąsiednim pokoju.

- Więc widziałaś ciężarówkę, ale nie zahamowałaś; zgadza się? Phoebe wzruszyła ramionami, jej kikut podniósł się i opadł.

- Może myślałam, że jeśli się zatrzymam, to się spóźnię.

- Na co się spóźnisz?

- Nie wiem. Nie pamiętam. Na grę.

- Jaką grę?

- Na automatach owocowych.

Głos Phoebe stawał się coraz bardziej niewyraźny, a jej umysł gdzieś odpływał. Uśmiechnęła się.

Frannie z wysiłkiem odwzajemniła uśmiech, ale w tym momencie twarz Phoebe zaczęła się zmieniać, fałdować się i marszczyć, jakby należała do nadmuchiwanej lalki, z której uchodzi powietrze. Z twarzy osoby dorosłej stała się twarzą dziecka; różową buzią wrzeszczącego w kołysce niemowlęcia.

Frannie wyjęła chusteczkę i przytknęła ją Phoebe do oczu, usiłując zatamować strumień łez. Uścisnęła dłoń dziewczyny, przygarnęła ją do siebie, ale łkanie nie ustawało.

Podeszła do nich pielęgniarka.

- Chyba lepiej coś jej dam.

Phoebe potrząsnęła wściekle głową.

- Zostaw mnie. Nie chcę waszych pieprzonych pigułek. Chcę z powrotem moją rękę.

Łkała jeszcze przez chwilę, a potem łzy przestały lecieć i opadła wyczerpana na poduszkę, łapiąc powietrze otwartymi ustami, jakby wynurzyła się na powierzchnię po przepłynięciu pod wodą kilku długości basenu.

- Przepraszam. Przepraszam, Frannie - wyszeptała ochryple.

- Nic się nie stało - odparła Frannie, również szeptem, i pogłaskała ją po rękę.

Gdzieś zawyła froterka do podłogi.

- Automat owocowy - powiedziała Phoebe. - Jednoręki bandyta. To było oczywiste, prawda?

Frannie zawahała się.

- Phoebe, chcę cię o coś zapytać. Może zabrzmii to głupio, ale... czy przed wypadkiem nie widziałas małego chłopca?

Phoebe popatrzyła na nią ze zdumieniem.

- Małego chłopca z rudymi włosami?

Frannie zeszywniała.

Umysł Phoebe zdawał się rozjaśniać; jej spojrzenie nabrało ostrości.

- Tak, Frannie, widziałam go. Dużo o nim od tamtej pory myślę.

- To znaczy?

- Na krawężniku stał jakiś chłopiec. Minęłam go tuż przed wypadkiem. Pamiętam, że wydało mi się to dziwne - że jest sam na ulicy, i sposób, w jaki tam stał - jakby nie chciał przejść przez jezdnię, tylko na coś czekał.

- Dziwne? - powtórzyła Frannie jak echo, ale myślami była gdzie indziej. Słowa Olivera ostatniej nocy. *To ty jesteś powodem... To z ciebie się to bierze.* Przypomniały jej się lekcje łaciny w szkole.

Nauczyciel łaciny, który był zrędlwym starszym mężczyzną o głosie jak piła. Przypomniało jej się, jak mając trzynaście lat zapytała go, dlaczego musi się uczyć martwego języka. Nauczyciel wybuchnął gniewem. A gdy się uspokoił, kazał jej wykuć na pamięć nazwy kilkudziesięciu roślin i zwierząt, i wyrecytować je w klasie. Przypomniało jej się, jak Edward wymieniał łacińskie nazwy roślin, kiedy spacerowali we dwoje po gruntach Meston. Jak recytował w range roverze nazwy zwierząt, kiedy w

poprzednią niedzielę wieczorem wracali do Londynu.

Wyjęła z torebki zdjęcie i podała je Phoebe.

- Czy to on?

Phoebe uważnie przyjrzała się zdjęciu i popatrzyła na Frannie podejrzliwie.

- Był świadkiem wypadku? Powiedział coś?

Frannie cała się trzęsła.

- Czy to on? Czy to chłopiec, którego widziałaś?

Phoebe ponownie spojrzała na zdjęcie.

- Tak - powiedziała. - Na pewno. Pamiętam go bardzo wyraźnie. Kiedy go zobaczyłam, miałam wrażenie, że oglądam stop klatkę filmu video, że czas się zatrzymał. Wyglądał nierealnie. Niemal tak, jakby mi się przywidział. - Uśmiechnęła się mgliście. - Albo jakby był duchem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Chłopiec leżał w pozycji embrionalnej, twarzą do dołu, w wydrążonej w skale niszy wewnątrz szklanej gabloty. Razem z nim w środku znajdowały się urny i wazy, kilka metalowych bransolet i gliniane naczynie do picia. Jego twarz już dawno zniknęła, a wysuszona skóra stwardniała, tak że przypominał bardziej groteskową drewnianą rzeźbę niż kogoś, kto był kiedyś żywą istotą.

Declan O'Hare poklepał gablotę ojcowskim gestem.

- Koleś z egipskiego okresu protodynastycznego - powiedział. - Datujemy go na około 3250 rok przed naszą erą. Te ozdóbki i dzbany są typowym wyposażeniem grobów z tamtego okresu.

Frannie popatrzyła przez szybę; widziała ten eksponat już kilkakrotnie i za każdym razem czuła się nieswojo. Widok martwego człowieka w gablocie wystawowej budził w niej jednocześnie niezdrową fascynację i głęboki niepokój.

Obserwowała reakcje dwojga pozostałych asystentów wyznaczonych do przygotowania wystawy: Hermione Wallis, miła, ale niezbyt roztropna dziewczyna z haczykowatym nosem i elastyczną opaską na zaczesanych do tyłu włosach, stała z rękami w kieszeniach ogrodniczek, rozglądając się niespokojnie po sali mumii; Roger Wenceslas, ubrany w sztywne dżinsy, śnieżnobiałą koszulkę i martensy przypatrywał się pilnie maleńkim pośladkom trupa przez okulary w drucianej oprawce.

Pod wszystkimi ścianami stały mumie: kilka w pionowych gablotach, jedna w zmurszałej drewnianej skrzyni. Frannie była zmęczona. Monochromatyczne górne oświetlenie sal wystawowych po pewnym czasie stawało się uciążliwe. Człowiek zapominał, czy jest nad, czy pod ziemią.

Było wpół do jedenastej i w sali roiło się już od zwiedzających. Żywi przystawali przed zmarłymi, uśmiechając się, aby ukryć skrepowanie; uśmiechają się, ponieważ są po właściwej stronie szyby, pomyślała nagle Frannie.

- Postawa wobec śmierci - odezwał się O'Hare. - Sposób, w jaki dana cywilizacja traktuje sprawy śmierci wiele nam o niej mówi.

Przyjrzał się im kolejno, a potem skinął na Frannie.

- Jesteś dobrą katolicką dziewczyną, może mogłabyś nas oświecić w tej materii?

- Nasza cywilizacja boi się śmierci - odpowiedziała.

- Bardzo dobrze. Rzeczywiście boimy się śmierci. Boimy się Wielkiego Nieznanego. Boimy się, że nie będziemy mogli zabrać wszystkiego ze sobą.

Znów powiódł wzrokiem po całej trójce i jego żywe niebieskie oczy rozbłysły tą niemal maniacką pasją, z jaką zawsze podchodził do swej pracy.

- Spójrzcie na tego gościa. - Ponownie zastukał w gablotę. - Jaki świat zostawił za sobą? O czym myślał w ostatnich chwilach przed śmiercią?

Frannie utkwiała spojrzenie w gablocie. Leżały w niej szczątki Tristrama. Różowe bermudy z chudymi nogami i maleńkimi adidasami. Zwój jelit przypominający zdechłego węża; rozszczepione drzewce kręgosłupa.

Przycisnęła dłoń do ust i odwróciła się. Z innej gabloty patrzył na nią Jonathan Mountjoy. Miał rozchylone wargi, a na czole dziurę od kuli. Przekręciła głowę i zobaczyła jakąś szerniałą, pomarszczoną mumię; ale to nie była mumia, to była Meredith. Pustymi oczodołami spoglądała przez szybę na Frannie.

Frannie cofnęła się, pot spływał jej strumyczkiem po szyi. Wpadła na jakąś gablotę i wyciągnęła rękę, żeby odzyskać równowagę. Declan O'Hare patrzył na nią, jej koledzy również.

- Przepraszam - wyszeptała. - Przepraszam.

Wreszcie o dwunastej zebranie się skończyło. Frannie wróciła szybko do swojego pokoju, rozpaczliwie pragnąc zadzwonić do Seba Hollanda.

Penrose Spode siedział sztywno za biurkiem, ubrany niezwykle jak na niego modnie, w żółtą, zapiętą pod szyję koszulkę Lacoste i białą marynarkę. Kiedy Frannie weszła, uśmiechnął się nieśmiało, jakby potrzebował zapewnienia, że dobrze wygląda.

Zazwyczaj przychodził do pracy przed nią, ale tego ranka się spóźnił i dotąd go nie widziała.

- Cześć, udał ci się weekend? - zapytała.

- Tak, dziękuję. - Patrzył na nią wyczekująco, jak mały piesek, który chce, by go pochwalono. - A tobie?

- Miewałam bardziej udane. - Posłała mu uśmiech, który odczuła na twarzy jak skurcz. - Podobają mi się te ciuchy. Nowe?

- Kupiłem je sobie w prezencie urodzinowym.

Zaczerwienił się.

- Kiedy są twoje urodziny?

Zaczerwienił się jeszcze bardziej.

- Dzisiaj.

- Och, Penrose! Szkoda, że nie wiedziałam.

Włączyła komputer, usiadła i zaczęła przetrząsać torebkę w poszukiwaniu wizytówki Seba Hollanda.

- Świątujesz dziś wieczorem? Urządzasz przyjęcie?

Spode zwilżył językiem koniec ołówka i wypróbował go na bloku do notatek.

- Tylko cichą kolację - odparł.

Frannie pomyślała, że zabrzmiało to dość smutno.

- Moim zdaniem ciche przyjęcia są najmiłsze - stwierdziła, zdobywając się na możliwie najweselszy ton.

Spode otworzył usta, jakby chciał coś dodać, ale potem najwyraźniej zmienił zamiar i wrócił do pracy.

Frannie znalazła wizytówkę. Widniał na niej adres pewnego wysokiego biurowca w City, który zawsze ogromnie jej się podobał. Wykręciła numer, modląc się w duchu, żeby Seb był cały i zdrowy. Niezbyt uprzejma sekretarka kazała jej zaczekać, a potem na linii odezwał się wesoły głos Seba.

- Fajnie było cię spotkać tydzień temu - nie, dwa tygodnie - powiedział. - Co za niespodzianka!

- Gratuluję zaręczyn.

Jej ulgę, że Sebowi nic nie jest, zaćmiewał niepokój.

- Koniecznie daj mi swój aktualny adres. Musisz przyjść na ślub. Zresztą musimy się spotkać jeszcze przedtem, napić się czy coś przegryźć.

- Szczerze mówiąc, właśnie dlatego dzwonię. Jest coś, o czym muszę z tobą porozmawiać.

- Tak? Jakiś interes?

- Nie... - Zauważyła, że Spode pilnie nadstawia uszu. - To raczej nie jest sprawa na telefon.

- Brzmi to strasznie tajemniczo!

- Muszę się z tobą jak najszybciej zobaczyć.

- Cudem mnie złapałaś. W środę lecę do Nowego Jorku i wracam dopiero... - Urwał i Frannie usłyszała szelest odwracanej kartki. - Piątego października. Co powiesz na następny tydzień? Masz przerwę na lunch?

- Muszę zobaczyć się z tobą wcześniej, Seb. To naprawdę pilne.

- Nie może poczekać?

- Nie.

W słuchawce na chwilę zaległa cisza.

- Chryste, kompletnie nie mam czasu. Długo to potrwa?

- Niedługo. Pół godziny?

- Mogłabyś tu wpaść jutro w porze lunchu? Skoczymy gdzieś za róg.

- Tak, świetnie.

- Wiesz, gdzie to jest?

- Tak.

- Wjedź na czterdzieste piętro i zapytaj o mnie w recepcji. Koło pierwszej?

- Koło pierwszej. Dobrze.

- Podaj mi lepiej swój numer na wypadek, gdyby coś mi wyskoczyło.

Podyktowała mu telefony do domu i do pracy, po czym się zawałała.

- Seb, posłuchaj, może zabrzmiało trochę głupio, ale czy mógłbyś uważać, dopóki się nie zobaczymy?

- Uważać? Na co?

Wolałaby, żeby Spode pilnował własnego nosa i przestał podsłuchiwać; przez niego czuła się jeszcze bardziej idiotycznie.

- Jutro ci wyjaśnię.

- Dobrze. W porządku.

Seb jakby się zaniepokoił; nie jej ostrzeżeniem, o nią. Chciała coś powiedzieć, żeby uratować sytuację, ale zakończył rozmowę, zanim udało jej się cokolwiek wymyślić.

- Posłuchaj, muszę pędzić. Nie chciałem być niegrzeczny i w ogóle nie podchodzić do telefonu. Do zobaczenia jutro tutaj, dobrze?

Frannie wróciła do komputera i przez następną godzinę usiłowała się skupić na zestawianiu dla Declana O'Hare wykazu wszystkich eksponatów egiptologicznych Muzeum na podstawie centralnego banku danych. Pomyślała ponuro, że zaledwie kilka dni wcześniej z ulgą powitała wyzwolenie od monotonnego katalogowania. Ta robota zapowiadała się jeszcze gorzej. O ile będzie żyła wystarczająco długo, żeby ją skończyć.

Utkwiła wzrok w ekranie; kursor migał, czekając na następne uderzenie w klawiaturę, na następną komendę, na następną zmagazynowaną informację, do której chciała uzyskać dostęp.

Informacja. Pomyślała o numerologicznych badaniach Olivera. Kiedy rano wysadzał ją pod Muzeum, starał się być pogodny i pewny siebie, dodać jej otuchy. Ale po jego oczach poznała, że boi się tak samo jak ona.

Umysł miała zmęczony, przytępiony proszkami, które wzięła, by pomogły jej zasnąć i złagodziły szok. Nie zrobiły ani jednego, ani drugiego. Spróbowała się jednak zastanowić. Na pewno może odkryć coś więcej. Spotkała Olivera na King's Cross. Przedtem ich ścieżki skrzyżowały się w kafeterii. Może nawet zetknęła się z nim jeszcze wcześniej, gdzieś indziej. Jakiś związek Coś, co łączy ją i Halkinów. Albo jej rodzinę i Halkinów. Wszystkie te okropności nie ograniczają się do osób, które brały udział w seansie. Tristrama tam nie było. Ani Dominika. Ani matki Edwarda. Oliver wini ją. Ale może jest w jego przeszłości coś, co przed nią ukrywa.

Albo z czego nie zdaje sobie sprawy.

O pierwszej Frannie pospiesznie wyszła z Muzeum. Przemknęła między turystami i gołębiami na dziedzińcu, przecięła Great Russel Street i weszła do sklepika z gazetami. Znalazła tam wybór kart urodzinowych, które były albo nieciekawe, albo dwuznaczne i sprośne. Zdecydowała się na kartę z Horse Guard Parade, wzięła też paczuszkę małych świeczek a potem wstąpiła do sąsiedniej kafeterii, gdzie kupiła kanapkę z pastrami, cytrynową babeczkę i puszkę limonowej wody Perrier. Przysiadła na barowym stołku, szybko zjadła, wypisała kartę i schowała babeczkę do torebki. Wchodząc do gmachu Muzeum spojrzała na zegarek. Było dwadzieścia po pierwszej.

Pokazała kartę wstępu i weszła pod kopułę uświęconej ciszy Biblioteki Brytyjskiej. Chociaż Biblioteka i Muzeum mieściły się w jednym budynku, ostro ze sobą kontrastowały. Podczas gdy wnętrze Muzeum miało nowoczesny wystrój, Czytelnia Główna Biblioteki sprawiała wrażenie, jakby nic się tu nie zmieniło od wieków. Biegące kolidujące półki zastawione były starożytnymi woluminami. Pomieszczenie pachniało starymi oprawami, starym papierem, wyprawioną skórą i politurą do drewna. Ciszę mąciło jedynie skrzypienie butów, szelest odwracanych kartek i stuk klawiatury komputera.

Frannie zauważyła genealoga Archie Weira, którego już parę razy spotkała, uprzejmego mężczyznę o wiecznie zatroskanym wyglądzie. Siedział za piętrzącymi się jak barykada stertami książek pogrążony w pracy naukowej. Miał na sobie staroświecką tweedo-wą marynarkę ze skórzanymi łatami na łokciach oraz jeszcze bardziej staroświecką koszulę i krawat. Kępki siwych włosów po obu stronach jego łysej czaszki wyglądały tak, jakby zostały doklejone po namyśle, a okulary w drucianej półoprawie zsunęły mu się do połowy nosa. Studiował jakiś dokument poruszając bezgłośnie wargami, przez co przypominał Frannie królika z „Alicji w Krainie Czarów”.

Stała przed nim cicho. Po kilku chwilach podniósł wzrok, drgnął przestraszony i czoło przecięła mu

zmarszczka zastanowienia, jakby twarz i nazwisko Frannie pędziły już ku sobie w jego banku pamięci, ale jeszcze się nie zderzyły.

- Frannie. Francesca Monsanto - odezwała się. - Starożytności Wschodnie.
- A, tak, tak, tak! - Odłożył dokument. - U pana O'Hare.
- Zgadza się.
- A, tak, tak, tak.

Zaczerwienił się, co ją zdziwiło. Ale zaraz dostrzegła przez szczelinę w barykadzie rozpląszczoną papierową torebkę i nadjedzoną kanapkę. Jedzenie było tu surowo zabronione.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie chcę panu przeszkadzać.
- Nic nie szkodzi, nic nie szkodzi.

Dla podkreślenia tych słów oparł mocno dłonie o biurko i wyprostował się na krześle.

- Zastanawiałam się, czy mógłby mi pan doradzić jakieś książki o angielskiej arystokracji.
- Angielska arystokracja, tak - odparł. - Tak. Ogólna historia czy jakaś konkretna rodzina?
- Konkretna rodzina. Halkinowie - markizowie Sherfield.

Kiedy wyszeptała nazwisko, wydało jej się, że przez twarz Weira przemknął cień niechęci.

- A, Sherfield, Halkinowie, tak. - Jego entuzjazm jakby nieco osłabł. - A, tak, niech pomyślę, powinniśmy mieć tutaj ich archiwum rodzinne, jeśli zostało wydane drukiem; większość takich archiwów wydawano, na szczęście. Może stać pod nazwiskiem rodowym albo pod nazwą ich głównej rezydencji. Oczywiście będzie też coś w Debrettcie i w „Wykazie parów” Burke'a. Niech pomyślę. - Zabębnił w biurko miękkimi, pomarszczonymi jak stare marchewki palcami. - „Historia brytyjskiej arystokracji” Arkwrighta, tam też może coś być. Jak szczegółowych informacji pani potrzebuje?
- Jak tylko się da.
- Może też pani znaleźć wzmianki w paru książkach o czarnej magii.

Zanim zdążyła przetrwać tę ostatnią uwagę, wziął ogryzek ołówka, kartkę papieru i zaczął notować jakieś tytuły grubym, pochyłym charakterem pisma. Kiedy skończył, wręczył jej listę kilkunastu książek.

Podziękowała i przeszła do ogromnej czytelnicy, gdzie jak zwykle przeraziła ją sama liczba ustawionych od podłogi do sufitu woluminów. Jej zegarek pokazywał wpół do drugiej. Przez pośpiech za pierwszym razem minęła dział genealogii i zanim go znalazła, okrążyła całą salę.

Zaczęła przebiegać wzrokiem tytuły, szukając najpierw nazwiska Halkin, a potem Sherfield. Następnie przeszła wzdłuż archiwum rodziny Marlborough. Montagu. Melbourne Castle. Melksham.

Mentmore. Nagle zobaczyła. Niebieski tom grubości półtora cala z wytłoczonym złotymi literami napisem na grzbiecie: „Archiwa Meston Hall”. Obok stała „Historia Meston i rodziny Halkinów” Keenana Towse’go.

Wyciągnęła ją z półki. Chociaż cienka, była ciężka. Na okładce widniał okrągły ślad po postawieniu szklanki lub kubka. Otworzyła książkę nie ruszając się z miejsca i wciągnęła w nozdrza suchy, lekko drzewny zapach, który podniósł się z jej kart. Owalny fronto-spis przedstawiał Meston Hall, w dużo lepszym niż obecny stanie, z konnym powozem przed wejściem. Na sąsiedniej stronie umieszczono herb rodu.

Przekartkowała początek. Zawierał informacje o rodowodzie Halkinów, archiwach rodzinnych, aktach dóbr ziemskich, dokumentach stanowiących tytuły własności i dzierżawach. Przewróciwszy jeszcze kilka stron, znalazła rozrysowane na potrójnie złożonej karcie drzewo genealogiczne. Odczytała parę imion: sir Godfrey Halkin; Marie, c. Henry’ego Le Sabanne; Agnes de Bournelle; Francis Edward Alwynne, drugi markiz; Thomas; lady Prudence.

Dalej szedł spis treści, a po nim kilkanaście stron wydrukowanego drobną czcionką wstępu, który mówił o francuskich korzeniach rodziny, pierwszym Halkynne przybyłym do Anglii w 1066 roku i miejscu jego osiedlenia się.

Wróciła do spisu treści: „Pierwsi angielscy Halkinowie 1066 -1300.” „Rola Halkinów w epoce krucjat - w kraju i na obczyźnie.” „Halkinowie elżbietańscy.” „Halkinowie i wojna domowa.”

Otworzyła ten ostatni rozdział i zaczęła przebiegać wzrokiem tekst. Na szóstej z kolei stronie ukłuło ją w oczy imię drugiego markiza Sherfield. Cofnęła się o kilka paragrafów, do początku ustępu, i przystąpiła do czytania.

„Francis Halkin. Drugi markiz Sherfield. 1600 - 1652. Pozbawiony skrupułów i nieustępliwy w dochodzeniu praw rodziny Halki-nów, odziedziczył tytuł oraz rodowe posiadłości po śmierci pierwszego markiza w 1625 roku i natychmiast popadł w konflikt ze swym suzerenem, arcybiskupem Canterbury, a nawet z grupą dzierżawców w dobrach ziemskich Meston, którzy skarżyli się na jego »despotyczne władanie i niegodziwość ludzkie pojęcie przechodzącą.«”

„Należy powiedzieć, że lord Francis Halkin wyróżnia się wśród dziewięciu stuleci Halkinów całkowitym brakiem zasad moralnych. Jest czarną owcą w rodzinie, która poza tym przyczyniła się na wiele sposobów do rozwoju kraju i całego Imperium Brytyjskiego.”

„Francis Halkin był prawdziwym doktorem Jekylllem i mister Hydem, z pozoru politycznym kurkiem na dachu, w rzeczywistości chciwym i brutalnym sadystą, głęboko zaangażowanym w ciemne praktyki satanizmu i numerologii, którymi posługiwał się dla osiągnięcia politycznych i finansowych korzyści, jak również satysfakcji seksualnej najbardziej perwersyjnej natury. Podczas wojny domowej w trosce o swe bezpieczeństwo stanął najpierw po stronie parlamentarzystów, dostarczając Cromwellowi funduszy i ludzi, ale później zaczął służyć pomocą rojalistom, pozwalając im korzystać z podziemnego korytarza, biegnącego z domu Halkinów w City do Tamizy. W zamian żądał, by przyprowadzano mu dzieci, których potrzebował do usług seksualnych i rytualnych ofiar.”

„W 1652 roku jego młodszy brat, Thomas Halkin, doniósł na niego parlamentarzystom (czy powodem była odraza do jego perwersyjnych praktyk, czy chęć odziedziczenia tytułu, tego nie ustalono). Nakaz

aresztowania podpisał osobiście Oliver Cromwell, ale żołnierze, wstrząśnięci tym, co zobaczyli w jego domu, sami przeprowadzili stosowną egzekucję.”

Frannie przerzuciła kilka następnych stron ze szczegółowymi informacjami o dobrach ziemskich Halkinów, znajdujących się w trzynastym i czternastym wieku na obszarze kilku hrabstw. Dalej szły plansze ze zdjęciami. Przeglądając je nagle drgnęła i cofnęła się do jakiegoś widoku Londynu, który wyglądał znajomo.

Poczuła, że napina jej się skóra, a książka drży w dłoniach, gdy zobaczyła rycinę przedstawiającą wiktoriański Londyn. City. Ulicą jechały dorożki i konne wozy, i sklepy były inne. Ale dokładnie wiedziała, gdzie to jest. Spędziła tam większość swego dzieciństwa. Skrzyżowanie Poultry z Cheapside. W centrum było wyraźnie widać kilka frontowych budynków Poulterers' Alley.

Spojrzała na podpis pod ryciną. Litery zamazywały jej się przed oczami i musiała wyteńczyć wzrok.

„Tu znajdowała się londyńska rezydencja Halkinów. (Zniszczona podczas Wielkiego Pożaru w 1666 roku.) Obecnie teren zajmują biura i sklepy na Poulterers' Alley.”

Tam, gdzie był ich sandwich bar.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Frannie wypadła z galerii, zbiegła po schodach i popędziła korytarzem do automatów telefonicznych, pragnąc mieć więcej prywatności niż w swoim pokoju. Wysypała garść monet na blat kabiny i wykręciła numer biura Olivera.

Sekretarka poinformowała ją bardzo oficjalnym tonem, że lord Sherfield z powodu żałoby w rodzinie wyjechał w południe do swojej posiadłości i prawdopodobnie nie wróci już tego dnia do pracy.

Zadzwoiła do Meston, gdzie telefon odebrała pani Beakbane, która nie widziała Olivera i podała jej numer do Charlesa. Frannie wykręciła go po chwili wahania, ale nikt nie podniósł słuchawki.

Z bijącym jak młot sercem zawróciła do swojego pokoju. Decían O'Hare wyszedł z jakichś drzwi i zaczął iść w jej stronę, poruszając się w zwolnionym tempie niczym postać ze snu.

- Dobrze się czujesz, Frannie? Kontaktujesz? Wyglądasz tak, jakbyś niezupełnie chodziła dziś po ziemi.

- Nic mi nie jest - odparła.

JEST EST EST - poszedł pogłos po korytarzu.

- To dobrze. Nie cieszysz się z pracy przy wystawie?

- Bardzo się cieszę.

- Świetnie.

ŚWIETNIE ETNIE ETNIE. Kroki szefa zadudniły echem. Korytarz rozciągał się i skurczył, a potem

podwójne drzwi połknęły jego postać i zamknęły się z hukiem, który zabrzmiał jak stłumiony wystrzał.

Zmuszając odporne palce do posłuszeństwa odpięła zatrzask torebki, niezdarnie wyjęła cytrynową babeczkę i wbiła w nią jedną z maleńkich świeczek. Przy próbie zapalenia tekturowa zapałka wypadła jej z ręki. Oddarła następną, zapaliła świeczkę i wniosła zaimprovizowany tort urodzinowy do pokoju.

- Wszystkiego najlepszego! - powiedziała, usiłując przybrać wesoły ton.

Spode rozmawiał akurat przez telefon. Zaskoczony, podniósł wzrok. Postawiła przed nim babeczkę, wyciągnęła z torebki kartę, położyła ją obok i usiadła przy swoim biurku.

Spode pospiesznie zakończył rozmowę. Powiódł spojrzeniem od babeczki do Frannie i z powrotem, przeczytał kartę i ustawił ją starannie na blacie biurka.

- Dziękuję - powiedział zdławionym ze wzruszenia głosem. - Dziękuję, Frannie. Bardzo ci dziękuję.

Drgnęła na dźwięk dzwonka telefonu. Był to Oliver.

- Jak się masz, Frannie? - zapytał.

- Usiłowałam cię złapać - odparła, doznając wrażenia, że ma gardło pełne odłamków skał. - Znalazłam!

- Co znalazłaś?

- Związek. Znalazłam związek! - Głos odmawiał jej posłuszeństwa, słowa nie nadążały za myślami.
- Nie uwierzysz. To kafeteria. Poulterers' Alley Czy ten adres coś ci mówi?

- Nic a nic - odrzekł zdecydowanym tonem.

- Londyński dom twojej rodziny, ten, który spłonął podczas Wielkiego Pożaru, w 1666?

- Co z tym domem? Nie rozumiem cię.

- Stał tam, gdzie teraz jest Poulterers' Alley. Gdzie moi rodzice mieli kafeterię!

Oliver milczał przez dłuższą chwilę.

- Boże drogi - odezwał się w końcu. - Tam, gdzie urządziliście seans?

- Tak. To powiązanie, którego szukaliśmy, prawda? To musi być to!

- Masz pewność co do miejsca?

- Sprawdziłam to u nas w bibliotece.

- *Non omnis moriar.*

Strach popęzła po skórze Frannie niczym jakieś żywe stworzenie.

- *Non omnis moriar* - powtórzyła, nie dbając już o to, czy Spode słucha, czy nie. - Chyba zacznym rozumieć.

- Jeszcze mi się nie udało porozmawiać z biskupem - wraca dopiero późnym wieczorem. Sekretarz ma spróbować go złapać i przekazać moją prośbę o telefon. Charles jest w okropnym stanie, musiałem przyjechać, żeby uporządkować sytuację, coś poustalać, załatwić sprawę pogrzebu, odbiór ciała po sekcji. Zachorowały nowe sztuki bydła i wieczorem ma przyjechać weterynarz, ale powiedział, że raczej nie dotrze tu przed dziewiątą.

- Mogę ci w czymś pomóc?

- Nie. Chcę tylko, żebyś na siebie uważała. Zadzwoń do ciebie później, jak tylko odezwie się biskup. Mam nadzieję, że będziemy mogli się z nim jutro zobaczyć.

Kiedy Oliver się rozłączył, Frannie popatrzyła ponuro na splątany kabel słuchawki. Na brudną tarczę; na słoje drewnianego blatu biurka. Widziała otwory, zadrapania, nikły odblask światła wiszącej u góry żarówki.

Zamrugał do niej kursor na ekranie monitora. Rozplątała plastikowy kabel. Wieczne pióro Spode'a skrobało zawzięcie po liniowanym papierze notatnika. Poczowała lekki zapach stopionego wosku ze zdmuchniętej świeczki na babeczce i przypomniały jej się świece w sypialni Olivera.

Wystukała nazwę nowego pliku. Jej mózgiem sterował autopilot, bo myślała o Oliverze, o Tristramie, o Poulterers' Alley, o wieczorze sprzed trzech i pół roku.

Zadrzała. Macki wyciągały się w przeszłość. Zamknęła oczy. Gdyby tak się dało cofnąć czas. Mogłaby wtedy powiedzieć Sebowi Hollandowi, żeby jechał dalej, żeby się nie zatrzymywał, mogłaby powiedzieć, że zmieniła zdanie, że z tą piwnicą to jednak nie był dobry pomysł...

Jej rodzice mieli tę kafenię przez dwadzieścia pięć lat. Wydierżawili lokal, zanim jeszcze się urodziła. Przez całe dzieciństwo bawiła się tam, pracowała tam. Na miejscu londyńskiego domu rodziny Olivera. Na miejscu, gdzie drugi markiz mordował małych chłopców. Gdzie sam został zamordowany rozgrzanym do czerwoności pogrzebaczem.

Z czym, do licha, nawiązali kontakt, na co trafili w tej piwnicy? Co tam było przez cały czas? Przez cały czas, gdy jako dziecko bała się schodzić na dół? Ten czarownik? Ten cień, to szurnięcie, które zabrzmiało jak powłóczenie nogą - czy to był on?

Na ekranie pojawił się niewłaściwy plik. Zaczęła czytać, zbyt przestraszona swymi myślami, by się zirytować. „*Homo habilis*. Skhul. Vindja. Górny paleolit. Człowiek jawajski. Człowiek pekiński.” Kości. Zmarli, dawno zmarli. Cokolwiek się wydarzyło, nie ma już znaczenia, chyba że istnieje jakiś równoległy wszechświat, czy jak tam nazwać to, o czym niedawno mówił Declan O'Hare.

Nie ma czegoś takiego jak duchy.

Penrose Spode patrzył na nią.

- Dobrze się czujesz, Frannie?

- Tak, doskonale.

- Płaczesz.

Zaskoczona dotknęła dłońmi policzków. Były mokre. Pociągnęła nosem, wyjęła chusteczkę i otarła twarz.

- Przepraszam - powiedziała, jeszcze raz pociągnęła nosem i zmusiła się do uśmiechu.

Spode zacisnął wargi w niemych przeprosinach za natręctwo, ale nadal na nią patrzył. Pomyślała, że chyba nigdy nie wróci do pracy. Nagle oparł łokcie o biurko, złożył razem czubki palców obu dłoni i nieśmiało pochylił głowę.

- Nie wiem... czy nie masz innych planów... ale... hmm... gdybyś nie miała... hmm... czy zjadłabyś dziś ze mną kolację?

- To znaczy przyszła na twoje przyjęcie urodzinowe?

- Nie ma żadnego przyjęcia - odparł cicho. - Nic na dzisiaj nie planowałem.

Spojrzała na niego ze zdumieniem i współczuciem. Rozważyła perspektywę powrotu do pustego mieszkania, czekania na telefon Olivera, siedzenia w samotności ze swymi myślami. Nie chciała być sama.

- Jasne - powiedziała. - Z przyjemnością.

Penrose Spode się upił. Frannie poznawała to po jego nieskoordynowanych ruchach, po gestykulacji rękami, po tym, że wyraz jego twarzy stawał się coraz bardziej błogi, a głos niewyraźny. Ona też się upiła; alkohol ją rozweselił, sprawił, że poczuła się bezpiecznie, że wszystko zaczęło jej się wydawać po prostu złym snem, niczym więcej.

Spode spróbował wyjąć pałeczkami orzeszek ziemny z mazi ciemnego sosu. Końce pałeczek stuknęły o siebie dobry cal od celu. Próbował dalej, z trudem wyęzając wzrok, i w końcu triumfalnie podniósł swą zdobycz do góry. Kiedy windował go do ust, orzeszek wyskoczył z pałeczek i potoczył mu się po piersi, zostawiając lepki brązowy ślad między ziarenkami ryżu, które już zdobiły jego żółtą koszulkę.

- Uuupsz! - zawołał.

Frannie chciała pozostać pijana, upić się jeszcze bardziej. Dała znak kelnerowi, żeby przyniósł następną butelkę Pinot Grigio. Spode udał przerażenie i zaczął polować na grzybek w innej z licznych tajskich potraw stojących na stole. Podniósł go do góry, ale grzybek wystrzelił spomiędzy pałeczek i poleciał ślizgiem po białym obrusie niczym krążek hokejowy.

- Zawsze interesowałeś się archeologią? - spytała Frannie.

Spode zawisł pałeczkami nad nieposłusznym grzybkiem, jakby chciał go złapać przez zaskoczenie.

- Tak.

- Co konkretnie cię interesuje?

Skłonił głowę w bok, wychylił się trochę do przodu i pociągnął Frannie ku sobie, jakby miał jej zdradzić wielką tajemnicę.

- Przeszłość do mnie mówi.

- Mówi?

- Tak.

Wydłubała z półmiska pikantną, aromatycznie przyprawioną krewetkę. Spode śledził wzrokiem jej palczki, jakby prezentowała sztukę magiczną.

- Chcesz powiedzieć, że rozmawiasz z przeszłością? Co sobie mówicie?

Wyszczrzył zęby w uśmiechu, ale natychmiast zakrył usta dłonią i na powrót przybrał swój typowy, apatyczny wyraz powagi.

- Psychometria - oznajmił, zniżając głos.

- Co?

- Mam dar.

- Psychometria?

Kelnerka przyniosła butelkę i wahała się, komu nalać kieliszek do spróbowania. Frannie rozstrzygnęła jej dylemat. Po pikantnej krewetce paliło ją w ustach i kosztując wina prawie nie czuła smaku.

- W porządku - stwierdziła i znów spojrzała na Spode'a. - Co to jest psychometria?

- Potrafię mówić o zdarzeniach z przeszłości dotykając przedmiotów.

- To znaczy jesteś medium?

Oblał się rumieńcem.

- Coś w tym rodzaju.

Frannie zjadła kawałek dorsza w imbirze.

- Cicha woda z ciebie!

Spode ujął w dłonie świeżo napełniony kieliszek i zniżywszy do niego usta wypił odrobinę. Wino pociekło mu po brodzie.

- Jeśli mówisz o takich rzeczach, ludzie myślą, że jesteś trochę...

- Postukał się w ciemię. - No wiesz...

- Więc co potrafisz powiedzieć dotykając przedmiotów?

- To zależy

- Od czego?

- Od mocy śladów.

Zmierzył wzrokiem krewetkę, a potem popatrzył niepewnie na swoje pałeczki.

- Od stanu przedmiotu. Od tego, gdzie był przechowywany.

- Dlaczego to ma wpływ?

- Przedmioty wylapują wszelkie emocje, które przeżywa się w ich pobliżu.

- W jaki sposób?

Pochylił się do przodu i przez chwilę myślała, że ma zamiar ją pocałować.

- Podobnie jak ściany, wchłaniają różne rzeczy w swe cząstki molekularne czy gdzieś tam. Ja potrafię te rzeczy odczytywać. Zwykle najlepiej udaje się to w wypadku przedmiotów osobistych albo takich, które bardzo długo leżały w spokoju pod ziemią.

- Co rozumiesz przez przedmioty osobiste?

- Pierścionki. Zegarki. Bransoletki.

- Mógłbyś odczytać mój zegarek?

Popatrzył na jej odrapanego kwarcowego Citizen'a.

- Jak długo go masz?

- Dostałam go od ojca na szesnaste urodziny.

Spode odłożył pałeczki. Zdjęła zegarek i podała mu go. Zacisnąwszy na nim dłoń, wbił spojrzenie w sufit z taką intensywnością, że jego źrenice niemal zniknęły i widziała jedynie białka oczu.

Przestraszona wyrazem jego twarzy, obudziła się z przyjemnego zapomnienia.

- Wyczuwam jakiegoś młodego mężczyznę z czerwonym sportowym samochodem i powiązanie z rybami. Myślę, że miałaś chłopaka, który był sprzedawcą ryb. Właściwie nie chłopaka, kogoś, z kim się spotykałaś, ale kogo nie lubiłaś. Ludzie chcieli, żebyś za niego wyszła, ale ciebie to nie interesowało; coś prawie jak ułożone małżeństwo, tak czuję. Źródło niezgody między tobą i twoim ojcem. Ojciec bardzo chciał, żebyś za tego chłopaka wyszła, bo jego rodzina miała mnóstwo pieniędzy. A teraz wyczuwam jeszcze większy konflikt między tobą i ojcem. Zawsze ty i ojciec, twoja matka jest łagodna; to z ojcem walczysz i czujesz się z tego powodu winna, ale nigdy się nie poddasz, bo masz bardzo stanowczy charakter.

Wpatrywała się weń ze zdumieniem. Mówił coraz głośniej, z rosnącym zapamiętaniem.

- Tak, tak, archeologia; kość niezgody! Ojciec był zły, że chcesz studiować archeologię, bo nie ma w niej pieniędzy. Często się o to kłóciliście. Masz młodszą siostrę, która zawsze nosi czarny kapelusz. Jesteś teraz głęboko zakochana w mężczyźnie, którego poznałaś na dworcu kolejowym.

Spode zamilkł.

Ludzie odwracali się i patrzyli na nich. Frannie zdała sobie sprawę, że rozmowy przy innych stolikach ucichły; drżała pod wpływem jakiegoś dziwnego prądu, który przez nią przepływał, zakłócając rytm jej ciała, i czuła, że ma silne wypieki. Minęła dłuższa chwila, zanim zebrała myśli na tyle, by mogła się odezwać.

- To niesamowite, Penrose.

Zmarszczyła mocno brwi, usiłując przebiec myślami ich znajomość, przypomnieć sobie, czy kiedykolwiek coś mu z tego mówiła. Wymieniali grzeczności i dyskutowali o pracy, ale nigdy dotąd nie rozmawiali o sprawach osobistych.

- Możesz mi powiedzieć coś więcej o tym mężczyźnie, którego poznałam na stacji kolejowej?

Spode zamknął oczy.

- Ma syna. Nie ma żony. Umarła.

- A jego syn? Możesz mi powiedzieć coś o nim?

Przyglądała się, jak siedzi w milczącym skupieniu. Jego źrenice znów niemal całkowicie zniknęły; mocno zaciskał dłoń na zegarku, drżąc z napięcia. Nagle, całkiem niespodziewanie, gwałtownym ruchem wysunął rękę do przodu i rozprostował palce, podając jej zegarek z ciężkim wyrzutem na twarzy.

- Lepiej zabierz go z powrotem.

Poczuła, że trzeźwieje i nerwy znowu odmawiają jej posłuszeństwa.

- Co się stało?

- Weź go - powtórzył. - Proszę, weź.

- Nie możesz powiedzieć mi więcej? Proszę, Penrose.

- Wszystko jest zamazane, za dużo sprzecznych emocji. Za dużo wypilem. Odbieram tylko przeszłość, nie odbieram teraźniejszości.

- Myślałam, że dzięki psychometrii media potrafią przepowiadać przyszłość.

Z ociąganiem zapięła zegarek na rękę. Spode omiół półmiski podejrzliwym spojrzeniem, jakby lustrował wrogie terytorium.

- Chęć przepowiadania przyszłości świadczy o arogancji - powiedział, kręcąc pałeczkami nad strączkiem groszku, wystającym jak zielony palec z potrawy, której zamawiania nie pamiętała. - Przedmioty nie są kryształowymi kulami; przypominają raczej magnetowidy; jest w nich zarejestrowana przeszłość, nie przyszłość. A ja nie jestem medium.

Sprawiał wrażenie skrepowanego i unikał jej wzroku. Strączek wypadł na obrus. Podniósł go pałeczkami ze zręcznością, która zdumiała nawet jego samego. Frannie usłyszała chrupnięcie, gdy wgryzł się zębami w kruche warzywo, a potem zobaczyła, jak oblizuje wargi z satysfakcją człowieka, który zrobił mały, ale znaczący krok na drodze osobistego rozwoju. Przyglądał się pałeczkom nowym, triumfującym spojrzeniem, jakby z wrogów stały się jego przyjaciółmi.

- Czy to, co zrobiłeś, nie było po prostu telepatią? Nie odebrałeś tych myśli podświadomie z mojej głowy?

- Mogłem to zrobić.

Nagle sposepniał i zobaczyła tego Penrose'a Spode'a, którego znała z pracy, wyniosłego, drażliwego introwertyka.

- Ale kiedy trzymam w ręku miseczkę, która dwa tysiące lat temu należała do asziokańskiego wojownika, i poznaję jego przeżycia, nie sądzę, by jego szczątki mogły komunikować się ze mną telepatycznie.

- Nie chciałam cię obrazić... tylko że... to, co mi powiedziałaś, jest niewiarygodne. Takie dokładne.

Udobruchany wypił trochę wina, a potem znów pochylił się ku niej, rozglądając się czujnie dookoła.

- Parę razy pomagałem mojemu bratu - powiedział ściszym głosem i pokiwał głową z miną człowieka znającego się na rzeczy.

- Nie wiedziałam, że masz brata.

- Jest księdzem.

Podniósł kieliszek do ust i stwierdziwszy ku swemu zaskoczeniu, że jest pusty, wyjął butelkę z wiaderka z lodem. Kiedy napełniał po brzegi obydwie kieliszki, na talerz ściekł mu strumyczek wody.

- Ty też jesteś religijny?

Potrząsnął głową.

- Nie żyjemy ze sobą najlepiej.

- W czym mu pomagałeś?

- Nawiedzenia. Pamięć miejsc. Jest diecezjalnym egzorcystą. Wie, że to, co potrafię robić, nie jest telepatią.

- Jest egzorcystą?

- Nie ma tego tytułu, ale właśnie taką funkcję pełni.
- Dla kogo pracuje?
- Dla Kościoła anglikańskiego.
- Oni mają egzorcystę?
- Nawet kilku. Musi przeprowadzać badania - kiedy ludzie w parafii sądzą, że mają ducha w domu, czy w pubie, czy gdzieś indziej. Musi tam iść i sprawdzić, co to takiego. Chodziłem z nim i robiłem swoje.
- Czytając z przedmiotów?
- Z przedmiotów. Albo ze ścian.
- Nie widzę tu związku z egzorcyzmami.
- Niektóre duchy są pamięcią miejsc, którą ludzie niechcący obudzili. Mogę mu odczytać, czym są.
- Ze ścian?
- Głównie.
- Nie odczuwasz strachu?

Ostrożnie podniósł pełen kieliszek.

- Przeszłość nie ma w sobie nic strasznego; nie może ci zrobić krzywdy.

Spuścił wzrok, jakby nie chciał spojrzeć jej w oczy.

- Wiesz coś o seansach spirytystycznych?

Przyjrzał się powierzchni wina, odstawił niepewnie kieliszek i znów wziął do ręki pałeczki.

- Mój brat ich nie lubi.

Omiótł spojrzeniem półmiski i wyłowił kolejnego grzybka.

- Przychodzi do niego dużo ludzi, którzy po seansach mają problemy.
- Jakiego rodzaju problemy?

Grzybek wypadł mu spomiędzy pałeczek w odległości kilku cali od ust, ale nie zauważył tego; nagle poblądł, wstał i nie mówiąc ani słowa ruszył szybkim, chwiejnym krokiem w głąb restauracji. Kiedy po dziesięciu minutach nie wracał, Frannie zeszła wąskimi schodami na dół, żeby go poszukać. Było tam dwoje drzwi, jedno z sylwetką mężczyzny, drugie kobiety. Zapukała do tych z mężczyzną, ale nikt nie odpowiedział. Otworzywszy je nieśmiało, poczuła ostry fetor wymiocin. Spode leżał skulony na podłodze pod umywalką i spał.

Wytarła mu twarz wilgotnym papierowym ręcznikiem, zapłaciła rachunek za oboje i poprosiła kierownika, żeby wezwał taksówkę. Spode oprzytomniał na tyle, by się do niej dowlec, podtrzymywany przez Frannie i kelnera, a nawet spróbował podać kierowcy swój adres:

- Spenrose Pode. Numer siemsiąt siem.

Taksówka zatrzymała się przed wiktoriańskim budynkiem w

Wandsworth, gdzie, jak Frannie wiedziała, mieszkał. Pomogła mu dojść korytarzem do drzwi i przypilnowała, żeby wszedł do środka. Mieszkanie było równie schludne i bezosobowe jak jego biurko w Muzeum. Popatrzył na nią zamglonymi oczami i zrobił ogromny wysiłek, żeby odezwać się do rzeczy.

- Mój brat mógłby ci pomóc - wymamrotał, a potem się potknął i musiała go łapać.

- Dziękuję.

- Zadzwoń do niego rano.

Frannie kręciło się w głowie od wina i ze zmęczenia. Wsiadłszy z powrotem do taksówki natychmiast usnęła. Obudziła się gwałtownie pod swoim domem, zapłaciła kierowcy sumę, którą w zwykłych okolicznościach trudno by jej było przeboleć, i wygramoliła się z samochodu. Trzymając się kurczowo poręczy zeszła chwiejnym krokiem po schodkach, a na dole grzmotnęła z hałasem w pojemniki ze śmieciami.

Weszła do mieszkania, patrząc na rozsypaną po podłodze pocztę. Kiedy zamknęła drzwi, otoczyła ją cisza.

Zbyt wielka cisza.

Nagle całkowicie wytrzeźwiała. Spojrzała z lękiem w głąb pustego korytarza, cofnęła się do drzwi i, nasłuchując, położyła dłoń na yalowskiej zasuwce. Coś było nie tak. Nie słyszała nic oprócz brzęczenia lodówki. Zrobiła krok. Potem drugi. Drzwi sypialni były otwarte. Drzwi kuchni również. Wylewała się z nich ciemność. Drzwi pokoju też były otwarte. Przez okno sączył się pomarańczowy blask latami ulicznej.

Sączył się przez ciszę.

Zrobiła kolejny krok. Przystanęła. W górze usłyszała głosy. Krzyk mężczyzny. Potem kobiety. Para sąsiadów znów się kłóciła. Zapłakało dziecko. Dźwięki innego życia dodały jej odwagi i postąpiła jeszcze jeden krok. Pchnęła drzwi pokoju, wyciągnęła rękę i włączyła światło.

Nic się nie poruszyło. Niczego nie było. Pusty pokój. Zasłony rozsunięte, nie ruszone. Rzymska waza stała na stoliku do kawy. Powoli weszła do środka, rozglądając się wokół. Coś w przedpokoju przyciągnęło jej wzrok; jakiś przesuwający się cień; a może tylko jej się przywidziało. Utkwiła spojrzenie w drzwiach, obserwując pustkę. Czuła ucisk w uszach, jakby znajdowała się w startującym samolocie, i przełknęła ślinę, żeby go złagodzić. Nagle zadzwonił telefon i cisza rozprysnęła się niczym pękające szkło.

Chwyciła słuchawkę i podniosła ją do ucha.

- Tak, halo? - wyszeptała, jakby się bała, że ktoś jest w mieszkaniu i może ją podsłuchać.
- Frannie?

Głos należał do Olivera.

- Frannie? Wszystko w porządku?
- Tak.

Znów tylko szept.

- Dzwonię do ciebie cały wieczór. Odchodziłem od zmysłów.

Obserwowała przedpokój. Cień znowu się poruszył. Znieruchomiał. Znowu się poruszył.

- Gdzie jesteś?
- W Meston.

Nagle zewsząd obskoczyły ją cienie. Podniosła wzrok. Zwisająca z sufitu lampa kołysała się jak szalona na wietrze.

Tylko że nie było wiatru.

Strach przeniknął ją do szpiku kości. Lampa zaczęła się huśtać szybciej. Tani, obszyty frędzlami abażur koloru pergaminu; brązowy przewód. Szybciej. Druciany szkielet zazgrzytał o bakelitową oprawkę. Szybciej. Ażur uderzył w sufit i przewód na chwilę się odprężył; potem znów się wahał i lampa stuknęła w sufit po przeciwnej stronie; abażur pękł, na podłogę spadł kawałek suchego, przypominającego papier materiału.

- Frannie? Frannie? Jesteś tam?

Lampa zabujała się w drugą stronę i uderzyła w sufit jeszcze mocniej, jakby z gniewem; od abażuru odpadł duży kawałek. Lampa znów się zabujała. Znów uderzyła w sufit. Uderzyła z wściekłością.

Frannie wrzasnęła i podniosła ręce do góry. Kawałek abażuru i druciany szkielet spadły na podłogę, mijając ją w locie zaledwie o kilka cali. Zerwała się na równe nogi, skoczyła za kanapę, pociągając za sobą telefon i wpatrując się w lampę ze śmiertelnym przerażeniem.

- Frannie?

Tym razem lampa zakołysała się jeszcze mocniej. Odleciały z niej resztki abażuru, odsłaniając naga żarówkę i kilka sterczących drutów.

- W tej chwili wyjeżdżam, Frannie. Za godzinę będę u ciebie.

Coś błysnęło jej nad głową, a potem całe mieszkanie pogrążyło się w ciemności.

Rzuciła słuchawkę, wypadła do przedpokoju, popędziła do drzwi wejściowych, otworzyła je szarpnięciem i wspięła się po schodkach na ulicę, gdzie stanęła zlna zimnym potem, opierając się o balustradę i łapiąc ustami powietrze.

Nie poruszając się, nie oglądając się na mieszkanie, pozostała tam przez ponad godzinę, dopóki nie błysnęły jej w twarz reflektory range rovera i Oliver nie wziął jej w ramiona.

- To mi się nie przywidziało.

Oliver naprawił korki i siedzieli w pokoju na kanapie.

- Naprawdę.

Dopiero teraz zauważyła, jak bardzo jest wyczerpany. Twarz miał bladą, umazaną smarem, włosy w nieładzie, a dłonie brudne. Jego ciemnoszary garnitur w prążki był wygnieciony, górny guzik koszuli odpięty, krawat rozluźniony. Patrzył na rzymską wazę.

- Dzwonił biskup. Był bardzo uczynny. Wyjaśniłem mu, że jesteś katoliczką - a raczej byłaś, ale powiedział, że to nie ma znaczenia. Skierował mnie do jakiegoś londyńskiego proboszcza, który jest diecezjalnym egzorcystą na ten rejon. Procedura, jak przypuszczam. - Wepchnął ręce do kieszeni spodni. - Próbowałem się do niego dodzwonić, ale nie było go w domu. Zostawiłem wiadomość na sekretarce. Masz jutro czas?

- Jem lunch z Sebem Hollandem.

- Może powinien pójść do tego księdza razem z nami?

- Jeśli uda mi się go namówić.

- Będziesz rano w pracy?

- Tak.

- Wiadomość, którą zostawiłem... Poprosiłem, żeby jeśli nie da rady mnie złapać, zadzwonił do ciebie. Podałem mu obydwa twoje numery.

- Jak się nazywa?

- Nazywa się... - Parę razy strzelił palcami. - Jakoś tak dziwnie.

Wyciągnął kalendarzyk, otworzył go i przewrócił kilka stron; potem najwyraźniej miał kłopoty z odcyfrowaniem własnego charakteru pisma.

- Kanonik Benedict Spode - przeczytał w końcu.

- Spode?

Oliver skinął głową.

- Chyba tak.
- S-P-O-D-E? - przeliterowała.
- Tak. - Spojrzał na nią ze zdumieniem. - Dlaczego? Znasz go?

Popatrzyła mu w oczy.

- Czy te zbiegi okoliczności nigdy się nie skończą?

Zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem.

Pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Pracuję w jednym pokoju z jego bratem. Dzisiaj byliśmy razem na kolacji.

Strona w terminarzu Frannie miała nagłówek „25 września, wtorek”.

Siedziała przy biurku i usiłowała pracować, czekając na dzwonek telefonu i przepowiadając sobie w głowie to, co chciała wyłożyć Sebowi Hollandowi. Starła się zachować rozsądek, starała się myśleć o wszystkim, co się wydarzyło, a jednocześnie o tym nie myśleć. Nie myśleć o Tristramie. O kikucie Phoebe. O chorobie zżerającej Maxa Gabriela.

Okropnie bolała ją głowa. Ranek był wilgotny i pochmurny, na dworze wiał silny wiatr; lodowaty strach przenikał całe jej ciało, świdrował w brzuchu i przyprawiał o mdłości. Żałowała, że nie włożyła czegoś cieplejszego niż ciemnogrnatowa płócienna garsonka i wiśniowa bluzka, w które się wystroiła na spotkanie z Sebem, jak również na wizytę u księdza.

Penrose Spode zjawił się dopiero po jedenastej. Wśliznął się bez słowa do środka, powiesił swój kolarski rynsztunek na haku i przeszedł przez pokój dziwnie wyprostowany, jakby wracał właśnie z lekcji dobrych manier.

Opadł na krzesło i starannie położył dłonie na biurku. Twarz miał równie bladą jak wtedy, gdy Frannie znalazła go na podłodze ubikacji. Uśmiechnął się przepraszająco, po czym się skrzywił, jakby rozciągnięcie warg sprawiło mu ból.

- Dzień dobry - odezwała się Frannie.

Spode poruszył ustami w niemej odpowiedzi.

- Jak się czujesz?

- Dość kiepsko. - Rozejrzał się po pokoju, jakby usiłował sobie przypomnieć, gdzie jest. - Chyba to jedzenie było dla mnie trochę za ciężkie. Dziękuję za...

Podniósł ręce do góry i opuścił je, oblewając się rumieńcem, a potem zamknął oczy i mocno ścisnął dłońmi skronie.

- Nie bardzo umiem pić.
- Wlaliśmy w siebie całkiem sporo.

Wyglądał tak, jakby miał zamiar wstać.

- Chyba pójde po kawę. Napijesz się?
- Mówiłeś wczoraj o swoim bracie.

Przyłożył rękę do czoła i skinął głową.

- Już z nim rozmawiałem.
- Naprawdę?
- Dlatego się spóźniłem. Poszedłem do niego.
- Tak?
- Chciałem mieć pewność, że zrozumie.
- Dziękuję - powiedziała zaskoczona.
- Umówiłem cię z nim na wpół do siódmej dziś wieczór. Pasuje?
- Tak... tak, dzięki.
- To dobrze.

Zamilkł i przez chwilę wydawał się być myślami gdzie indziej. Potem wstał.

- Czarna, bez cukru?
- Tak, dziękuję. A może ja przyniosę?
- Nie, dam sobie radę.

Ruszył przez pokój, szurając nogami jak starzec. Przy drzwiach zatrzymał się i popatrzył na nią.

- Pójdiesz, prawda?
- Oczywiście.
- To bardzo ważne.
- Tak, wiem.

- Po prostu nigdy nie jestem do końca pewien, czy mówisz poważnie, czy żartujesz.
- Jestem poważna, Penrose. Naprawdę poważna. I chciałabym wziąć kogoś ze sobą, jeśli to możliwe.
- Spojrzała na niego, ale nie udało jej się odczytać żadnej reakcji. - Nazywa się Seb Holland.

Spode bez słowa wyszedł z pokoju i pokuśtykał korytarzem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Frannie wyszła ze stacji metra Bank za kwadrans pierwsza, mrużąc oczy od słońca, które wyjrzało właśnie zza chmur. Ożywczy jesienny wiatr przewiewał na wylot jej cienkie ubranie, irytująco miotał włosami, targał żakietem i spódnicą.

Przystanęła na czerwonym świetle. Ulicą przejechał odkryty autokar wycieczkowy. Za nim taksówka, a potem BMW, w którym kierowca rozmawiał przez telefon. Obok przemknął goniec na ryczącym motocyklu. Łomotał młot pneumatyczny i razem z nim łomotały jej nerwy.

Po drugiej stronie ulicy jakaś ładna dziewczyna wyszła lekkim krokiem z biura i przywitała się uściskiem oraz długim pocałunkiem z młodym mężczyzną w garniturze. Frannie obserwowała z zazdrością, jak beztrudnie biorą się pod ręce i odchodzą. Życie toczyło się normalnym rytmem, tylko ona była zeń wyłączona.

Chodniki były pełne spieszących się ludzi. Mijali ją mężczyźni w ciemnych garniturach i papuzich krawatach, kobiety w garsonkach, z dumnie zawiązanymi na szyjach apaszkami od Hermesa lub Corneli James. Samochody zatrzymały się i przeszła przez ulicę.

Ludzie stali w kolejkach w sandwich barach, a mijając pub usłyszała typowy dla pory lunchu gwar. Potem weszła w cichy cień fasady gotyckiego kościoła. Podniosła wzrok na pozbawioną okien ścianę. Strach przywarł jej do skóry niczym mosiądz do kalki kreślarskiej, znacząc jej twarz ciemnymi liniami. Zawyla syrena. Zwolniła kroku, niepewność pętała jej nogi. Ulicą śmignęła karetka pogotowia, wirujący upiór syreny ubił jej zawartość żołądka jak trzepaczka do piany.

Mijała widoki tak dobrze znane jej z dzieciństwa, że ledwo je zauważała. W City rzadko coś się zmieniało; a gdy już, były to zmiany brutalne: radykalne operacje chirurgiczne; znajomy, swojski element krajobrazu wycinano jak pierś w czasie mastektomii; dźwigi i szkieletowe belki sterczały do góry niczym protezy kończyn. Przeszła obok sklepu płytowego Record Album, Austina Reeda i drogerii Bootsa, czerpiąc otuchę z faktu, że nadal tu są. Zamrugały przed nią pomarańczowe światelka. Pachołki na środku ulicy. Trójkąt barierek; reflektory nie zapalonych czerwonych latami. Poczowała pierwsze ukłucie niepokoju, gdy zobaczyła wychodzący na jezdnię płot, który okalał cały kwartał pustych budynków; gdy dostrzegła umieszczoną na nim olbrzymią tablicę: BRACIA MACFAZEDEAN PLC. CITY FIELDS DEVELOPMENT.

Bracia MacFazedean. Nazwisko utkwilo jej w przetyku. Dranie. Gładcy młodzi mężczyźni w szarych prążkowanych garniturach, którzy wręczyli nakaz eksmisji, wysłuchali błagalnej przemowy jej ojca bez jednego drgnienia mięśni twarzy i mieli czelność powiedzieć mu, że tak będzie najlepiej dla wszystkich.

Była to duża inwestycja. Siedem akrów. Ze środka wyrastały dwa gigantyczne dźwigi, na ramieniu

jednego z nich kołysała się groźnie kula burząca. Kakofonia dźwięków rozmaitych maszyn drażniła uszy, a nad całym placem budowy wisiał obłok pyłu.

Fasady niektórych budynków widocznych nad wysokim płotem wyburzono, odsłaniając wszystkie pokoje niczym w scenie z wojennego filmu o Blitzu, i Frannie na chwilę poczuła się tak, jakby coś wydarto z niej samej, jakby wystawiono na widok publiczny jej żywe ciało. Poulterers' Alley 14 było gdzieś za tym płotem. Przeszła na drugą stronę ulicy i pobiegła po deskach, które zastępowały chodnik, mijając elegancką czerwoną tabliczkę z napisem „Garbutt McMillan Architekci”.

Orientując się według sklepów po przeciwnej stronie, dotarła do miejsca, gdzie powinna się zaczynać Poulterers' Alley, ale płot przecinał jezdnię, zagradzając do niej dostęp. W płocie były szczeliny i przyłożywszy oko do jednej z nich stwierdziła, że patrzy prosto w zaułek. Wyglądał ponuro i smutno; okna były zabite deskami, drzwi pozamykane. Wszystko, co pozostało, to szyldy sklepów i biur. Dostrzegła kafeterię i narastający strach przytłumił jej smutek.

Cały środek placu budowy został wypatroszony. Mogła zajrzeć aż do piwnic. Jedna była pełna wody, druga samego błota, z którego sterczały żelazne szyny. Hak zwisający z ramienia potężnego dźwigu obniżył się i kula burząca zniknęła jej z oczu. Po chwili usłyszała łoskot walącego się muru, zgrzyt zmieniania biegu w buldożerze, brzęk metalu, a na koniec monotony syk sprężonego powietrza.

Od pyłu zaschło jej w gardle. Ruszyła dalej i dotarła do wejścia na budowę. Przez szeroko otwartą bramę weszła na zasypany gruzem, błotnisty i zryty koleinami plac. Wrzała tam praca: buldożery; zwalające ładunek wywrotki; robotnicy w kaskach ochronnych robiący pomiary, kopiący, wiercący. Dwaj mężczyźni przymocowywali żelazną szynę do haka dźwigu. Trzej inni, stojący na dachu, wciągali na linie narzędzia. Ktoś wykrzykiwał polecenia. Po prawej stronie Frannie kula burząca uderzyła w nie podpartą niczym ścianę budynku na tyłach Poulterers' Alley. Ściana odchyliła się. Kula uderzyła ponownie. Podążający jej śladem buldożer chwycił gruz w szpony jak krab pożerający padlinę na dnie morza. W jednym z głębokich prostokątnych dołów żółta koparka zbijała kamienną podłogę, odrywała wielkie kawały, podnosiła je i rzucała na wywrotkę. Wyglądało to tak, jakby wydzieriała wnętrzości samej ziemi. Frannie zrobiła krok nad jakimiś kablami, a potem musiała się usunąć z drogi kolejnej ciężarówce. Spojrzała na zegarek. Za pięć pierwsza.

Odwróciła się, opuściła budowę i przyspieszając kroku przeszła przez jezdnię. Kiedy dotarła na koniec następnej ulicy, zobaczyła przed sobą biurowiec Seba Hollanda: Winston Churchill Tower o ścianach koloru brązu, strzelających na sześćdziesiąt pięter w górę z otwartego placu. Jej ulubiony nowoczesny budynek. W dzieciństwie obserwowała, jak rósł, ale nigdy nie była w środku.

Pamiętała, że zawsze wydawał się zmieniać pod wpływem pogody. Teraz nagle pociemniał, gdy chmura przesunęła się wąskim korytarzem nieba niczym pokrywa otworu dachu. Dziki podmuch przeleciał przez plac z gwizdem górskiego wichru, zginając krzewy iglaste w marmurowych donicach, rozpryskując strumienie fontann; kropelki wody uderzające Frannie w policzek wywołały na chwilę złudzenie deszczu. Żakiet łopotał jej jak żagiel i musiała przytrzymać go mocno na piersiach. Lokalne głosy krytyki mówiły, że budynek wytworzył dyszę powietrzną.

Frannie weszła przez obrotowe drzwi do przestronnego, wyłożonego marmurami hallu, który wydał jej się dziwnie cichy. Usłyszała dzwonek windy, potem następny. Nazwy mieszczących się w budynku firm były wryte na wysokiej mosiężnej tablicy jak rejestr fundatorów na ścianie katedry. Przebiegła tablicę wzrokiem.

Czterdzieste piętro, tak jak powiedział jej Seb Holland.

Środek hallu zajmowała jakaś rzeźba Henry'ego Moore'a i stanowisko podstarzałego portiera w czarnej serży. Klapy jego marynarki zdobiły rzędy odznaczeń, a ramiona biały sznur. Za nim hall się zwęzał, przechodząc we wnękę z czterema windami po każdej stronie. Jedna z nich wypłuła grupę mężczyzn, którzy w milczeniu ruszyli do wyjścia. Z innej wyłoniły się dwie młode urzędniczki. Minęły Frannie głośno paplając.

Z kolejnej wyszedł mężczyzna i mówiąca z emfazą kobieta. Frannie wsiadła do windy. Jej podłogę pokrywał gruby brązowy dywan, na czarnych lakierowanych ścianach wisiały przydymione lustra. Pachniało perfumami, których nie rozpoznała.

Kiedy dotknęła guzika z numerem czterdzieści, zabłysło światelko, ale przez moment nic się działo. Poprawiła włosy przed lustrem, a potem wyjęła z torebki chusteczkę higieniczną i szybko starła ze swych granatowych pantofli błoto placu budowy. Drzwi się zamknęły, zdecydowanie i gładko. I znów przez chwilę nic się nie działo. Potem jakaś niewidoczna ręka chwyciła Frannie za wnętrzości i podniosła ją do góry. Dywan mocno nacisnął od spodu na jej stopy. Poczowała wielki ciężar w kolanach. Rozległ się świst powietrza i ciche dudnienie. Na cyfrowej tablicy ponad drzwiami zaczęły wyskakiwać numery pięter. Żołądek podszedł jej do gardła. 15 20 25 30 35.

Nacisk na jej stopy zelżał. Żołądek delikatnie opadł. Numery zwolniły, 38, 39, a potem stanęły. 40. Dzyń. Otworzyły się drzwi. Wyszła nieco oszołomiona na korytarz. Na wprost miała drugi komplet czterech wind, a z prawej i lewej strony podwójne dębowe drzwi. Na tych z lewej wisiała duża mosiężna tabliczka z napisem: HOLLAND DELARUE PLC. RECEPCJA.

Weszła do okazałego, wyłożonego dębową boazerią pokoju z głębokimi skórzanymi fotelami i kanapami po obydwu stronach konsoli recepcji. Duże złote litery na ścianie za jej plecami układały się w nazwy kilkunastu krajów na całym świecie, w których Holland Delarue plc mieli swoje biura, a środek ozdabiał duży niebiesko-złoty emblemat „Queen's Award for Export”.

Recepcjonistka była dobiegającą pięćdziesiątki kobietą ze srebrnymi pasemkami w czarnych utapirowanych włosach. Paplała nosowym głosem do słuchawki telefonicznej, piłując sobie jednocześnie paznokcie.

- Melanie dziś nie przyszła, znów ma tę swoją migrenę, więc nie mogę wyjść na lunch. Pomyślałam sobie, że wieczorem mogłabym zajrzeć do nowego supermarketu Asdy. Zaczekaj chwilę, nie rozłączaj się.

Wcisnęła jakiś przełącznik i spojrzała pytająco na Frannie.

- Czy mogłaby pani powiedzieć panu Sebastianowi Hollandowi, że przyszła Frannie Monsanto?
- Jest pani umówiona?

- Tak.

Recepcjonistka przycisnęła dwa guziki w aparacie telefonicznym i podniosła słuchawkę do ucha.

- Powiedz, proszę, panu Sebastianowi, że w recepcji czeka Frannie Monsanto. Tak, nie, dalej tu siedzę. Melanie dziś nie ma, więc nie mogę wyjść na lunch. - Zamilkła na chwilę. - Dobra, wielkie dzięki. - Znów popatrzyła na Frannie. - Za parę minut do pani wyjdzie. Proszę usiąść.

Pstryknęła przełącznikiem i wróciła do swojej rozmowy.

Frannie usiadła w głębokim skórzanym fotelu i zerknęła na leżące na stoliku obok pisma i gazety. „Financial Times”. „Fortune”. „Business Week”. „Lloyd’s Log”. Ściany były zawieszane oprawionymi w ramki zdjęciami nowoczesnych biurowców. Ponownie zabrzączał telefon. Był to inny świat; bardzo odległy od tego, w którym Seb Holland, student archeologii, zszedł dla żartu do piwnicy pod sandwich barem.

Otworzyły się drzwi za jej plecami.

- Frannie! Cześć! Przepraszam, że czekałaś!

Wstała i odwróciła się. Seb robił wrażenie zmęczonego, ale był wesoły. Ten sam trochę przytłaczający innych Seb: wysoki i muskularny, ze szczerą, uśmiechniętą twarzą, dużymi białymi zębami, ciemnozielonymi oczami i czarnymi włosami, według najnowszej mody dość długimi, lekko potraktowanymi żel. Dobrze skrojone ubranie i styl człowieka na kierowniczym stanowisku pasowały do niego. Wyglądał dobrze.

Chwycił ją za ramiona i pocałował w oba policzki. Jak zawsze pachniał mocno wodą po goleniu.

- Boże, świetnie wyglądasz! Mam nadzieję, że nadal jesteś do wzięcia, na wypadek gdyby Lucy rzuciła mnie w ostatniej chwili!

Uśmiechnęła się.

- Ty też dobrze wyglądasz. Narzeczeństwo ci służy.

- No. To coś wspaniałego! Dobra, lećmy. Zamówiłem stolik w takiej małej knajpce za rogiem. Będziemy musieli się pospieszyć, jeśli pozwolisz. Coś się nagle zaważyło i muszę tu wrócić przed drugą.

- Jutro lecisz do Nowego Jorku?

- Straszna męka. Mamy tam w tej chwili poważne problemy. No, więc gdzie pracujesz? Mówiłaś, że w Muzeum Brytyjskim?

Przytrzymał jej drzwi, po czym wyszedł za nią na korytarz i nacisnął guzik windy.

- Naprawdę masz coś wspólnego z archeologią? Nie wyglądasz jak archeolog.

- A jak powinniśmy według ciebie wyglądać? - zapytała z udawanym oburzeniem.

- Myślałem, że będziesz w anoraku i kaloszach.

- Tak jak na tamtej kolacji?

Wyszczерzył zęby.

- Eleganckie randki, co? Chodzisz z Ollie Halkinem?

- Tak.

Dziwnie się poczuła słysząc imię Olivera w zdrobnieniu.

- Fajny facet. Jak długo?

Za plecami Frannie zadźwięczał dzwonek i obydwójce się odwrócili. Na zaprojektowanej w stylu art deco tablicy ponad drzwiami zamigotał pas zielonych światełek. Zauważyła, że to ta sama winda, którą wjechała na górę.

Drzwi się rozsunęły i Seb szybko postąpił naprzód, wyciągając rękę, by je złapać.

- Witaj, młody człowieku! - zawołał.

Frannie poczuła wiew zimnego powietrza.

- Trzeba do nich szybko wsiadać - powiedział Seb. - Te drzwi to naprawdę złośliwe bes...

Jego głos umilkł w pół słowa. Frannie zobaczyła, jak źrenice rozszerzają mu się ze zdumienia. Kolejny podmuch zimnego wiatru owionął jej ciało, wessał ją, jakby próbował pociągnąć ją ku Sebowi. Wokół Seba była czerń. Niewłaściwa czerń. Nie była to czerń lakieru ścian windy z przydymionymi lustrami.

Nie było też wyłożonej brązowym dywanem podłogi.

Ciemna, matowa czerń. Podmuch powietrza. Zimnego powietrza pachnącego wilgocią piwnicy. Czerń nagiego szybu. Po tylnej ścianie biegły kable. Były w niej wyłobienia, rowki i przewodniki.

W oczach Seba nie było strachu; tylko zdziwienie; jak u dziecka, które otwiera paczkę i nic w niej nie znajduje. Chwycił dłonią stalową framugę drzwi; palce ześliznęły mu się kilka cali w dół po jej lśniącej powierzchni bez żadnej nadziei na chwyt.

Potem w kompletnej ciszy zniknął jej z oczu.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Przez chwilę, przez ułamek sekundy, Frannie myślała, że to jeden z żartów Seba. Postąpiła dwa cale do przodu, poruszając się wolno, jakby brodziła w wodzie. Dotknęła ręką zimnej stalowej framugi drzwi i utkwiała wzrok w ciemności, wdychając jej wilgotny, oleisty zapach.

Wiązka jaskrawożółtych kabli spiętych razem grubą czarną taśmą schodziła po tylnej ścianie do skrzynki rozdzielczej z ostrzegającą przed wysokim napięciem nalepką; równolegle biegły przewody

wentylacyjne. Frannie uklęknęła i opierając się na rękach popęła do przodu, nadal osłonięta tarczą niedowierzania.

- Seb? - wychrypiała słabo, przez gardło ściśnięte jak sprężynowa pułapka.

Dotknęła dłońmi metalowego progu i wbiła spojrzenie w kwadratowy czarny tunel, który opadał czterdzieści pięter w dół. Od kurzu w przeciągu zapiekły ją oczy.

- Seb? - jęknęła.

Podniosła wzrok. Za ledwie dziesięć stóp nad jej głową znajdował się żebrowany czarny sufit; zwisały z niego zapętlone kable. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że to nie sufit, tylko podłoga windy, która zatrzymała się kilka cali powyżej górnej framugi drzwi.

- Seb?

Ciemność wessała jej głos. Popatrzyła na windę i znów w głąb szybu.

Nagle dotarło do niej, co się naprawdę stało, i z gardła wydarł jej się krzyk.

Wycofała się znad otworu, wstała i potykając się wpadła przez podwójne drzwi do recepcji, oczami jak flagami sygnałowymi komunikując przerażenie kobiecie, która nadal paplała wesoło przez telefon.

- Niech pani wezwie pomoc! Boże, niech pani wezwie pomoc! - krzyknęła. - On spadł. Spadł do szybu. Niech pani dzwoni po karetkę. Na miłość boską, niech pani wezwie karetkę! Niech nikt się nie zbliża do windy. Niech nikt nie korzysta z windy, drzwi są otwarte.

Wybiegła z powrotem na korytarz, popatrzyła na otwarty szyb windy i rozejrzała się jak szalona dookoła. Na ścianie wisiała gaśnica i bęben z węzem przeciwpożarowym. Złapała gaśnicę i ustawiła ją przed drzwiami, po czym zdjęła bęben i położyła go obok, zagradzając dostęp do szybu.

Podwójne drzwi się otworzyły i wyszła z nich recepcjonistka. Spojrzała na Frannie, a potem na szyb windy. Twarz skurczyła jej się z przerażenia, jakby została przekłuta.

- Pan Sebastian? Powiedziała pani - pan Sebastian?

- Gdzie są schody? - wrzasnęła do niej Frannie, zbyt przestraszona, by ryzykować jazdę windą.

- Za tymi drugimi drzwiami, po prawej stronie. - Głos kobiety przeszedł w szept. - Pan Sebastian?

Frannie skinęła głową.

Kobieta zakryła usta dłonią.

- Niech pani wezwie karetkę! Proszę wezwać karetkę! - zawołała Frannie.

Rzuciła się we wskazane podwójne drzwi i wpadła do dużego pokoju, w którym większość biurek była pusta ze względu na porę lunchu. Natychmiast zauważyła po prawej stronie drzwi z tabliczką WYJŚCIE PRZECIWPÓŻAROWE, pchnęła je i znalazła się na kamiennej klatce schodowej. Pobiegnęła

w dół trzymając się metalowej poręczy, skręciła raz, drugi, trzeci, i zobaczyła numer 39 napać-kany czarną farbą na nagiej betonowej ścianie.

Popędziła dalej w dół, ścigana echem własnych kroków. 36... 35...

34... Zaczynało jej się kręcić w głowie, dłoń paliła ją od poręczy. 33...

32... 31... Minęła wiadra przeciwpożarowe, wyrzucone pudełko po papierosach, brudną szmatę. Światło było słabe, a na kilku piętrach żarówki się poprzepalały i biegła w niemal zupełnych ciemnościach. 25... 24... Słyszała swój własny oddech, swoje łkanie. 20...

19... Ściany wirowały jej przed oczami. 14... 13... 12... Czuła, że ziemia jest coraz bliżej. 7... 6... 5... Potknęła się, straciła równowagę, złapała się mocno poręczy i poleciała na ścianę. Jeden pantofel spadł jej z nogi, stoczył się kilka schodków niżej i wylądował na podeście.

Pokuśtykała w dół, chwytając ustami powietrze. Po twarzy płynęły jej łzy. Włożyła pantofel i pobiegła dalej. 3... 2... 1... Znalazła się na samym dole, w słabo oświetlonym podziemnym korytarzu z mnóstwem rur na suficie. Słysząc tam było jednostajny łoskot jakiejś maszyny, syk powietrza i jęk pomp. Tuż za drzwiami wind zobaczyła wiadro i mop; obok stał plastikowy pojemnik ze środkiem czyszczącym i oparta o ścianę gumowa ściągaczka na kiju. Dalej były jakieś otwarte drzwi, z których dolatywało stukanie, jakby ktoś uderzał młotkiem w metal.

Zawołała, ale łoskot połknął jej głos. Pobiegła w dół korytarza i weszła w te drzwi. Usłyszała dudnienie pieca. Na metalowym regale stały zapasy środków czystości: rolki papieru toaletowego i papierowych ręczników, plastikowe pojemniki z mydłem i detergentami. Sufit był niski, pokratowany rurami. Panował tu upał jak w suszarni, a w powietrzu fruwały kłaczki gazy. Na końcu pomieszczenia były następne drzwi, z których wylewało się światło.

- Na pomoc! - zawołała.

Światło przesłonił jakiś cień. Znów usłyszała stukanie i pobiegła ku drzwiom. Za nimi znajdował się mały warsztat, gdzie ubrany w niebieski kombinezon Murzyn tłukł młotkiem w osadzony w imadle wspornik z wyrazem głębokiego skupienia na twarzy.

Rzuciła się ku niemu.

- Przepraszam, czy to pan zajmuje się windami?

Była tak zdyszana, że ledwo mogła mówić. Podniósł na nią zdumiony wzrok.

- Tak, proszę pani, jestem dozorcą.

- Proszę ze mną pójść! Ktoś spadł do szybu windy...

Miał pobrudzone smarem policzki i szpakowate włosy. Wytarł ręce o kombinezon przyglądając się Frannie, chłonąc wyraz jej twarzy zmęczonymi brązowymi oczyma, w jednym z których pękło naczynko krwionośne.

- Takie coś nie ma prawa się zdarzyć, to niemożliwe.

- Byłam z nim na czterdziestym piętrze. Otworzyły się drzwi, ale windy nie było. Proszę ze mną pójść. - Z rozpaczą potrząsnęła głową. - Proszę!

Popatrzył na nią tak, jakby miał zamiar się spierać, ale potem jego spojrzenie złagodniało.

- Windy były dopiero co sprawdzane. Takie coś nie ma prawa się stać - powiedział obronnym tonem.

- Ale się stało. Boże, stało się.

Usłyszał rozpacz w jej głosie.

- Na czterdziestym piętrze?

- Tak. Drzwi się otworzyły. Powiedział, że te windy trzeba szybko łapać i wszedł do środka, a tam nic nie było. Proszę - jęknęła. - Proszę.

Przesunął dłonią po półce, zdjął z niej jakiś długi, żebrowany przyrząd, odczepił z haka pęk kluczy i wziął latarkę w gumowej oprawce, a potem wyszedł na korytarz i ruszył utykając w stronę wind.

- Która?

Frannie musiała chwilę pomyśleć, odzyskać orientację. Odwróciła się i pokazała trzecią windę po prawej stronie.

Dał jej szansę jeszcze się zastanowić.

- Jest pani pewna?

- Tak.

Zawahał się.

- Z czterdziestego piętra?

- Tak.

- Mężczyzna, mówi pani?

- Tak.

- Nie sądzę, żeby ktokolwiek mógł spać, proszę pani.

- Proszę - wyszeptwała, czując w ustach słony smak łez. Pot spływał jej po szyi i plecach. - Proszę, niech pan sprawdzi.

Zauważyła oprawione w ramkę zaświadczenie o konserwacji przymocowane do ściany obok drzwi windy.

REJESTR KONSERWACJI

OSTATNIA KONTROLA BEZPIECZEŃSTWA

DOROCZNA INSPEKCJA

INSPEKTOR BEZPIECZEŃSTWA D.PAPWORTH

Dane były starannie wypisane na maszynie. Wyraźnie widziała ostatnią datę. 27 sierpnia. Nie minął jeszcze miesiąc.

Dozorca postukał w zaświadczenie palcem wskazującym; paznokieć miał ciemnoniebieski, jakby niedawno uderzył się młotkiem.

- Widzi pani, była sprawdzana.

Skinęła głową.

- To niemożliwe. Drzwi nie mogą się otworzyć, kiedy nie ma za nimi windy.

Wepchnął klucz do zamka w jakiejś wiszącej na ścianie skrzynce, przekręcił go i otworzył małe metalowe drzwiczki. W środku znajdowała się bateria przełączników i mrugających lampek. Jedno pomarańczowe światełko było nieruchome. Przyjrawszy mu się, kilkakrotnie nacisnął z niepewną miną jeden z przełączników, a potem dwa inne. Zadzwonił dzwonek. Nacisnął kolejny przełącznik i dzwonek zamilkł.

- Muszę unieruchomić cały system - powiedział. - Niezbyt się to ludziom spodoba.

Pociągnął jakąś dźwignię i rozległ się głośny trzask. Wszystkie światełka przestały mrugać, ale pozostały włączone.

Przykłęknawszy, włożył zebrowane narzędzie do maleńkiego otworu u dołu drzwi windy i ostro je przekręcił. Powtórzył tę procedurę z otworami u góry i w drugim skrzydle. Potem wsunął palce w szparę i zaczął powoli rozsuwać drzwi, aż szpara zrobiła się na tyle szeroka, by mógł w nią wetknąć głowę.

Dał Frannie ostrzegawczy znak ręką, żeby nie podchodziła, podniósł latarkę, schylił się i skierował snop światła w dół.

- O Boże...

Krzusząc się zrobił krok do tyłu i omiół Frannie błędnym spojrzeniem. Zadrżały mu wargi. Upuścił latarkę, rzucił się w stronę wiadra, opadł na kolana i zwymiotował.

Frannie podniosła latarkę. Przerazona czekającym ją widokiem, podeszła do szpary w drzwiach i zaczęła powoli przesuwając biały snop światła w dół tylnej ściany szybu.

Na dnie zobaczyła duże kłęby kurzu, niedopałki, klucze, karton po mleku i dziecinną grzechotkę. W nozdrza uderzył ją ohydny smród ekskrementów. Poczowała ucisk w piersiach, gdy strumień światła prześliznął się po jakimś kształcie okrytym wygniecionym, prążkowanym materiałem. Po błyszczącym mokasynie z czerwono--zielonym paskiem i złotą sprzączką. Serce podeszło jej do

gardła. Błysnęło ku niej coś bladobiałego. Była to twarz Seba, z oczami otwartymi tak szeroko, jakby coś próbowało wypchnąć je z oczodołów. Przez krótką chwilę myślała, że nic mu się nie stało, że nic mu nie jest, że po prostu doznał szoku.

Dopóki nie zdała sobie sprawy, że leży na brzuchu, a głowę ma przekręconą o 180 stopni, i nie zobaczyła błysku sterczącej mu z szyi białej kości. Potem dostrzegła czerwono-pomarańczową miazgę, która pokrywała jego włosy i wychodziła z za uszu jak poduszka. Jęknęła. Z pleców wystawał mu na kilka cali jakiś pałąk; był spiczasty, zastrzony, przebijał gładko marynarkę między łopatkami. Kość, uświadomiła sobie; jedno z jego żeber.

Ścisnęło ją w gardle, poczuła, że przewracają jej się wnętrzności, i dała chwiejnie krok do tyłu. Obraz twarzy Seba odcisnął się w jej mózgu jak wywoływana fotografia. Wpadła plecami na ścianę. Jeden po drugim dzwoniły dzwonki: rozpaczliwe, alarmujące, świdrujące dźwięki. Oddychała z trudem, chrapliwie, dygocząc z przerażenia. Patrzyła na ciemną szparę w drzwiach, jakby oczekiwała, że Seb zaraz z niej wypełźnie.

Obejrzała się. Dozorca wykręcał numer na tarczy przymocowanego do ściany telefonu. Zapach wymiocin wywrócił jej żołądek; odwróciła się i wbiegła po schodach do hallu. Tam też dzwoniły dzwonki. Portier w swym eleganckim, obszytym galonami uniformie minął ją niespokojnym krokiem, kierując się ku drzwiom do podziemi.

Nogi ledwo ją niosły po marmurowej posadzce. Wypadła przez obrotowe drzwi na wyjący wiatr i osunęła się na tekową ławkę, wciąż trzymając w dłoniach latarkę. Wyłączyła ją i z powrotem włączyła. Wyłączyła i włączyła. Gumowy przycisk zginał się i pstrykał pod naciskiem jej palca.

Przyglądała się, jak bezlitosny wichur zgina bicze fontann. Zamiast gołębia, który wylądował z trzepotem skrzydeł i mierzył ją wyczekującym spojrzeniem, widziała zamazaną szarą plamę. Ludzie nadal jedli lunch. Z oddali dobiegał szczeł sztuców, śmiechy, gwar rozmów. Powinni być teraz z Sebem w restauracji, rozmawiać o tym, jak pozostać przy życiu. Ukryła twarz w dłoniach, zatkała uszy palcami, by nie słyszeć zbliżającego się wycia syreny, i zadrżała z rozpacz. I z przerażenia.

Herbata była słodka. Z wdzięcznością napiła się trochę, a potem odstawiła kubek na podstawkę z korka leżącą na mahoniowym, lśniącym jak lodowisko stole w sali konferencyjnej. Jakiś mężczyzna podobny z wyglądu do Seba popatrzył na nią z zawieszzonego na przeciwległej ścianie portretu, surowy mężczyzna o wyrazistych rysach Seba, ale pozbawiony jego ciepła, w gronostajach i z łańcuchem szeryfa na szyi.

Odwróciła się do policjanta, posterunkowego Boyle, który siedział naprzeciw niej z rozłożonym na stole notatnikiem. Trzymał się prosto, był szeroki w ramionach. Miał około trzydziestu pięciu lat, twarz o dziecięcych, nierozwiniętych rysach, z oczami w kształcie migdałów i grubymi, mięsistymi wargami, ale w sposobie zachowania był stanowczy, dojrzały, zahartowany doświadczeniami. Emanował lekkim smutkiem, jakby wiedział, że są w życiu człowieka rzeczy, których nie potrafi ani zrozumieć, ani zmienić.

Uśmiechał się do niej co jakiś czas i za każdym razem ten drobny przejaw uprzejmości na nowo wyciskał jej łzy z oczu. Pociągała nosem, mrugała powiekami i mówiła dalej, posuwając się powoli naprzód, cofając się, odtwarzając każdy krok kilkanaście razy, dodając nowe szczegóły.

- Jest pani pewna, że było dziesięć po pierwszej, Francesco?

Głos miał bezbarwny i pedantyczny. Musiała się powstrzymać, żeby go nie uderzyć z irytacji.

- Tak - udało jej się powiedzieć po dłuższej chwili. - Pamiętam, że spojrzałam na zegarek, kiedy wyszliśmy do wind.

Ale myślała: Seb nie żyje. Nic go nie wróci. Jakie to ma do diabła znaczenie, która była godzina?

- Byłam z nim umówiona na pierwszą na lunch i spóźniłam się. Dotarłam tu dopiero dziesięć po i kiedy do mnie wyszedł, powiedział, że będziemy musieli się pospieszyć, bo powinien wrócić do pracy przed drugą. Miał jakieś problemy w firmie, którymi musiał się zająć.

- Dlaczego się pani spóźniła?

Gwałtownie wciągnęła powietrze, znów walcząc z irytacją. Zegar ścienny pokazywał 2.45. Bolał ją żołądek. Wypiła jeszcze trochę herbaty. Ktoś z placu budowy powinien ją zapamiętać, pomyślała, świadoma, że to irracjonalne.

- Chyba za późno wyszłam z pracy. A skoro już byłam w okolicy, chciałam rzucić okiem na stary sandwich bar mojej rodziny - jest na terenie City Fields Development - więc zboczyłam z drogi.

Wzruszyła ramionami.

- I nikt inny nie wyszedł z wami do wind?

- Nikt.

Witaj, młody człowieku!

- Czy jadała pani lunch z... panem Hollandem regularnie?

- Nie. Byliśmy razem na studiach.

- Dlaczego umówiliście się na lunch dzisiaj?

Chciałam mu powiedzieć o Ouija.

- Nie... nie widzieliśmy się od końca studiów, a parę tygodni temu wpadliśmy na siebie przypadkiem w restauracji. Powiedział mi, że się zaręczył, i że powinniśmy kiedyś zjeść razem lunch.

Policjant podniósł brwi.

- Proszę mi wybaczyć pytanie natury osobistej, ale czy między panią i panem Hollandem było coś - no wie pani...

- Nie.

- Nawet na studiach?

Zawahala się. Prawie. Raz. Obściskiwali się na kanapie podczas jakiejś prywatki. Ale chodziła wtedy z kimś innym i sprawa nie miała dalszego ciągu. Była to jedna z takich minionych możliwości.

- Nie. - Spojrzała na policjanta. - Myśli pan, że go popchnęłam, czy coś takiego? W przypiływie zazdrości? Żeby nie mógł się ożenić z inną?

Twarz poczerwieniała jej z gniewu. Zobaczyła, że miał chociaż tyle przyzwoitości, by się odrobinę zarumienić.

- Niestety, do moich obowiązków należy rozpatrywanie wszystkich ewentualności.

Witaj, miody człowieku! Wyraz twarzy Seba, gdy wsiadał do windy. Jakby witał kogoś, kto był w środku. Małego chłopca.

Edward.

Zobaczył Edwarda.

- Więc jestem podejrzana o morderstwo, tak?

Podniósł rękę.

- Przepraszam! Nic z tych rzeczy. Ale muszę spisać pełen raport.

- Uśmiechnął się. - Powinna pani zrozumieć, że zaczynam od zera. Człowiek nie żyje; okoliczności są bardzo dziwne. Będziemy musieli wykazać, że zbadaliśmy każdą możliwość, przez wzgląd na nas wszystkich - a zwłaszcza przez wzgląd na zmarłego i jego krewnych.

Mokry, ciężki piasek falował jej w żołądku. Obraz twarzy Seba rozświetlił się w jej głowie. Zobaczyła go znów, leżącego tam pośród śmieci. Twarz policjanta przetopila się w twarz Seba i wzleciała do góry. Błat stołu rozjechał się na boki; chwyciła go, żeby nie runął na podłogę. Przycisnęła policzek do blatu, zobaczyła w jego lustrzanej powierzchni swoje zamazane odbicie i z oczu popłynęły jej łzy.

Czyjaś dłoń dotknęła delikatnie jej ramienia.

- Wezwę kogoś, żeby odwiózł panią do domu. Ma pani numer telefonu swojego lekarza? Poprosimy go, żeby do pani zajrzał.

Powoli się wyprostowała. Kręciło jej się w głowie. Stół był cały, nienaruszony, nie przesunął się ani trochę. Popatrzyła nań oszołomiona.

- Muszę wrócić do pracy. Mam o trzeciej zebranie. Mój szef będzie naprawdę wściekły.

- Chciałaby pani do niego zadzwonić?

- Jak długo jeszcze będę musiała tu zostać?

- Już prawie skończyliśmy. - Uśmiechnął się. - Proszę się nie martwić; nikt pani o nic nie oskarża.

Jestem winna, chciała powiedzieć. Jestem winna. Macie pełne prawo mnie oskarżyć. To był mój pomysł, żeby urządzić ten seans w piwnicy. To wszystko przeze mnie. Seb żyłby teraz, gdybym...

Wypiła jeszcze trochę herbaty i znów łyzy zakręciły jej się w oczach.

- Przepraszam - powiedziała do policjanta.

- Myślę, że powinna pani pojechać do domu i położyć się do łóżka. Niech lekarz da pani coś, po czym pani uśnie i będzie spała przez całą noc.

Potrząsnęła głową.

- Nie mogę. Nie ma czasu.

Znów się uśmiechnął, ale nie zapytał, co ma na myśli.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Frannie wróciła do Muzeum parę minut po wpół do czwartej. Przystanęła pośrodku hallu, czując zawroty głowy i mdłości, i popatrzyła w odrętwieniu na tłum zwiedzających, na kolejki do kas księgarni, sklepu z pamiątkami, punktu informacyjnego. Słyszała stukot kroków na twardej posadzce. Głosy. Wygrzebała z torebki chusteczkę i otarła sobie oczy, usiłując zatrzymać wirujący jej w mózgu jak centryfuga i rozpierający ściany czaszki obraz ostatniego, zdumionego spojrzenia Seba. Gdyby była szybsza, mogłaby rzucić się do przodu i...

Witaj, młody człowieku!

Posterunkowy Boyle powiedział, że nie mogła nic zrobić, że nie utrzymałaby ciężaru Seba, spadłaby razem z nim. Poczuła kołysanie podłogi pod stopami. Mogła była zauważyć, że za drzwiami nie ma windy, mogła była krzyknąć.

Mogła była uświadomić sobie, do kogo Seb mówi *Witaj, młody człowieku!*

Odebrała klucz z portierni, skinęła głową strażnikowi, w ogóle go nie widząc, pogrążona w transie dotarła pod swój pokój i przystanęła, zapomniawszy na chwilę, gdzie jest. Szok i strach mąciły jej umysł. W końcu otworzyła drzwi i weszła do środka. Penrose'a Spode'a nie było, zostawił jej na biurku kartkę: „Nie czułem się dobrze i poszedłem do domu. Benedict czeka na ciebie o 6.30, adres i wskazówki na odwrocie. Jeśli będę mógł ci w czymś pomóc, zadzwoń”.

Obok leżała druga kartka, również z jego charakterem pisma: „O 2.50 dzwoniła Kate Hemingway z »Evening Standard«. Jeszcze zadzwoni.”

Frannie popatrzyła z rozpaczą na wiadomość z gazety. Pewnie chodzi o Seba. Usiadła, zamknęła oczy i zaczęła się modlić. Gdy zabręczał telefon, podniosła ostrożnie słuchawkę, bojąc się, że to reporterka z „Evening Standard”. Ale był to Oliver, wyraźnie zdenerwowany.

- Edward zniknął - powiedział.

- Ze szkoły?

- Zjadł śniadanie, ale nie pojawił się na lekcjach. Nikt go nie widział.

Staranne pismo Spode'a rozmazało jej się przed oczami.

- Co... co mówi dyrektor?

- Nie wie, co robić.

- Zawiadomił policję?

- Szukają go.

- Boże, tak mi przykro. - Przygryzła wargę. - Co się dzieje? -zapytała cicho. - W co my jesteśmy wplątani?

- Nie wiem.

Jej kolana uderzały o siebie; trzymając słuchawkę czuła na policzku ucisk swoich kłykci. Musiała mu powiedzieć.

- Jest jeszcze gorzej niż myślisz. Seb nie żyje.

- Seb? Holland?

Zacząła mu opowiadać, co się stało, ale wkrótce łyzy zdławiły jej głos.

- Chryste, moje biedactwo - westchnął Oliver i zamilkł na chwilę. Potem uchwycił się jedynej, niewielkiej nadziei, jaka im pozostała.

- Czy ksiądz, ten proboszcz, skontaktował się z tobą?

Utkwiła wzrok w maleńkich dziurkach sitka słuchawki.

- Mam się z nim spotkać dziś wieczorem.

- Jak tylko Edward się znajdzie, przyjadę do Londynu.

- Na pewno nic mu się nie stało. Jest bardzo zaradny.

- Tak - odparł ponuro Oliver. - O której masz się spotkać z księdzem?

- Wpół do siódmej.

- Zadzwoń do mnie potem?

Obiecała zduszonym szeptem, że zadzwoni.

Okazało się, że walebnny Benedict Spode mieszka w brudnym georgiańskim domku jednorodzinny, stojącym przy ruchliwej ulicy na południe od Tamizy, za stacją London Bridge.

Ciemne chmury z zaróżowionymi od zachodzącego słońca podbrzuszeniami przesuwały się po niebie jak pływające łódki. Wiał ożywczy wiatr, a na chodniku od czasu do czasu rozpryskiwała się tłusta kropla deszczu. Frannie podeszła do frontowych drzwi i nacisnęła dzwonek.

Zdumiała się wyglądem człowieka, który jej otworzył; wyobrażała go sobie zupełnie inaczej. Był jakieś dziesięć lat starszy od brata, niski i łysy, miał małą, okrągłą, masywną niczym kula armatnia głowę i wyłupiaste oczy tarczycowca. Jego podobieństwo do Penrose'a ograniczało się do ust w kształcie korka. Miał na sobie falującą czarną sutannę, a mięsistą szyję opinała mu ciasna koloratka.

- Frannie Monsanto? - zapytał ostro.

- Tak.

Wyciągnęła drżącą rękę. Ksiądz uścisnął ją i puścił tak szybko, jakby była ofiarowaną mu na aukcję Oxfamu paczką, którą miał przekazać komuś innemu.

- Spodziewałem się ciebie o szóstej.

- Przepraszam. Penrose powiedział mi wpół do siódmej.

Popatrzył na zegarek.

- Naprawdę nie mam już czasu. Może wpadłabyś do mnie na początku przyszłego tygodnia? Powiedzmy w poniedziałek wieczorem?

Spojrzała na niego w osłupieniu.

- Ale ja potrzebuję pomocy teraz. To bardzo pilne. Czy moglibyśmy porozmawiać dzisiaj? Zaczekam, jeśli trzeba; muszę porozmawiać z księdzem dzisiaj. Proszę.

Robił wrażenie zirytowanego.

- Ten mój cholerny brat. Wyraźnie mu powiedziałem, że o szóstej.

- *Proszę* - powtórzyła.

Wahał się przez chwilę, taksując ją spojrzeniem, po czym cofnął się i skinął na nią, żeby weszła.

Zaniedbany wygląd pachnącego mokrym psem korytarza przywiódł Frannie na myśl akademik. Dywan był usiany psią sierścią i miejscami przetarty na wylot; z całkowicie nagich ścian łuszczyła się pożółkła farba. Ksiądz wziął od niej płaszcz i powiesił go na wiktoriańskim stojącym wieszaku, a potem wprowadził ją do małego, surowo urządzonego gabinetu.

Był tam przerobiony na ogrzewanie gazowe, nie zapalony kominek z marmurowym obramowaniem, na którym stał obowiązkowy krucyfiks, a obok niego pocztówka z piramidą. Przed zarzuconym papierami prostym dębowym biurkiem ze sfatygowaną maszyną do pisania i małym faxem znajdowało się obrotowe krzesło, wyglądające tak, jakby zostało wyciągnięte ze śmietnika. Pokój szczycił się również wytartym fotelem i kanapą ze sprężynami, które wypychały jej niebieskie obicie jak guzy. Okno nad biurkiem wychodziło na ulicę i za każdym razem, gdy coś nią przejeżdżało, drżały

szyby.

Frannie usłyszała jakiś stukot i do pokoju wkuśtykał z zaciekawieniem stary owczarek angielski.

- Do koszyka, Shula! - powiedział Benedict Spode tonem rozkazującym, ale łagodniejszym od tego, którym przywitał ją. - Wracaj do koszyka!

Pies odwrócił się i powoli wyszedł z pokoju. Spode wskazał Frannie kanapę, a sam przycupnął na obrotowym krześle i zaczął badać ją wzrokiem jeszcze uważniej niż poprzednio. Swym pogardliwym i pełnym pychy wyrazem twarzy przypominał jej portret jednego z Borgiów, który kiedyś widziała.

Gdy się odezwał, podniósł odrobinę głowę, jakby przemawiał do całej kongregacji, a agresywność jego tonu wydała się Frannie obraźliwa.

- Penrose powiedział mi, że zabawiałaś się Ouija, tak?

- Raz. Kiedy byłam na studiach - odparła.

- Raz!

Postukał stopą w dywan; miał na nogach wyglansowane czarne mokasyny robiące wrażenie zbyt małych i zbyt eleganckich jak dla niego.

- Dlaczego słowo *raz* sprawia, że wszystko wydaje się być w porządku? W niektórych sytuacjach *raz* wystarcza aż nadto, młoda kobieto. *Raz* zbankrutowałem. *Raz* napadłem na staruszkę.

Potrząsnął z rozdrażnieniem głową, jakby siedział w nim demon.

- Mam powyżej uszu inteligentnych młodych ludzi, którzy zabawiają się Ouija, chociaż powinni wiedzieć, czym to grozi, a potem przybiegają do mnie po pomoc, oczekując, że zamacham jakąś czarodziejską różdżką i wszystko znów będzie dobrze.

Frannie wpadła w jeszcze większe przygnębienie. To na nic. Nie powinna była ufać Penrose'owi, nie powinna była go słuchać. Zaciśnęła pięści ze złości i rozpacz. A jednak, poprzedniego wieczoru: Penrose przy stole. Rzeczy, które jej powiedział, nie były domysłami. Przypomniała sobie, że biskup Lewes polecił tego księdza. Jest diecezjalnym egzorcystą. Musi wiedzieć, co robi. *Musi*.

- Pewnie nawet nie chodzisz do kościoła, prawda? Może raz w roku, na Boże Narodzenie? - dodał Spode z nutą szyderstwa w głosie.

- Kiedyś chodziłam.

- Jak dawno było to *kiedyś*?

- Siedem czy osiem lat temu.

Splótł dłonie.

- Mam powyżej uszu niepraktykujących! Przychodzą do mnie tylko wtedy, kiedy chcą wziąć ślub kościelny - żeby mogli ustawić na kominku ładne zdjęcia, albo kiedy zabawiają się w okultyzm. - Nagle odrobinę złagodził ton. - Dobrze. Kazanie skończone; szkoda czasu. - Na jego twarzy pojawił się nawet cień sympatii. - Mogłabyś mi opowiedzieć całą historię?

- Na ile Penrose już księdza wprowadził?

- Nie róbmy żadnych założeń, to nie popełnimy błędów.

Oparł się o krzesło i popatrzył na nią wyczekująco.

Frannie zaczęła mówić. Podczas opowieści o seansie spirytystycznym i przesłaniach, które zmieniły się w proroctwa, ksiądz kilka razy pokiwał ze zniecierpliwieniem głową. Siedział bez ruchu, gdy opowiadała o rozmowie z Edwardem w bibliotece oraz o chłopca i swoich łacińskich recytacjach przez sen. I wysłuchał bez komentarza relacji o studiach Olivera nad historią Halkinów, jego poszukiwaniach numerologicznych i odkryciu Frannie, że sandwich bar jej rodziców i rezydencję Halkinów łączy lokalizacja.

- Dwadzieścia sześć - powiedział, kiedy skończyła, wciągając policzki, jakby miał w ustach cukierek. - *Dwadzieścia sześć*. Ten człowiek, który dziś zginął, twój znajomy, Seb Holland... Wiesz, co mu przekazała Ouija?

- Nie.

- Naprawdę sądzisz, że to by coś zmieniło, gdybyś wiedziała?

Spojrzała na niego chłodno.

- Nie wiem.

Zebrał sutannę w fałdę, uniósł jej brzeg do góry i przyjrzał się swoim butom. Potem popatrzył uważnie na Frannie.

- W Oświęcimiu nie śpiewają ptaki. Wiedziałaś o tym?

- Nie - odparła, zdumiona tym przeskokiem myślowym.

- Dzieje się tak nie bez powodu. Cierpienie ludzi, którzy tam byli, odcisnęło się w ziemi. Zwierzęta je wyczuwają i omijają to miejsce; a jeśli jakieś jednak tam trafi, milczy. - Sam zapadł na chwilę w milczenie. - Umierając, ludzie zostawiają po sobie odciski. Odciski swojej energii, swoich uczuć. Są osoby, na przykład mój brat, które potrafią te odciski odczytywać. Są też i takie osoby, które, nie wiedząc o tym, pełnią funkcję kanałów. Jak przekaźniki radiowe przesyłają te odciski innym ludziom, którzy albo widzą je w formie zjaw, albo podświadomie ulegają ich wpływowi.

Kanał. Oliver użył tego samego słowa.

- Wygląda na to - ciągnął Benedict Spode - że jesteś kanałem przesyłającym ducha drugiego markiza synowi lorda Sherfielda.

- Naprawdę myślisz, że to możliwe? - zapytała drżącym głosem.

- A ty jak myślisz? - odparował Spode.

Zmusiła się, by wrócić pamięcią do mroku piwnicy. Coś jest tam odcisnięte w ścianach? Duch człowieka zmarłego przed trzystu pięćdziesięciu laty, który nadal myśli, knuje, planuje? Nadal jest w stanie zmusić ludzi, by spełniali jego wolę? Jest w stanie zmusić do tego ją? Edwarda? Był w stanie zabić Meredith, Jonathana Mount-joya, Seba Hollanda? Przyprawić o chorobę Maxa Gabriela, okaleczyć Phoebe, osłepić Susie Verbeeten? Zabić żonę Olivera? Zabić Tristrama?

- Nie rozumiem, co to właściwie jest - to, co się odciska - jak to działa.

Ksiądz odezwał się uprzejmiejszym tonem.

- Wierzę, że zło istnieje i rządzi się własnymi prawami. Wszyscy mamy wybór, możemy je przyjąć lub odrzucić. Za każdym razem, gdy je przyjmujemy i pozwalamy mu w nas wejść, karmi się nami i staje się silniejsze; a czasem umierając, zostawiamy je po sobie. Drugi markiz przyjął zło i stał się jego wyznawcą. Być może nie umarło ono wraz z nim, tylko pozostało uspięte; wystarczająco silne, by przetrwać trzysta pięćdziesiąt lat.

- Przetrwać w cegłach i kamieniach?

- Cegły i kamienie są chemicznie nieczynne, ale zawierają wiele elementów - między innymi elektryczność i węgiel - zdolnych do przechowywania energii. Kiedy ludzie urządzą seans spirytystyczny, wielka energia ogniskuje się w jednym punkcie. Powstaje fuzja energii. Energie sześciu czy siedmiu osób skupiają się w jednym kieliszku. Ta skoncentrowana masa może zakłócić spokój tego, co jest w danym pomieszczeniu, może czasami obudzić pamięć danego miejsca - albo uśpione siły zła. Moim zdaniem ta piwnica, biorąc pod uwagę, ile zła się w niej zdarzyło, była wyjątkowo niebezpiecznym miejscem na seans. Nie umiem sobie wyobrazić gorszego: perwersja seksualna, masowa zbrodnia, ohydny koniec. - Potrząsnął głową. - Czego się spodziewasz?

Frannie milczała.

- Zło jest niezwykle sprytne, ale może działać wyłącznie za pośrednictwem dorosłych ludzi, którzy je przyjmą, lub małych dzieci, które nie są jeszcze świadome jego istnienia. - Uśmiechnął się ironicznie. - Drugi markiz został zamordowany w tym domu, najprawdopodobniej w piwnicy, przez siedmiu żołnierzy. Numerologia była jego wielką pasją. - Popatrzył uważnie na Frannie. - *Siedmioro* studentów urządziło seans spirytystyczny. - Wzruszył ramionami. - Może jest to znaczące, może nie. Ale na pewno jest znaczący fakt, że lord Sherfield ze swym pięcioletnim synem przyszli do kafeterii po tym, jak ożywiłicie tę siłę. Ty byłaś naturalnym łącznikiem.

- Dlaczego?

- Świadomość dziecka kształtuje się w pełni dopiero w wieku co najmniej siedmiu lat. W tym wypadku zło czy też duch, czy jak tam to sobie nazwiesz, zobaczyło dziecko nie tylko małe, lecz także będące w linii prostej potomkiem drugiego markiza. Wykorzystując cię jako kanał, mogło stać się powoli częścią świadomości tego dziecka; wypróbować chłopca bez jego wiedzy, aż do niego przywyknie i zaakceptuje je jako część siebie. A potem...

Spode odwrócił na chwilę wzrok.

- Co potem?

- Potem przestałoby was potrzebować.

Ironiczny uśmiech powrócił na jego twarz.

- Dlaczego? - zapytała Frannie. - Dlaczego miałoby chcieć to ciągnąć? Przecież nie ma żadnego powodu... - urwał jej się wątek.

- Zło jest zepsuciem dobra. Ma wyłącznie jeden cel: psuć, niszczyć, unicestwiać. Niepotrzebny mu powód, potrzebuje tylko energii. Energii seansu; energii ciała, w które wstępuje.

- Dlaczego miałoby krzywdzić wszystkich, którzy uczestniczyli w tym seansie?

- Znasz powiedzenie „Nie wywołuj wilka z lasu”?

- Oczywiście.

- Wilk nie jest wdzięczny za wywołanie go z lasu. - Złożył ręce na kolanach i powiódł po pokoju władczy spojrzeniem. - Skoro drugi markiz zajmował się numerologią, jego ducha prawdopodobnie

bawi ciągnięcie tego dalej. Siedmiu żołnierzy zadaje mu śmierć. Siedmioro ludzi budzi go z powrotem do życia. Powtórzenie schematu. - Rozłożył ręce. - Zło nie musi się nikomu tłumaczyć ze swoich czynów.

- Ale jak wyjaśnić utratę wzroku mojej znajomej? Złapała wirusa kąpiąc się w morzu. Jak duch mógł spowodować coś takiego?

Spode strzepnął z sutanny jakiś pyłek.

- Niewiele wiemy o możliwościach obronnych organizmu. System immunologiczny nadal jest w dużej mierze zagadką. Sądzę, że większość ludzi nie ślepie od wirusa, którego złapała twoja znajoma. Przypuszczalnie tylko maleńki procent. Czy miała pecha? Czy też coś zostało przesłane do jej podświadomości i zablokowało jej system immunologiczny, żeby proroctwo się sprawdziło?

Frannie poczuła się tak, jakby pękł w niej jakiś nerw.

- Czy nic nie można zrobić?

- Możemy zrobić tylko jedną rzecz. Pójdziemy do tej piwnicy i odprawimy mszę za zmarłych. I pójdziemy tam teraz.

- Kto?

- Ty i ja.

Przygryzła wierzch dłoni.

- Nie wiem, czy uda nam się dostać do środka.

- Będziemy się o to martwić, gdy dotrzemy na miejsce.

- Na... na czym polega msza za zmarłych?

- To proste nabożeństwo z komunią zapewniające duszy spokój.

- A jeśli to nie zadziała?

Spojrzał na nią jak na nienormalną. Skóra wokół ust ściągnęła mu się z determinacji.

- Pójdziemy tam uzbrojeni w autorytet Kościoła. Autorytet Boga. To silniejsze od wszystkich mocy Szatana. Chyba to rozumiesz?

Poczuła, że jeżą jej się włosy na całym ciele, a na skórze występuje gęsia skórka. Miała nadzieję, że przyjście do księdza napełni ją otuchą. Tymczasem napełniło ją jeszcze większym strachem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Frannie szła z Benedictem Spodem przez London Bridge, czując w kieszeni płaszcz ciężar pożyczonej latarki. Ksiądz niósł małą winylową torbę, którą wymachiwał w sposób celowo beztroski,

nie licujący z widocznym na jego twarzy niepokojem.

Zaczekali, aż przejedzie strumień samochodów, przeszli na drugą stronę King William Street i ruszyli w kierunku Banku. Spojrzawszy w jedną z bocznych uliczek po prawej stronie, Frannie dostrzegła jasno oświetloną, odcinającą się od nocnego nieba Winston Churchill Tower. Musiała odwrócić wzrok.

- Czy myśli ksiądz, że właśnie dlatego Oliver i ja się poznaliśmy?

- zapytała. - Że wszystko zostało zaplanowane, uknute przez tego... tę...?

Urwała, nie wiedząc, jakiego słowa użyć. *Duch? Siła nieczysta?*

- Wierzę, że istnieje porządek w chaosie - odparł krótko Benedict Spode.

Pamiętała, że Oliver powiedział jej dokładnie to samo.

- O co księdzu chodzi?

Odpowiedział dopiero, gdy zatrzymali się na czerwonym świetle przy końcu ulicy.

- Chodzi mi o to, że nawet w pozornym chaosie występują pewne schematy. Czasami jest się zbyt blisko, by je dostrzec.

- Nie jestem pewna, czy rozumiem; chciałabym...

Światła się zmieniły i weszli w Poultry. Z każdą sekundą powietrze w płucach Frannie stawało się cięższe. Z przodu, po lewej stronie, widziała już oświetlony płot wokół budowy. Zwolniła kroku i ksiądz również zwolnił.

- Chciałabym coś powiedzieć, zanim...

Odwrócił się do niej profilem i w świetle latami zobaczyła miękka, jakby dziecięcą skórę jego policzka.

- Przepraszam za wszystko. Za ból, jaki sprowadziłam na tyłu ludzi. Za to, że byłam taka cholernie głupia.

Benedict Spode zwrócił się do niej *en face*. Niepokój nie opuścił jego twarzy, ale głos miał opanowany.

- Decyzję urzędnika seansu podjęło was siedmioro, Frannie - powiedział cicho. - Nie do ciebie należy branie na siebie całej winy. Osądzi to Bóg.

Ostry podmuch wiatru szarpnął jej włosy i ubranie. Sutanna księdza zafalowała pod płaszczem od deszczu, a torba zakołysała mu się w dłoni. Płot trząsł się; mimo odległości stu jardów Frannie słyszała stuk luźnych desek, łopot brezentu i brzęk metalu.

Znów popatrzyła na Spode'a.

- Pozwoli ksiądz, że zadam bardzo naiwne pytanie? Skoro ludzie mogą to zrobić - przyciągnąć złego ducha - sami, dlaczego trzeba księdza, żeby to zatrzymać? Czy nie wystarczyłoby po prostu się pomodlić?

- Księża nie mają magicznej mocy - odparł. - Dobro jest silniejsze od zła; ale kiedy zło wyrywa się spod kontroli, ci, za którymi stoi autorytet Kościoła, mają więcej siły do walki z nim niż ktokolwiek inny. Kościół działa w imieniu Boga, w oparciu o Jego autorytet. A Bóg jest silniejszy niż Szatan. Bóg pokonał Szatana.

Minął ich autobus. Drzwi pubu po drugiej stronie ulicy otworzyły się i wyszło z nich dwóch mężczyzn. Zobaczywszy wesołe wnętrze lokalu, Frannie poczuła ukłucie zazdrości.

- Nadal trudno mi w to uwierzyć - po tym wszystkim, co się stało

- że odmówienie paru modlitw położy temu kres.

Jej towarzysz przystanął.

- Dlaczego?

- Wydaje mi się to zbyt proste.

Odciał się jej logiką.

- A czy skomplikowany był sposób, w jaki się to zaczęło? Paczka wstawionych przyjaciół, odwrócony kieliszek, parę kawałków papieru?

Uśmiechnęła się słabo, ale Benedict Spode nie odwzajemnił jej uśmiechu. Spojrzała na zegarek. Piętnaście po ósmej. Okolica była oświetlona dużo lepiej niż się spodziewała. Chodnik, płot, plac budowy; wszystko skąpane było w mleczno-pomarańczowej mgiele. Znakomicie widoczne. Ale na wysokości szczytów budynków, które wznosiły się wokół nich, sztuczne oświetlenie bladło. A jeszcze wyżej tylko twarda biel gwiazd przekłuwała oleistą czernią nieba.

Krajobraz wyglądał tak samo jak wcześniej tego dnia: nad uliczką górowało ramię dźwigu; potężna ołowiana kula burząca zwisała zeń niczym łup z dzioba gigantycznego drapieżnego ptaka. Ale budynku, który Frannie widziała w porze lunchu, już nie było. Szok rozdarł jej wnętrzości. Popędziła przez ulicę do płotu i spojrzała przez szparę. Nic jednak nie zobaczyła. Pobiegła do następnej szpary, która wychodziła prosto na szczyt narożnego domu na początku Poulterers' Alley. Został niemal całkowicie zburzony. Fasada zniknęła, wnętrze było odsłonięte. Ale po obu stronach uliczki za nim budynki jeszcze stały.

Cząstką siebie żałowała tego; chciała udać, że jest już za późno. Ksiądz by się nie zorientował. Potem jednak stanęła jej przed oczami twarz Seba Hollanda. Twarz Tristrama. Trumna Meredith na katafalku. Wzdrygnęła się. Wyobraziła sobie, że już nigdy nie zobaczy Olivera. Ani swojej rodziny. Że zostanie okaleczona, zabita, zeszpecona. Skinęła na Benedicta Spode'a i wskazała mu kierunek.

Podniósł wzrok na płot.

- Spróbujmy znaleźć jakieś przejście - powiedział zdecydowanym tonem.

Zatrzymali się pod spiętą łańcuchem główną bramą. Frannie pchnęła ją, ale między skrzydłami nie było luzu. Ulicą przejechała taksówka, warkot silnika rozległ się w ciszy echem, zapach spalin został im w nozdrzach. Frannie poprowadziła księdza dalej. Doszli do przecznicy i trzymając się płotu skręcili w lewo, w cichą, gorzej oświetloną uliczkę, na której był zadaszony chodnik z desek. Benedict Spode pchnął segment płotu na złączu z rusztowaniem. Segment niechętnie ustąpił, ale zaraz odskoczył z powrotem. Ksiądz rozejrzał się z chytrą miną dookoła, pchnął mocniej, przytrzymał segment dla Frannie, a potem przeszedł sam i opuścił go za sobą z nieznośnym hukiem.

Stali na hałdzie sypkiego gruzu; łopot brezentu i brzęk luźnych metalowych elementów były teraz dużo głośniejsze. Frannie włączyła latarkę i snop światła skoczył chciwie w mrok za poświatą latarni ulicznych. Trafił w ślady gąsienic buldożera. Potem w kabinę dźwigu. Przesunęła go po częściowo wyburzonym budynku, w którym mieścił się zarząd budowy. Powietrze było pełne dziwnie słodkiego zapachu spróchniałego drewna i wilgoci oraz silniejszej, suchszej woni starego tynku. Strumień latarki prześliznął się po składanej drabinie, a później oświetlił okna jakiegoś baraku. Frannie ruszyła niepewnie naprzód, ominąwszy połamany wózek z supermarketu przeszła po zgniłej okładzinie tynkowej, która pękła jej pod stopami, i znalazła się na błotnistej ścieżce.

Benedict Spode szedł na palcach, unosząc sutannę jak spódnicę. Kiedy minęli barak z szablonowym napisem „Zaopatrzenie” na drzwiach, jakaś furgonetka wjechała z dużą prędkością w ulicę i zatrzymała się pod bramą. Kierowca nie zgasił silnika. Frannie wyłączyła latarkę. Rozległy się kroki i trzask krótkofalówki. Potem męski głos.

- City Fields. Jeden dziewięć pięć pięć. Budowa zabezpieczona. Jedziemy do Docklands. Bez odbioru.

Zabrzączał łańcuch i furgonetka odjechała. Frannie włączyła latarkę, oświetlając podniesione brwi księdza.

- Mogliśmy się znaleźć w drobnych tarapatach.

Nie potrafiła zdobyć się na uśmiech. Ruszyła naprzód i przystanąła dopiero wtedy, gdy Poulterers' Alley wyciągnęła się przed nimi niczym wymarłe miasto na terenie wytwórni filmowej.

Niepokój, który powrócił na twarz księdza, zaczął się udzielać Frannie, sączył się w jej ciało. Musi iść dalej; jakoś zebrać odwagę. Musi iść dalej. Musi. Wyobraziła sobie oczy obserwujące ich zza zabitych deskami okien. Oczy małego chłopca. Czuła, że serce łomocze jej w piersi jak czółenko, tkając gobelin z surowych włókien nerwowych.

Omali nie minęła kafeterii. Lokal, który kiedyś robił wrażenie tak dużego, teraz wydawał się mały. Oświetliła latarką szyld, jakby potrzebowała się upewnić: KAN PI LUIGI CAFE.

Okna były zabite deskami jak wszędzie indziej, ale szyby w drzwiach pozostały. Wyjęła z torebki pęk kluczy, wyłuskała właściwy i włożyła go w zamek. Przekręcił się niemal zbyt łatwo, pozwalając jej i kanonikowi Spode'owi wejść do lokalu, który знаła przez większość swego życia.

Podłoga wyglądała jak pobojuwisko. Część tynku odpadła, odsłaniając belki na suficie. Frannie weszła powoli do środka, zaczekała na Benedicta Spode'a i powiodła wokół latarką, wyławiając z ciemności fragmenty wnętrza. Biały prostokąt wskazywał miejsce, gdzie kiedyś stała lada. Stary plakat z

Neapolem spadł na podłogę. Drugi, z Amalfi, nadal wisiał na tylnej ścianie. I właśnie w nim ksiądz utkwiał spojrzenie rozszerzonych oczu. Frannie podążyła za jego wzrokiem.

Plakat falował i oddzierał się w lewym górnym rogu, jakby szarpała go jakaś niewidzialna ręka. Drugi róg był już oderwany. Frannie poczuła rozdzierający smutek i przygnębienie. Pomieszczenie sprawiało wrażenie naładowanego elektrycznością. Plakat odklejał się dalej, od góry do dołu, aż spadł na podłogę, zwinął się w rulon i znieruchomiał.

Efekt był paralizujący. To tylko przeciąg z otwartych drzwi, usiłowała wyperswadować sobie Frannie, przepychając się przez ciemność ku połyskującemu matowo uchwyтови klapy do piwnicy. Odłożyła latarkę, uklękła i skinęła na Spode'a, by zrobił to samo.

Kiedy pociągnęła za uchwyt, zimny metal wgryzł się jej w palce jak lód. Tam, pod klapą, jest czarownik; czeka na nią w swej ciemnej, cichej jaskini. Mieszka w piwnicy. Czarownik, który kłuje teraz wszystkie jej kości ostrymi igłami przerażenia. Drugi markiz

- Francis Edward Alwynn Halkin.

Kłapa podniosła się na kilka cali i z powrotem opadła. Frannie zapomniała, jaka jest ciężka. Odrzuciła pomoc księdza i wytężywszy siły szarpnęła mocniej; kłapa poszła w górę, ciągnąc za sobą pajęczynę. Z włazu wylało się powietrze, tak zimne, jakby otworzyła drzwiczki zamrażarki.

Zablokowała kłapę na zawiasach i poświeciła latarką w ciemność u stóp drewnianych schodów. Ciemność jak w szybie windy. Drżała w nieopanowany sposób, jakby miała konwulsje. Patrząc w dół zakołysała się na kolanach, a ciemność otuliła ją niczym dym.

- Może pójde pierwszy? - zaproponował Spode.

- Nie, ja pójde - usłyszała swój głos. - Może mi ksiądz podać swoją torbę.

Powoli wsunęła się w otwór i chwyciła jedną ręką latarkę. Czuła się tak, jakby schodziła do bezdennej otchłani, ale w końcu dotknęła stopami twardych kamiennych płyt. Robiły wrażenie chwiejnych i dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to ona sama trzęsie się ze strachu.

- W porządku - zawołała, podnosząc strumień światła latarki do góry.

Odpowiedziało jej echo. *ORZĄDKU... RZĄDKU... ADKU.*

Benedict Spode niezgrabnie postawił nogę na pierwszym stopniu.

- Ostrożnie! - krzyknęła w czerń.

STROŻNIE... OŻNIEEEE.

Chłód kamieni sączył się jej przez podeszwy do butów. Czuła, że szczypie ją skóra, że jeży jej się meszek na rękach, nogach i krzyżu, a na całym ciele występuje gęsia skórka. Słyszała monotonne, metaliczne plum... plum... plum... kapiącej wody, które pamiętała z tamtego wieczoru.

Omiotła latarką schody, zbyt przestraszona, by się rozejrzeć dookoła, i wyciągnęła rękę po torbę, którą

podawał jej Spode.

Ksiądz zszedł na dół, ale nadal trzymał się obydwoma rękami poręczy, łapiąc oddech.

- Moja torba - powiedział z niepokojem w głosie, jakby bał się z nią rozstawać.

Oddała mu ją przy akompaniamencie cichego dudnienia, które rozległo się w ciemności przybierając na sile, jakby toczyły się ku nim setki gładów. Słyszała ten dźwięk tysiące razy, ale zawsze ją przerażał. Zaczął milknąć równie szybko jak się odezwał, przeszedł w daleki szum, a potem zamarł całkowicie.

- Metro - wyjaśniła. - Central Line.

Spode puścił poręcz i odszedł kilka kroków od Frannie, jakby coś go ciągnęło. Patrzyła, jak otwiera swoją torbę; wyjął z niej małą latarkę, a następnie podszedł do jednej z beczek i używając jej jako stołu zaczął się rozpakowywać. W świetle drugiej latarki Frannie zobaczyła skrzynię z zatkniętą w kałuży stearyny świecą i skrawkami papieru. Była to skrzynia, która służyła im za stół podczas seansu.

Zalała ją fala wspomnień. Zrobiła kilka kroków, bojąc się podejść zbyt blisko. Litera alfabetu leżały jak popadnie, między nimi słowa *TAK* i *NIE*, upstrzone czarnymi plamkami pleśni.

Ksiądz wyjął z torby flakonik z wodą święconą, srebrną solniczkę i dwa srebrne lichtarze, w które wetknął świece. Zapaliwszy je, wydobył jeszcze kielich, srebrną tacę i srebrną czarkę. Poruszając ustami w modlitwie, nalał do czarki trochę wody i dodał szczyptę soli. Pracował w migotliwym świetle świec powoli, starannie, metodycznie, jakby miał czas do końca świata.

Uniósł czarkę do góry.

- Chronń nas, prosimy cię, Panie - powiedział stanowczym tonem, ale nie podnosząc głosu.

Potem wyjął z torby jakąś srebrną kulę na łańcuszku. Kula miała maleńkie dziurki, jak solniczka. Kropidło, uświadomiła sobie Frannie.

Ostrożnie zanurzył kulę w wodzie święconej i wyciągnął ją za łańcuszek, tak że się delikatnie zakołysała. Następnie podniósł kropidło wyżej, jakby chciał mieć pewność, że ktokolwiek lub cokolwiek jest tu obecne, zobaczy je. Zaczął huścić łańcuszkiem, najpierw wolno, potem szybciej, aż kropelki wody spryskały ściany. Ruszył wokół piwnicy, raz po raz powtarzając tę procedurę i słowa:

- Chronń nas, prosimy cię, Panie.

Na zewnątrz ołowiana kula burząca, która zwisała z ramienia dźwigu, poruszyła się odrobinę na wietrze i nie przestała się poruszać, gdy wiatr ucichł. Najpierw kołysała się ledwo dostrzegalnie, ale stopniowo tak się rozhuściła, zataczając szerokie luki, że ramię nie mogło już tego zrównoważyć i cały dźwig zaczął się bujać razem z nią. Kula huściła się jak kropidło w dłoni księdza. Jak abażur w pokoju Frannie. Coraz mocniej. Aż poleciała za wysoko i łańcuch się odprężył. Potem opadła ciężarem pięciu ton. Zanurkowała niepohamowana przez powietrze, naprężając łańcuch. Mocno. Zbyt mocno.

Ramię dźwigu pękło i kula burząca ostro pociągnęła je za sobą, przebijając się przez dachówki i

zmurszałe belkowanie.

Poniżej w piwnicy Benedict Spode kolejny raz zahuścił kropidłem. Woda święcona opryskała cegły.

- Chroni nas, prosimy cię, Panie.

Postąpił krok w lewo i zaczął powtarzać procedurę. Frannie usłyszała cichy odgłos pęknięcia, jakby ktoś łamał drewno na opał. Potem basowe dudnienie. Metro, pomyślała w pierwszej chwili, ale ten dźwięk był inny: głośniejszy, bardziej przerażający. Zobaczyła, że postrzępione, pająkowate rysy rozdzierają sufit i ściany. Posypał się na nich grad małych kamiaków, poczuła uderzenia w głowę i dłonie.

- Uciekajmy! - krzyknęła. - Uciekajmy!

Cała piwnica się trzęsła, przez otwarty właz waliła do środka lawina pyłu. Frannie krzyknęła ponownie, a potem coś trzasnęło ją w bark i runęła na podłogę. Hałas stał się ogłuszający. Usłyszała czyjś wrzask, ale usta miała pełne tynku i zakrztusiła się, oślepiona pyłem.

Potem zapadła cisza.

Frannie poczuła na twarzy powiew wiatru i spróbowała się poruszyć, ale coś ją przygniatało. Wypluła garść pyłu.

- Proszę księdza?

Przez mgłę, która kłuła ją w oczy, przebiła się słaba poświata. Potem mgła zaczęła się rozwiewać. Pył osiadał. W górze zobaczyła dziwny pomarańczowy blask i znajome białe punkciki na tle oleistej czerni. Ciemne pionowe ściany. Uświadomiła sobie oszołomiona, że patrzy prosto w noc na zewnątrz.

I na jakąś twarz. Ktoś obserwował ją z góry. Jakiś niski mężczyzna, stojący piętro wyżej, zaglądał do krateru piwnicy. Uśmiechał się, co uznała za niewłaściwe. Uśmiech i błysk w oczach. Nagle spostrzegła ze śmiertelnym przerażeniem, że to wcale nie jest mężczyzna.

Był to Edward.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Nagle Edward zniknął.

Frannie spróbowała uwolnić się spod ciężaru, który przygniatał jej nogi i lewy bark, ale panika sparaliżowała jej ruchy.

- Proszę księdza? - zawołała.

Cisza. Czowała się jak owad schwyty w pudełko od zapalek. *Żuki są szkodnikami, tatusiu.*

- Proszę księdza?

Zakrztusiła się pyłem i zakaszła. Wytężyła wzrok, ale nic nie było widać. Coś ostrego wbijało jej się w nadgarstek; gdy przekręciła dłoń, wbiło się jeszcze głębiej. Znów popatrzyła w górę, ale widziała

tylko słabą pomarańczową poświatę.

Przesunął się jakiś cień. Usłyszała szurnięcie, jakby ktoś powłóczył stopą, i wszystkie jej mięśnie zadrżały konwulsyjnie. Nadal jednak nie mogła uwolnić nóg; miała wrażenie, że są związane cementem.

Usłyszała kolejne szurnięcie. Głośniejsze. Potem jeszcze jedno. Z tyłu. Mogła poruszać głową i przekręciła ją teraz gwałtownie.

Stojąca postać; ktoś niski. Oślepiło ją światło latarki. Potem snop się przesunął i w jego odbłasku zobaczyła, że to Edward.

Stał bez ruchu, patrząc na nią ze skupieniem.

- Edward! - zawołała.

Muszę spróbować z nim porozmawiać, dotrzeć do niego, pomyślała z rozpaczą.

Wargi chłopca się poruszały, ale nie słyszała, co mówią. Światło jego latarki omiotło piwnicę i spoczęło na chwilę na niej. Potem wyłowiło z mroku jakąś twarz po lewej stronie.

Był to Benedict Spode; jego plecy i nogi zmiażdżyła kula burząca. Język wystawał mu z ust i kapłała zeń żółć, prosto w kałużę krwi, która powoli rozpląwała się po podłodze w kierunku Frannie.

Z gardła wyrwał jej się zduszony krzyk. Edward zrobił krok w jej stronę. Potem następny. Jego wargi się poruszały, mówiły coś, czego nie słyszała.

Prawa ręka była jedynym członkiem, którym mogła poruszać. Nie spuszczać wzroku z chłopca przesunęła nią po gruzie, zacisnęła palce na odłamku kamieniarki, chwyciła go mocno i odwiodła ramię, wystarczająco oszalała ze strachu, by użyć kamienia jako broni.

Edward szedł ku niej z poważną miną. Spojrzenie miał szkliste, a jego wargi nadal recytowały coś niesłyszalnie. Był ubrany w swój szkolny strój: szarą marynarkę, krótkie spodenki i krawat w paski. Frannie podniosła kamienny odłamek wyżej, zbierając siły. Chłopiec kontynuował recytację i kiedy się zbliżył, uświadomiła sobie z przerażeniem, że głos wydobywający mu się z ust nie należy do niego, tylko do kogoś dużo starszego.

Minął ją, ukląkł, podniósł kropidło, które leżało tuż poza zasięgiem wyciągniętych palców martwego księdza, wstał i zakołysał łańcuszkiem. Kropelki wody święconej uderzyły Frannie w twarz.

- Chroń nas, prosimy cię, Panie. Chroń nas, prosimy cię, Panie

- powtórzył chłopiec dużo głośniej i wyraźniej, rzeczowym głosem, który rozpoznała.

Ukląkł ponownie i zaczął rozgarniać gruz wokół kanonika Spode'a, mamrocząc pod nosem. Teraz odmawiał Modlitwę Pańską. Frannie obserwowała, jak odkopuje srebrną tacę i kielich. Zachowywał się tak jakby dokładnie wiedział, czego szuka i co ma zrobić dalej. Z torby księdza wyjął butelkę wina mszalnego i kilka opłatków.

- Wysłuchaj naszych modlitw, Panie - powiedział. - Pokornie prosimy cię o miłosierdzie.

Frannie nie mogła tego pojąć, ale głos wydobywający się z ust Edwarda był głosem księdza, który leżał martwy na podłodze. Ksiądz przemawiał przez chłopca.

Edward mówił dalej ze spokojem. Z autorytetem.

- Wysłuchaj naszych modlitw, Panie. Pokornie prosimy cię o miłosierdzie. Przyjmij swego sługę Francisa Edwarda Alwynna Halkina, którego z tego świata wezwałeś do siebie, aby mógł się radować pokojem i światłością razem z wszystkimi Twoimi świętymi. Przez Chrystusa Pana Naszego. Amen.

- Amen - powtórzyła mimowolnie Frannie, wypuszczając z dłoni kamień.

- Prosimy Cię, Panie Boże, abyś przyjął duszę Twego sługi Francisa, za którego przelałeś krew na krzyżu. Pamiętaj, że jesteśmy tylko prochem, i że człowiek jest jak trawa i kwiaty na polu. Panie, daj mu wieczne odpoczywanie i pozwól, by świeciła mu światłość wiekuista. Boże litościwy i miłosierny. Wprowadź swego sługę Francisa do miejsca spokoju i przebaczenia.

Chłopiec o głosie dorosłego zamilkł na chwilę. W oddali ucichło wycie syreny. Frannie miała dziwne wrażenie, że w piwnicy jest ktoś jeszcze. Nie ośmieliła się jednak odwrócić wzroku od dokonującego się przed nią cudu. Edward zaczął znów odmawiać Modlitwę Pańską i przyłączyła się do niego.

Kiedy skończyli, chłopiec podniósł hostię i odłamał kawałek do kielicha.

- Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, zmiłuj się nad nami. Niech to połączenie ciała i krwi Pana naszego Jezusa Chrystusa przyniesie życie wieczne nam, którzy przyjmujemy ten sakrament.

Podszedł do Frannie i położył jej hostię na dłoni.

- Bierz i jedz - powiedział.

Podniosła ją do ust. Słodki, cienki jak papier opłatek rozpuścił jej się na języku.

Edward zbliżył się do niej ponownie i przyłożył jej do warg brzeg kielicha. Poczowała smak proszku do czyszczenia srebra, a potem słodycz ciężkiego wina. Przełknęła je z wdzięcznością.

- Oto krew Chrystusa - powiedział Edward pewnym siebie tonem i odstawił kielich. - Panie Boże, Twój Syn dał nam sakrament Swego Ciała, by wesprzeć nas w ostatniej podróży. Spraw, by nasz brat Francis zasiadł z Chrystusem na Jego wiecznej uczcie: który żyje i króluje na wieki wieków.

- Amen - wyszeptała Frannie.

Zrobiło się cieplej i nie czuła już strachu. Edward ukląkł przy niej. Ciemność się rozviała, pozwalając jej zobaczyć, że chłopiec ma błyszczące oczy, i że się uśmiecha. Jego głos był z powrotem normalny.

- Nic ci nie jest, Frannie?

Potrząsnęła głową.

- Teraz już wszystko będzie dobrze, prawda, Frannie?

Zaczął odkopywać ją z gruzu. Przyglądając się, jak pracuje, przypomniała sobie jego pytanie: *Czy umarli pozostają umarli?*

Benedict Spode był uzbrojony w autorytet Kościoła i zginął. Ale nie do końca. Zabijając Spode'a, drugi markiz nie umniejszył jego autorytetu. Dał mu nową broń: Edwarda.

Non omnis moriar.

W chwili śmierci kanonik Spode uczynił chłopca kanałem dla swego ducha.

Frannie wyciągnęła rękę i delikatnie ujęła dłoń Edwarda. W głowie rozbrzmiewały jej echem słowa księdza. *Kiedy zło wryrywa się spod kontroli, ci, za którymi stoi autorytet Kościoła, mają więcej siły do walki z nim niż ktokolwiek inny.*

I jeszcze jedno zdanie. *Wierzę, że istnieje porządek w chaosie.*

Mocno przytuliła Edwarda do siebie; najwyraźniej nie przeszkadzało mu, że po twarzy płyną jej łzy. Było tak, jakby obydwójce wiedzieli, że tutaj, pośród gruzów przeszłości i w obecności śmierci, dostąpili wyzwolenia.

Czerwiec 1999

Kiedy Charles Richard William Halkin miał siedem lat, odkrył tajną kryjówkę swojego brata, gdzie Edward chodził palić papierosy. Odkrył ją, skradając się za nim po strychu za pokojem zabaw. Zobaczywszy, że Edward wychodzi przez okno, wyszedł za nim i popęzł po parapecie do zagłębienia obok jednego z potężnych kominów.

Za pierwszym razem Edward się rozzłościł, ale potem pozwolił Charlesowi towarzyszyć sobie, kiedy tylko chce. W pogodne dni widać było stamtąd wzgórze i Kanał Angielski. Edward powiedział, że linia na horyzoncie to Francja, ale Charles niezupełnie mu uwierzył. Niezupełnie wierzył w mnóstwo innych rzeczy, które Edward mu mówił. Wolał szukać prawdy samodzielnie. Odkrywanie różnych rzeczy sprawiało mu wielką przyjemność. Lubił dochodzić do wszystkiego sam i odziedziczył logiczny, analityczny umysł swojej matki; zawsze składał całość z małych fragmentów.

Pewnego razu, kiedy z nudów przetrząsał stare walizki na jednym ze strychów, znalazł torbę z wypłowiałą nalepką linii lotniczych Alitalia. Była pełna zdjęć matki z jakimiś jego wujkami i ciotkami oraz starych pism i listów. Zamykając torbę zauważył kopertę, która wyglądała na nowszą od pozostałych, i rzucił na nią okiem. Była zaadresowana: „Francesca, Lady Sherfield, Meston Hall, Meston, East Sussex”.

W środku znajdował się krótki list z przypiętym spinaczem kawałkiem papieru. List był nabazgrany dość niestarannie.

Kochana Frannie!

Mama znalazła to któregoś dnia, pomagając mi porządkować różne starocie, kiedy przyjechałam do niej na weekend. Pomyślałam, że ci to wyślę, na wypadek, gdybyś się jeszcze zastanawiała. Przesłanie

biednego Seba strasznie pasuje, nie wiem, jak twoje. Wygląda na to, że Phoebe źle je zapamiętała, jednak nie była to sama liczba 26. No, ale teraz nie ma to już znaczenia.

Spróbuję zadzwonić do ciebie, kiedy następnym razem będę w Sussex. Drugie dziecko ma się urodzić w sierpniu.

Ucałowania.

Susie.

Charles odpiął kawałek papieru. Miał około dwóch cali szerokości, był poliniowany i wyglądał tak, jakby został wydarty z kalendarzyka. Na jednej stronie był jakiś adres. Na drugiej dwa imiona, w formie listy:

Seb Holland - HUMPTY DUMPTY* (***Postać z wierszyka dla dzieci. Spada z murku i rozbija się na kawałki**)

Frannie - URODZISZ 26-tego

Kiedy Charles był młodszy, Edward powiedział mu, że nie są prawdziwymi braćmi, bo nie mają tej samej mamusi. Charles rozumiał to; wiedział, że mamusia Edwarda umarła dawno temu.

Rozumiał też, że to Edward odziedziczy pewnego dnia tytuł ich ojca. Ojciec był dwudziestym czwartym markizem Sherfield, a Edward będzie dwudziestym piątym. Kiedy Edward umrze, jego najstarszy syn zostanie dwudziestym szóstym markizem. Chyba że Edward umrze nie mając syna, a wtedy tytuł przejdzie na Charlesa.

Ogólnie rzecz biorąc Charles lubił Edwarda i mimo różnicy wieku dobrze się ze sobą zgadzali. Czasami jednak miewał na jego temat dziwne myśli. Wyobrażał sobie, że widzi, jak Edward spada z parapetu i ginie.

Inne tytuły Petera Jamesa:

MROK

Ze złożonej do grobu trumny dochodzi stukanie... Młoda dziennikarka, która uczestniczyła w dramatycznej ekshumacji zwłok, ulega wypadkowi i trafia na stół operacyjny. Podający jej narkozę lekarz owładnięty jest obsesją na punkcie doświadczeń z „życiem po życiu”...

ŚNIAÇA

Pierwsze prorocze sny nawiedziły Sam, kiedy miała siedem lat. Tej nocy tragicznie zginęli jej rodzice... Po dwudziestu pięciu latach sny powracają, niosąc zapowiedź śmiertelnego zagrożenia dla niej i jej bliskich.

PAN JEJ SERCA

Na widok starego młyna Charley doświadcza uczucia, że niegdyś już tu była. A kiedy wprowadza się do niego wraz z mężem, zaczynają ją osaczać niepokojące wspomnienia z poprzedniej egzystencji.

OPĘTANIE

Rozbite szkło, czerwone róże to dla Alex czytelne znaki, że jej zmarły tragicznie syn rozpaczliwie szuka z nią kontaktu. Alex, której życie zamienia się w koszmar, zaczyna domyślać się straszliwej prawdy...